

DOROTA WARAKOMSKA

DROGA 66



Podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę, i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety. W rzeczywistości zaczyna się dużo wcześniej i praktycznie nie kończy się nigdy, bo taśma pamięci kręci się w nas dalej, mimo że fizycznie dawno już nie ruszamy się z miejsca. Wszak istnieje coś takiego jak zarażenie podróżą i jest to rodzaj choroby w gruncie rzeczy nieuleczalnej.

Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*

wstęp

Myśląc o Stanach Zjednoczonych, mamy zazwyczaj przed oczyma Nowy Jork albo Los Angeles. To właśnie dwa wybrzeża, Wschodnie i Zachodnie, kreują wizerunek Ameryki. Stany znajdujące się pośrodku kontynentu są nie tylko nieznane, ale bywają też traktowane jak zaścianek. Nazywa się je nawet pogardliwie *fly-over-states*, bo nad nimi się tylko przelatuje. Mieszkający tam ludzie mówią z kolei o swoich ziemiach, niedotykających oceanu, że to kraina w samym sercu lądu - *heartland*.

Zachód i południe USA to rzeczywiście inny świat. Tamtejsze ogromne przestrzenie wciąż zachęcają do podboju, a bezkres wydaje się pokazywać niekończące się możliwości. Dla amerykańskich osadników zachód był symbolem swobody i powodzenia. Tradycja pionierska zmusza do optymizmu, niepoddawania się, próbowania po raz kolejny.

Wyjątkowo silny pozostaje tam mit drogi, wędrówki w nieznane. Dążenia podsycane przez pokolenie beatników są marzeniem o życiu zaimprovizowanym, bez ustalonego planu, poza wszelkimi standardami. Poszukiwanie przygody, przyjaźni, miłości i prawdy - to kryje się za potrzebą podróżowania.

Gdy w moim życiu nadszedł moment, w którym nie mogłam znaleźć odpowiedzi na ważne pytania, nie wahałam się - ruszyłam w podróż. I choć wcześniej wielokrotnie objeżdżałam Stany Zjednoczone wzdłuż i wszerz, wybrałam właśnie Amerykę, a w niej regiony będące synonimem wolności, uwiecznione na fotografiach Anseli Adamsa, Dorothei Lange, Paula Stranda, Richarda Avedona, pokazane w *Gronach gniewu* i kultowych filmach: *Swobodnym jeźdźcu*, *Znikającym punkcie*, *Konwoju*. Zdecydowałam się na trasę, którą przemierzyli i którą opisali John Steinbeck i Jack Kerouac, przecinającą USA na skos, od północnego wschodu do południowego zachodu - Drogę 66.

Podążając tym szlakiem, przejechałam ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów. Na „66” spędziłam w sumie prawie pół roku. Często jeździłam zygzakiem, kierowałam się tam, gdzie mnie coś zaciekało. Po raz pierwszy włączyłam się bez napiętych terminów. Byłam wolna jak ptak. Nie musiałam się spieszyć, mogłam swobodnie zmieniać plany, zatrzymywać się. Odkrywać miejsca niezwykle, poznawać fascynujące osoby, rozmawiać bez końca. Szukać inspiracji, czerpać mądrość od ludzi dojrzałych, brać siłę od młodych.

Przekonałam się, że Droga 66 jak magnes przyciąga niebanalne i nietuzinkowe osobowości. I wyzwala w tych ludziach niesamowite pomysły, a także energię do ich zrealizowania. Wiele się nauczyłam podczas tej podróży. Przede wszystkim, by nie bać się robić tego, co się chce, czego się pragnie. I przekonałam się, że każde, nawet najbardziej zapyziałe miejsce, może okazać się najwspanialszym zwierciadłem świata.

Uwielbiam Amerykę i na pewno mój zachwyty będzie odczuwalny w tej książce. Nie jest to przewodnik, ale jeśli ktoś, ruszając w trasę, posłuży się nią, to będę szczęśliwa.

Zapraszam zatem w podróż Drogą, która łączy, cieszy, na której każdy znajdzie to, czego szuka. To Droga do serca Ameryki.

wprowadzenie

Route 66, jedna z pierwszych transkontynentalnych dróg w Stanach Zjednoczonych, została oficjalnie oddana do użytku 11 listopada 1926 roku. Wtedy bowiem utworzono jeden szlak z istniejących fragmentów ulic, ścieżek i tras w kolejnych miasteczkach. Nowa Droga połączyła Chicago z Los Angeles. Biegła przez osiem stanów: Illinois, Missouri, Kansas, Oklahomę, Teksas, Nowy Meksyk, Arizone i Kalifornię. Liczyła 2448 mil (3939 kilometrów). Przecinała trzy strefy czasowe.

Stała się częścią systemu szos międzystanowych, ale z tej misternie plecionej siatki dróg: północ-południe, wschód-zachód, tylko ona wymykała się prostej linii, przebiegając zygzakiem przez pola i lasy, omijając zakola rzek, klucząc między małymi pagórkami i wysokimi wzgórzami.

Pomysłodawcą połączenia istniejących szlaków był Cyrus Stevens Avery, reprezentujący stan Oklahoma w specjalnym pięcioosobowym Komitecie, który na początku lat dwudziestych XX wieku zastanawiał się, jak sprawić, aby coraz popularniejsze środki transportu - auta - mogły swobodnie przemieszczać się po kraju. Avery został okrzyknięty Ojcem Drogi 66.

Szybko zyskała miano „głównej ulicy Stanów Zjednoczonych”, biegła bowiem przez centra miasteczek, wiosek, osad. Przy niej jak grzyby po deszczu wyrastały kafejki i restauracje, stacje benzynowe i warsztaty naprawcze, a także motele. Większość z nich to były rodzinne przedsięwzięcia, tak zwane motele *mom and pop*, czyli „mamuśki i tatuśka”, w których tuż przy recepcji znajdowało się mieszkanie właścicieli.

W latach trzydziestych XX wieku tą właśnie szosą tysiące farmerów z Oklahomy podążało do Kalifornii podczas wielkiego kryzysu i w okresie burz pyłowych (*dust bowl*), spowodowanych suszą i erozją gleb, wywołanych przez nadmierne uprzemysłowienie rolnictwa. To wtedy, w czasie wielkiego exodusu, John Steinbeck w *Gronach gniewu* nazwał Drogę 66 „Drogą-Matką”. Określenia tego używa się do dziś.

Przez lata wielokrotnie zmieniano jej trasę, by poprawić warunki jazdy, między innymi dzięki zmniejszeniu liczby zakrętów. W 1936 roku „66” wydłużono poza Los Angeles aż do Santa Monica na wybrzeżu Pacyfiku. Niektóre odcinki wyasfaltowano dopiero w 1938 roku.

Po drugiej wojnie światowej wracali nią żołnierze. W 1946 piosenka Bobby'ego Troupe'a *Get Your Kicks on Route Sixty Six*, czyli „spraw sobie przyjemność na Drodze 66”, rozślawiła

szosę i została jej nieoficjalnym hymnem. Wykonywali ją i Nat King Cole, Bing Crosby i później Rolling Stones, Manhattan Transfer, Depeche Mode.

W latach pięćdziesiątych, w okresie rozkwitu gospodarki amerykańskiej, wraz z rosnącą zamożnością społeczeństwa i dynamicznie rozwijającym się przemysłem samochodowym, stała się pierwszym szlakiem turystycznym. Amerykanie masowo wylegli na Drogę 66, by podziwiać powstające atrakcje turystyczne, coraz bardziej oryginalne.

Zaczytywano się książką Jacka Kerouaca *W drodze*. O „66” śpiewał Bob Dylan. Na początku lat sześćdziesiątych powstał serial telewizyjny *Route 66*. Kręcono o niej i na niej filmy.

Gdy w latach siedemdziesiątych na północnym wschodzie zaczęły upadać wielkie fabryki i stalownie, połączyła tak zwany Rdzawy Krąg, obejmujący uprzemysłowione rejony poniżej Chicago (stany: Illinois, Ohio, Michigan, Pensylwania, Wisconsin) ze Słonecznym Kręgiem, czyli ciepłymi stanami południowego zachodu. Znow Droga 66 pomagała ludziom wędrować za chlebem do idylli południowej Kalifornii.

Przez lata stała się dla mieszkańców Stanów Zjednoczonych synonimem dążenia do wolności i szczęścia. Odzwierciedleniem *american dream*, „amerykańskiego snu”.

Dziś Droga 66 nie jest już główną arterią Stanów Zjednoczonych. Została skreślona z listy szos krajowych 27 czerwca 1985 roku. Oficjalne uzasadnienie: nie odpowiadała wymogom nowoczesnych dróg międzystanowych. Była za wąska, zbyt kręta. Zastąpiły ją na różnych odcinkach szybkie i bezkolizyjne autostrady: 55, 44, 40, 15, 10.

Dla większości mieszkających przy niej ludzi stanowiło to wielką tragedię. Z dnia na dzień wszystko się zmieniło. Ruch ustał. Mówiono: „Świat się zatrzymał”. Bobby Troup powiedział nawet: „To koniec epoki”. Stopniowo zamykano biznesy, nikomu niepotrzebne motele marniały, a sklepiki plajtowały. Kto miał pieniądze, siłę i odwagę, przeniósł się w pobliże nowych i uczęszczanych tras przelotowych. Kto nie miał ani gotówki, ani pomysłu na nowy rozdział własnego życia, zostawał. I pewnie życie skupione wzdłuż „66” zamarłoby na wsze czasy, gdyby nie pewien biedny potomek meksykańskich imigrantów, golibroda Angel Delgadillo, który postanowił coś z tym zrobić. Dziś jest nazywany Aniołem Drogi 66, bo to dzięki niemu zawiązało się Stowarzyszenie Drogi 66, które wywalczyło dla szosy status zabytku.

W latach dziewięćdziesiątych „66”, uznana za narodową drogę krajobrazową, stała się atrakcją turystyczną. Wpisana na listę najbardziej zagrożonych zabytków na świecie uzyskała

nawet wsparcie finansowe z Kongresu. Utworzono specjalne rządowe biuro (Route 66 Corridor Preservation Program), które pomaga wybierać obiekty do renowacji.

Znów zaczęto o niej mówić i pisać. Do przypomnienia rangi Drogi 66 przyczynił się zwłaszcza Michael Wallis, nazywany Ojcem Chrzestnym Drogi 66, autor pierwszego albumu poświęconego starej szosie i chodząca encyklopedia wiedzy na jej temat. W podsyceńniu mitu Drogi pomogły też kolejne kultowe filmy: *Autostopowicz*, *Thelma i Louise*, *Urodzeni mordercy*, *Bagdad Cafe*. A ostatnio - kreskówka *Auta*.

Dzięki artystom, zapaleńcom, podróżnikom i ludziom niebojącym się zainwestować w podupadłe budynki Droga 66 ożywa. Wracają na nią osoby, które potrzebują natchnienia albo szukają wspomnień. Rosnący sentyment do starej szosy to z pewnością wyraz nostalgii Amerykanów za latami młodości, świetności, rozkwitu. Chcą ożywić wspomnienia o pierwszych samodzielnych wakacjach, pierwszym własnym aucie, pierwszej miłości. I zarażają pasją kolejne pokolenia. Przyjeżdża też coraz więcej przybyszów z zagranicy, zwłaszcza Europy, dzięki czemu Droga staje się znów aortą krwioobiegu motoryzacyjnego USA.

Z wytyczonej niegdyś „główniej ulicy Stanów Zjednoczonych” przetrwało osiemdziesiąt pięć procent. Czasem Droga przecina się z autostradą, a czasem biegnie obok niej. Niekiedy kończy się w polu, zupełnie zanika. Są fragmenty doskonale zachowane, wyremontowane, dobrze oznakowane. I są też opuszczone i zapomniane. Stan Drogi 66 odzwierciedla nastawienie mieszkających przy niej ludzi. Jedni radzą sobie z upływem czasu, odnajdują się w nowych warunkach, patrzą w przyszłość. Inni zatrzymali się w pół kroku i tylko wspominają czasy, kiedy byli szczęśliwi.

Droga 66 jest naturalnym przekrojem przez społeczeństwo amerykańskie, pokazuje zmiany, jakie zaszły w tym kraju. Jest symbolem nieuchronnego upływu czasu i wkraczania nowoczesności. Jest jak lustro, w którym przegląda się Ameryka.

1 Illinois



wojownik z Wietrznego Miasta

The Hawk - wiatr wiejący znad jeziora Michigan - powitał mnie silnymi podmuchami. W centrum Chicago zawsze czuć wilgoć ciągnącą od wody. Eleganckie wieżowce pną się tu dumnie przy szerokich ulicach, jakby chciały uświadomić wszystkim, że to one były najpierwsze na świecie i że projektowali je najznamienitsi architekci. Wysoko na jednym ze szklano-stalowych gmachów zobaczyłam trzech przyczepionych linami młodzieńców myjących okna. Wiatr rozrzucał mydliny na dobre sto metrów. Po torach umieszczonych nad ulicą na wysokości drugiego piętra z hukiem przejechała kolejka. Kilku młodych, elegancko ubranych i pewnych siebie mężczyzn przepychało się w drzwiach drogiej restauracji. To pewnie maklerzy z największej na świecie giełdy towarowej, Chicago Board of Trade, gdzie handluje się kukurydzą oraz zbożem i gdzie zawiera się połowę wszystkich transakcji świata. Pod drzwiami sąsiedniego biurowca kilka osób paliło papierosy, przyglądając się w milczeniu czarnoskóremu portierowi w szykownym uniformie z uśmiechem pucującemu szybę. Zerknęłam w kierunku Searsa - studziesięciopiętrowego drapacza chmur, do niedawna najwyższego na świecie. Wciąż dominuje nad miastem. Przy Instytucie Sztuki Współczesnej, jednym z najlepszych amerykańskich muzeów, ustawiała się już kolejka turystów. Bezszelestnie przejechał czerwony „Timmy” - darmowy autobus wycieczkowy, którego trasa wiedzie przez najważniejsze punkty w mieście.

Zadzierałam wysoko głowę w sercu Chicago, największej metropolii na środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, trzecim co do wielkości, po Nowym Jorku i Los Angeles, mieście USA. Chłonełam atmosferę poranka w eleganckim centrum, w którym rzeźby Picassa, Miró i innych wielkich artystów wtapiają się w otoczenie pięknej architektury. Tu nawet piętrowy parking samochodowy robi wrażenie.

Stałam w miejscu, gdzie zaczyna się Droga 66. Dokładnie rzecz ujmując, kilometr zero znajduje się na Jackson Boulevard, tuż przy głównej ulicy miasta - Michigan Avenue, wiodącej równoległe do jeziora Michigan. Ale ponieważ Jackson Boulevard jest od ponad pięćdziesięciu lat ulicą jednokierunkową, której bieg kończy się na jeziorze, to funkcję zachodniej jezdni Drogi 66 przejęła równoległa ulica - Adams. I to na Adams Street wisi tabliczka: „BEGIN Route 66”.

Podkscytowana para młodych ludzi przymierzała się do zrobienia zdjęcia pod tym znakiem. Wisiał wysoko, więc żalowali, że nie mogą mieć ładnego zbliżenia. Ale przecież gdyby wisiał nisko, to już dawno by go nie było. Śmialiśmy się razem, wyobrażając sobie, jak

odkręcamy tabliczkę. Chłopak mówił, że każdy, kto kocha podróże i wolność, chciałby mieć taką pamiątkę. On oczywiście też. To były ich pierwsze wspólne wakacje i pierwsza wyprawa Drogą 66. Przyjechali z sąsiedniego stanu, Wisconsin. Fascynacją słynną szosą zarazili się od rodziców. Bo to właśnie stąd wyruszali wszyscy odważni ludzie, aby szukać lepszego miejsca dla siebie i swoich rodzin. Dziś lata się samolotami, nikt nie traci czasu na samą radość podróżowania. A oni, szukając przygód, chcieli spędzić cudowny tydzień. Gdy się pożegnaliśmy (między podróżnikami natychmiast zawiązuje się nić sympatii), ruszyli w drogę samochodem pożyczonym od kumpla, z mocnym postanowieniem przejechania każdego dostępnego kawałeczka Route 66 w stanie Illinois.



Tablica „Początek Drogi 66” na Adams Street w Chicago zawieszona jest na słupie lampy tak wysoko, by nikt nie mógł jej odcepić i zabrać na pamiątkę. Gdy odżyła legenda starej szosy, znaki zaczęły znikać zadziwiająco szybko. Oryginalne, historyczne tablice można zobaczyć już tylko w muzeach.

Ja też miałam zamiar przemierzyć tę trasę, ale chciałam najpierw dowiedzieć się jak najwięcej o historii legendarnej szosy w Chicago. Kopalnią wiedzy na ten temat okazał się David Clark, jeden z działaczy lokalnego Stowarzyszenia Drogi 66. To potężny mężczyzna z siwą brodą, rozwichrzonymi siwymi długimi włosami, które nie chciały się spokojnie schować pod bejsbolówką włożoną lekko na bakier. Na nogach miał wielkie, rozczłapane czarne buty i białe podkolanówki sięgające prawie do granatowych szortów. Oryginał, bez dwóch zdań. Na ramieniu ciążyła mu ogromna wypchana torba. Widząc moją minę, wyjaśnił, że to przyzwyczajenie z czasów, gdy pracował jako listonosz. Po kilku minutach rozmowy zapomniałam o jego nieco kuriozalnym wyglądzie i zafascynowana słuchałam tego, co mówił ciepłym, ale pełnym entuzjazmu głosem.

Chicago w języku Indian Algonquin, którzy niegdyś zamieszkiwali te tereny, znaczy „dzika cebula”, czyli - jak to mówią czerwonoskórzy - smród. Miasto jest bowiem położone między wielkim jeziorem Michigan a kilkoma rzekami. Dwieście pięćdziesiąt lat temu było po prostu gigantycznym bagniskiem. Dobrze, że wieją tu silne wiatry, bo dzięki nim zamiast przydomku „Smrodliwe”, Chicago zyskało miano „Wietrzne Miasto”.

Szliśmy powoli Jackson Boulevard na zachód, oddalając się od jeziora. Przystanęliśmy na żelaznym moście zwodzonym nad rzeką Chicago. Rozmawialiśmy, próbując przekrzyczeć huk samochodów przejeżdżających przez most. David, patrząc na leniwie płynącą wodę, podkreślał, że dla Indian stanowiła ona ważny środek transportu. W 1818 roku, gdy Illinois wstąpiło do Unii, były tu tylko niewielkie osady. Dopiero po wykopaniu w 1848 roku kanału łączącego jezioro Michigan z rzeką Illinois, wpadającą dalej do Missisipi, okazało się, że Chicago ma strategiczne położenie. W tym samym roku zbudowano tu pierwszą linię kolejową. Potem wszystko potoczyło się w ekspresowym tempie. Chicago trafiło na mapę, a ludzie na Wschodnim Wybrzeżu uświadomili sobie nie tylko jego istnienie, lecz także znaczenie. Miasto stało się bramą na zachód.



Były listonosz David Clark jest prawdziwą kopalnią wiedzy o legendarnej szosie. Z autoironią nazywa siebie Wojownikiem Drogowym z Wietrznego Miasta. Prawo jazdy zrobił niedawno, by móc wreszcie przejechać się ukochaną „66”.

David pokazywał mi biegnące wzdłuż rzeki tory kolejowe. Machał rękoma zadowolony, że stoimy w miejscu, gdzie spotykają się droga, kolej i rzeka. Cały czas uśmiechnięty, dumny ze swego miasta, opowiadał, jak błyskawicznie rozwijało się ono i rozrastało, wchłaniając kolejne fale imigrantów. Powstała najgęstsza na świecie sieć transportu publicznego.

Gdy wreszcie zesliśmy z wiaduktu, odetchnęłam z ulgą, bo koła samochodów na żelaznym moście robiły straszny hałas. David mówił, że tramwaje i trolejbusy jeździły po

wszystkich ulicach, tylko nie po Jackson Boulevard. Ta ulica należała bowiem do zarządu parków. Zatem auta nie musiały tu manewrować między zatrzymującymi się co chwila dużymi pojazdami. Dlatego, gdy zapadła decyzja o wytyczeniu głównej szosy biegnącej z miasta na zachód, rozporządzenie władz nie zdziwiło nikogo - w 1926 roku bulwar Jacksona został przekształcony w Drogę 66. Było to tym bardziej uzasadnione, że tu właśnie mieścił się dworzec kolejowy Union Station, niegdyś najbardziej ruchliwa stacja Ameryki.

Weszliśmy z Davidem do ogromnego dworcowego gmachu, dziś przeraźliwie pustego. Jak widać, kolej nie odgrywa już takiej roli w Stanach Zjednoczonych jak w czasach, gdy pomagała podbijać Dziki Zachód.

Abym mogła poczuć prawdziwą atmosferę tutejszego odcinka Drogi 66, David zaprowadził mnie do najśłynniejszej chicagowskiej knajpki - Lou Mitchell's - działającej nieprzerwanie od 1923 roku. Zobaczyłam niewielki, prosty, parterowy domek, wciśnięty między dwa wieżowce. Kilka osób tłoczyło się przy wejściu. Nie było wolnych stolików, zostały tylko miejsca na barowych stołkach, z widokiem na kuchnię. W powietrzu unosił się zapach omletów, grzanek i bekonu. Podeszła do nas kobieta z tacą pełną małych pączków. Częstowała wszystkich na koszt firmy, a panie dodatkowo obdarowywała pudełeczkiem z domowej roboty mordoklejkami w czekoladzie.

Usiedliśmy przy barze i natychmiast na ławie przed nami pojawiły się kubki napełnione kawą. Kelnerka, kobieta w sile wieku, ochrypniętym głosem zapytała Davida o żonę i przekazała jej pozdrowienia. W gwarnym wnętrzu trudno nam było rozmawiać. Ludzie pozdrawiali się, zagadywali do siebie, pytali o rodzinę. Kelnerki tymczasem serwowały ogromne porcje *jumbo omelettes*, znanych w kraju, a nawet poza granicami. Wszak *Zagat Survey*, renomowany przewodnik po najlepszych restauracjach świata, napisał: „Gdyby Bóg robił omlety, smakowałyby tak, jak te w Lou Mitchell's”.

Pałaszowałam słynne danie, a David zadowolił się pączkiem. Jedząc, mówił, że do tej knajpki, założonej przez greckiego imigranta, początkowo przychodzili podróżni z dworca kolejowego. Potem zatrzymywali się tu kierowcy i pasażerowie aut ruszających w podróż Drogą 66. Teraz stołują się tu wszyscy: kierowcy ciężarówek, sędziowie, biznesmeni, nauczyciele, emeryci, politycy. Częstymi gośćmi są też dziennikarze, bo w Lou Mitchell's można wyczuć „puls społeczeństwa”, czyli dowiedzieć się, co ludzie naprawdę myślą.

Podobnych knajpek w Chicago w latach dwudziestych XX wieku było mnóstwo. Ale tylko ta przetrwała do dziś. Między kolejnymi dolewkami kawy David opowiedział mi o innym Greku, Johnie Rakliosie, lokalnym potentacie restauracyjnym, nazywanym „Królem Kafeterii”. To on stworzył system, znany w USA jako *diner*, czyli restaurację z kuchnią otwartą na salę i stolikami wokół. David zbadał to dobrze i wiedział, że w tamtych czasach pojęcie „czystości” było różnie interpretowane. Raklios, pokazując ludziom, jak wygląda praca w kuchni, chciał, aby przekonali się sami, że u niego rzeczywiście jest schludnie. Imigrant był prekursorem, ale długo się nie utrzymał, bo stracił wszystko w czasie wielkiej depresji, która zaczęła się od kryzysu giełdowego w 1929 roku.

Pijąc już chyba szósty kubek kawy, David dowodził, że typowa amerykańska restauracja typu *diner* to kolejny po wieżowcach ważny wkład Wietrznego Miasta w rozwój Ameryki. Jego inne „naj”? Chicago dało światu noblistę Ernesta Hemingwaya („Czy istniał lepszy pisarz?” - spytał David). Tu zaczynał swoje eksperymenty genialny architekt Frank Lloyd Wright („W Chicago stoi aż dwadzieścia pięć jego budynków!”), działał Al Capone („Bardzo wspierał budowę Drogi 66. Pewnie liczył, że w razie czego pomoże mu w ucieczce”) i zrobił oszałamiającą karierę najlepszy koszykarz wszech czasów Michael Jordan („Wszyscy go kochają”). W Chicago przyszły na świat i tu się wychowały Hillary Rodham Clinton („Gdyby nie startował Obama, głosowałbym na nią”) i Michelle LaVaughn Robinson, żona Baracka Obamy. No i w końcu Obama, pierwszy czarnoskóry prezydent Ameryki, tu zaczynał karierę polityczną.

Wyszliśmy z Lou Mitchell's, kolejka czekających na ulicy na wolne miejsca rozciągnęła się już na kilkanaście metrów. Poszliśmy dalej na zachód. David, wskazując mijane budynki, kościoły, przecznice, mówił, że Drogą 66 zainteresował się, dopiero gdy przy niej zamieszkał, w 2000 roku. Zaczął wtedy grzebać w bibliotece w poszukiwaniu książek, dokumentów. Zafascynowany historią napisał nawet przewodnik o chicagowskim odcinku szosy. Wydał go własnym sumptem, korzystając z kolorowej drukarki. Na potwierdzenie swoich słów wyciągnął egzemplarz książki domowej roboty z torby ciężącej mu na ramieniu. Na środku ulicy pokazywał mi zbindowane kartki formatu A4 i opowiadał, że właśnie wtedy, gdy pracował nad tym dziełem, postanowił, że już nie będzie listonoszem, tylko poświęci się „66” i nadrobi zaległości, czyli skończy studia. Ten ponadpięćdziesięcioletni mężczyzna z dumą mówił, że studiuje biznes i język angielski w internetowej uczelni Phoenix University oraz że drugą jego książkę, „taką prawdziwą”, w 2008 roku wydało Towarzystwo Historyczne.

Dopiero po kilku godzinach David przyznał, że ma polskie korzenie. Jego babcia przyjechała z Polski, ale nie wie dokładnie z jakiego regionu. No i nie mówi po polsku. Rodzina chciała jak najszybciej zasymilować się w Ameryce, dlatego dzieciom wolno było rozmawiać tylko po angielsku.

Przyznał też, że sam siebie nazywa „Windy City Road Warrior” („Wojownikiem Drogowym z Wietrznego Miasta”). Śmiejąc się, wytłumaczył mi, że *road warrior* to slangowe określenie kogoś, kto bardzo dużo jeździ. Taki typ w czarnej skórzanej kurtce na motocyklu. On sam przez wiele lat w ogóle nie miał samochodu! Chodził wszędzie na piechotę, był przecież listonoszem. Pierwsze w życiu auto kupił, dopiero gdy poznał historię Drogi 66 i stwierdził, że powinien w końcu zobaczyć ją całą na własne oczy.

Wyposażona przez Davida w przewodnik, zaopatrzona w mapy, ze szczegółowymi instrukcjami ruszyłam następnego dnia z centrum. Wieżowce szybko zniknęły, pojawiły się za to niskie domki. Postanowiłam przejechać zygzakiem po różnych dzielnicach Chicago. Co kilkanaście przecznic zmieniał się krajobraz. Tam, gdzie budynki stały dalej od siebie, było dużo zieleni. Wysportowani ludzie w eleganckich dresach odbywali poranny jogging, a zawodowi wyprowadzacz psów zbierali do torebek odchody czworonożnych podopiecznych.

Biedniejsze dystrykty łatwo poznać po tym, że ściśnięte domki walczą o kawałek chodnika ze sklepami i barami szybkiej obsługi. A wśród nich chińszczyzna rywalizuje z kuchnią meksykańską. Tej ostatniej zauważyłam dużo nawet na Millokach (Milwaukee Avenue), jak się po polsku mówi na najpopularniejszą „naszą” ulicę w Chicago, która jest osią polskiej dzielnicy, Jackowa.

Nie mogłam nie zatrzymać się tu choćby na chwilę. Wszędzie wisiały szyldy po polsku, w sklepowych witrynach pyszniły się polskie przetwory i alkohole. W oknach małych kancelarii prawnych przyklejane kartki z odręcznymi napisami: „Załatwiamy ubezpieczenie, papiery”, „Legalne social security” (to taki amerykański PESEL, będący jednocześnie dowodem ubezpieczenia społecznego), „Sprawy powypadkowe”. No i oczywiście wszędzie mnóstwo ogłoszeń „dam pracę” i „szukam pracy”.

Nad jednym ze sklepów powiewały dumnie polskie flagi. Biało-czerwone napisy w naszym języku informowały o bogactwie towaru. Na bocznej ścianie tego budynku ktoś wymalował wielkimi literami: „God Bless America”. Pod tym napisem leżało dwóch facetów. Na pewno byli pijani, a prawdopodobnie - bezdomni. Przechodnie nie zwracali na nich uwagi.

Po drugiej stronie ulicy, pod sklepem z alkoholami siedziało kilku brudnych, obszarpanych mężczyzn.

- Cześć, Szwedka. Jak się masz? - zagadnął mnie po polsku jeden z nich.

Odór mieszanki alkoholu, moczu i brudu prawie zwałił mnie z nóg. Bogdan - tak się przedstawił mężczyzna - twierdził, że pochodzi z Krakowa. Nie chciał powiedzieć, od jak dawna jest w Stanach. Mówił, że początkowo powodziło mu się nieźle, był kontraktorem (budowlańcem), kupił dwie furgonetki, narzędzia. Wszystko się zmieniło, z dnia na dzień, gdy dostał wylewu. Bez ubezpieczenia nie było go stać na lekarza. Pokazując sparaliżowaną rękę, tłumaczył, że nie mógł pracować, więc zamówienia uciekły. Stracił też dom. Słuchałam go, zastanawiając się, ile może mieć lat. Pięćdziesiąt, a może sześćdziesiąt? Brudny, zarośnięty, ze zlepionymi włosami. Mieszał słowa polskie z angielskimi i uśmiechając się, przeproszał: „Taki jestem pokręcony”. Pytania o Polskę i rodzinę zbywał milczeniem. Patrzył na mnie uważnie pięknymi błękitnymi oczami. W końcu poprosił o dolara.



Chicago to drugie po Warszawie największe polskie miasto na świecie. Mieszka tu dwa miliony naszych rodaków. Na Jackowie wszystko jest swojskie: i towary w sklepach, i pijacy śpiący na ulicy.

Przygnębiona rozmową pojechałam dalej, na stację benzynową na rogu ulicy Belmont. Tu Polacy i Latynosi, którzy dopiero przyjechali albo wciąż mają nadzieję jakoś sobie poradzić, czekają każdego ranka na oferty pracy. To tak zwany targ niewolników. Z auta przyglądałam się mężczyznom, stojącym w małych grupach lub pojedynczo. Niektórzy ściskali w dłoniach reklamówki. Wszyscy milczeli, czekając w napięciu. Nagle podjechała furgonetka. Wskoczył facet w koszuli i krzyknął po polsku, że szuka murarzy. Mężczyźni zaczęli się tłoczyć, ale tylko trzech szczęściarzy odjechało. Reszta zawiedziona wróciła na swoje miejsca. Latynosi półgłosem coś komentowali, może zazdrościli Polakom?

Wyjechałam w końcu z „Polaczkowa” (tak z pogardą mówią ci, którym się udało dorobić i przeprowadzić do lepszych dzielnic), by odszukać „66”. Jechałam powoli w coraz większym korku. Przyglądałam się kierowcom, klnącym na dziury w jezdniach i na remonty utrudniające im życie. Czy to specyfika każdej metropolii, czy fakt, że dużo tu krewkich Latynosów i Polaków rywalizujących z nimi o wszystko? Tuż przede mną zażywna ciemnowłosa kobieta krzyczała coś po hiszpańsku, wychylając się przez okno swojego auta. Wygrażała pięścią jakiemuś postawnemu blondynowi. Co chwilę słychać było trąbienie, bo ktoś się wpychał, a inny nie chciał przepuścić. Chyba tylko ja, w poszukiwaniu swojej Drogi, nie spieszyłam się i nie denerwowałam.

Za centrum Wietrznego Miasta Droga 66 wskoczyła na Ogden Avenue, szeroką biznesową ulicę, przy której usadowiło się mnóstwo magazynów i warsztatów. Potem „66” skręciła ostro na południe, by połączyć się z autostradą numer 55. Ta na kilkadziesiąt kilometrów narzuciła mi znacznie szybsze tempo jazdy, kazała się skupić na prowadzeniu samochodu i zerwała czar swobodnie przelatujących myśli.

Gdy tylko znów zobaczyłam znak „66”, natychmiast skorzystałam z okazji. Droga biegła tu razem z biznesową szosą 53, przebijając się przez niekończące się dalekie przedmieścia Chicago.

Jadąc wolno, co chwila zatrzymując się na światłach, widziałam jakieś hangary, fabryczki, dużo pralni samoobsługowych, małych sklepów. Migwały mi szyldy kolejnych firm ubezpieczeniowych. Wielkie place wypełnione używanymi autami na sprzedaż sąsiadowały ze stacjami benzynowymi, a obok nich kusiły fast foody wszystkich sieci, jeden za drugim. Gdzieś widać było stare szyldy warsztatów, pamiętające pewnie początki Drogi, w których niejeden kierowca naprawiał auto. Teraz sznury samochodów jechały niespiesznie w obie strony. Po dwóch godzinach nieustannego przyspieszania i hamowania wreszcie zrozumiałam, czemu nikt lub prawie nikt nie wyjeżdża z Chicago oryginalną „66”. Większość turystów, zwłaszcza tych zagranicznych, z ograniczonym czasem podróży, wybiera autostradę, aby omijając rozległe przedmieścia Chicago, zaoszczędzić czas, paliwo i nerwy.

Gdy wreszcie opuściłam te uprzemysłowione i hałaśliwe tereny, odetchnęłam z ulgą. Przede mną były ścieżki, których jeszcze nie znałam.

szlakiem Lincolna

Pierwszym obowiązkowym przystankiem na Drodze 66 po wyjeździe z Chicago jest Joliet, miasteczko stalowych mostów zwodzonych. Często zaglądał tu najstłynniejszy amerykański gangster włoskiego pochodzenia, Al Capone, który w latach dwudziestych XX wieku zajmował się przemytem alkoholu. Przyjeżdżał do swojego ulubionego Rialto Square Theatre. Niegdyś teatr ten uznawano za jeden z dziesięciu najpiękniejszych na świecie. Chciałam w Joliet zobaczyć też więzienie. Gdy powstało ono w połowie XIX wieku, było największe w Stanach Zjednoczonych, a dzięki filmowi *Blues Brothers* z 1980 roku zyskało międzynarodową sławę. Odkąd od 2002 roku już nie przebywają tu skazańcy, regularnymi gośćmi są filmowcy.

Przed bramą kłębił się tłumek turystów, którzy wylegli z wielkiego autokaru zaparkowanego opodal. Szorty, adidas i czapeczki z daszkiem wydawały się obowiązkowym strojem wszystkich członków tej wycieczki, jak się okazało - z Anglii. Przewodnik, na oko trzydziestoletni, opalony, dziarski facet wciąż zerkał na zegarek. Wytłumaczył mi, że w ciągu ośmiu dni przemierzą całą trasę z Chicago do Los Angeles. W programie nie było przystanku w Joliet, ale turyści go sterroryzowali. Anglicy okazali się bowiem fanami *Blues Brothers* i domagali się grupowego zdjęcia w miejscu, w którym stał John Belushi, noszący w filmie przydomek „Joliet Jake Blues”. Nieliczne w tej wycieczce panie, popiskując z radości, przypominały sobie sceny z serialu *Skazany na śmierć*, także kręconego tutaj. Najstarszy w grupie mężczyzna próbował nucić piosenkę Boba Dylana *Percy's Song* - utwór o facecie odsiadującym dziewięćdziesięciodziewięćletni wyrok w więzieniu w Joliet.

Zostawiłam rozradowanych Anglików oraz ich zrozpaczonego przewodnika i wjechałam Drogą 66 między pola kukurydzy.

Niecierpliwie wypatrywałam tego, co miało się pojawić. Kolejne miasteczka witały mnie elewatorami zbożowymi, potem stacjami benzynowymi i warsztatami samochodowymi, sklepikami, kafejkami i kościołami. W małych motelach i tawernach z mrocznymi wnętrzami i starymi stołami bilardowymi wejście obcej osoby (czyli moje) nie wywoływało żadnych reakcji u ludzi siedzących w środku. Miejscowi okrzykami radości i głośnymi pozdrowieniami witali natomiast wchodzących sąsiadów. I rozpoczynali rozmowy, nie o polityce, pogodzie i sporcie, ale o cenach zboża i świń.

Zaskoczyło mnie, że nawet w malutkich miejscowościach działają punkty informacji turystycznej, ulokowane najczęściej w starych, nieczynnych już stacjach benzynowych. Wiele z takich stacji zostało odrestaurowanych, tak jak ta w Dwight i kolejna, w Odell - maleńka, wyglądająca jak zabaweczka, stacja Standard Oil Corporation. Biały budynek i czerwone dystrybutory paliwa widać z daleka w tym „nieвелиkim miasteczku z wielkim sercem, gdzie każdy jest kimś” - jak głosił napis, który mogłam odczytać, składając słowa z kolejno mijanych tablic, rozstawionych przy szosie.

W Odell, podobnie jak w innych miejscowościach, podróżnych witały wolontariuszki - kobiety w wieku emerytalnym. Z radością udzielały wszelkich informacji o dostępnych usługach, chętnie wspominały dzieciństwo i opowiadały o Drodze, która otworzyła przed nimi świat. Mnie ciekawiło, dlaczego tak tu siedzą całymi dniami i czekają na turystów, zamiast niańczyć wnuki, gotować obiady, piec ciasta albo oglądać telewizję. Ich odpowiedzi były zgodne: dzięki tej pracy czują się potrzebne i dbają o siebie. Mają cel w życiu, a obowiązki i aktywność umysłowa pomagają im zwalczać choroby oraz złe nastroje. No i spotkanie nowych ludzi, rozmowy z nimi i dzielenie się wiedzą czy wspomnieniami są najlepszą rozrywką.



Maleńka stacja benzynowa Standard Oil w Odell z 1932 roku dziś służy jako sklepik i punkt informacji turystycznej. Stacja figuruje w narodowym rejestrze miejsc historycznych.

Jedna z takich energicznych staruszek, siwowłosa, ubrana w dżinsy i sportową koszulkę osiemdziesięciolatka wyjaśniła mi, że muszą tu dyżurować osoby pamiętające lata świetności Drogi 66, bo przecież młodzież nie ma tej wiedzy, nie ma wspomnień. Nie mogłam się z nią nie zgodzić, więc zadowolona z mojego potakiwania opowiedziała mi, dlaczego w wielu miasteczkach Droga 66 zamiast przecinać je na wprost, wiedzie zygzakami, a niekiedy ma kilka rozgałęzień. Otóż pod wpływem lokalnych nacisków władze godziły się przesunąć bieg głównej

szosy na sąsiednią uliczkę, dzięki czemu umiejscowione tam przedsiębiorstwa też miały szanse zarobić.

Po kilku minutach rozmowy kobieta powiedziała: „Kochanieńka, mów mi Betty”, i zapytała mnie, czy wiem, kto to był Paul Bunyan. Nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła, że to legendarny drwal, olbrzym. Był silny, szybki, pomysłowy i utalentowany. Potrafił rozwiązać każdy problem. Opowieści o nim krążyły po Ameryce w XIX wieku. By słać jego moc i dobre serce, Amerykanie zaczęli w XX wieku stawiać mu pomniki. Wielkie postaci Bunyana z nieodłączną siekierą ozdobiły całe Stany Zjednoczone, ale pojawiały się zwłaszcza tam, gdzie wycinano lasy.



Kiczowate gigantyczne posągi, wzorowane na legendarnym drwalu Paulu Bunyanie były i są atrakcją turystyczną. Ten ogromny przystojniak w miejscowości Atlanta w stanie Illinois powinien w rękę trzymać siekierę.

Betty trochę zachrypniętym głosem („Za dużo gadam, lekarz mnie ostrzegwał, żeby nie zdarła gardła”) mówiła, że dobrze pamięta, jak w latach sześćdziesiątych XX wieku, Bunyan pojawił się w miejscowości Cicero, tu w Illinois, tylko że zamiast siekiery trzymał w dłoni wielkiego hot doga. Niedługo już każde miasteczko chciało mieć taką ozdobę, bo trudno to nazwać pomnikiem. Figury produkował jakiś zmyślny przedsiębiorca z Kalifornii. Służyły do reklamowania biznesów, przy których stały. Dziś traktuje się je jak zabytki, dzieła sztuki lub lokalne ciekawostki. Widziałam takiego faceta czterometrowej wysokości w Wilmington. Był w kasku astronauty, trzymał w dłoniach raketę i reklamował restaurację o nazwie Launching Pad - „Pas Startowy”. „Więc, kochanieńka, miej oczy szeroko otwarte jeszcze w Atlancie i w Springfield, tam są kolejne bunyany” - powiedziała Betty. Na pożegnanie uściskała mnie serdecznie, traktując jak przyjaciółkę, i widziałam, że najchętniej ruszyłaby w drogę razem ze mną.

Do Pontiac - miasteczka nazwanego na cześć wodza Indian z plemienia Ottawa, prekursora ruchu zjednoczenia Indian przeciw białym najeźdźcom - wjechałam wcześniej rano. Ale muzeum Drogi 66, mieszczące się w wielkim gmachu, w samym centrum, było już otwarte. Krzątał się po nim Dick Jones, jego kierownik. Wyjaśnił mi, że kolekcja muzealna składa się z podarowanych przez lokalnych mieszkańców suwenirów, zdjęć, listów, pamiątek, przedmiotów codziennego użytku, które umieszczono w regałach i gablotach podpisanych nazwiskami dawnych właścicieli. „Kryje się w nich kopalnia wiedzy o ludziach, którzy budowali Drogę 66, pracowali na niej i z niej na co dzień korzystali” - zauważył Dick, szczupły emeryt w bejsbolówce na głowie, i z dumą pokazał mi „swoją” gablotę, a w niej - zdjęcie dziadka w starym fordzie.

Swoją gablotę w muzeum ma też Lorie Fairfield, szefowa działającego po sąsiedzku jednoosobowego biura promującego miasto i jego odnowione zabytki. Energiczna trzydziestoparolatka powiedziała mi, że podobnie jak prawie wszyscy jej rówieśnicy wyjechała z Pontiac natychmiast po ukończeniu liceum. Od dzieciństwa powtarzała rodzicom, że nie zostanie w tej dziurze za żadne skarby świata. A potem? Skończyła studia w Chicago, wyszła za męża, urodziła dwie córki i... wróciła. Mówiąc to, uśmiechała się do mnie i potrząsała krótko obciętymi, rudymi włosami. Mąż dojeżdża do pracy w Chicago codziennie ponad sto siedemdziesiąt kilometrów w jedną stronę. Pytanie, dlaczego zdecydowała się na powrót, skwitowała stwierdzeniem: „Nie ja jedna, więcej nas wróciło. Tu jest po prostu inne życie. Idź, sama zobacz”.

I zobaczyłam ciche miasteczko, w którym wszyscy się znają i pozdrawiają z daleka. Atmosfera zupełnie inna niż w Chicago. Na wypieszczonych budynkach z czerwonej cegły powiewały amerykańskie flagi, schludne skwery zapraszały do spaceru. Pod ratuszem trafiłam na pomnik Abrahama Lincolna: szesnasty amerykański prezydent opiera się łokciami o drewniany wiejski płotek. Płaszcz trzyma niedbale przerzucony na przedramieniu, a kapelusz zaczepił obok na kołku.

- Ciekawe, czy właśnie tak wyglądał, gdy pracował na tych terenach jako początkujący prawnik - usłyszałam z boku. Przy mnie stało kilku chłopców, może dwunastoletnich, do których po chwili podeszła reszta grupy. To szkolna wycieczka z małego miasta w zachodniej części Illinois, szukająca w całym stanie śladów Lincolna.

Jeden z chłopaków, szczupły, w okularach, powiedział, że tu wcale nie widać, że Lincoln był taki wysoki. A przecież to najwyższy prezydent w historii Ameryki. Mierzył sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry. Jerzy Waszyngton miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów, podobnie jak Barack Obama. Towarzysząca im nauczycielka, zadowolona, że zapamiętali coś z lekcji, zadała podchwytliwe pytanie o podobizny prezydentów na banknotach i monetach. Okularnik westchnął z wyższością i powiedział, że każde dziecko to wie. Podobizny najwspanialszych prezydentów zdobią najczęściej używane banknoty i monety: Lincoln widnieje na pięciodolarówce i jednocentówce, a Waszyngton - na banknocie dolarowym i monecie dwudziestopięciocentowej.



Abraham Lincoln, szesnasty prezydent USA, powszechnie uznawany jest za jednego z największych bohaterów narodowych i symbol demokratycznych tradycji amerykańskich. W stanie Illinois, jako dwudziestokilkulatek, zdobywał doświadczenie adwokackie w małych miasteczkach, takich jak Pontiac. Jest tu wielbiony za skromność, uczciwość i poczucie humoru.

Gdy padło pytanie o to, dlaczego o Lincolnie mówi się „Uczciwy Abe”, młodzieńcy, trochę się przekrzykując, odpowiedzieli, że zyskał ten przydomek w czasach, gdy pracował w sklepie. Kiedy zdarzyło się, że źle wydał resztę, biegł przez całe miasteczko, aby oddać pieniądze. Innym razem przez pomyłkę nie doważył towaru, więc zaniósł dodatkową paczkę klientowi. Potem, już jako adwokat, zasłynął z tego, że od biednych nie brał opłat. Kłócących się ludzi namawiał do zawierania ugody, zamiast prowadzenia sporów przed sądem, mimo że tracił przez to honorarium.

Nauczycielka czasem korygowała te wypowiedzi, ale puchła z dumy, że może się popisać przed dziennikarką z Europy uczniami tak dobrze przygotowanymi do wycieczki.

Ruszyłam dalej na południowy zachód. W maleńkim McLean zatrzymałam się na Dixie Truckers Stop. Ten pierwszy w Stanach Zjednoczonych przystanek dla ciężarówek ulokowany na

„66” widać też z autostrady dzięki ogromnemu logo umieszczonemu na wysokim słupie. Parking, restauracja, prysznice dla kierowców i świetlica, gdzie mogą odpocząć, nie zrobiły na mnie oszałamiającego wrażenia, ale miałam w pamięci fakt, że gdy wytyczano Drogę 66, nie istniały żadne parkingi, motele ani restauracje. Przystanek w McLean znacznie ułatwił życie trakerom. Jeden z kierowców - masywny, wytatuowany twardziel - powiedział mi, że zmieniają się tu właściciele, ale nazwa i tradycja pozostają. A najważniejsze, że porcje są wciąż takie, jak były. Wskazał ręką na swoją tacę, która ugięła się pod ciężarem wielkiego półmiska z mięsiwem.

Kierowca mówił, że jeszcze dwadzieścia lat temu świetnym kulinarnym przystankiem była knajpka Pig Hip w Broadwell, kilkadziesiąt kilometrów dalej na południe.

- O kanapkach z wieprzowiną i sosem, którego receptury Ernie nigdy nie zdradził, krążyły wśród kierowców legendy - powiedział. Restauracji już nie ma, ale Ernie Edwards, jej właściciel, pracujący na swoją reputację od 1937 roku, wciąż tam jest.

Zaciekawiona pojechałam do Pig Hip. Po knajpie została tylko drewniana reklama stojąca na „66” i skrzynka pocztowa w kształcie prosiaka. Ernie - potężny, postawny starszy mężczyzna, który miał kłopoty z chodzeniem - siedząc w pokoju zawałonym papierami, książkami i pamiętkami, chętnie snuł wspomnienia. Przeżył dwie żony. Trzecia, prawie o połowę młodsza od niego, właśnie weszła do pokoju z kubkiem kawy dla mnie, a Ernie mówił, że żadne z dziesięciorga dzieci nie chciało przejąć po nim biznesu, dlatego latami ciągnął go sam. W 1991 roku nie miał już siły stać przy garach, więc przekształcił restaurację w muzeum. Turyści przyjeżdżali tłumnie słuchać jego opowieści, oglądać wyposażenie kuchni pamiętające czasy przedwojenne i kupować książki z jego przepisami. Niestety, w 2007 roku, tuż przed dziewięćdziesiątymi urodzinami Erniego, budynek spalił się doszczętnie, a wraz z nim spłonęły wszystkie eksponaty. Na szczęście dom sąsiadujący z restauracją ocalał. Ernie nigdy się nie poddawał, więc i teraz z werwą nasunął na czoło wielką czapę kucharską, by stanąć do zdjęcia na tle dyplomów oraz listów gratulacyjnych.

Przy wjeździe do leżącego tuż obok Lincoln wielka tablica dumnie informowała przybyszów, że jest to jedyne miasteczko, które swą nazwę otrzymało, zanim Abraham Lincoln stał się sławny, zanim został prezydentem (dziś miejscowości o nazwie Lincoln są w każdym stanie). Gdy w podziękowaniu za jego pracę przy wytyczaniu działek mieszkańcy nowo tworzącego się miasteczka zapragnęli nazwać je jego nazwiskiem, Abraham powiedział: „Nie znam niczego o nazwie Lincoln, co znaczyłoby coś wartościowego”. Zgodził się jednak uczynić

swego nazwiska i „ochrzcił” miejscowość kroplami soku z dojrzałego arbuza. Niektóre źródła podają, że podczas ceremonii ugryzł kawałek owocu i wypluwając pestki pod nogi władarzy miasta, wygłosił formułkę nadającą imię miastu.

Tę doniosłą chwilę upamiętnia pomnik arbuza, a dokładnie mówiąc - ćwiartki tego owocu, naturalnej wielkości. Władze miasta podobno od kilku lat dyskutują o postawieniu „prawdziwego” pomnika - kilkumetrowej postaci Lincolna, ale arbuza jest na tyle oryginalny, że przyjeżdżają tu wycieczki szkolne, nawet z daleka. A stąd pędzą do miejsc, które odegrały w amerykańskiej historii dużo większą rolę.

Ja pomknęłam do Springfield - stolicy stanu Illinois. To niespełna studwudziestotysięczne miasto szczyci się tym, że Lincoln pracował tu i mieszkał w latach 1837-1861, czyli do czasu, gdy wyjechał do Waszyngtonu, by objąć prezydenturę. Całe Springfield wydało mi się owładnięte „lincolnomanią”. Można tu wstąpić do biura, w którym Lincoln praktykował jako adwokat, odwiedzić stację kolejową, z której wyruszył do Waszyngtonu, zobaczyć ławkę w kościele prezbiteriańskim, na której zawsze siadał, a nawet przyjrzeć się wypisowi z rachunku bankowego. Grób Lincolna, wielka budowla ozdobiona postaciami walczących żołnierzy, stanowi cel pielgrzymek. Prezydencka biblioteka i muzeum też są zawsze zatłoczone. A dom, w którym mieszkał od 1844 roku do wyboru na prezydenta (1861 rok), uznaje się za najważniejszy zabytek miasta.

W poszukiwaniu domu Lincolna, niedaleko od Drogi 66, która jest jednocześnie „Szosą Abrahama Lincolna”, znalazłam szeroką ulicę, piękną aleję wysadzaną szpalerem drzew, z dużymi drewnianymi domami. Nie jeżdżą po niej żadne samochody, tylko co kilkadziesiąt metrów stoją stare powozy. Tu czas zatrzymał się w XIX wieku. Dom Lincolna okazał się piętrowym, drewnianym budynkiem z zielonymi okiennicami.

- Lincoln pochodził z bardzo biednej rodziny i nigdy nie zdobył bogactwa. Niektórzy z jemu współczesnych mówili wręcz, że był żenująco ubogi. Ten dom to pierwszy i jedyny, jakiego się dorobił - zagaił do mnie tuż przed drzwiami młody, może dwudziestoletni chłopak. Niewysoki, krępy, na czoło spadała mu grzywka ciemnych włosów. Do koszulki miał przypięty znaczek „Wolontariusz”. Tom, bo tak miał na imię, powiedział mi, że pasjonuje go historia i uwielbia się jej uczyć. Przychodzi mu to zresztą z łatwością, ponieważ człowiek, którego podziwia, ciągle się do niej odwołuje. Idolem Toma jest Barack Obama. A ponieważ On (w głosie Toma czuć było ogromny szacunek, gdy mówił o prezydencie) przyjechał do Springfield,

aby ogłosić swoją kandydaturę w walce o fotel prezydencki, a potem także tu oznajmił, że wiceprezydentem będzie Joe Biden, więc i Tom poczuł, że musi na własne oczy przekonać się, co takiego magicznego jest w Springfield. Porzucił zatem rodzinne miasteczko w Indianie, przeniósł się do Springfield i zaczął dorabiać wieczorami jako kelner, a w dzień opowiadać turystom o Lincolnie. Dzięki statusowi wolontariusza może chłonąć na co dzień atmosferę domu prezydenta. W końcu doszedł do wniosku, że magiczny w Springfield jest duch demokracji.

- Wiem, że to brzmi patetycznie - stwierdził Tom - ale naprawdę tak jest. Chłopak tłumaczył mi, że przecież dlatego Obama wybrał Springfield. Czyż może być bardziej symboliczne miejsce dla czarnoskórego kandydata na prezydenta niż miasto, w którym mieszkał mistrz retoryki wzywający do pojednania narodu? Tom odnosił się do słów: „Dom wewnątrznie skłócony się nie ostoi”¹, które Lincoln wypowiedział podczas debaty z demokratą Stephenem Douglasem w ramach walki o fotel senatora w 1858 roku. Co prawda Lincoln nie wygrał tego starcia, ale o debacie było tak głośno, że dwa lata później został kandydatem republikanów w wyborach prezydenckich. W walce o najwyższy urząd zwyciężył, jednak Południe nie chciało uznać go za głowę państwa (bo głosowały na niego głównie północne stany, w dodatku dążył do zniesienia niewolnictwa), więc doszło do secesji i krwawej wojny domowej między konfederatami z rolniczego Południa a unionistami z uprzemysłowionej Północy.

Tom przejęty swoim wykładem prawie wykrzyczał, że Lincoln w trakcie wojny secesyjnej zniósł niewolnictwo, więc on się wcale nie dziwi, że Obama nawet przysięgę prezydencką składał na tę samą Biblię, której użył Lincoln, gdy obejmował urząd, a która jest przechowywana jak relikwia w Bibliotece Kongresu.

Chodziliśmy z pokoju do pokoju, oglądając meble, przedmioty codziennego użytku, zdjęcia i dokumenty, a Tom opowiadał, że po śmierci Lincolna w 1865 roku (został postrzelony przez fanatycznego zwolennika Południa, sześć dni po kapitulacji konfederatów, gdy właśnie rozpoczął drugą kadencję na stanowisku prezydenta) do tego domu zaczęli zjeżdżać ludzie, by oddać mu hołd. Tłumy na ulicy modliły się, płakały. Budynek przesztalcił się w prawdziwą świątynię. W końcu Lincoln był bohaterem Ameryki i stał się symbolem demokracji.

- A poza wszystkim to był równy gość - przekonywał mnie Tom. Podobno Lincoln miał niezwykle poczucie humoru. Gdy kiedyś w Springfield został wyzwany na pojedynek przez

¹ Mt, 12,25. Cyt. za Biblią Tysiąclecia.

przeciwnika politycznego urażonego jego satyrycznymi tekstami, wybierając broń, zaproponował krowie placki.

cozy dog

Lincoln jako człowiek z poczuciem humoru na pewno doceniłby wynalazek Eda Waldmire'a juniora, który zapisał się w annałach historii amerykańskiej kuchni jako ojciec potrawy *cozy dog*. Pod tą tajemniczą nazwą kryje się parówka otoczona ciastem z mąki kukurydzianej, usmażona na głębokim tłuszczu, czyli hot dog w zupełnie innym stylu. Ed serwował swe „przytulne psy” od 1846 roku w knajpce, która, w zgodnej opinii wszystkich nagabywanych przez mnie ludzi, stała się znakiem firmowym Drogi 66 w Springfield i miejscem kultowym.

Niewysoki budynek z małym parkingiem zobaczyłam z daleka dzięki wielkiemu neonowi z napisem: „Cozy Drive In”, ozdobionym parą przytulających się do siebie uśmiechniętych parówek. W zadziwiająco przestronnym wnętrzu zajętych było kilka stolików. Dał się słyszeć tylko szum wentylatorów. Za ladą oddzielającą salę od kuchni krzątały się dwie kobiety. Z boku, przy przejściu na zaplecze wisiały stare drewniane i metalowe „trzymaکی”, których Ed używał do smażenia kilku parówek naraz. Na ścianach wisiały plakaty reklamujące danie firmowe, zdjęcia oraz wycinki z prasy. Z nich dowiedziałam się, że dziennik „USA Today” umieścił *cozy dog* na liście pięćdziesięciu najwspanialszych dań Ameryki.



Cozy Drive In w Springfield to kultowa knajpka na Drodze 66, gdzie serwowane są „przytulne psy” - parówki w cieście kukurydzianym. Potrawę wymyślił Ed Waldmire, znak graficzny zaprojektował jego syn - Bob Waldmire - ostatni hippis Drogi 66.

Napis: „Tu złóż zamówienie” pokierował mnie we właściwe miejsce - na spotkanie z Sue, obecną właścicielką tego lokalu. Zamówiłam specjał szefa kuchni z domowymi frytkami i zaczęłam ją wypytywać. Knajpka od zawsze była samoobsługowa. Od czasów jej założenia zmieniła się jedynie cena dania firmowego. W latach czterdziestych XX wieku *cozy dog*

kosztował piętnaście centów, teraz trzeba zapłacić dolara i osiemdziesiąt pięć centów. Ale ludzie i tak tłumnie tu przychodzą. Przez lata przyciągał ich sam Ed, który nie tylko uwielbiał gotować i majsterkować, lecz także był zaangażowany w ruch na rzecz pokoju (działał w organizacji Federaliści Zjednoczonego Świata). Poza tym ciekawie opowiadał niestworzone historie. W ramach hobby prowadził farmę i inwestował na giełdzie, a swoim synom zawsze powtarzał: „Nie kupuj, jeśli nie masz czym zapłacić”.

Patrzyłam na zdjęcie brodatego mężczyzny w kombinezonie roboczym pracującego nad nowym wynalazkiem i wyobrażałam sobie, jak wydawał polecenia synom. Miał ich pięciu. Wszyscy pomagali w restauracji już jako małe dzieciaki. Każdy przechodził tę samą drogę: od łapania much (zarabiali jednego centa za każdego złapanego owada), przez wycieranie stolików (dwa centy za posprzątnany stół), po szykowanie bułek do hamburgerów i wreszcie ich smażenie. Zaszczyt przygotowania dania firmowego, czyli *cozy dog*, przysługiwał tylko najbardziej doświadczonym i najstarszym pracownikom. Ed przekazał swoją sekretną recepturę na ciasto czyniące parówkę wyjątkową najstarszemu synowi, Edowi trzeciemu, który wraz z żoną Sue przejął knajpkę. Po ich rozwodzie interes zaczęła prowadzić sama Sue z synami.

Najstarszy z jej chłopaków jeszcze nie skończył trzydziestki. Na imię ma Josh. Sue obiecała, że zaraz do mnie podejdzie, tylko upora się ze zmywaniem naczyń. I rzeczywiście po chwili z zaplecza wyszedł szczupły blondyn. Na moje pytanie, czemu siedzi na zmywaku w takiej dziurze, zamiast robić karierę w Nowym Jorku, roześmiał się niespieszony. Wyjaśnił, że pracował razem z rodzicami w knajpce do osiemnastego roku życia, a potem wyjechał z miasta i próbował różnych zajęć. Jednak w końcu zdecydował, że właśnie tu jest jego miejsce.

- Rozpostarłem skrzydła, polatałem po świecie, zobaczyłem, jak wygląda, i uznałem, że nie ma jak w domu. Rodzinny biznes to podstawa. Któregoś dnia to wszystko będzie moje, mam nadzieję - powiedział.

Pokazywał mi plakaty i mapy Drogi 66, jakie stworzył jego wuj - Bob - żyjąca legenda tego miejsca². Bob jako nastolatek, ponad pięćdziesiąt lat temu, zaprojektował kartę dań dla ojca. Potem wyrósł na niezwykłego artystę. Przez lata jeździł po „66”, był hippisem, mieszkał w swoim samochodzie. Czasem przyjeżdżał do rodzinnego Springfield, wtedy Josh miał okazję zadać mu wszystkie nurtujące go pytania na temat Drogi. Któregoś dnia i Josh tak jak Bob

² Więcej o Bobie Waldmirze w rozdziale Kalifornia, ostatni prawdziwy hippis.

wyruszy w trasę. Ale na razie musi ciężko pracować, żeby mama poważnie traktowała go jako kandydata do przejęcia restauracji.

Kult Drogi 66 przechodzi z pokolenia na pokolenie. Tak jest również w rodzinie Billa She'a, do której należą stacja benzynowa i warsztat samochodowy - jedna z wizytówek Springfield. Miejsce, będące rajem dla miłośników motoryzacji i fanów Drogi, leży nieco z dala od centrum, gdzie domy i nieliczne sklepiki są porozrzucane trochę bez ładu i składu.

Pod gmachem warsztatu przywitał mnie Bill, syn właściciela, wsparty o jeden z wielu zgromadzonych tu starych dystrybutorów paliwa. Takiej kolekcji nie widziałam już nigdy potem - swoją reprezentację miała tu każda firma i marka. Bill, dumny z wrażenia, jakie zrobił na mnie zbiór, pokazywał mi stare samochody, przyczepy i urządzenia, opowiadając o klanie She'a. Jest ich czterech i wszyscy mają na imię Bill. Gdy ojciec skończył osiemdziesiąt lat, postanowił, że musi trochę zwolnić i będzie pracował na pół etatu. Od tamtego czasu upłynęło już kilka lat, a on swoją ukochaną stację nadal odwiedza codziennie. Nie może bez niej żyć, tak jak bez starej szosy, którą pamięta z czasów, kiedy była jeszcze brukowana. Syn pracował jako kierowca buldożerów i wielkich dźwigów, a od momentu, gdy przeszedł na emeryturę, spędza na stacji każdą wolną chwilę. Wnuk jest policjantem i przychodzi tu tylko w weekendy, bardzo często ze swoim synem, czyli prawnukiem seniora klanu.



Bill She'a i jego syn Bill zamienili stację benzynową i warsztat samochodowy w muzeum. Takiej kolekcji dystrybutorów paliwa nie ma nigdzie indziej. Tradycję rodzinną w Springfield podtrzymuje już kolejne pokolenie - wnuk Billa, także Bill.

Weszliśmy do wnętrza warsztatu, gdzie czekał na nas Bill, sędziwa głowa rodziny. Już z drugiego końca pomieszczenia wołał do mnie słowa powitania. Okulary na nosie, czapka z daszkiem na głowie, flanelowa koszula, na nią założony kombinezon roboczy. Z poważną, skupioną twarzą krzątał się po warsztacie, wyszukując kolejne rzeczy, które chciał mi pokazać.

Przy okazji wręczał mi prezenty: samochodową naklejkę z napisem: „Springfield”, znaczek i plakietkę z symbolem „66”.

- Ta Droga jest częścią nas, a my jesteśmy jej częścią - powiedział najstarszy Bill. Tak jakby ten kawałek asfaltu był uczłowieczony. Wyjaśnił mi, że szosa pozwoliła mu żyć, założyć rodzinę, prowadzić biznes. To nią przyjeżdżali klienci. Tankowali benzynę, zmieniali opony, prosili o naprawienie auta i przywozili wieści z wielkiego świata. Dlatego, gdy autostrada zabrała wszystkie samochody z Drogi, Bill czuł się zobowiązany spłacić swój dług, dbać o jej dobre imię i wspominać ją. Gdy w 1995 roku uznał, że już nikt nie przyjedzie do niego po benzynę, przekształcił stację w muzeum.

Syn dodał, że dzięki uporczywemu tkwieniu w tym miejscu ojciec sprawił, że Droga nie umarła i że przetrwała najtrudniejsze czasy. Dlatego jest nazywany „Ojcem Drogi-Matki w Springfield”.

Ciężko było mi przeciskać się między rupieciami, które po sufit wypełniały warsztat. Wszędzie leżały lub wisały znaki drogowe, tablice rejestracyjne, akcesoria samochodowe oraz narzędzia do ich naprawy. Bill She’a, dumny ze swego irlandzkiego pochodzenia (zielone koniczynki naklejone na każdej szybie i ścianie), gromadził też wszelakie obiekty z lat pięćdziesiątych: kaski motocyklowe, telefony, radia, pisma, itd. Wszystko, co przypomina wspaniałe, jak mówił, lata powojenne.

Amerykanie przyjeżdżają tu, aby wspominać swoją młodość lub by pokazać historyczne miejsca dzieciom. Natomiast cudzoziemcy docierają tu, by poznać kawałek autentycznej Ameryki. Bill senior pokazał mi księgę pamiątkową z wpisami ludzi z sześćdziesięciu siedmiu różnych krajów, a syn opowiedział o włoskich nowożeńcach, którzy spędzając podróż poślubną w Stanach, dotarli i tu. Zachwyceni oglądali rupiecie i z zainteresowaniem słuchali opowieści ojca, choć po angielsku rozumieli bardzo niewiele. Gdy rozmowa zesłała na samochody, wspomnieli, że do ślubu we Włoszech jechali mustangiem. Bill syn ma aż trzy mustangi, więc chcieli je koniecznie zobaczyć. Zabrał ich jednym z nich na Drogę 66. Było to dla nich tak niezapomniane przeżycie, że po wyjeździe ze Springfield, z drogi do Kalifornii przysłali mu aż trzy listy z podziękowaniami.

- Jedni się tu żenią, inni chcą zostać tu pochowani - skwitował Bill senior. I choć nie dodał nic więcej, to jestem pewna, że właśnie on chciałby spocząć przy swojej ukochanej Drodze.

kraj ważniejszy niż życie

Springfield zapamiętam na zawsze z jeszcze jednego powodu - tam spotkałam kobietę, dla której nie ma rzeczy niemożliwych i która traktuje wszystko, co jej się przydarzyło, jak coś najzwyklejszego na świecie - major Tammy Duckworth.

Przywitała mnie radośnie u siebie w biurze. Czterdziestoletnia, skośnooka, niewysoka kobieta, z gładko zaczesanymi czarnymi włosami podjechała do mnie na wózku inwalidzkim i wyciągając w moim kierunku protezę nogi w barwach moro, spytała: „Czy nie jest fajna?”. Specjalnie taką zamówiła do pracy. Na stopie protezy - sportowy, letni but w kolorze różowym. Tammy była ubrana w elegancką szarą marynarkę ze spódnicą do kolan. Śmiała się, mówiąc, że złożyła też zamówienie na protezy „wieczorowe”, które pozwolą jej poruszać się w butach na pięciocentymetrowych obcasach. Bo Tammy zawsze była bardzo kobieca. Uwielbiała ładne ciuszki, różowy kolor i wysokie obcasy. Ale kochała też wielkie żelazne maszyny - helikoptery Black Hawk.



Major Ladda Tammy Duckworth dla wielkich helikopterów Black Hawk rzuciła karierę naukową. Ciężko za to zapłaciła. Brak nóg nie przeszkadza jej jednak w aktywności. Teraz wzywa kobiety do brania spraw w swoje ręce: „Jeśli się na coś nie zgadzasz, to masz prawo protestować, masz prawo chcieć zmiany. Nie czekaj, aż ktoś za ciebie zdecyduje. Weź udział w wyborach, głosuj!”.

Jadąc na spotkanie z Tammy, widziałam zaczepione na latarniach ogromne plakaty: „Witajcie w domu”. Wszędzie wisiały też amerykańskie flagi. Tak lokalna społeczność cieszyła się z powrotu żołnierzy z Iraku. A ilu nie wróciło? Tammy miała szczęście. Wróciła żywa, choć bez obydwu nóg i z niedowładem ręki.

- Strasznie jest nie mieć nóg, ale jest aż pięć tysięcy rodzin, których dzieci nie wróciły z wojen w Iraku i Afganistanie. Gdyby matki i ojcowie mieli wybór, czy ich dziecko ma być martwe ze wszystkimi kończynami, czy wrócić do domu bez nóg, to jak sądzisz, co by wybrali? - zadała mi pytanie i wcale nie czekała na moją reakcję. Opowiedziała mi za to swoją historię.

Irak. 12 listopada 2004 roku. Popołudnie, piękny dzień. Black Hawk UH-60 z kapitan Tammy Duckworth leciał z prędkością ponad stu trzydziestu mil (dwustu kilometrów) na godzinę. W helikopterze byli jeszcze pilot Dan Milberg, sierżant Chris Fierce i artylerzysta Kurt Hanneman, z gotowym do strzału karabinem M-4, bo wszędzie czaili się iraccy powstańcy. Wracali do bazy po krótkim przystanku w bezpiecznej zielonej strefie w Bagdadzie. A tuż za nimi leciał drugi helikopter.

Byli nad koronami drzew. Tammy widziała błyski słońca na szybie, czuła smak mlecznego koktajlu wypitego na postoju i wciąż pamiętała zapach chińskiego dania, które zjadła wcześniej w kantine. Wszystko wydawało jej się takie proste, cieszyła się z ozdób choinkowych kupionych w Bagdadzie i z małych amerykańskich flag, które chciała zabrać do domu.

Nagle seria pocisków przeszła blachę śmigłowca. Sekundę potem wybuchł granat. Tammy zobaczyła tuż przed sobą wielką pomarańczową kulę, poczuła straszny ból w nogach. Wewnątrz maszyny zrobiło się cicho. Zgasły światelka kontrolne. W słuchawkach cisza, nikt nie odpowiadał na jej wezwania. Helikopter leciał w dół. Tammy chwyciła za stery. Pedaly nie reagowały. Kokpit zaczął wypełniać się dymem. Gdy maszyna dotknęła ziemi, pani pilot z całej siły skupiła się tylko na tym, żeby zgasić silnik. I wtedy straciła przytomność.

Krew była wszędzie. Dan myślał, że Tammy nie żyje. Zabrał jej pokiereszowane ciało do drugiego helikoptera, który wylądował niedrażniony. Ona jednak wciąż oddychała. Pół godziny później w Bagdadzie ekipa awionetki medycznej uznała, że pacjentka ma jeszcze szansę na przeżycie. Dwa dni potem Tammy była już w największym wojskowym szpitalu Walter Reed pod Waszyngtonem.

Przytomność odzyskała dopiero po ośmiu dniach. Mężowi, Bryanowi Bowlsbey'owi, też wojskowemu z Gwardii Narodowej Stanu Illinois, skarżyła się, że bolą ją stopy. Nie wiedziała, że nie ma nie tylko stóp. Jedna noga została obcięta nad kolanem, a druga prawie przy biodrze. Nie zdawała sobie też sprawy, że wybuch granatu złamał jej rękę w trzech miejscach, naruszył nerwy i wyrwał wielki fragment ciała. Lekarze nie dawali wielkich szans na uratowanie tej ręki.

Ojciec Tammy zawsze był surowy i wymagający. Franklin Duckworth - były żołnierz marines - walczył podczas drugiej wojny światowej i był na wojnie w Wietnamie, potem przez wiele lat pracował w Azji dla ONZ. Nigdy ani córki, ani młodszego syna nie rozpieszczał. Mama - Lamai Sompornpairin - tajska Chinka, niewykształcona, zapracowana, od dziecka harowała za grosze w szwalniach, ale zawsze była bardzo opiekuńcza. Katolicyzm i buddyzm rodziców ukształtowały drogę Tammy. Urodziła się w Bangkoku, jako dziecko mieszkała w wielu krajach Azji, a gdy rodzice osiedli w końcu na Hawajach, ukończyła tam liceum i zrobiła licencjat z nauk politycznych. Tytuł magistra w dziedzinie stosunków międzynarodowych zdobyła później w amerykańskiej stolicy na Uniwersytecie George'a Washingtona.

Dla wojska porzuciła pracę nad doktoratem na uniwersytecie w Chicago. Stało się to właściwie przypadkiem, gdy poszła na kurs pilotażu i okazało się, że świetnie sobie radzi („Dzięki podzielności uwagi kobiety są lepszymi pilotami niż mężczyźni”). W Gwardii Stanu Illinois szybko uzyskała stopień kapitana, dowodziła czterdziestoma dwoma mężczyznami. Wojnę z Irakiem uważała za błąd, ale gdy przyszedł rozkaz: „jechać” - pojechała.

Niejeden człowiek w jej sytuacji by się załamał. Tammy cztery miesiące po zestrzeleniu zrobiła pierwszych kilka kroków na protezach, czyli swoich nowych nogach. Pokonanie trzech i pół metra zajęło jej dwie minuty. Walczyła wtedy z bólem i bezsilnością. Pomógł jej Bob Dole, były republikański senator i kandydat na prezydenta, który w wyniku ran z drugiej wojny światowej ma częściowo sparaliżowaną rękę. Odwiedzał Tammy w szpitalu i przekonywał, że nawet bez nóg uda jej się wiele osiągnąć. Może i powinna pomagać innym. Aż w końcu pomyślała, że przeżyła, aby w swoim nowym życiu zrobić coś więcej, żeby być kimś lepszym niż dotąd.

Najpierw zaczęła zabiegać u kongresmenów o pomoc dla rodzin wojskowych, walczyć o opiekę zdrowotną dla byłych żołnierzy. Gdy organizowano przesłuchania w Kongresie w sprawie opieki medycznej dla weteranów, pojechała, bo już rozumiała, że ludzie uważniej jej słuchają dlatego, że nie ma nóg. Że sama to przeżyła. Założyła fundację Intrepid, która zbiera pieniądze na budowę centrum rehabilitacji dla rannych żołnierzy.

Na początku grudnia 2005 roku otrzymała od prezydenta Purpurowe Serce, odznaczenie przyznawane rannym lub zabitym żołnierzom. Trzy tygodnie później została awansowana na majora i wtedy przeszła z czynnej służby do rezerwy. Zakończyła się też jej trzynastomiesięczna rehabilitacja i na dobre wypisano ją ze szpitala. Następnego dnia ogłosiła swoją kandydaturę w

wyborach do Kongresu z ramienia Partii Demokratycznej. Szefem kampanii był jej mąż. Po ogromnie zaciętej rywalizacji przegrała wyścig do Kapitolu zaledwie dwoma procentami głosów.

Po porażce Tammy nawet nie miała czasu ochłonąć, bo zaraz została mianowana przez gubernatora stanu Illinois na stanowisko dyrektora stanowego Departamentu do spraw Weteranów. Za największy problem ludzi opuszczających wojsko uznała trudny dostęp do opieki medycznej („System priorytetów przysługujących rannym w walce sprawia, że żołnierze z przewlekłymi dolegliwościami czekają w kolejce nawet dwa lata”), niezdiagnozowane, posttraumatyczne uszkodzenia mózgu u żołnierzy wracających z Iraku i Afganistanu („Wracają do domów i niby wszystko jest w porządku, ale jakoś nie mogą znaleźć pracy i przystosować się do normalnego życia. Bez pracy nie mają ubezpieczenia, więc nie są leczeni. Często popełniają samobójstwa”). Jako kobieta dostrzegła też coś, co dotąd umykało uwadze wszystkich zarządzających siłami zbrojnymi: kobiety stanowią aż piętnaście procent żołnierzy (w Polsce, dla porównania, liczba ta nie dochodzi nawet do pół procenta), stają się weterankami, a szpitale wojskowe nie są przystosowane do ich leczenia („A przecież żołnierki kończące służbę mogą jeszcze rodzić dzieci”).

By pracować na rzecz weteranów w Illinois, otworzyła biura w Chicago i Springfield. Krążyła między tymi miastami i domem ulokowanym w połowie drogi. Kalendarz miała wypełniony na kilka miesięcy naprzód. Także z tego względu, że bardzo zaangażowała się w kampanię Baracka Obamy.

Teraz naprawia świat w Waszyngtonie, pracując w prezydenckim biurze weteranów wojennych.

Mówiła mi, że trzeba zwracać uwagę na problemy. Możliwość zadawania pytań przedstawicielom władzy i krytykowania ich jest dla Tammy podstawą wolności każdego człowieka.

- Stany Zjednoczone stały się krajem właśnie dlatego, że Ojcowie Założyciele zaczęli krytykować angielskie władze kolonialne. Od tego rozpoczęła się rewolucja niepodległościowa - mówiła z energią. Zatem wszyscy Amerykanie powinni częściej korzystać z wolności słowa. Jak? Głosując. - Jeśli się na coś nie zgadzasz, to masz prawo protestować, masz prawo chcieć zmiany. Rusz się więc! Idź, zmieniaj, nie czekaj, aż ktoś za ciebie zdecyduje. Weź udział w wyborach, głosuj! - namawiała mnie Tammy. Podkreślała, że za mało jest kobiet w polityce. Najważniejsze to sprawić, aby kobiety chciały sięgnąć po władzę, żeby miały świadomość, że się

do tego nadają. - Musimy zmienić sposób myślenia w naszym kraju, żeby dziewczynki rosły przekonane, że mogą robić wszystko i będą w tym świetne.

Podczas naszej rozmowy w biurze w Springfield Tammy mówiła też o codziennym życiu. O tym, że sama prowadzi samochód dostosowany do jej potrzeb, z przyciskami gazu i hamulca przy kierownicy. Przyznawała, że czasem jest jej ciężko, zwłaszcza gdy zmęczona po pracy nie założy protez, a w aucie zacznie się świecić lampka kontrolna pokazująca pusty bak. Wtedy musi zajechać na stację benzynową, a tu akurat nikt z obsługi nie podchodzi. Wyjmuje więc wózek, rozkłada, przesiada się, próbuje manewrować, by nalać paliwo, a tu kolejna trudność - ciężarówka blokuje przejazd.

Ale od razu starała się odnaleźć pozytywne strony tego ciągłego zmagania się z rzeczywistością. Zażartowała, że przynajmniej nie marzną jej stopy.

Na pytanie, czy ma świadomość, że jest wzorem dla innych, odpowiedziała, że dla niej to abstrakcja. „Po prostu przeżyłam, ale nie zawdzięczam tego sobie, tylko moim kolegom z helikoptera”.

Jesienią 2008 roku Tammy przebyła na wózku trasę maratonu w Chicago w dwie godziny i dwadzieścia sześć minut. Niedługo potem samodzielnie pilotowała samolot Piper, pierwszy raz od wypadku w Iraku.

Tammy Duckworth powiedziała mi, że gdyby mogła cofnąć czas, zrobiłaby jeszcze raz to samo. Poleciałaby na tę misję, odbyłaby tamten lot. Być może, mając dzisiejszą wiedzę, skierowałaby helikopter na trochę inną trasę, żeby pocisk nie trafił jej i maszyny, ale nie chciałyby uniknąć tego sprawdzianu. Godzina prawdy o sobie wybija wtedy, gdy jest ciężko, niebezpiecznie.

- Patriotyzm? Co znaczy patriotyzm? - na głos powtarzała moje pytanie. - Kochać ten kraj mocniej niż samą siebie. Tak, ten kraj jest dla mnie ważniejszy niż moje życie.

Miała skupioną, ale pogodną twarz. Jej dłonie spokojnymi gestami podkreślały znaczenie słów.

Gdy spotkanie dobiegło końca, Tammy zajęła się podpisywaniem dokumentów dotyczących odszkodowania dla matki żołnierza, który zginął w Iraku. Asystentka przypomniała pani major o kilkunastu następnych sprawach, a ja pożegnałam się i pojechałam dalej Drogą 66.

Mijałam kolejne miejscowości, śliczne domki, kafejki, stacje benzynowe. Momentami szosa biegła prosto, jak strzelił, równoległe do autostrady. Na niektórych odcinkach obok

pojawiła się jeszcze starsza i węższa jezdnia, w wielu miejscach porośnięta trawą. Oryginalna „66”. A ja wciąż miałam przed oczami pogodną twarz Tammy Duckworth, mówiącą mi, że najlepsze w tym kraju są możliwości. I to od nas zależy, czy z nich skorzystamy czy nie. „Popatrz na mnie. Mam czterdzieści lat, a w swoim krótkim życiu przeszłam tak dużo i osiągnęłam tak wiele”. Zaczęła uzasadniać. Dzięki publicznym szkołom zdobyła wykształcenie. Jej rodzice klepali biedę, gdyby więc na stałe mieszkali w Tajlandii czy Indonezji, gdzie od szóstej klasy trzeba płacić za naukę, nigdy by jej się to nie udało. Będąc kobietą i Azjatką, została zawodowym żołnierzem, majorem. Jako osoba niepełnosprawna mogła startować w wyborach do Kongresu, pracować najpierw dla gubernatora, a teraz - dla prezydenta. „Gdzie, w jakim innym kraju w ciągu dwudziestu lat mogłabym tak wiele osiągnąć? - pytała mnie. - Nie kocham mojej ojczyzny dlatego, że ma silne wojsko, największe czołgi, najlepsze helikoptery. Nie kocham jej za to, że potrafi stawiać innym warunki i że ma największą gospodarkę na świecie. Kocham ten kraj za możliwości, jakie tu istnieją”.



Wszystko zaczęło się w 1926 roku od 450-kilometrowego utwardzonego odcinka szosy w stanie Illinois. Teraz najstarsze nitki Drogi 66 porasta trawa. Jechać można nowszą, równoległą szosą. Tuż obok biegnie autostrada 55.

2 Missouri



szlachetny eksperyment

Słońce nad Missisipi wschodziło dostojnie. Powoli ocieplało swoim pomarańczowym światłem wody tej najdłuższej w Ameryce Północnej rzeki, która wydała mi się niezwykle spokojna.

Stałam na moście Chain of the Rocks (nazwa pochodzi od łańcucha skał), który łączy Illinois z Missouri. Oddano go do użytku w 1929 roku, a zamknięto dla ruchu w 1970 roku. Patrzyłam na Missisipi, opisywaną barwnie przez Marka Twaina - wychowywał się w małej miejscowości zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów w górę jej biegu. Wyglądała wspaniale.



Most Chain of the Rocks nad rzeką Missisipi łączy stany Illinois i Missouri. Dziś tylko piesi i rowerzyści mogą z niego korzystać.

Do 1801 roku stanowiła zachodnią granicę Stanów Zjednoczonych. Stąd, z St. Louis, wyruszyła w 1804 roku ekspedycja Lewisa i Clarka, która jako pierwsza dotarła aż do Pacyfiku. W ten sposób rozpoczęła się epoka eksplorowania zachodu. Symbolem roli St. Louis w tym procesie jest ogromny łuk, Gateway Arch, dominujący nad wieżowcami w centrum miasta. Widziałam go wyraźnie w oddali.

Wypatrywałam parostatków, które niegdyś stanowiły główny środek transportu na Missisipi. Ale tego ranka na rzece nie było żywej duszy. Słyszałam tylko nawoływania ptaków. A z gęsto zarośniętych brzegów dobiegał chłopot fal. Z wysokości mostu dwie wieże ciśnień z końca XIX wieku, stojące pośrodku rzeki, wyglądały jak malusieńkie zabawki.

Schodząc z mostu, natknęłam się na młodego mężczyznę. Z Bostonu, jak się okazało. Przystojny szatyn, wyglądający elegancko w markowych ciuchach (pulower w serek i spodnie w kant), stał przy swoim nowym buicku i przeklinał strasznie, bo GPS, nie widząc starych, bocznych dróg, wyprowadził go w pole, czyli na autostradę. A gdy zrezygnował z pomocy map

satelitarnych, pobłądził znowu, ponieważ droga była źle oznakowana. Rzeczywiście, w porównaniu do stanu Illinois, Missouri pod względem oznakowań i ich rzetelności nie wypada dobrze. Na skrzyżowaniach brakuje tablic informacyjnych, a te, które pojawiają się od czasu do czasu, zaciemniają obraz sytuacji. Być może wynika to z faktu, że w różnych okresach Droga 66 biegła przez St. Louis odmiennymi trasami.

Mężczyzna przedstawił się jako Jack i powiedział, że ma trzydzieści trzy lata, pracuje w finansach i znudziło mu się spędzanie urlopów w egzotycznych miejscach. Niedawno rzuciła go dziewczyna, więc postanowił, że wreszcie zrobi coś dla siebie („Nie cierpię leżeć na plaży” - tłumaczył) i ruszył na Drogę 66. Chciał przejechać każdy kawałek starego asfaltu tam, gdzie to tylko możliwe. Planował zajrzeć do wszystkich kultowych knajpek, zobaczyć najdziwniejsze atrakcje, wziąć udział w zjeździe starych aut, no i odwiedzić miejsca, które „zagrały” w różnych hollywoodzkich produkcjach. Wyjaśnił mi, że ten stary most wystąpił w filmie *Ucieczka z Nowego Jorku* (1981). Poprosił o zrobienie pamiątkowego zdjęcia i biegł w moją stronę niczym Kurt Russel w jednej ze scen („Przyjaciele mówią, że jestem podobny do Kurta”). Kumple z pracy będą mu zazdrościć tej podróży bardziej niż najlepszego nurkowania na wyspach. Ubolewał jedynie, że ma tylko dwa tygodnie urlopu, a zatrzymywanie się przy różnych zabytkach zabiera tyle czasu. Ale z drugiej strony, jaki ma sens przejechać Drogą, nie poznawszy miejsc, ludzi, historii? Zostałam go z tym dylematem, bo ja, na szczęście, nie miałam przed sobą żadnych wiążących terminów.

Saint Louis zostało założone jako faktoria handlowa przez francuskich kupców z Nowego Orleanu pod koniec XVIII wieku. Praktyczni Amerykanie szybko skrócili nazwę do St. Louis. Obecnie ta metropolia, licząca ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, jest największym skupiskiem ludzkim na Drodze 66 między Chicago a Los Angeles.

Eleganckie centrum z lśniącoymi szklano-stalowymi wieżowcami dopiero budziło się ze snu. Tylko kasyno na parostatku zacumowanym przy brzegu było otwarte (lokalne prawo zabrania hazardu na lądzie, jednak nic nie wspomina o wodzie, co stanowi furtkę dla przedsiębiorczych inwestorów). Zabytkowe bryczki i karety, ciągnięte przez piękne konie z zaplecionymi grzywami, ustawiały się opodal, najwyraźniej czekając, aby i wygrani, i przegrani mogli poczuć się jak „pany”.



Bez czapek, kapturów, okularów słonecznych i broni - takim ostrzeżeniem wita klientów bank Pulaski w St. Louis. A przy okazji - Kazimierz Pułaski, który uratował życie Jerzemu Waszyngtonowi, jest jedną z zaledwie siedmiu osób, które otrzymały honorowe obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Nadano mu je w 2009 roku!

Jechałam dalej, do Eat-Rite, kultowej knajpki przy Drodze 66, gdzie śniadania są serwowane dwadzieścia cztery godziny na dobę. Restauracyjka mieści się w białym parterowym budyneczku, mniejszym od wielkich ciężarówek przejeżdżających obok. Stoi przy skrzyżowaniu ruchliwych ulic, jak porzucona pozostałość z poprzedniej epoki. A wokół puste place po wyburzonych domach.

Wewnątrz, przy półokrągłym barze otaczającym kuchnię, siedzieli jeden obok drugiego sami mężczyźni. Było ich siedmiu. Niektórzy przed pracą, a inni po ciężkiej nocy. Za kontuarem krzątała się starsza, lekko przygarbiona pani w fartuszkach, z chustką z siateczki na głowie. Właśnie rozbijała jajko na wielkiej rozgrzanej płycie, a drugą ręką jednocześnie mieszała przysmażające się starte ziemniaki. W odpowiedzi na moje głośnie: „Dzień dobry”, kiwnęła nieznacznie głową, nawet się nie odwracając. Mężczyźni przywitali mnie mruknięciem.

Spis potraw wisiał na ścianie nad jej głową. Wielki napis informował, że można płacić tylko gotówką. Zamówiłam jajecznicę z ziemniakami i grzankami - typowe amerykańskie śniadanie. Kobieta, zanim naląła mi kawy z dzbanka, przetarła zużytą ścierką zniszczony blat. Moją prośbę o mleko przyjęła westchnieniem, musiała bowiem przejść jeszcze raz przez całą kuchnię do lodówki.



Kto nie zje śniadania w Eat-Rite w St. Louis, nie pozna ducha i atmosfery Drogi 66. Tu nie wpada się na pięć minut.

Mężczyźni jedli w milczeniu, krojąc widelcem plastry wysmażonego na wiór bekonu i siorbiąc kawę z kubków. Jeden, siedzący najbliżej mnie, wyciągnął z kieszonki na piersiach paczkę papierosów. Musiałam mieć zdziwiony wzrok, bo niepytany wyjaśnił, że Missouri jest jednym z niewielu stanów, gdzie można palić w miejscach publicznych. Brodaty chłopak w wełnianej czapce, walcząc z nadmiarem wypitego alkoholu, mruknął, że ma nadzieję, iż tak już pozostanie. Dwóch potężnych facetów położyło odliczoną należność na blacie i wyszło bez słowa. Murzyn po mojej lewej stronie, czyszcząc talerz resztką grzanki, powiedział, że mieszka w pobliżu i przychodzi tu na śniadania codziennie od ponad czterdziestu lat. Okazało się, że wszyscy stołują się tu od dawna, ale nikt nie mógł przelicytować tego czarnoskórego, który przedstawił mi rozkład dnia „tej najlepszej na świecie knajpki”: przed świtem zagłęda tu młodzież wracająca z imprez, w ciągu dnia wpadają kierowcy ciężarówek, zdarzają się pracownicy z poczty i innych biur. Czasem wstępują też turyści - ale po południu, gdy zaliczą już wszystkie atrakcje. Wieczorem natomiast przychodzą tu ludzie, którzy muszą się najeść, zanim pójdą w tango.



Kultowa knajpeczka serwująca śniadania przez całą dobę jest obowiązkowym przystankiem każdego podróżnika.

- Ta knajpka jest ostoją dla nas, wszystkich lokalnych biedaków - powiedział. - Bo tanio tu i wiadomo, na co można liczyć - te same dania są serwowane od ponad siedemdziesięciu lat.

Pękająca z przejeżdżenia siedziałam w samochodzie, gdy lokalna stacja radiowa poinformowała, że „na autostradzie przy browarze tworzy się korek”. Dziennikarka nie wymieniła nazwy przeczniczy, bo przecież mieszkańcy St. Louis doskonale wiedzą, że chodzi o „ten” browar, czyli Anheuser-Busch, który jest nie tylko największą korporacją w St. Louis, lecz także największym browarem na świecie. Ten producent najpopularniejszego piwa w Stanach Zjednoczonych - Budweisera - ze swoimi dwunastoma filiami kontroluje prawie połowę amerykańskiego rynku.

Wielki stary budynek ozdobiony ogromnym orłem - symbolem firmy - zachęca do wejścia. Można go zwiedzić, by dowiedzieć się, że piwo w te regiony sprowadzili niemieccy imigranci napływający do USA po Wiośnie Ludów (1848). Warunki sprzyjały, bo i woda w tej okolicy dobra, i dużo jaskiń, w których dzięki niskiej temperaturze można było przechowywać napój. Browary wyrastały więc jak grzyby po deszczu. Panowie Eberhard Anheuser i jego zięć Adolphus Busch wykorzystali okazję i po połączeniu sił zaczęli w 1876 roku warzyć piwo jasne pełne, leżakowane - Budweisera - nazwane tak przez nich na cześć miasta Czeskie Budziejowice, czyli po niemiecku Budweis. Do produkcji swojego piwa używali jęczmienia i ryżu.

W 1900 roku browar Anheuser-Busch produkował milion baryłek piwa. Wiodło mu się na tyle dobrze, że wyszedł prawie bez szwanku z prohibicji, która doprowadziła do bankructwa wielu innych producentów.

Wspomnienie prohibicji, która obowiązywała w latach 1920-1933 wywołuje do dziś irytację wśród amerykańskich browarników. Miała ona uwolnić kraj od biedy, przemocy, zepsucia. Towarzystwo Krzewienia Wstrzemięźliwości uzasadniało wprowadzenie zakazu produkcji i spożywania alkoholu koniecznością wyeliminowania „pijackich przyzwyczajzeń imigranckich robotników”. Ruchy antyalkoholowe wspierała większość kościołów protestanckich uznających napoje wysokowe za narzędzie szatana. Zakazy były wprowadzane stopniowo przez poszczególne miasta, hrabstwa i stany na wiele lat przed uchwaleniem w 1919 roku osiemnastej poprawki do konstytucji.

Moje pytanie o „szlachetny eksperyment”, jak nazywano prohibicję, wywołało śmiech w lokalnym barze. Wśród obecnych i tu przeważali mężczyźni, ale także kobiety powoli sączyły piwo. Wszyscy zgodnie przyznali, że nie było większego fiaska w historii Stanów Zjednoczonych, bo zakazy spowodowały tylko, że Amerykanie pili więcej mocnego alkoholu kiepskiej jakości, powstały struktury mafijne kontrolujące nielegalną produkcję i handel, gangi umocniły się, a przestępczość wzrosła.

Poprawka do konstytucji znosząca prohibicję pozostawiła poszczególnym stanom możliwość podjęcia decyzji o ewentualnym zakazie produkcji i sprzedaży alkoholu. W efekcie niektóre stany utrzymały prohibicję jeszcze do lat sześćdziesiątych, a nawet do dziś istnieją „suche” (objęte zakazem) hrabstwa i miasta.

Charlie Papazian, szef Stowarzyszenia Browarników, przywołał dane ilustrujące skutki prohibicji: w 1900 roku działało 1771 browarów, w 1920 - 583, w 1978 - tylko 42. Ale nowe tysiąclecie przyniosło przełom w 2008 - były już 1463 browary, z czego 1400 to lokalni mikroproduccenci piwa.

Jeden z takich małych browarów wyrósł nawet pod bokiem giganta Anheusera-Buscha. W 1991 roku w centrum St. Louis otwarł swoje podwoje Schlafly - pierwszy nowy browar w tym mieście od czasów prohibicji. Jego właściciel - Tom Schlafly - prawnik, biznesmen, satyryk, komentator publicznego radia, mówił o sobie: „renegat”. No bo zdradził i próbuje zmieniać przyzwyczajenia mieszkańców, sklepikarzy i restauratorów, do tej pory lojalnych wobec największego pracodawcy w mieście, dla których jedyne piwo to Budweiser, czyli zdrobniale Bud.

„Grzech Kardynała”

Browar Anheuser-Busch jest sponsorem lokalnej drużyny bejsbolowej, jednej z najbardziej znanych w Ameryce - St. Louis Cardinals. Jej znak klubowy to kardynał - ptak upierzony na czerwono, dlatego kibice na mecze przychodzą w czerwonych koszulkach.

Razem z tłumem fanów maszerowałam w stronę stadionu, który leży w samym centrum, tuż przy Drodze 66. Czułam się głupio, bo jako jedyna nie miałam na sobie barw Kardynałów. Co chwila przechodzących zaczepiali Murzyni, sprzedający okazjnie bilety, najtańsze za dziesięć dolarów, czyli połowę ceny w kasach. Nikt nie kupował, bo pewnie wszyscy mieli karnety na cały sezon.

Przy wejściu na stadion stał tłum ludzi, ale kibice spokojnie wchodzili do swoich sektorów. Największy ruch panował przed stoiskami z jedzeniem i piciem, mimo że ceny były dwa razy wyższe niż na mieście. Hot dogi z „polską kiełbasą” pachniały nieźle i ludzie zajadali z apetytem.

Na trybunach robiło się tłoczno. Stadion Busch oddany do użytku w 2006 roku mieści oficjalnie prawie czterdzieści cztery tysiące osób, ale - jak wyczytałam w przewodniku drużyny Kardynałów dla dziennikarzy - wcisnąć się nań może prawie czterdzieści siedem tysięcy. Tuż za płotem widać było jeszcze niezabudowane miejsce po starym stadionie, tym który pamiętał początki Drogi 66.

Specjalna ekipa polewała boisko wodą, a zawodnicy się rozgrzewali. Gdy orkiestra z lokalnej szkoły średniej zagrała *God Bless America*, kibice wstali. Niektórzy położyli dłoń na sercu, nie wypuszczając przy tym z drugiej ręki talerzy z jedzeniem. Chwilę później orkiestra zaintonowała hymn. Wszyscy na trybunach stali w skupieniu. Talerze odstawione, czapki zdjęte z głów, prawe dłonie mocno przywierały do lewej piersi. A potem wybuch radości i zachwytu. Głośna muzyka z megafonów i okrzyk: „Zaczynamy!”.

Moim przewodnikiem po bejsbolu był Derrick Goold, reporter „Post Dispatch”, lokalnej gazety z St. Louis, która meczom drużyny Kardynałów poświęca codziennie kilka stron. Derrick, trzydziestodwuletni, szczupły, gładko ogolony i krótko przystrzyżony blondyn, uświadomił mi, że pasja do tej gry zespołowej narodziła się w Ameryce na początku XX wieku, ale dopiero po drugiej wojnie światowej sport, podobnie jak cały kraj, rozkwitł. Wtedy zaczęły się tworzyć legendy wielkich graczy podpisujących lukratywne kontrakty, a fenomen przekształcił się w

sport narodowy i masowy. Pasja Amerykanów zaraziła świat na tyle, że w 1992 roku bejsbol stał się dyscypliną olimpijską. Ale nie na tyle, by na igrzyskach się utrzymał. W 2008 roku w Pekinie rozegrano ostatni olimpijski mecz. W ogóle na igrzyskach grano w bejsbol pięć razy. I, co ciekawe, Amerykanie wygrali tylko raz. Trzy razy zwyciężyli Kubańczycy, a raz - Koreańczycy.

Derrick wyjaśnił mi, że dla prawdziwych fanów liczą się tylko rozgrywki ligowe. W St. Louis na mecze przychodzą całe wielopokoleniowe rodziny. Zawsze trybuny są wypełnione, choć wszystko transmituje telewizja.

- Ten sport to część naszej historii i kultury - tłumaczył. W innych miastach ludzie, żeby się rozerwać, idą do kina, grają w kręgle, chodzą do klubów. W St. Louis natomiast przychodzą na stadion. Tu umawiają się na randki. Oświadczyzny w czasie meczu nie należą do rzadkości. I tu się świętuje.

Jak na zawołanie grupka kobiet obfitych kształtów i w sile wieku zaczęła się tłoczyć przy jednym stoliku. Wszystkie miały przyczepione plakietki „Birthday gang”, świadczące o tym, że obchodzą urodziny. Jubilatką okazała się tęga pani, składająca zamówienie na hot dogi i piwo. Rozradowana wyjaśniła mi, że to przyjaciółki zrobiły jej niespodziankę na pięćdziesiąte piąte urodziny, kupując bilety na mecz.



Mecz bejsbolowy to wydarzenie towarzyskie, nie tylko sportowe. Na trybunach piwo i drinki serwowane są bez ograniczeń. Burdy ani walki kibiców przeciwnych drużyn się nie zdarzają.

Nie dowierzałam, że te kobiety mogą coś wiedzieć o bejsbolu. Zapytałam, czy znają zasady gry. Popatrzyły na mnie jak na przybysza z innej planety. Oczywiście, każdy wie, o co chodzi na boisku. Wszystkie amerykańskie dzieci już w przedszkolu mają szansę grać, dziewczynki też.

Kobiety zaczęły się popisywać swoją wiedzą, na wyścigi wymieniając nazwiska najlepszych graczy i daty zdobycia tytułów mistrzowskich. Wyjaśniły mi, że w Stanach Zjednoczonych są dwie ligi bejsbolu: Narodowa i Amerykańska. Zwycięzcy tych dwóch lig grają między sobą mecz zwany World Series, czyli walczą o tytuł mistrza świata. Kardynałowie są drugą drużyną, po New York Yankees, z rekordową liczbą wygranych. Nowojorscy Jankesi mają na swoim koncie dwadzieścia siedem tytułów mistrzów świata, Kardynałowie - jedenaście. Pierwszy zdobyli, wygrywając z Jankesami, w 1926 roku.

Kobiety, zadowolone z wrażenia, jakie na mnie zrobiły, zajęły się jedzeniem, a Derrick wyjaśniał mi, że bejsbol jest specyficznym sportem, bo nie ma w nim limitu czasu, w przeciwieństwie do koszykówki, hokeja czy futbolu. Cały mecz składa się z dziewięciu rund. Drużyny na zmianę atakują i bronią się. Punkt zdobywa ten zawodnik z drużyny atakującej, który po uderzeniu piłki kijem obiegnie wszystkie trzy bazy w polu i powróci do tej najważniejszej - bazy domowej. Zadaniem broniącej się drużyny jest rzucenie piłki tak, by jak najbardziej utrudnić atakującemu uderzenie, a gdy ten piłkę odbije - złapanie jej i odrzucenie do tej bazy, w kierunku której biegnie przeciwnik. Jeśli obrońcy będą szybsi, to ten zawodnik wypadnie z gry. A jeżeli zdąży dobiec, to z niej wystartuje do kolejnej bazy, po odbiciu piłki przez następnego gracza.

- Tym, co uwielbiam w tym sporcie, jest narastające napięcie - przyznał Derrick. Każda piłka może zmienić bieg wydarzeń. Coś niezwykłego dzieje się w każdej chwili.

Zapał Derricka i mnie się udzielił. Razem obserwowaliśmy boisko. Zaczęłam wreszcie rozumieć całe ustawienie i dostrzegać złożoność taktyki. Dotarły do mnie słowa Derricka, że z bejsbolem jest jak z życiem, zwłaszcza z życiem reportera. Nigdy przecież nie wiemy, co nam przyniesie dzień, o czym będziemy pisać, co się może wydarzyć. Tak jest z każdą piłką. Mecze bejsbolowe są codziennie, tak jak codziennie ukazuje się gazeta. Jutro można próbować nadgonić dzisiejsze straty, ale liczy się każda piłka, tak jak każdy reporterski temat.

Tłum zawył. Rzucający z drużyny Browarników z Milwaukee trafił w nogi trzymającego kij Kardynała, ten ledwo zdążył uskokoczyć. Derrick tymczasem opowiadał, że bejsbol to bardzo „pracowity” sport, bo rozgrywki w sześciomiesięcznym sezonie (kwiecień-wrzesień) trwają właściwie bez przerw. Zawodnicy mają wolne zaledwie trzy dni w miesiącu. Drużyny dwa tygodnie spędzają u siebie, dwa tygodnie - na wyjeździe. Z jednym przeciwnikiem rozgrywają przeważnie trzy mecze z rzędu, dzień po dniu, bo szkoda czasu i pieniędzy na podróże.

Do loży prasowej wszedł wysoki, przystojny blondyn. Rozległy się głośne pozdrowienia. To Rick Horton, były rzucający Kardynałów. Derrick szybko wyjaśnił mi, że Rick rzucał lewą ręką bardzo podkręcane piłki. Po zakończeniu kariery zawodnika został trenerem, pełnił też funkcję doradcy religijnego i kapelana drużyny Kardynałów. Od 1993 roku jest dyrektorem Stowarzyszenia Sportowców Chrześcijańskich w rejonie St. Louis. Komentuje również mecze dla jednej ze stacji telewizyjnych.

Po chwili już sam Rick tłumaczył mi, że rzucający powinien mieć bardzo silną rękę, ale musi też myśleć. Jego zadanie polega bowiem na oszukaniu przeciwnika, zdezorientowaniu go, byciu szybszym niż on. Rzucający musi mieć ogromną odporność psychiczną, bo właściwie wszystko zależy od niego. To on zaczyna grę i jest w niej centralną postacią. Rick wskazał na widocznego na monitorze rzucającego Kardynałów, który muskając palcem daszek czapki, pociągając się za ucho i dotykając brody, dawał sygnał łapiącemu (to ten z wielką rękawicą i maską ochronną na twarzy), jaki rzut ma zamiar wykonać. Rick mruknął, że będzie to szybka piłka. I rzeczywiście. Komputery wskazały sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Piłka mknęła jak pocisk, przeciwnik był bez szans. Nie zdążył nawet machnąć kijem. Wraz z Rickiem brawo bili wszyscy komentatorzy.

Na stadionie, pod dwupiętrową lożą prasową znajdują się ekskluzywne pomieszczenia, do których bilet kosztuje dwieście dolarów. Kibice z najtańszymi wejściówkami, najbardziej wytrwali i najgłośniejsi, siedzą zawsze na otwartych trybunach naprzeciwko. Poszłam popatrzeć na boisko z ich perspektywy. Sądząc po liczbie koszulek z nazwiskiem „Pujols” na plecach, to właśnie ten dwudziestoosmioletni sportowiec urodzony w Dominikanie był teraz ulubieńcem kibiców. Popularność Pujolsa na pewno jednak nigdy nie przebije miłości, jaką St. Louis darzyło Stana Musiala. Nawet najmłodszy fani wiedzą, że był to najlepszy bejsbolista, jakiego Kardynałowie kiedykolwiek mieli. O tym gracz polskiego pochodzenia mówiło się „The Man” („Człowiek, Mężczyzna”). Pobił wszelkie możliwe rekordy. Karierę zakończył w 1963 roku. Gdy przychodził potem na stadion, fetowano go jak króla.

Nagle tłum zawył z rozczarowania. *Strike out!* Atakujący Kardynałów nie dał rady, trzy razy z rzędu nie uderzył w piłkę. Musiał zejść z boiska.

Aby podtrzymać zapal dopingujących, głośna muzyka podawała im rytm klaskania. Telebimy w przerwach między rzutami i uderzeniami (a było tych przerw sporo) pokazywały

uśmiechnięte twarze kibiców. Każdy miał szansę zaprezentować się całemu światu. Operatorzy kamer bardzo sprawiedliwie przeczesywali kolejne sektory.

Klaskanie najwyraźniej pomogło, bo sytuacja się odwróciła. Kardynałowie dobrze uderzyli i pobiegli. Mieli trzech zawodników na trzech bazach. To wielka szansa na zdobycie punktów. Emocje na stadionie sięgnęły zenitu.

Szał radości. *Home run!* Zawodnik Kardynałów wybił piłkę na trybuny i obiegnął wszystkie bazy. Na taki moment czekali kibice. Skakali, rzucali się sobie w objęcia. Powtórka akcji na ekranach wywołała kolejny entuzjastyczny ryk tłumu. Kardynałowie wygrali.

Po meczu, grubo po dziesiątej wieczorem, ruszyłam ze stadionu na ulicę Chippewa. Podobnie jak rzesze kibiców zmierzałam w kierunku lodziarni Ted Drewes, do której wysłał mnie Derrick („Jedź, sama się przekonasz, że tam trzeba być”). Przy Drodze 66, wśród innych niewielkich budynków, sklepików i domów, zobaczyłam rozświetlony biały pawilon. Przed nim kłębił się tłum.



Lodziarnia Ted Drewes w St. Louis to miejsce, w którym trzeba się stawić, zwłaszcza po meczu ukochanych Kardynałów. Międzypokoleniowe spotkania i rozmowy prowadzone są przy najlepszych, jak twierdzą bywalcy, lodach świata.

Dwudziestoparoletni wysoki blondyn, który zajmował kolejkę dla całej grupy przyjaciół, wyjaśnił mi, że wizyta tu to lokalna tradycja. Zawsze tu przyjeżdżał i nadal będzie to robił, bez względu na wynik meczu. Ojciec przywoził go do tej lodziarni i on będzie przywoził tu swoje dziecko. Wskazał ręką na nadchodzącą właśnie kobietę w widocznej ciąży.

Przez dobrą godzinę obserwowałam napływający czerwony potok ludzi. Kibice ustawiali się w kolejkach do sześciu okienek. Przez szyby widziałam, że wewnątrz jest niczym w mrowisku. Kilkunastu pracowników uwijało się jak w ukropie między wielkimi stalowymi

pojemnikami, kadziami i półkami. Ktoś nakładał lody, ktoś inny dodawał owoce, następna osoba je miksowała, kolejny pracownik sypał słodkie dodatki. Nie było nawet sekundy przestoju.

Ted Drewes to imię i nazwisko założyciela lodziarni. A także jego syna, obecnego właściciela. Ted junior urodził się w 1928 roku - dwa lata po tym, jak wytyczono Drogę 66, rok po tym, jak asfalt dotarł do Missouri, i rok przed tym, zanim jego ojciec założył ten rodzinny biznes. Okazało się, że prawie wszyscy w kolejce znali Teda juniora, który - choć teraz liczy sobie już ponad osiemdziesiąt lat - często tu przyjeżdża, aby serwować słynne lody. A zawsze były one inne niż gdziekolwiek na świecie - gęstsze, z dodanym żółtkiem, słodzone miodem. I tylko waniliowe. Jeśli ktoś chce malinowe, to waniliowe miesza się ze świeżymi owocami. Największą sławą cieszy się *concrete* („beton”) - lody tak twarde, że można odwrócić miseczkę do góry nogami i nie wypadną.



Lody twarde jak beton nie wypadają z miseczki. Kolejne miejsce na Drodze 66 od pokoleń zaspokaja potrzebę ochłody mieszkańców i podróżnych.

Wiele osób z kolejki, które tak chętnie udzielały mi szczegółowych informacji, odbywało praktyki u Teda juniora przynajmniej przez jeden sezon. To bardzo dobrze płatna praca i niełatwo ją zdobyć. Chętnych zawsze jest wielu, bo pracującym dla niego licealistom Ted funduje stypendia, jeśli młodzi ludzie dobrze rokują na przyszłość.

Byli stypendyści i pracownicy Teda juniora - skośnooki chłopak, Latynos w średnim wieku i biała kobieta z dzieckiem na ręku - zachwalali, że tych lodów nie można kupić w żadnym sklepie, bo Ted nigdy nie zgodził się na masową produkcję. I że to jedyna lodziarnia w Stanach otwarta w lecie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Menadżer lokalu - Chris Beckemeier - uwijający się między okienkami powiedział mi też, że Ted Drewes jest jedyną kosztowną lodziarnią w St. Louis. Stało się to właściwie przez przypadek, gdy kardiolog leczący juniora spytał go, kiedy on wreszcie będzie mógł spróbować lodów. A że był

Żydem przestrzegającym zasad koszerności, Ted sprowadził rabina, który sprawdził cały cykl produkcji i uznał, że wszystko jest zgodne z przepisami religijnego prawa żydowskiego. Dzięki temu lodziarni przybyło nowych klientów.

Gdy wreszcie przysłała moja kolej, dziewczyna w okienku uśmiechnęła się zachęcająco, po moim braku zdecydowania poznając, że jestem tu pierwszy raz. A co tam! Wzięłam „Grzech Kardynała”, deser nazwany tak na cześć ukochanej drużyny. W żółtej miseczce dostałam lody waniliowe z wiśniami w syropie, polane gorącą gęstą czekoladą. Odeszłam z tą bombą kaloryczną w tłum, zastanawiając się, gdzie przystanąć. Cały budynek lodziarni przeznaczono na produkcję i sprzedaż, nie na jedzenie, a na zewnątrz w ogóle nie było stolików i krzesełek.

Rozejrzałam się wokół. Większość aut na ogromnym parkingu to pikapy. Klapy bagażników miały otwarte, tak by ich właściciele mogli sobie usiąść jak na ławce. Niektórzy więc siedzieli na swoich samochodach, niektórzy stali w grupkach. Wszyscy zajadali lody i rozmawiali. Gwar niósł wspomnienia z zakończonego przed chwilą meczu, a także opowieści o dzieciach, które dostały się do liceum, i o szefach, którzy mają duże wymagania. Ludzie rozmawiali o filmach, zakupach, osiągnięciach, sprawach do załatwienia. Zwykle towarzyskie rozmowy, tak zwane *small talk*. Ale nie słyszałam narzekań na zdrowie, pracę, współmałżonków czy polityków.

Godzinę później tłum zrobił się jeszcze gęstszy, dojechali bowiem wszyscy ci, którzy długo żegnali się ze znajomymi na stadionie albo fotografowali swoich bohaterów i zbierali autografy. Policjant przy krawężniku pilnował, aby kolejka nie wychodziła na jezdnię. Na parking wjechał ogromny pikap, wyższy i dłuższy niż wszystkie inne. Z otwartych okien auta dudniła muzyka, basy podkrecone do oporu. W środku siedziało kilku młodzieńców o czarnej skórze. Kiwali głowami w rytm dźwięków, na szyjach dyndały im złote łańcuchy. Ręka kierowcy wystawiona za szybę regularnie wybijała takt, stukając o dach. Wielki samochód z trudem wcisnął się na ostatnie wolne miejsce parkingowe. Wskoczyły bysiory, jakich nie chciałabym spotkać na ciemnej ulicy, ale nikt oprócz mnie im się nie przyglądał. Chłopcy spokojnie ustawili się w kolejce, grzecznie przeprosili starszą panią, którą jeden z nich potrącił. Kilka nobliwie wyglądających kobiet nawet nie przerwało dyskusji o potrzebie działania w lokalnej grupie wsparcia. Nie dosłyszałam, jakie najważniejsze wyzwania stoją przed tą grupą, bo z kolei młodzieńcy wyglądający na yuppie, ubrani od stóp do głów w markowe, drogie ciuchy, zaczęli głośną dyskusję o najnowszej usłudze w ich nowoczesnych telefonach. Przerwali ją, by przywitać

następnych znajomych, którzy oświadczyli, że po meczu zatrzymali się w Eat-Rite. Inni umawiali się, że skoczą później na piwo do Schlafly. Czułam, że parking pod lodziarnią zmienił się w centrum życia towarzyskiego St. Louis.

podziemna kryjówka Jessego Jamesa

Za St. Louis wielkie białe litery namalowane na czarnej stodole wołały do mnie: „Meramec Caverns”. Widoczne z daleka napisy rozsiane przy Drodze 66 reklamowały jedną z pierwszych atrakcji dla podróżnych. Jaskinie Meramec znalazłam po godzinie jazdy na południowy zachód.

Za niepozornym wejściem, po przedarciu się przez sklep z pamiątkami, zobaczyłam ogromne, podświetlone stalaktyty i stalagmity, małe jeziora, dziwne formacje wapienne. Chłód podziemnych korytarzy był przyjemną odmianą od upału na zewnątrz. Młoda przewodniczka, uczennica lokalnego liceum, poinformowała mnie, że w jaskiniach utrzymuje się stała temperatura - szesnaście stopni Celsjusza. Opowiedziała mi też historię odkrycia podziemnych korytarzy. Wyrzucała słowa w tempie karabinu maszynowego, dumna, że pamięta wszystkie szczegóły.



Reklama, jaką wymyślił Lester Dill - napisy wymalowane na stodołach wskazywały drogę podróżnym do podziemnego bogactwa jaskiń Meramec.

Pierwszy trafił tu w 1720 roku francuski podróżnik szukający złota, który zamiast szlachetnego kruszcu odkrył saletrę. Wydobywano ją przez niemal sto pięćdziesiąt lat. W czasie wojny secesyjnej (1861-1865) w jaskiniach mieścił się magazyn prochu strzelniczego. Potem chronili się tu zbiegli niewolnicy. Aż wreszcie zawitał w podziemne korytarze Jesse James, najślynniejszy gangster Ameryki, którego banda napadała na pociągi, dyliżanse i banki. Jesse i jego brat Frank skryli się tu, uciekając przed szeryfem, po kolejnym napadzie na pociąg w 1874 roku. Legenda głosi, że udało im się zmylić trop goniących ich przedstawicieli prawa, bo nieraz już chowali tu swe łupy i znali sekretne drugie wyjście.

Po śmierci Jessego Jamesa w 1882 roku („Oglądałaś film z Bradem Pittem? Fantastyczny, nie? Jasno tam pokazano, jak Jesse został zastrzelony zdradzieckim strzałem w tył głowy przez Roberta Forda, jednego z dwóch zaufanych współpracowników, który dał się zwerbować gubernatorowi”) do jaskiń zaczęli tłumnie zjeżdżać ludzie. Jedni po to, żeby szukać domniemanych skarbów, ukrytych przez bandytów, a inni - by zaspokoić ciekawość. Jaskinie stały się miejscem spotkań towarzyskich, a pod koniec XIX wieku w największej grocie zaczęto nawet organizować potańcówki. Na drewnianym podeście tańczono *square dance*, tradycyjny taniec, w którym cztery pary wirują po kwadracie zgodnie z ruchem wskazówek zegara („Czadowe, ale ja nie potrafię tańczyć. Kiedyś się nauczę”).

Aż wreszcie jaskinie kupił Lester Dill, syn farmera z okolicy, od dzieciństwa nimi zafascynowany. W 1933 roku otworzył je dla turystów. Pierwszego dnia zaledwie sześć osób zdecydowało się zapłacić czterdzieści centów za możliwość ujrzenia podziemnego świata. Ale Lester miał mnóstwo pomysłów, jak rozślawić swoją inwestycję. Zaczął wpuszczać auta do środka i ogłosił, że są to jedyne na świecie jaskinie, do których można wjeżdżać samochodem. Była to prawda. W wielkiej podziemnej sali mieściło się aż dwieście pojazdów.

Przyjeżdżający do Meramec nie wiedzieli, że w czasie, gdy podziwiali wapienne formacje skalne, na zderzakach ich aut pojawiała się tabliczka reklamująca tę atrakcję turystyczną. Najpierw dzieciaki z lokalnej szkoły wynajmowane przez Lestera przyczepiały drutem tabliczkę do przedniego zderzaka, a potem, gdy pojawiły się plastikowe naklejki, masowo przyklepiały je do tylnych zderzaków samochodów. Lester Dill rozpropagował więc *bumper sticker*, czyli „zderzakowe naklejki”, a niektórzy historycy przypisują mu nawet ten wynalazek (choć wymyślił je podobno jakiś rzemieślnik z Kansas City). Turystom wyjeżdżającym z Meramec najwyraźniej naklejki nie przeszkadzały i nie próbowali ich odrywać, bo nazwa jaskiń zaczęła być rozpoznawana w różnych częściach kraju.

O talencie Lestera do wymyślania kampanii reklamowych, akcji marketingowych i działań public relations, zanim te pojęcia stały się popularne na świecie, rozmawiałam z Rickiem, szefem przewodników. Rick pracował tu przez całe liceum i wrócił po skończeniu studiów. Jego szefem jest wnuk Lestera, który nosi takie samo imię. Ale wzorem pozostaje ten pierwszy - Lester Dill.

Naklejki na samochodach mu nie wystarczały. Zaczął więc nazwę Meramec Caverns malować na dachach i ścianach stodół, widocznych z Drogi 66. Czasem cenę za umieszczenie

napisu stanowiło odmalowanie całej stodoły, a czasem gospodarz dostawał butelkę whiskey, a dzieci darmowe bilety do jaskiń. Gospodynie były obdarowywane pudełkami czekoladek. Lester zawsze miał w samochodzie zapasy upominków i wiadra z farbą.

W czasie drugiej wojny światowej zaproponował dowódcom pobliskiej bazy wojskowej przeprowadzenie manewrów pod ziemią, a dla żołnierzy co wieczór organizował potańcówki.

Potem okrzyknął swoje jaskinie najbezpieczniejszym schronem atomowym, umiejętnie wykorzystując panujący w Stanach Zjednoczonych strach przed atakiem ze strony Związku Radzieckiego.

Pod koniec lat czterdziestych wysłał swojego zięcia wraz z kolegą do Nowego Jorku. Tam młodzieńcy wdrapali się na wieżowiec Empire State Building. Obydwaj mieli na sobie kostiumy ze skór lamparta. Wisząc na gzymsie drapacza chmur, grozili, że skoczą, jeśli wszyscy ludzie na świecie nie pojedą do Meramec. Policjanci ściągnęli z budynku dwóch młodych szaleńców, którzy spędzili potem dziewięć dni w więzieniu, ale cel został osiągnięty - wszystkie amerykańskie gazety pisały o tym wyczynie i o jaskiniach.

Lester organizował też śluby i wesela pod ziemią. Młodym parom oferował wycieczkę na Bahama, jeśli przez dziesięć dni, przebrane w lamparcie skóry, będą szukać w jaskiniach ukrytego klucza. I wielu szukało, udając jaskiniowców, ku uciesze zwiedzających!

Kiedyś w czasie suszy, gdy poziom wody był bardzo niski, Lester odkrył kolejne sale, wyrobiska, korytarze. W nich znalazł zardzewiały pistolet i rozpadający się kuferek. Od razu ogłosił, że są to dowody potwierdzające fakt ukrywania się w jaskiniach najslawniejszego gangstera Ameryki. Natychmiast nadał pieczarom przydomek „Kryjówka Jessego Jamesa”.

Kilka lat później natknął się na niejakiego J. Franka Daltona, stuletniego staruszka, który utrzymywał, że to on jest prawdziwym Jesse Jamesem, a tamten facet zastrzelony w 1882 roku to był ktoś podstawiony. Staruszek zamieszkał w specjalnie zbudowanej chacie przed wejściem do jaskiń, a dziennikarze i fotografowie z całych Stanów masowo przyjeżdżali, aby go zobaczyć. Zmarł na kilka dni przed swoimi sto czwartymi urodzinami, w 1951 roku.

W jednej z jaskiń Lester odkrył prawdziwy teatr. Skalną scenę oddzielała od widowni rzeczka, a kamienną kurtynę tworzyły stalaktyty, które zwisały aż do ziemi i sprawiały wrażenie, jakby były zasłoną, która za chwilę ma się unieść. Do dziś spektakl w podziemnym teatrze widzom zapiera dech w piersiach. To prezentacja światła i dźwięku. W głośnikach rozległa się muzyka *God Bless America*. Głos Kate Smith, pieśniarki, która zasłynęła doskonałymi

wykonaniami tego nieoficjalnego hymnu Stanów Zjednoczonych, stworzył niezwykle patetyczny nastrój. Światła rozbłyskały i gasły, pokazując ogrom i wspaniałość jaskini, by na koniec utworzyć amerykańską flagę. Burza oklasków nagrodziła ten pokaz, a większość starszych zwiedzających miała łzy w oczach. Przewodniczka przyznała potem, że ludzie przeważnie tak reagują.

Byłam naprawdę pod wrażeniem. Lester Dill wiedział, co robi. Nie tylko pokazywał piękne jaskinie przybyszom, lecz także czynił ich wizytę niezapomnianą. I tak jest do dziś. Tysiąc trzysta osób dziennie odwiedza podziemny świat Lestera.

Kilka mil od jaskiń trafiłam na muzeum Jessego Jamesa, które stworzył nie kto inny jak Lester Dill. Główną atrakcją tego miejsca była woskowa figura staruszka J. Franka Daltona, czyli domniemanego przestępcy, i zdjęcie ucha bandyty, które miało dowodzić, że Dalton i James to ta sama osoba.

Wystawa trochę mnie rozśmieszyła, ale inni zwiedzający byli naprawdę poruszeni. Czteroosobowa rodzina z Iowa próbowała zrobić sobie zdjęcie samowyzwalaczem przy figurze stulatka. Pomogłam im w uwiecznieniu ich uśmiechniętych twarzy na tle rzekomego bandyty. Oczywiście, byli wcześniej w jaskiniach. Czy to fascynacja opryskiem? Nie, po prostu chcą pomóc dzieciom (chłopcy, dwanaście i czternaście lat) poznać dzieje swojego kraju.

- Historia nie jest ulubionym przedmiotem synów - tłumaczył ojciec. Dlatego wspólnie z matką wymyślili, że zachęcą chłopców do nauki, ruszając w wakacje szlakiem słynnych przestępców. Przecież są oni nieodłączną częścią przeszłości Ameryki. W ten sposób mieli zamiar upiec kilka pieczeni przy jednym ogniu - rodzina spędzi wspólne wakacje, podróż będzie atrakcyjna dla dzieci i przy okazji wszyscy wiele się nauczą. Pogratulowałam rodzicom pomysłu z nadzieją, że po powrocie z wakacji chłopcy nie wyciągną strzelby tatusia i nie zaczną się bawić w rabusiów i morderców. A rodzice (mechanik samochodowy i bibliotekarka) chcieli się popisać wiedzą zdobytą już przez dzieci, zawołali więc potomków, którzy na wyścigi mówili o słynnym bandycie.

Jesse James urodził się w Missouri, pochodził z bogatej rodziny, jego ojciec był pastorem kościoła baptystów. W czasie wojny secesyjnej Jesse dołączył do grupy bojowników konfederackich. Po zakończeniu walk założył wraz z bratem własną bandę. Działal tu, w Missouri. Rabował i zabijał. Mówiono, że odbierał bogatym, ale nie okradał biednych farmerów i robotników, rozpoznawał ich po spracowanych dłoniach. Oszczędzał też kobiety.

Tyle wiedzieli młodzieńcy z Iowa. Przypomniało mi to, że czytałam kiedyś, jak pewnego razu na pełnym ludzi stadionie w Kansas City Jesse James ze swoim gangiem ukradł z kasy tysiąc dolarów. Bandyci, uciekając, postrzelili dziewczynkę. Miejskowa prasa wówczas nie dość, że nie potępiła napadu i strzelania do przypadkowych ludzi, to wręcz napisała, że rabusie mieli fantazję na miarę rycerzy króla Artura. Rodziny innych ofiar twierdziły co prawda, że ten sympatycznie wyglądający blondyn z małą bródką jest zwykłym przestępcą, ale wiele osób usprawiedliwiała jego brutalne metody. Takie to były czasy. Mimo zakończenia wojny secesyjnej, kraj był podzielony politycznie i akceptowano przemoc. Wszystko działo się w okresie wzrostu przestępczości i ogólnego bałaganu, jaki panował w Ameryce. Sprzyjały mu wędrówki ludzi i ich ekspansja na zachód, gdzie prawo nie obowiązywało. Na Dzikim Zachodzie spotkanie z każdym nieznanym człowiekiem mogło oznaczać śmierć, więc wielu zamieniało bezprawie na odznakę stróża prawa. Szeryfami zostawali ci, którzy mieli odwagę upomnieć się o swoje, słusznie lub nie. Na przykład Bill Hickock, rewolwerowiec i hazardzista, zastrzelił wierzyciela w sporze o spłacenie długu, a następnie wybronił się przed sądem i został stróżem prawa w kilku kolejnych miasteczkach.

Wspomnienie o Dzikim Billu Hickocku wywołało ekscytację u młodzieńców z Iowa, którzy popatrzyli na mamę, szukając potwierdzenia, czy pojedą też jego śladami. Gdy przytaknęła, powiedzieli mi, że odwiedzą też miejsca, w których bywali Billy the Kid (nastoletni rewolwerowiec, który zabił dwadzieścia siedem osób, a zginął w Nowym Meksyku z ręki swojego byłego przyjaciela - szeryfa Pata Garretta) i Butch Cassidy (dowodził gangiem o nazwie „Wild Bunch”, napadającym na banki i pociągi, członkiem tej bandy rewolwerowców był Sundance Kid). Chłopcy wierzyli, że trafią na ślady Bonny i Clyde’a (terroryzowali Amerykę napadami i morderstwami w latach trzydziestych XX wieku, zastrzeleni w Luizjanie), a może i Pretty Boy Floyda (mordercy i rabusia, na którego pogrzeb w Oklahoma City przybyło kilkadziesiąt tysięcy ludzi).

Chwilę rozmawialiśmy o tym, że bandyci najpierw trafiali na pierwsze strony gazet, a potem stawali się bohaterami książek i filmów. Przypominaliśmy sobie tytuły hollywoodzkich produkcji na ich temat. Na pierwszym miejscu znalazł się film *Zabójstwo Jessego Jamesa przez tchórzliwego Roberta Forda* z Bradem Pittem, choć jak na gust nastoletnich badaczy historii z Iowa trochę w nim za mało akcji. Potem był *Pat Garrett i Billy Kid* Sama Peckinpaha z Krisem Kristoffersonem, do którego muzykę napisał Bob Dylan, zresztą zagrał w tym filmie

drugoplanową rolę. I *Gwiazda szczęścia Billy Kida* Arthura Penna z Paulem Newmanem, i *Młode strzelby* z Emilio Estevezem. Przekrzykiwaliśmy się, pytając, kto mógłby nie pamiętać filmu *Bonnie i Clyde* Arthura Penna z Warrenem Beattym i Faye Dunaway? I piosenki o tej parze przestępców śpiewanej przez Brigitte Bardot i Serge'a Gainsbourga? A *Butch Cassidy i Sundance Kid* z Paulem Newmanem i Robertem Redfordem? To przecież klasyka! Zresztą słynny festiwal filmowy Sundance stworzony przez Redforda otrzymał nazwę właśnie po tej roli. O Pretty Boy Floydzie powstało co najmniej pięć filmów, najnowszy to *Wrogowie publiczni*. O tym bandycie śpiewali między innymi Bob Dylan i Joan Baez.

Potem przyłączyli się do nas kolejni zwiedzający, nieco starsi, dodali więc do naszej listy filmy z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. A kasjer w muzeum zaczął cytować fragmenty pieśni poświęconych Jessemu Jamesowi.

Wyjeżdżałam stamtąd, myśląc, jak wiele racji miał irlandzki pisarz Oscar Wilde, który zauważył podczas podróży po Stanach w 1882 roku: „Amerykanie zawsze kochali swoich bohaterów i zawsze wybierali ich spośród ludzi wyjętych spod prawa”³.

jechałam dalej na zachód. Za miasteczkami Cuba i Rolla ze śmiesznym Mule Trade Station - sklepikiem, którego maskotką jest muł - Droga 66 zaczęła się wic wśród drzew. Biegła to z jednej, to z drugiej strony autostrady, przeskakując nad nią wiaduktami lub ciągnąc się pod nią tunelami. Skręcała nagle jak płynąca opodal rzeka. Intensywna zieleń pomagała zmęczonym oczom, a niespodziewane zakręty były przyjemnym urozmaiceniem podróży. Z pewnością w dawnych czasach, gdy drewno spławiano rzeką, takie zawijasy były utrapieniem dla flisaków. Może dlatego najbardziej ostry zakręt nazwano Devil's Elbow - „Łokieć Diabła” - bo trudno go było pokonać.

Pozostając wciąż pod wpływem rozmów o bandytach, pomyślałam, że rabusie na pewno urządzili tu niejedną zasadzkę na dylizanse jadące wzdłuż rzeki. Zdałam sobie sprawę, że chcąc nie chcąc, i ja podążam szlakiem słynnych rewolwerowców, wszak zbliżałam się do Springfield (w każdym stanie jest miasto o tej nazwie), gdzie Dziki Billy Hickock odbył swój pierwszy słynny pojedynek rewolwerowy. Postanowiłam, że zobaczę to miejsce. W końcu ten facet, który mówił: „Na niebiosa, nigdy nie zabiłem człowieka bez dobrego powodu”, wciąż jest legendą Ameryki.

³ W przekładzie autorki.

„mam marzenie...”

Springfield w stanie Missouri okazało się miastem z rozległymi przedmieściami, centrami handlowymi i zadbanymi, odnowionymi domkami w śródmieściu. Dumni z tego państwo Tommy i Windy Pike'owie, emeryci działający w stanowym Stowarzyszeniu Drogi 66, ubolewali jednak, że pewnych ważnych miejsc na tej trasie nie udało się uratować, zwłaszcza tych, które leżały poza centrum miasta. Z Pike'ami spotkałam się w niezwykle popularnej, typowo amerykańskiej knajpce Steak'n'Shake. Zajadając słynne steak burgery (siekane kotlety) i popijając mleczne koktajle (Windy nie mogła uwierzyć, że to mój pierwszy amerykański koktajl w życiu), rozmawialiśmy o historii miasta.

Od Pike'ów dowiedziałam się, że z powierzchni zniknął, niestety, pierwszy w Stanach Zjednoczonych *drive-up window*. To właśnie tu, w Springfield, narodziła się idea, aby klienci mogli kupować, zamawiać i odbierać jedzenie bez wysiadania z samochodu. Wpadli na ten pomysł Julia i Sheldon Chaneyowie, którzy w 1940 roku uruchomili Red's Giant Hamburg przy Drodze 66. Ludzie tłumnie podjeżdżali do drewnianej budki, zachwyceni takim dogodnym wynalazkiem. Chaneyowie majątku jednak na swoich hamburgerach nie zbili, bo inne knajpki, a potem coraz szybciej pączkujące sieci fast foodów, wprowadziły podpatrzone u nich rozwiązanie. „I tak długo działali - przekonywali mnie Pike'owie. - Budynek rozpadł się dopiero w 1997 roku”.

Gdy opowiedziałam to dwudziestopięcioletniej Ash - wesołej, pewnej siebie, pulchnej dziewczynie, urodzonej i wychowanej w Springfield - patrzyła na mnie dziwnie. Opowieść o pierwszym okienku z hamburgerami dla zmotoryzowanych brzmiała jak jakaś bajka. Jak to? Kiedyś nie można było kupić wszystkiego z samochodu? Ash prowadziła swojego wielkiego pikapa jedną ręką, drugą pokazywała mi kolejne miejsca, gdzie może załatwić wszystko bez wysiadania z auta: kawiarnia, apteka, pralnia, biblioteka, sklep alkoholowy. Opowiadając, potrząsała czarnymi krótkimi włosami. Kolczyki zdobiły jej nos, brodę, wargę, język. Ramiona miała całe w tatuażach. Od siedmiu lat prowadzi w zaprzyjaźnionym gabinecie tatuażu punkt przekłuwania ciała i zakładania kolczyków. Była więc chodzącą reklamą własnej pracy. Spodobał mi się w niej zapał, z jakim, uświadomiwszy sobie, jak wiele może i powinna nauczyć się o własnym mieście, postanowiła poszukać wraz ze mną historycznych miejsc.



Moja przewodniczka po Springfield w stanie Missouri - Ash. Zajmuje się piercingiem. Jej chłopak Shane także jest cały wytatuowany. Mili, otwarci, ciekawi świata - zaprzeczenie stereotypów.

Szukałam w Springfield śladów kobiety, dzięki której to miasto przeszło do historii. Miała na imię Alberta, była Murzynką. Opowiedziała mi o niej jej córka mieszkająca teraz w St. Louis, Ora Logan, pełna energii mimo swoich ponad osiemdziesięciu lat.

W przestronnym salonie jej domu żyjący z nią przyjaciel, o kilka lat od niej młodszy Bert, donosił nam kolejne kubki kawy i od czasu do czasu wtrącał swoje wspomnienia. „Zamieszkaliśmy razem, gdy zmarli mąż Ory i moja żona, bo we dwoje różniej” - tłumaczył Bert.

Ora, wyciągając kolejne albumy ze zdjęciami, mówiła, że gdy Nat King Cole, znany na całym świecie pianista i śpiewak jazzowy, podróżował w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku ze swoim zespołem po Drodze 66 między Chicago a Los Angeles, nie mógł w żadnym motelu wynająć pokoju ani w żadnej restauracji zjeść obiadu. Mógł liczyć tylko na przyjaciół i krewnych. Dlaczego? Bo mimo zniesionego w 1865 roku niewolnictwa i przyznania w 1870 roku praw wyborczych czarnym mężczyznom wciąż w różnych miejscowościach obowiązywały rasistowskie przepisy. Wiele hrabstw utrzymało bowiem, wprowadzone po wojnie secesyjnej, regulacje segregacyjne zakazujące między innymi małżeństw różnych ras i nakazujące naukę białych i czarnych dzieci w oddzielnych szkołach. To rozciągało się na wszystkie dziedziny życia. Były więc osobne miejsca w autobusach i pociągach, osobne fotele w kinach, ławki w parkach i toalety dla białych i Murzynów. Do restauracji i moteli Murzyni mieli zakaz wstępu.

Biali chętnie słuchali głosu Nat King Cole'a, ale nie chcieli siedzieć z nim w jednym pomieszczeniu. Muzyk, który stworzył takie arcydzieła jak *Mona Lisa* czy *Unforgettable*, dziś, ponad czterdzieści lat po śmierci, uważany za jedną z najważniejszych osobowości w historii amerykańskiej muzyki, był wtedy obywatelem drugiej kategorii.



Ora Logan pokazuje zdjęcia ilustrujące skomplikowaną historię jej rodziny - niewolnicy i biali właściciele stają się krewnymi. Jest niezwykle dumna ze swojej babci, Alberty, która założyła pierwszy hotel dla kolorowych na Drodze 66. Dzięki temu Nat King Cole nie musiał czuć się jak obywatel drugiej kategorii.

Mama Ory, Alberta, któregoś dnia stwierdziła, że tak dłużej być nie może. Kupiła wielki gmach po starym szpitalu, zapędziła całą rodzinę do pracy i otworzyła pierwszy hotel dla kolorowych przy Drodze 66.

W połowie lat pięćdziesiątych Alberta's Hotel stał się kwitnącym biznesem. Działały w nim fryzjer i salon piękności, były klub i jadalnia, serwująca najlepszą południową kuchnię w regionie. Wszystko oczywiście dla czarnych, ale i białych Alberta mile witała. Zdarzało się, że przebywający na przepustce żołnierze czarni i biali, nie chcąc się rozłączać, nocowali u Alberty, a kiedyś różnokolorowe towarzystwo wyrzucone z lokalu dla białych przetańczyło w klubie całą noc.

Wśród gości licznie napływających do hotelu Alberty znajdował się oczywiście Nat King Cole. Przyjeżdżali tam też inni muzycy, między innymi Count Basie, Roy Hamilton, Louis Jordan. Hotel odwiedzali również sportowcy, na przykład drużyna koszykówki Harlem Globetrotters, w której występowali najślynniejsi koszykarze zawodowej ligi NBA, popisując się swoimi umiejętnościami. Spotkania i rozmowy przy kolacjach były długie, wesołe i ciekawe.

Alberta zachęcona sukcesem rozszerzyła działalność i otworzyła Farmę szesnaście kilometrów na zachód od miasta, oczywiście przy Drodze 66. Z ogrodu przy domu pochodziły warzywa i owoce używane w hotelowej restauracji. Na Farmie były też: miejsce piknikowe, kemping i dodatkowe pokoje. Gdy hotel pękał w szwach, gości rozlokowywano właśnie na Farmie. To prawdopodobnie pierwszy pensjonat typu *Bed and Breakfast*. Obrotna właścicielka

organizowała tam wielkie grillowania, w których uczestniczyli turyści, znajomi, krewni, a także różne wagabundy i bezdomni.

Przy Drodze 66 Alberta niebawem otworzyła też klub nocny Crystal Palace, gdzie lokalni i przyjezdni artyści grali bluesa. Interes kwitł.

W 1960 roku weszły w życie przepisy, które nakazywały, aby punkty gastronomiczne i usługowe dla podróżnych (a więc i hotele) zostały otwarte dla wszystkich, bez względu na rasę. Alberta mogła więc uznać swoją misję za zakończoną. Upragniona wolność i równość oznaczały dla niej koniec biznesu. Gdy umierała w 1964 roku, usługi turystyczne tylko dla czarnych nie były już potrzebne.

Pokazując wycinki z prasy i dokumenty, Ora wzdychała, że tak wiele lat minęło. Raptem ucieszona postukała palcem w starą gazetę, w której wydrukowano zdjęcie białej kobiety przemawiającej na cmentarzu.

- To moja krewna! Mamy wspólnego prapradziadka - powiedziała. Prezentowała kolejne fotografie i mówiła, że to było bardzo dziwne uświadomić sobie, że ci biali ludzie są jej krewnymi. Ora dowiedziała się o tym, gdy Stowarzyszenie Cór i Synów Amerykańskiej Rewolucji zaprosiło ją na uroczystość dla uczczenia pamięci zasłużonych w wojnie o niepodległość.

Tym zasłużonym dla kraju przodkiem był David Bedell, posiadacz ziemski i właściciel niewolników. Podobnie jak inni biali panowie dbał on, aby czarne kobiety rodziły dużo dzieci (także jego). Potomkowie pozostawali niewolnikami, ale otrzymywali jego nazwisko i pracując, pomnażali jego majątek. W przeciwieństwie do większości sąsiadów Bedellowie dobrze traktowali swoich ludzi, nie biczowali ich ani za karę, ani „na wszelki wypadek”. W tej rodzinie wszyscy razem, biali i czarni, pracowali na roli. Razem budowali nowy kościół. Potem razem się w nim modlili. Ale gdy nadeszły ciężkie finansowo czasy dla rodziny Bedellów, postanowili ratować się, sprzedając niewolników razem z dziećmi. Ora podkreślała jednak, jakby chcąc „wybielić” przodków, że sprzedali ich tylko swoim krewnym. Chodziło o to, aby rodzina trzymała się razem! Praprababcia Ory, Leanah, została wyceniona na tysiąc pięćset pięćdziesiąt dolarów. Każde z jej dziewięciorga dzieci trafiło do innego domu. Potem, po zakończeniu wojny secesyjnej i zniesieniu niewolnictwa, wszyscy otrzymali wolność.

Najmłodsza córka Leanah, Eliza, wyszła za mąż za George'a, który uciekł z niewoli z Arkansas i przyłączył się do wojsk Północy. Mimo że dziadek pięknie przemawiał i recytował

cudowne modlitwy, do końca życia nie nauczył się czytać ani pisać. Nie przeszkodziło mu to jednak w posiadaniu czterech domów. Ich córka, Alberta, odziedziczyła po rodzicach żyłkę do interesu. A Ora z kolei po mamie ma energię i inicjatywę. W 1973 roku założyła stowarzyszenie dawnych mieszkańców Springfield. Na spotkania do jej rodzinnego miasta zjeżdżają ludzie z kilkunastu stanów. Pracuje też nad odtworzeniem historii czarnej społeczności w Springfield.

Stojąc w miejscu, gdzie Alberta uruchomiła swój hotel, zdałam sobie sprawę, że w Springfield widziałam bardzo mało Murzynów. Stanowią oni niespełna trzy procent mieszkańców.

„I co z tego? Liczby nie są ważne, ważne są dążenia - zadźwięczały mi w uszach słowa Ory. - Wśród mieszkańców USA żyje tylko trzynaście i pół procent Murzynów, a mimo to czarnoskóry, Barack Obama, został prezydentem”. Ora powiedziała mi, że doskonale pamięta, jak w 1963 roku Martin Luther King wygłaszał w Waszyngtonie swoje płomienne przemówienie *I have a dream* („Mam marzenie”): „Mam marzenie, że pewnego dnia ten naród się podniesie i wcieli w życie prawdziwy sens swego wyznania wiary: «Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi»”⁴.

Wtedy nikt, ale to absolutnie nikt nie śmiał nawet myśleć, że efektem zniesienia segregacji rasowej może być wyniesienie Murzyna na najwyższy urząd w państwie. „Co prawda - dodała Ora - Barack Obama nie pochodzi z rodziny niewolników. Ten pół Amerykanin, pół Kenijczyk jest właściwie półbiałym. Może to właśnie dlatego nie miał kompleksów, tej murzyńskiej złości potomka niewolników, i dzięki temu udało mu się osiągnąć tak wiele”.

⁴ Martin Luther King odwoływał się do preambuły, uchwalonej w 1776 roku, Deklaracji Niepodległości, autorstwa Thomasa Jeffersona, która głosi: „Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, że w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście”.

chrześcijańskie Las Vegas

Przy szosie stał wielki bilbord z jednym tylko słowem: „JESUS”. Wyprzedziłam ciężarówkę wiozącą rury. Z tyłu granatowej nadbudówki zobaczyłam napis: „Jesus is Lord”. Samochód miał rejestrację z Missouri. Kilka minut później minęłam kolejny bilbord. Wielki napis krzychał: „Pornografia zatruwa umysł, duszę, ciało”. A obok zdjęcia małej, słodkiej dziewczynki w pastelowej sukienusi.

No tak, Missouri leży przecież w Bible Belt, Pasie Biblijnym, obszarze zdominowanym przez protestanckich fundamentalistów. Mieszka tu wielu bardzo religijnych ludzi, zwłaszcza baptystów, gorliwie praktykujących i często powołujących się na Pismo Święte. Pas Biblijny obejmuje w znacznej części te stany, które chciały dokonać secesji w połowie XIX wieku: od Wirginii na wschodzie, po Teksas na zachodzie, od Florydy na południu, po Missouri na północy.

Ta część Stanów Zjednoczonych różni się od innych regionów kraju. Na północno-wschodnim wybrzeżu dominują „zwykli” protestanci i katolicy. Środkowy wschód i region Wielkich Jezior szczyli się największą różnorodnością religijną. Zupełnie inny jest tak zwany Korytarz Mormonów w Utah i południowym Idaho. Zachodnie Wybrzeże jest najbardziej laickie, odsetek niewierzących dochodzi tam nawet do dwudziestu pięciu procent.

Na kolejnym bilbordzie zobaczyłam napis: „Branson. Przełącz radio na 1650 AM”. Nastawiłam odbiornik na wskazaną częstotliwość. I usłyszałam głęboki męski głos zachęcający do przyjazdu do słynnego Branson - ostoji konserwatyzmu. Miasteczko jest powszechnie zwane „Las Vegas środkowego wschodu”, tyle tylko, że w przeciwieństwie do Las Vegas w Branson rozrywka jest „porządna”, to znaczy nobliwa. Nie ma hazardu ani treści erotycznych, odkrytych ramion, fikania nogami. Promuje się tu wyłącznie prawdziwe amerykańskie, religijne i patriotyczne wartości: Rodzina, Bóg, Ojczyzna. Mogą więc do Branson przybywać całe rodziny. Męski głos zachęcał, aby babcie zabrały wnuki i przyjechały posłuchać muzyki z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych... - wylicznka trwała długo. Potem nastąpiły rozmowy z artystami, którzy już siódmy, dziesiąty, siedemnasty sezon grają w Branson.

Gdy zobaczyłam przy szosie punkt informacji turystycznej z dużym napisem: „Zniżkowe kupony do Branson”, nie wahałam się ani sekundy.

W budynku dawnej stacji benzynowej nie było klientów, za to sześć pań ze słuchawkami telefonicznymi przylepionymi do uszu, odpowiadało na pytania i dokonywało rezerwacji.

Wszystkie kobiety wyglądały podobnie: długie ciemnoblonde włosy niedbale spięte w kucyk lub rozpuszczone, lekko rozciągnięte sweterki maskujące tuszę. Ja, z moimi krótkimi włosami, w szortach, bluzeczce bez rękawków i kłapkach, poczułam się nie na miejscu.

Gdy jedna z kobiet z plakietką informującą, że ma na imię Terri, dowiedziała się, że jadę do Branson w pojedynkę, spojrzała na mnie jakoś dziwnie, jakby chciała powiedzieć, że tam singli się nie przyjmuje. Zaczęła proponować mi noclegi w pakietach turystycznych i zachwalać oferty. Przerwałam jej wywód, mówiąc, że chcę tylko zwiedzić Branson. Popatrzyła na mnie zaskoczona.

- Zwiedzić? Branson się nie zwiedza. Branson się doświadcza - powiedziała tonem, który powinien dać mi dużo do myślenia.

Terri była bardzo rozczarowana, że nie chciałam zarezerwować miejsca na seans magii, zaproponowała mi więc bilet na koncert zespołu The Haygoods. Siedmiu braci i jedna siostra grają na dwudziestu instrumentach. Od siedemnastu lat występują nieprzerwanie w Branson i dali już dziesięć tysięcy przedstawień dla czterech milionów osób. Są wspaniali, ich pokaz od czterech lat zdobywa tytuł Najlepszego Variétés w Branson. To wszystko kobieta wyrecytowała na jednym wydechu takim tonem, że nie śmiałam zapytać, jak możliwa jest tak długa kariera, skoro część członków zespołu wygląda na nastolatków.

Kobieta otworzyła kolejny folder. Na zdjęciu uśmiechnięta rodzina tańczyła w strojach z XIX wieku. A na sąsiedniej stronie zobaczyłam dziatki przy zabudowaniach gospodarskich. Dalej kobieta na koniu z wielką amerykańską flagą. A potem śpiewający kowboje strzelają do siebie. Terri poinformowała mnie, że to będzie dla mnie najlepsze. Show w amfiteatrze na świeżym powietrzu, pod tytułem *The Shepherd of the Hills* („Pasterz ze wzgórz”) pokazuje, jak żyli, pracowali i bawili się osadnicy na tych terenach. Moją odmowę przyjęła karcącym wzrokiem. Miałam wrażenie, że ranię jej uczucia. Pożegnałam się, bo już z grubsza wiedziałam, co mnie czeka w Branson.

Miasteczko leży tylko czterdzieści kilka mil na południe od Drogi 66. Szosa to się wspina, to opada, by w końcu wylądować na szczycie. Przy wjeździe do miasta zobaczyłam napis: „Liczba mieszkańców: sześć tysięcy”. Ale do Branson co roku przyjeżdża siedem milionów osób!

Wszystkie rozrywki są ulokowane na Strip. Tak wzorem Las Vegas nazwano główną ulicę, ciągnącą się przez prawie trzynaście kilometrów. Jadąc, mijałam kolejne teatry i sale

koncertowe. Branson ma więcej miejsc na widowniach niż Broadway, działa tu czterdzieści scen, które dają sto różnych przedstawień. Przejeżdżałam obok wesołych miasteczek, basenów ze zjeżdżalniami, restauracji, w których przeważają bufety *all-you-can-eat* („jesz ile chcesz”). Między atrakcjami ulokowały się kościoły.

Największa świątynia mieści się w ogromnym studiu telewizyjnym tuż pod Branson. Należy ona do pastora Jima Bakкера, który szczyt popularności osiągnął w latach osiemdziesiątych. Swoje kazania nadawał z Południowej Karoliny, a pokazywało je sto osiemdziesiąt różnych stacji telewizyjnych, przed odbiornikami zasiadało trzynaście milionów widzów. Każda audycja kończyła się wezwaniem do wpłat na konto, ale pieniądze zamiast na centrum religijne, szły na prywatne wydatki pastora. Sprzeniewierzył trzy i pół miliona dolarów. To był największy skandal, z jakim wierni w Stanach mieli do czynienia. W 1988 roku duchowny trafił za kratki, odsiedział pięć lat. Gdy wyszedł z więzienia, Branson pierwsze mu wybaczyło i przyjęło go z otwartymi ramionami. Bo któż nie błądzi? A poza tym miasto potrzebowało takiej gwiazdy - charyzmatycznego kaznodziei, który swoimi egzaltowanymi kazaniem porywa tłumy i pokazuje, że alternatywa jest bardzo prosta: niebo albo piekło, a więc wybieraj: zbawienie lub otchłań. Jeśli nie jesteś z nami, to stajesz przeciwko nam.

Po chwili z wielkiej tablicy uśmiechała się do mnie inna gwiazda Branson, Andy Williams. Jego piosenka *Moon River* w 1961 roku podbiła serca wszystkich Amerykanów (znana ze ścieżki dźwiękowej filmu *Śniadanie u Tiffany'ego*). W 1991 roku Williams, zmęczony ciągłymi podróżami między Los Angeles a Las Vegas, przeniósł się do Branson. Otworzył tu własny teatr. Dziś ponadosiemdziesięcioletni piosenkarz ma wciąż piękny głos i dystyngowany wygląd. Bilety na jego recitale zawsze są wykupione.

Ja się nie załapałam na występ, pojechałam więc dalej. Na plakatach Rosjanin w futrzanej czapie - trudno się zorientować, czy to piosenkarz czy komik. Obok zdjęcia muzyków country w kowbojskich kapeluszach. Country dwadzieścia lat temu przeżyła w Branson prawdziwy rozkwit i stała się tak popularna, że na koncerty przyjechał kiedyś sam Willie Nelson.

Starsza pani z trójką prawnuków, którą zaczęłam na ulicy, była tak podekscytowana perspektywą wieczornej rozrywki, że wydała z siebie okrzyk radości i podskoczyła. Dzieciaki patrzyły to na nią, to na plakaty z klaunami. Widać, że występy cyrkowe w Branson mają wzięcie.

Przekonałam się też, że w miasteczku nie brakuje wielkich outletów, wszak robienie zakupów jest jedną z podstawowych rozrywek dużej części społeczeństwa amerykańskiego. Widziałam centrum rękodzieła, gdzie rzemieślnicy pokazują, jak dmucha się szkło i lepi garnki. W Branson można również łowić ryby w jeziorze, po którym pływa statek pasażerski z najróżniejszymi atrakcjami, na przykład odbywają się tam przedstawienia. W Branson jest też oczywiście ogromny kemping, a właściwie parking dla wielkich amerykańskich wozów i przyczep turystycznych, którymi rodziny z całych Stanów przyjeżdżają zażyć rozrywki.

W Branson widziałam wreszcie Silver Dollar City - ogromny park tematyczny, miasteczko przeniesione wprost z lat osiemdziesiątych XIX wieku. W niedzielę odbywają się tu cztery msze. Pete Herschend, który w 1960 roku wraz z bratem i mamą otworzył ten przybytek, podkreślał, że ich firma jest chrześcijańską korporacją. „Robimy tylko to, co uważamy, że Bóg pochwała”. Zdaniem Herschenda Branson odzwierciedla po prostu przeciętną Amerykę. Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, nie chcą, żeby miasto zmieniło swój charakter. Gdy poddano pod głosowanie propozycję, aby trzydzieści kilometrów stąd otworzyć kasyno, co przyniosłoby miliony dolarów dochodu, religijni przywódcy się sprzeciwili, więc projekt przepadł. I bardzo dobrze. Przestaliby przecież przyjeżdżać ci, którzy stanowią serce Ameryki. Ludzie chcący spokojnie i bezpiecznie spędzić kilka dni, poświęcić czas na refleksję chrześcijańską. Zaczęliby za to zjawiać się przybysze pragnący nie wiadomo czego i myślący nie wiadomo o czym.

Wróciłam z Silver Dollar City na Strip. Wisiało tam mnóstwo billboardów zapraszających na jubileuszowy program rodziny Presleyów (ale nie tych od Elvisa). To bardzo utalentowana familia. Ponad czterdzieści lat temu jako pierwsza zaczęła występować na żywo w Branson. Czytałam kiedyś wywiad ze Steve'em Presleyem, który oceniał w nim swoich widzów jako „w przeważającej mierze tłum robotniczy”. W większości to klienci taniej sieci supermarketów Walmart, ciężko pracujący, by zarobić pieniądze na wakacje.

„Cztery pokolenia razem na scenie” - krzyżały napisy na plakatach. A na wielkiej elektronicznej tablicy pokazywali się kolejni przedstawiciele klanu Presleyów - grali, śpiewali, opowiadali dowcipy. Człowiek w czerwonej czapeczce robił na ekranie śmieszne miny i wsuwał palec za oprawki okularów, machając nim do widzów. Wtedy usłyszałam radosny śmiech za plecami.

- Dobrze, nie? - pokrzykiwał do mnie mężczyzna, wokół którego kłębiło się kilkoro dzieci. Żona próbowała je jakoś uspokoić. Rozbawiony facet wskazał na ekran i oznajmił, że już nie

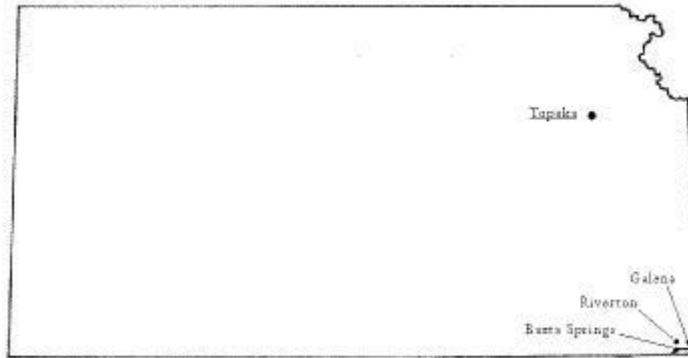
może doczekać się wieczornego show. Przyjechali z Arkansas pierwszy raz, ale będą wpadać co roku, już postanowili. Dlaczego? Rodzina jest bardzo religijna, a tu panuje dobry chrześcijański klimat. Poza tym nie ma brudu, nie widać imigrantów i kolorowych.

Żona szturchnęła go łokciem w bok, żeby się powstrzymał od takich uwag, na co on obruszony powiedział, że chyba tu może mówić, co myśli. Odeszli, kłócąc się.

Rzeczywiście, nie widziałam w Branson żadnej ciemnej ani skośnookiej osoby. Miasto odwiedzają tylko biali chrześcijanie. Według statystyk, prowadzonych przez lokalną izbę handlu, przeciętny turysta przyjeżdża na cztery dni i wydaje mniej niż dwieście pięćdziesiąt dolarów. Dochód typowej przybywającej tu rodziny ocenia się na pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie. Ale Branson ma ambitne plany - chce przyciągnąć lepiej wykształconą i więcej zarabiającą publiczność. Dlatego kilka lat temu powstało nowe centrum handlowe, w którym po raz pierwszy pojawiły się markowe, drogie ciuchy.

Miasteczko było miejscem letniego odpoczynku od początku XX wieku, a chrześcijańskim centrum rozrywki stało się w latach pięćdziesiątych. Od tamtego czasu nie słyszy się tu sprośnych dowcipów ani przekleństw. Nie dyskutuje o polityce, bo wszyscy mają takie same poglądy. Nikt tu nie krytykował ani prezydenta Busha, ani wojny w Iraku. Muzeum poświęcone weteranom różnych walk jest często odwiedzane. Wzdłuż ulicy powiewają flagi. Branson to odzwierciedlenie Ameryki marzeń wielu konserwatywnie myślących ludzi ze środkowego zachodu. To Ameryka, jaką mają w pamięci i jaką chcą zachować na przyszłość.

3 Kansas



Kochać C5

Droga 66 opuszcza Missouri tuż za ruchliwym Joplin, by wyłonić się w Kansas w miasteczku Galena. Stamtąd jest już zaledwie dwadzieścia jeden kilometrów do granicy z Oklahomą.

Długo przypatrywałam się mapie. W prawym dolnym rogu stanu Kansas nie mogłam dostrzec miejsca, w którym się znajdowałam. Stara szosa jak wąska wstążeczka wiła się wśród pól, pastwisk i nieużytków. W oddali widziałam malutki wiadukt przerzucony nad wyschniętym strumykiem i ostry zakręt, zza którego wyłaniały się jakieś zabudowania. Wokół nie było żywego ducha.

Stałam pośrodku wąskiej, popękanej Drogi, gdy zza zakrętu wyłonił się samochód. Sunął nisko, jakby przyklepiony do jezdni. Piękny. Dostojny. Rozpoznałam charakterystyczną sylwetkę - toż to cud motoryzacji, symbol Drogi 66 - corvette. A za nią następna, i kolejna. Aż mi dech zaparło. Jechały czerwone, czarne, żółte, granatowe. Stare i nowe. Płynęły wolniutko jedna za drugą.

Już myślałam, że to przywidzenie, bo skąd na tym ubogim pustkowiu takie auta, gdy kierowca z pierwszej corvette pomachał do mnie ręką. Okazało się, że samochody biorą udział w dorocznym amerykańskim zjeździe miłośników tych pięknych pojazdów, który odbywał się w Joplin, tuż za rzeką. Aut zjechało tam ponad sto. Kierowcy podzielili się na dwie grupy i ruszyli na kilkugodzinną przejażdżkę starą szosą.



Corvette - dwumiejscowe sportowe samochody produkowane przez firmę Chevrolet są symbolem Drogi 66 i marzeniem większości męskiej populacji Stanów Zjednoczonych. Pojawiły się na szosach w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Z czerwonego cacka wysiadł Jim Seward, przedstawiciel klubu samochodowego z Oklahomy, potężny mężczyzna w sile wieku. To on przewodził pierwszej grupie. Widząc w moich oczach podziw, rzucił tylko: „Corvette oznacza radość i przyjemność”. I zaraz podbiegł do następnego auta, wydając dyspozycje: zaparkują na skraju miasteczka.

Corvette wolniutko popłynęły dalej. Podążając za nimi, nagle poczułam, że mój, skądinąd wygodny, samochód z wypożyczalni, zupełnie nie pasuje do tych pięknych dwumiejscowych sportowych aut produkowanych przez firmę Chevrolet. Corvette pojawiły się na szosach w latach pięćdziesiątych. Dokładnie mówiąc, w 1953 roku, gdy pierwsza generacja kabrioletów zjechała z taśmy produkcyjnej. Wtedy wyprodukowano ich tylko trzysta. To były lata rozkwitu amerykańskiej gospodarki, ogromnego rozwoju, konsumpcji, szalonych przygód, podróży.

Auta zaparkowały jedno za drugim wzdłuż Drogi 66, tuż przy małej knajpce i sklepiku z pamiątkami na starej stacji benzynowej. Kierowcy (przeważali panowie z siwymi włosami) i pasażerowie (w większości pasażerki) stali przy nich, pozdrawiając się nawzajem i wspominając dopiero co przebyty odcinek szosy. Podeszłam do Dina Kroencke'ego, który właśnie wysiadał ze swojego granatowego auta z żółtymi skórzanymi fotelami i żółtymi deklami na kołach.

- To jest taki samochód, na jaki patrzysz zaciekawiony jako dziecko i zaczynasz o nim marzyć. Pragniesz go coraz bardziej, kiedy jesteś młodzieńcem, ale stać cię na niego, dopiero gdy dzieci wyprowadzą się z domu - śmiał się Din, korpulentny, uśmiechnięty blondyn.

Mówił, że przekroczył sześćdziesiątkę, jego dzieciaki są poza domem już od dziewięciu lat. Pierwszą corvette kupił w roku 2000, drugą - model red top - w 2004. A potem wymienił ją na granatową C5. Żona, elegancka kobieta z burzą kasztanowych włosów, stała z boku i potakiwała uśmiechnięta, pieszcząc wzrokiem ich ukochane cacuszko, które zamiast numeru miało na tablicy rejestracyjnej napis: „Love my C5”.

Din mówił, że gdy pada deszcz, auto stoi w garażu, a on siedzi i patrzy na nie. A gdy jest piękna pogoda, to kilka razy w miesiącu wybierają się z żoną na przejażdżkę. Często uczestniczą w takich rajdach jak ten, bo największą przyjemnością jest obcować z ludźmi, którzy dzielają swoją pasję i są w stanie docenić twój samochód. Mówiąc to, Din muskał palcami maskę wozu. Chwalił się silnikiem - jego pojemnością (5665 cm³) i mocą (345 koni mechanicznych). Corvette najnowszej generacji mogą osiągnąć prędkość do trzystu kilometrów na godzinę. Do setki rozpędzają się w cztery sekundy. Mężczyzna zaklinał się, że jeździ zgodnie z przepisami, bo

samo prowadzenie jest rozkoszą, nie ma więc po co gnać. Marzyli z żoną o tym aucie, ponieważ to bardzo rzadki model. Takich wozów powstało tylko tysiąc sto.



W rajdach miłośników corvette nie chodzi o szybkość jazdy, tylko o wspólne czerpanie przyjemności z samej jazdy. Sznur luksusowych sportowych aut dostojnie sunie przez Galenę.

Corvette nigdy nie były wytwarzane na masową skalę. Najwięcej zjeżdżało ich z taśmy produkcyjnej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych - czterdzieści tysięcy rocznie. Od 1953 do 2008 roku skonstruowano tylko milion czterysta tysięcy tych samochodów, oczywiście różnych modeli.

Din powiedział, że kupić taką corvette można za około sześćdziesiąt-siedemdziesiąt tysięcy dolarów. To niedużo, biorąc pod uwagę, że za najnowszy model - ZR1, który trafił do sprzedaży latem 2008 roku - trzeba zapłacić ponad sto tysięcy.

Najwyraźniej mówienie o ukochanym kabrioletcie sprawiło Dinowi ogromną przyjemność. Z wielką niechęcią poszedł w kierunku grupy znajomych, którzy mieli zamówić mu w sklepiku coś do picia.

Cztery Kobiety na Drodze 66

Sklep mieścił się w starym budynku stacji benzynowej i warsztatu samochodowego. Między dystrybutorami paliwa rozciągał się transparent: „Witamy na głównej ulicy USA”. A duży napis nad drzwiami małego, prostego, odmalowanego na biało budynku głosił: „Cztery Kobiety na Drodze 66”. Kierowcy i pasażerowie tłoczyli się przy stoiskach. Pamiątki znikwały w ekspresowym tempie, napoje z lodówki też.

Zażywna kobieta stojąca za ladą wykrzykiwała słowa powitania, gdy tylko drzwi się otwierały, podawała towar, doradzała, przyjmowała pieniądze. To pięćdziesięcioletnia Melba. Dyrygowała wszystkimi po wojskowemu, rzucając krótkie rozkazy. Służyła kiedyś w lotnictwie, a jej mąż był żołnierzem piechoty. Teraz dwoiła się i troiła, by zaspokoić potrzeby wszystkich klientów.

Gdy uczestnicy rajdu, zadowoleni z zakupów, zrobili sobie pamiątkowe zdjęcia i pojechali, mogliśmy wreszcie porozmawiać. Dowiedziałam się, że na pomysł przekształcenia stacji w restaurację i punkt z pamiątkami Melba Rigg wpadła razem z siostrą, Renee Charles. Podzieliły się tą ideą z przyjaciółką - Judy Cortney, a ta z kolei porozmawiała z teściową - Betty. Ponadsiedemdziesięcioletnia Betty zdecydowała, że projekt może się udać, zaczęły więc działać.

Nie mają szefa, pracują we cztery po równo. Każda daje coś od siebie. Betty jest opoką, natchnieniem, wszystko wie, na wszystkim się zna. Judy („ta najładniejsza”) prowadzi księgi. Renee nazywają politykiem, bo umie załagodzić każdą sytuację. Melba jest rzecznikiem, ponieważ najwięcej i najgłośniej gada. Decyzje podejmują zawsze jednomyślnie, choć czasem po burzliwych dyskusjach.

Na początku nie było łatwo. Kilka razy kamieniami wybijano im szyby. Znajdowały pomidory rozpaćkane na drzwiach. Nie wiadomo, kto to robił. Melba wyszła ze mną na zewnątrz, żeby pokazać, które szyby musiały wymieniać. Nikogo nie przyłapały na gorącym uczynku. Pewnie komuś było nie w smak, że zmieniają senny tryb życia miasteczka. Przetrwały jednak, a gdy miejscowi zrozumieli, że one nie mają zamiaru nigdzie ruszać się z Galeny, to dali spokój.



Kobiety tchnęły nowego ducha w umierające miasteczko. Chcą być samodzielne i niezależne. Mówią: „Dzięki temu biznesowi to my jesteśmy ważne. To jest nasz biznes, nie naszych mężów ani dzieci”. Od lewej stoją: Renee, Judy, Shelby, z przodu kuca Melba.

Z budynku wyszła za nami dziewczyna o długich blond włosach - Shelby - córka Melby. Siedemnastolatka bywa przez mamę w żartach nazywana połową kobiety, bo nie jest jeszcze pełnoprawną partnerką w rodzinnym przedsięwzięciu i pracuje tu tylko w wakacje i w weekendy. Shelby przyznała, że na początku nie podobał jej się pomysł, by otworzyć sklepik w Galenie. Bała się, że utkną w tej dziurze na dobre. Ale okazało się, że przyjeżdżają tu bardzo ciekawi ludzie z całego świata i jest wesoło. Shelby poznała także wiele amerykańskich znakomitości. Nawet eks-Beatles, Paul McCartney, odbył podróż po Drodze 66 na swoje sześćdziesiąte szóste urodziny. Dziewczyna zaczęła więc czytać coraz więcej o starej szosie, miasteczku i okolicy. Postanowiła w końcu, że chce być pisarką. Na razie została najmłodszą ekspertką do spraw Drogi 66 w Kansas.

Shelby zaprowadziła mnie do starej ciężarówki holowniczej stojącej obok budynku i powiedziała z dumą, że to Złomek. Dopiero wtedy zauważyłam w tym zardzewiałym pojeździe podobieństwo do bohatera filmu *Auta*. (Złomek to Tow Mater w anglojęzycznej, oryginalnej wersji filmu *The Cars*). Akcja tej kreskówki rozgrywa się właśnie na Drodze 66. Młody i ambitny samochód wyścigowy Zygzak McQueen, któremu marzy się zwycięstwo w wyścigu o Mistrzostwo Złotego Tłoka w Kalifornii, trafia przez przypadek do małej miejscowości Chłodnica Górską. Poznając ekscentrycznych mieszkańców miasteczka, zmienia swoje nastawienie do życia i kariery. Odkrywa bowiem, że są rzeczy ważniejsze niż sukces i kolejne puchary. Pomagają mu w tym: Sally Carrera (niebieskie porsche 911 z 2002 roku), w której się zakochuje, a także Wójt, który okazuje się dawnym mistrzem Hudsonem, oraz właśnie Złomek - wiejski wesołek o niespożytej energii.

Tę starą ciężarówkę holowniczą wypatrzyła gdzieś na polu Renee. Farmer z pobliskiej wioski zgodził się ją tanio sprzedać, bo była to tylko kupa zardzewiałego złomu. Biznesmenki uznały, że będzie idealną maskotką dla ich przedsięwzięcia. W dodatku samochód był całkiem sprawny. Co prawda w czasie transportu rozkraczył się w połowie drogi i ruch na autostradzie został przez niego wstrzymany, ale jakoś dotarł na miejsce. I stanął obok budynku stacji. Teraz wywołuje uśmiechy na twarzach przejeżdżających turystów.

Melba wyciągnęła gruby album wydany z okazji premiery filmu *Auta*, pokazujący, skąd twórcy tej fantastycznej kreskówki czerpali inspirację do swoich postaci. Złomek z Galeny widnieje tam na zdjęciu. Powiedziała z dumą, że to jest jak certyfikat, to potwierdzenie, że właśnie ich stara ciężarówka holownicza była pierwowzorem bohatera filmu.



Stary warsztat i stacja benzynowa zamienione w knajpkę i sklepik o nazwie „Cztery kobiety na Drodze 66”. Rozpadająca się ciężarówka została nie tylko maskotką, ale także symbolem zmian, no i pierwowzorem Złomka z filmu *Auta*.

Ekipa z wytwórni Disney i Pixar podczas prac nad kreskówką przejechała całą Drogę 66. Odwiedziła wszystkie działające knajpki, warsztaty, muzea. Rozmawiała z ich właścicielami, pracownikami i klientami. W filmie nie ma ani jednej postaci, ani jednego miejsca bez związku z kimś lub czymś autentycznym. Melba, mówiąc to, wskazała ręką na otwierające się właśnie drzwi. Stał w nich wysoki, postawny mężczyzna w koszulce z wizerunkami samochodów z *Aut - Dim Walker*. Ma przydomek „Crazy Legs” („Szalone Nogi”), bo potrafi odwrócić obydwie stopy tyłem do przodu. Zaczął to robić jako nastolatek, pracując w sklepie, co przynosiło niezłe napiwki. To po spotkaniu z nim filmowcy uznali, że Złomek będzie jeździł do tyłu.



Dim Walker, „Szalone nogi” potrafi odwrócić stopy tyłem do przodu. Zaczął tak robić jako nastolatek, gdy pracował w sklepie. Dzięki temu ludzie dawali mu napiwki. Teraz pozuje turystom do zdjęć.

Melba pokazywała mi kolejne strony w albumie i podekscytowana opowiadała, że na trasie spotkam wiele osób, które „występują” w *Autach*. Charakter Złomka i „wsiowy” sposób mówienia pochodzą od Harleya Russella z Erick, w Oklahomie. Sally Carrera to Dawn Welch ze Stroud, z tego samego stanu. Szef firmy Dinoco, sponsor wyścigu (auto z bawolimi rogami), to właściciel knajpy z największymi stekami w Amarillo, w Teksasie. Inspiracją dla postaci Fillmore’a (mikrobusu promującego paliwo organiczne, w polskiej wersji językowej to Ogórek) stał się hippis i artysta Bob Waldmire, wciąż podróżujący po Drodze 66. Głównym konsultantem merytorycznym kreskówki, który użyczył głosu Szeryfowi, był pisarz, Michael Wallis. Rysownicy wzorowali się także na jego wąsach, przyozdabiając postać Szeryfa.

Melba wymogła na mnie obietnicę, że spotkam się z tymi wszystkimi ludźmi.

Tymczasem Renee pochwaliła się, że Cztery Kobiety na Drodze 66 w 2008 roku otrzymały nagrodę za najlepszy pomysł na biznes. Ale nie spoczywają na laurach. Myślą o otwarciu sklepu spożywczego. Remontują bar przy głównej ulicy miasteczka. Chcą też uruchomić pensjonat w starym wiktoriańskim budynku po drugiej stronie ulicy. Podobno zatrzymała się w nim kiedyś piękna Bell Starr, zwana „Królową Rabusiów”. Była bandytą i koniokrądem. Zginęła w 1889 roku, zastrzelona w zasadzce. Melba i Renee mają nadzieję, że legenda Bell Starr stanie się magnesem dla turystów.

- Teraz naszym marzeniem jest, żeby Galena wróciła na mapę - oświadczyła Renee, a Melba, wspomagana przez Shelby, opowiedziała mi historię miasta. Wydobywano tu ołów, odkryty w 1877 roku. Wtedy, dosłownie w ciągu jednej nocy, mała, senna wioska przekształciła się w dziesięciotysięczne miasto. Najpierw powstały dwie kopalnie. Potem działało ich ponad

dwieście pięćdziesiąt. Wyrobisk było kilkaset. Pracowali w nich głównie imigranci z Europy wciąż napływający do Kansas. Niewykształceni, często niemówiący po angielsku, dostawali najtrudniejszą, najniebezpieczniejszą i najgorzej płatną pracę - właśnie pod ziemią.

W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku w trzydziestotysięcznym mieście ruch na głównej ulicy nie zamierał nawet w nocy. Najbardziej popularnym i obleganym przez mężczyzn lokalem było *bordello* prowadzone przez przedsiębiorczą kobietę o nazwisku Steffleback. Jej knajpę zawsze wypełniali ostro pijący górnicy szukający wytchnienia i hazardziści żądni wyzwań. Jak głosi legenda, pani Steffleback pilno było powiększyć majątek. Pewnego razu, gdy zauważyła, że kompletnie zalany gość wyciąga złote monety z pękatego skórzanego woreczka przytroczonego do pasa, zabiła go i okradła. Ciało kilku innych nieszczęśników znaleziono parę lat później w nieczynnym szybie kopalni na tyłach jej lokalu. Steffleback nigdy nie przyznała się do winy ani nie wyjawiała, gdzie schowała swój majątek. Podobno złoto leży zakopane gdzieś w Galenie.

Być może to właśnie ta legenda przyciągała do miasta podróżnych jeszcze po wielu latach. Na pewno jednak napływ turystów spowodowała Droga 66, przebiegająca od 1926 roku przez centrum. Galena rozkwitła, stała się największym miastem w regionie.

Niestety, w latach siedemdziesiątych XX wieku skończyło się złóż ołowiu. Kopalnie zlikwidowano. Kolejny cios dla miasta stanowiło otwarcie autostrady w połowie lat osiemdziesiątych. Ludzie przestali przyjeżdżać. I miasto podupadło.

Ale to nie koniec nieszczęść. Okazało się, że ziemia wokół Galeny zawiera metale ciężkie, pełno w niej ołowiu, cynku i kadmu, nie można więc nic uprawiać. Co prawda firmy, które były właścicielami kopalń zapłaciły grube miliony dolarów, by uzdatnić te tereny, ale prace jeszcze nie zostały zakończone. Na razie na nawiezionej, nieskażonej ziemi zasiano trawę preriową. Obszar ten nazwano „pół akra piekła”.

Ludzie, bojąc się, że dzieci podczas zabawy na podwórku mogą wchłonąć trujące pierwiastki, zaczęli uciekać z miasteczka. Poza tym połowa domów w Galenie stoi na pustych pokopalnianych wyrobiskach. Część z nich zawałiła się w kilka sekund, tak jak budynek z barem Zielona Papuga, który rozpadł się na pół w środku nocy latem 2006 roku. Na szczęście śpiący w nim mieszkańcy nie zginęli.

Myśląc o tych nieszczęściach, szłam szeroką i pustą główną ulicą. Najpierw lekko się wznosiła, a potem, w samym centrum miasteczka, opadała. Po drodze straszły

niezagospodarowane działki. Na niektórych leżały jeszcze resztki gruzów. Gdzieś w przeszłości były dziury w ziemi.



W Galenie nikt nie pamięta lat świetności kopalń ołowiu, a pokopalniane wyrobiska grożą zawaleniem. Teraz domy umierają razem z właścicielami albo są porzucane przez ludzi uciekających z obawy przed skażeniem.

Teraz Galena liczy trzy tysiące dwieście dusz. Mieszkańcy zwykli mówić o „wydarzeniu”, gdy tornado albo burza przejdą nad miastem. Nic innego się nie dzieje. Tak było przez ponad dwadzieścia lat, od momentu uruchomienia autostrady okrążającej miasteczko do chwili otwarcia Czterech Kobiet.

Wróciłam znów przed niepozorny budynek najnowszej atrakcji miasta, a tam zebrała się chyba cała rodzina współwłaścielek interesu. Mężowie, dzieci, zięciowie, kuzyni - wszyscy przyjechali sprawdzić, czy nie trzeba pomóc, bo w czasie lunchu zawsze przydają się dodatkowe ręce do pracy. Renee przedstawiała mi kolejne osoby, ale szczerze mówiąc, przy trzeciej już się zgubiłam, nie byłam w stanie zapamiętać, kto jest czyim synem albo zięciem.



Lokalny muzyk samouk. Na co dzień pracuje w sklepie chemicznym. Popołudniami przekształca się w rockandrollowca. Na razie uczy się z książek i brzdąka na gitarze. Marzy, by naprawdę na niej grać.

Podczas tych rodzinnych prezentacji dotarło do mnie, że czterdziestopięcioletnia Renee ma już siedmioro wnucząt (!). Wyszła za mąż, gdy miała osiemnaście lat, jeszcze uczyła się w liceum. „Tu u nas wszystko się szybko dzieje” - mówiła. Tłumaczyła mi, dlaczego to takie istotne, by w nazwie ich wymarzonego przedsięwzięcia, było słowo „kobiety”. Po wielu latach małżeństwa (staż Renee - ponad dwadzieścia siedem lat) zatracą się bowiem kobiecą tożsamość.

- Mówi się o nas, że jesteśmy żonami, mamami, babciami. A my chcemy być samodzielne. Dzięki tej działalności czujemy się ważne. To nasz biznes, nie naszych mężów ani dzieci - powiedziała. Oczywiście wszyscy mężczyźni je wspierają, kiedy trzeba, jej mąż drukuje ulotki, mąż Melby pomaga w transporcie większych rzeczy. Ale najważniejsze jest to, że one same mają świadomość niezależności. Renee dumnie skończyła swój wywód.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się na ulicy lśniący czarny motocykl. Siedział na nim mężczyzna w szortach khaki, wysokich, wojskowych butach, czarnej koszulce i czapeczce z logo Drogi 66, zakrywającej blond włosy. Nawet okulary słoneczne miał czarne. Skręcił w naszym kierunku. Kobiety pokrzykiwały w jego stronę. To Robbie, ich średni brat. Zeskoczył z motoru i wyciągnął spod siedzenia fartuch kucharski w panterkę. Zawiązywał go, wbiegając do budynku. Spieszył się, by przygotować kilka zestawów lunchowych, zamówionych telefonicznie przez stałego klienta z Galeny.

Później, gdy miał chwilę, opowiedział mi, jak tu trafił. Podróżował po Stanach, włóczył się to tu, to tam i przejeżdżał przez Galenę. Traf chciał, że nie zatrzymał się na skrzyżowaniu przy znaku „stop” i natychmiast został złapany przez policjanta. Okazało się, że miał kilka starych, niezapłaconych mandatów. Wsadzili go więc za kratki. Odsiedział trzydzieści dziewięć dni. Ale cały dowcip polegał na tym, że szefem więzienia był jego szwagier. Robbie nie miał jednak żadnej taryfy ulgowej, wręcz przeciwnie, nie mógł się przyznać do pokrewieństwa, bo inni więźniowie nie daliby mu żyć. Gdy wyszedł, nie miał grosza przy duszy. Jedna z sióstr zaproponowała, żeby dla nich pracował. I został. Przekonał go zwłaszcza argument, że dzięki zarobionym pieniądзом będzie w stanie utrzymać swój ukochany motocykl. A to on pomaga mu podrywać dziewczyny.

Robbie przygotował dla mnie swoją ulubioną kanapkę „Reuben”. Między dwoma ogromnymi pajdami chleba żytniego znalazł się, podgrzany na gorącej żelaznej płycie, płat peklowanej wołowiny, posiekany i obłożony podduszoną kiszoną kapustą i plasterem żółtego szwajcarskiego sera. Nazwa potrawy pochodzi od imienia sklepikarza w Nebrasce lub nazwiska

restauratora w Nowym Jorku. Bez względu na dyskusje dwóch rodzin walczących o prawa do nazwy kanapka ta na stałe weszła do amerykańskiego menu w 1914 roku (wtedy w Nowym Jorku, a w 1920 roku w Nebrasce). Zjadłam tego kolosa do ostatniego okruszka, palcami wyłapując uciekające kapuściane nitki.



Cała rodzina pracuje razem. Robbie, brat Renee i Melby. Przypadek uczynił z niego kucharza w „Czterech kobietach na Drodze 66”. Prosi: „Koniecznie napisz, że jestem stanu wolnego i mam dobry motocykl”. Renne przywołuje go do porządku: „Zgubi cię ta słabość do kobiet”.

Robbie, zadowolony z pochwał, wyjawiał, że zawsze lubił gotować. Potem, pokazując w uśmiechu mocne zęby, oznajmił, że jest stanu wolnego. „Może chcesz się przejechać na motorze?” - spytał. Trochę się zawstydził, gdy Melba krzyknęła, żeby nie zapominał o swoim synu i wnuku. Przyznał wtedy, że czterdzieste szóste urodziny ma już dawno za sobą, a z żoną też rozwiódł się wiele lat temu.

Na dalsze opowieści nie starczyło już czasu, bo druga grupa corvette dotarła do Galeny. Gdy pięćdziesiąt aut parkowało wzdłuż ulicy, Renee, Shelby i Robbie wbiegli pędem do budynku, instruując przy tym innych członków rodziny, co mają robić. Melba została na zewnątrz, by kierować ruchem.

Kierowca pierwszego auta krzyknął do mnie, wskazując na mój aparat na szyi, czy to ja jestem tym oficjalnym fotografem zjazdu. Melba odpowiedziała w moim imieniu, że tak, i półgłosem poprosiła, żebym cyknęła kilka fotek. Potem wyjaśniła, że nie chciała tym ludziom sprawiać przykrości. W końcu to może być dla nich fantastyczna pamiątka. Zabrałam się więc do robienia zdjęć, czując się integralną częścią przedsięwzięcia Cztery Kobiety na Drodze 66.

Nie chciało mi się wyjeżdżać z Galeny. Spędziłam z wesołą, rozgadaną rodziną Czterech Kobiet cały dzień. Ale gdy Melba zaczęła się szykować do zamknięcia lokalu o osiemnastej („Tu

ludzie chodzą spać z kurami”), uprzytomniłam sobie, że czas ruszyć w trasę. Przede mną były jeszcze dwie miejscowości w stanie Kansas: Riverton i Baxter Springs. W połowie drogi między nimi zatrzymałam się przy starym mostku z 1923 roku o romantycznej nazwie Tęczowy Łuk.

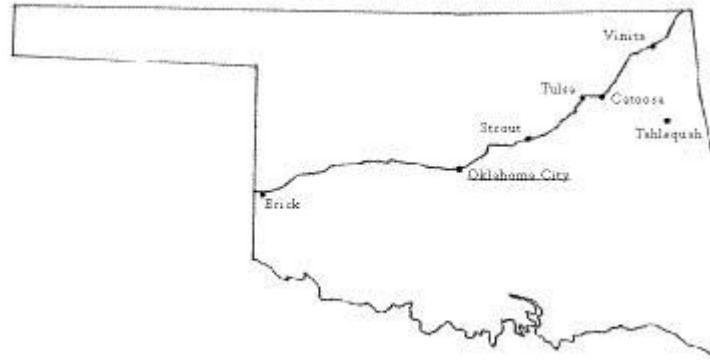


Harleyowcy na zabytkowym Rainbow Curve Bridge, jedynym zachowanym na Drodze 66 z całej serii betonowych mostów w kształcie łuku, zbudowanych według pomysłu Jamesa Marsha.

Dalej szosa była kręta, wiła się wśród drzew, a potem między domkami, porzrzucanymi po obydwu stronach jezdni. Wytężałam wzrok, żeby podejrzeć, jak ludzie żyją. Jechałam powoli z otwartymi oknami. Pachniało nawozem. Przy szosie pasły się konie.

Nie wiem, czy to ten sielankowy krajobraz, czy wspomnienie Czterech Kobiet sprawiło, że pomyślałam, iż Droga 66 jest w Kansas wyjątkowo urokliwa. Choć to taki krótki odcinek.

4 Oklahoma



kowbojski stan

Oklahoma powitała mnie posągiem konia nad płotem pierwszego rancza, tuż za granicą stanu. Od razu przypomniało mi to, że zgodnie ze statystykami, w porównaniu do liczby mieszkańców Oklahoma ma najwięcej koni w USA, nawet więcej niż Teksas.

Kilka minut później, gdy dojeżdżałam do miejsca, gdzie złote prerie spotykają się z górami Ozark, jak na zawołanie wzdłuż szosy cwałowały trzy gniadosze. Siedzące na nich długowłose dziewczyny w czarnych kapeluszach śmiały się głośno, rozbawione. Piękne zwierzęta skierowały się w stronę stacji benzynowej. Jedna z dziewczyn zeskoczyła z konia i weszła do sklepiku. Po chwili z butelką wody mineralnej już wskakiwała na swego rumaka. Ruszyły wśród pokrzykiwań i śmiechu.

Jadąc za nimi, dotarłam do miejscowości Vinita. To miasteczko, liczące około sześciu tysięcy mieszkańców, jest jedną z najstarszych osad w Oklahomie. Powstało w 1871 roku, kiedy dotarła tu budowa torów dla kolei żelaznej. Wśród pierwszych osadników przeważali Murzyni, robotnicy kolejowi. I to właśnie oni zdecydowali się, jako pierwsi w Oklahomie, na nową usługę o nazwie „elektryczność”.

Wyteżałam wzrok, ale nie widziałam nikogo o czarnym kolorze skóry. Kręciło się za to mnóstwo podekscytowanych białych mężczyzn. Wszyscy zmiierzali w stronę areny, gdzie za chwilę miało się rozpocząć rodeo. Mężczyźni przeciskali się między wielkimi pikapami, tarasującymi wszystkie boczne uliczki. Autami został też zastawiony cały ogromny parking przy supermarkecie Walmart. Pojazdy stały nawet na trawnikach, co nie jest częste w USA.

Dwóch chłopaków na jednym koniu przecięło mi drogę. Ten siedzący z tyłu popisywał się przed stojącymi na poboczu dziewczynami. Stawał na rękach, skakał, siadał to przodem, to tyłem do kierunku jazdy. Jego kumpel ścisnął wodze i nie zatrzymywał konia ani na chwilę, nawet się nie oglądał za siebie. Dziewczyny uśmiechami nagrodziły popisy. Akrobata, którego wyczyny chętnie pokazywałby każdy cyrk w Europie, poprawił kapelusz mocno wciśnięty na czoło. Aż dziw, że mu nie spadł przy tych wygibasach.

Stojący obok mnie starszy mężczyzna w znoszonym, zszarzałym kapeluszu przedstawił się jako Al. Nie mógł się nadziwić, jakie tłumy zjechały do Vinity na Rodeo imienia Willa Rogersa. Jako kowboj z dziada pradziada czuł się dumny, że jego miasteczko rozśławia imię „ulubionego syna Oklahomy”, jak się tu powszechnie mówi o Rogersie, który urodził się w

poblizu Vinity, na ranchu Dog Iron, w 1879 roku i był kowbojem, aktorem, komikiem i ulubieńcem Hollywood z pierwszej połowy lat trzydziestych XX wieku. Rogers zagrał w siedemdziesięciu jeden filmach, w tym pięćdziesięciu niemych. Prowadził audycje radiowe, pisał dla gazet. Występował w wodewilach. Był uważany za najweselszego i najmiłszego człowieka swoich czasów. Zawsze uśmiechnięty, w lekko przekrzywionym kapeluszu na głowie. Do dziś wszyscy w USA wiedzą, że to on jest autorem słów: „Jeszcze nie spotkałem nikogo, kogo bym nie lubił”. To on był pomysłodawcą lokalnego rodeo, bo gdy w 1934 roku uczestniczył w zjeździe szkolnym, zapowiedział podobno: „Jeśli zorganizujecie rodeo w przyszłym roku, to przyjadę”. Ojcowie miasta nie mogli przepuścić takiej okazji na ściągnięcie amerykańskiej znakomitości, więc rodeo zorganizowali. Ogłoszenia już zostały wywieszane, kowboje trenowali zawzięcie, a panny szykowały kreacje na największe wydarzenie towarzyskie roku. Will Rogers jednak nie dotarł. Na kilka dni przed rozpoczęciem zawodów, 15 sierpnia 1935 roku, zginął w katastrofie samolotu na Alasce. Miał pięćdziesiąt pięć lat.

Mimo tragedii i lez rodeo się jednak odbyło. Mieszkańcy Vinity uznali bowiem, że to będzie najlepszy sposób, by uczcić pamięć Rogersa. Teraz pięciodniowe rodeo w Vinicie cieszy się sławą jednego z największych i najlepszych. Rokrocznie odbywa się tu też dwudniowy rajd konny o długości czterdziestu czterech mil, od domu, w którym urodził się Rogers, do areny, na której rywalizują zawodowcy, przyjeżdżający z całych Stanów i walczący o pulę nagród w wysokości pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

Grupa dzieciaków przebiegła między końmi. Szeryf na wysokim wierzchowcu pogroził im palcem. Skarcił też chłopców, którzy zbyt głośno się nawoływali. Nie wolno straszyć rumaków! Widząc na sobie mój wzrok, dotknął dłonią kapelusza na powitanie, a potem powiódł wzrokiem za dziewczyną z szarfą „Miss”. Jej koń miał różowe opaski na pęcinach, pod kolor koszuli królowej piękności. Będzie ona rządzić jeszcze tylko dwa dni, do momentu, gdy zostanie wybrana jej następczyni.

Kowboje w oczekiwaniu na kolejne konkurencje doglądali zwierząt, sprawdzali popręgi, rozmawiali ze znajomymi i wymieniali doświadczenia. Dwóch kilkulatków, w nowiusieńkich kowbojskich strojach, z rozdziawionymi buziami słuchało wywodu byłego lokalnego mistrza rodeo. A krzepki, choć siwowłosy mężczyzna opowiadał im, że słowo *cowboy* pojawiło się w języku angielskim dopiero około 1725 roku i było dosłownym tłumaczeniem z hiszpańskiego słowa *vaquero* - „chłopak od krów”. To Hiszpanie podczas kolonizacji przywieźli bydło i konie

najpierw do Meksyku, potem do północnej Ameryki. *Vaqueros* pojawili się wtedy, gdy *charros* - właściciele ziemscy hodujący bydło oraz konie - nie dawali rady sami ich wypasać i potrzebowali najemnej siły roboczej, która wywodziła się głównie z meksykańskiej biedoty. Pierwsi amerykańscy kowboje pojawili się w Teksasie i Kalifornii na wielkich ranczach. Początkowo najemną siłą byli Meksykanie. A potem także biali osadnicy przyjeżdżający coraz liczniej ze Wschodniego Wybrzeża i Murzyni. Aż jedna trzecia pracowników najemnych na ranczach miała czarną skórę, o czym mało kto wie, bo w westernach wszyscy bohaterowie zawsze byli biali.

Dzieciaki chciały wiedzieć, kiedy odbyło się pierwsze rodeo. Starszy pan - chodząca encyklopedia - tłumaczył, że jak głosi legenda, rodeo narodziło się 4 lipca 1869 roku. Wtedy kowboje z dwóch sąsiadujących ze sobą rancz w stanie Kolorado spotkali się w osadzie Deer Trail, by rozstrzygnąć spór o to, która grupa lepiej wykonuje swoją pracę. Rozegrane wtedy pierwsze zawody przekształciły się w niezwykle popularną dyscyplinę, uznawaną dziś za sport narodowy Amerykanów.

Wyposażeni w wiedzę chłopcy pobiegli szukać rodziców. Siwowłosy mistrz usiadł na honorowym miejscu. Trybuny wypełniły się już po brzegi, ale wokół areny wciąż biegało mnóstwo małych dzieci. Strzelały z pistoletów na kapiszony, grały w jo-jo, zajadały się wata cukrową. Hałaśliwa muzyka płynęła z głośników. Przy stoiskach z piwem i frytkami jeszcze stała kolejka, gdy na arenie pojawili się pierwsi śmiałkowie ujeżdżający wielkie byki. Podekscytowany tłum dopingował zawodników. Wybuch radości na trybunach był znakiem, że jeden z chłopaków z Vinity próbował swych sił na grzbiecie potężnego zwierzęcia. Jęk zawodu sygnalizował, że młodzieniec spadł na ziemię.

Jeden z mężczyzn stojących przy samej barierce skomentował, że nieźle, jak na takiego młokosa. Mówiący te słowa miał biały kapelusz mocno nasadzony na czoło. Biała koszula opinała tors. Wypolerowane ostrogi wskazywały profesjonalistę. Bob, bo tak miał na imię ten przystojniak, powiedział, że uważa się za zwykłego pasterza krów. To zawód jak każdy inny. Śmiał się, gdy mówiłam, że kowboje kojarzą się z dzikością i samotnością, otacza ich romantyczna aura. „Jeśli byłaby to prawda - zauważył - kowbojów by nie ubywało”. Gdy przed laty zaczęto prowadzić statystyki, doliczono się ich dwadzieścia tysięcy. Dziś szacunki amerykańskiego Biura do spraw Statystyki Pracy mówią o około dziesięciu tysiącach osób pracujących przy produkcji zwierzęcej, na ranczach, przy wypasie i sprzedaży bydła. Ich roczne zarobki nie przekraczają dwudziestu tysięcy dolarów. Pieniądze nie są więc magnesem. Co zatem

przyciągnęło Boba do tego zawodu? Przyznał, że nie potrafiłby żyć w mieście, woli noc pod niebem pełnym gwiazd, uwielbia naturę. Pracuje na wielkim ranchu, gdzie pastwiska ciągną się po horyzont. Czasem spotyka się z kolegami przy ognisku. Snują wtedy opowieści, recytują wiersze pisane prostym językiem lub śpiewają piosenki - o pracy na ranchu czy życiu na prerii. Bob i jego koledzy, choć są mistrzami jazdy konnej, po prerii przemieszczają się wielkimi pikapami, wysokimi i pojemnymi samochodami z napędem na cztery koła. Znają się na zwierzętach lepiej niż niejeden weterynarz, a lassem posługują się sprawniej niż sztuccami. Unikają ludzi, nie pokazują się w tłocznych miejscach. Mają swoje kościoły, które można poznać po tym, że wyglądają jak stodoły i że na ogromnych parkingach dla pikapów postawiono paliki do przywiązywania koni. To miejsca, gdzie prości ludzie zajmujący się krowami czują się jak u siebie. Ksiądz udziela chrztu przy poidle dla bydła, a centralnym miejscem świątyni często jest arena, na której można rozgrywać rodeo.

Tacy jak Bob, zawodowi kowboje z tak zwanych pracujących ranch jako sportowcy amatorzy startują w lokalnych turniejach. W wielkich pokazach o miano najlepszego rywalizują tylko profesjonaliści (a jest ich osiem tysięcy) zrzeszeni w Stowarzyszeniu Zawodowych Kowbojów Rodeo. Ta największa i najstarsza organizacja pasterzy krów co roku przeprowadza sześćset pięćdziesiąt różnych konkursów z pulą nagród przekraczającą czterdzieści milionów dolarów.

W Vinicie niewiele osób zdaje sobie sprawę, jak wielki to przemysł. Dla większości liczy się sama przyjemność pokazania własnych umiejętności. Tak przynajmniej przekonywał mnie Greg Yoder, właściciel niewielkiego rancha dwadzieścia mil na południe od miasteczka. Spotkaliśmy się, gdy przeciskał się w tłumie z dwójką dzieciaków uczepionych do każdej dłoni. Sumiaste wąsiska zdobiły jego twarz, skrytą pod rondem kapelusza. Mówił, że kowbojem został jako pięciolatek, gdy zaczął pomagać ojcu zaganiać bydło. Miał własnego konia, choć jeszcze bez siodła. Jeździł na oklep.

Tak żyje się tu, w Oklahomie, jednym z najbiedniejszych stanów Ameryki, gdzie każdy ma konia i każdy jest kowbojem. W rodzinie Grega już następne pokolenie przymierza się do zawodu. Mężczyzna wskazał na swojego pięcioletniego syna, Oldena, który zawstydzony chował się za ojcem. Dziewczynka w różowej czapeczce i flanelowej koszuli w różową kratę, Ebrey, o rok młodsza od Oldena, niecierpliwie wskazywała tacie drogę na arenę. Greg przeprosił, że musi kończyć rozmowę, ale za chwilę dzieciaki startują w konkursie. Będą jeździć na owcach.

Poszłam za nimi. Publika klaskała, by zagrzewać do boju małych zawodników. Było siedmiu konkurentów, a właściwie siedmioro, bo Ebrey też brała udział w rywalizacji. Jedyna dziewczynka i do tego najmłodsza w całym towarzystwie z trudem panowała nad sobą. Oldena nie zżerała tak trema, ponieważ debiutował w poprzednim roku. Inni chłopcy patrzyli z przejęciem na najprawdziwszych sędziów, którzy przypomnieli reguły zmagania. Dzieciak posadzony na owcy miał na jej grzbiecie przejechać jak najdłuższy odcinek. Kilku mężczyzn przytrzymało wielką owcę, jeden lekkim ruchem posadził pierwszego zawodnika. Rozległ się głośny sygnał. Zwierzę zrobiło kilka kroków, strąciło chłopca. Brawa. Kolejny, i następny. Nikomu nie udało się ujechać więcej niż kilka metrów. Owce wiedziały, dokąd mają biec, bo pośrodku areny stało dwóch kolorowo ubranych nastolatków, przyciągających uwagę zwierząt i pomagających maluchom podnieść się z ziemi.

Przyszła kolej na Ebrey. Przywarła do owcy całym ciałem, kurczowo ściskając futro na karku zwierzęcia. Metr po metrze owca biegła naprzód. Zawodniczka spadła wreszcie na ziemię, ale co to? Widownia zawyla z radości. Ebrey przejechała ponad trzynaście metrów! Na razie to najlepszy wynik.

Kilka minut później wystartował Olden. Chciał pokazać swojej małej siostrze, ale pewnie i rodzicom, że jest już doświadczonym kowbojem. Trzymał zwierzę za kark tylko jedną ręką. Próbował balansować ciałem. Owca nic sobie nie robiła z jego popisów. Osiem metrów! Rozległy się gromkie oklaski. Znawcy docenili styl, ale Olden, cały w piachu, pobiegł do mamy i taty. Po jego twarzy strużkami spływały łzy.

Już chwilę później debiutantka Ebrey odbierała nagrodę ufundowaną przez pobliski Walmart: kupon na dwadzieścia dolarów. To jej pierwsza wygrana w życiu. Wszystkie dzieciaki dostały dyplomy za udział w konkursie. Olden zawstydzony, że młodsza siostra okazała się lepsza, stał z boku. Poczł przedsmak tego, co przeżywają zawodowcy: chwilę dumy, ale i gorzki porażki, która przychodzi dosłownie w ciągu kilku sekund.

Dużo wie o tym Brian Crawford, trzydziestoletni kowboj i ranczer, mieszkający niedaleko, w Chelsea. Gdy był młodszy występował na rodeo, ujeżdżał konie i byki. Teraz stał przy barierce, powoli sączył piwo z plastikowego kubka i nie spuszczał wzroku z mężczyzn przygotowujących się do zawodów, tłumaczył mi, że ma siedemdziesiąt krów („To małe ranczo”) i siedem koni. Cztery wystawia do pokazów na rodeo, reszta pracuje w gospodarstwie. Brian planuje założyć rodzinę, ale jeszcze nie znalazł odpowiedniej dziewczyny, nie ma na to czasu.

Dla niego wypasanie i przepędzanie bydła to nie jest nudna robota, to ciągle obcowanie z naturą. Westerny ogląda, jak wszyscy. Broń ma, oczywiście, jak wszyscy tutaj. Ale nie nosi na co dzień koltów w olstrach, jak bohaterowie westernów.

Brian, przekrzykując coraz głośniejszą muzykę, wyjaśniał mi, że do rodeo trzeba mieć mocny kręgosłup, dużo odwagi i jeszcze więcej cierpliwości. Zrezygnował z ujeżdżania byków po pięciu latach występowania w konkursach. Jeździł na każde zawody, płacił wpisowe, raz wygrywał, raz przegrywał. Zrezygnował, gdy jego wyniki się pogorszyły, bo nie opłacało mu się dokładać do tego interesu. Gdy kolejny zawodnik został zrzucony przez byka, Brian, trącając mnie łokciem, powiedział, że ten chłopak z Teksasu zapłacił za podróż, nocleg i wpisowe, a po pięciu sekundach może wracać do domu. Trzeba naprawdę mieć w sobie dużo siły, żeby się nie załamać i chcieć walczyć w następnym rodeo.

Oglądaliśmy kolejnych śmiałków i kolejne konkurencje, a Brian cierpliwie tłumaczył mi, że wszystkie rodzaje zmagają się z życia wzięte. Takie na przykład łapanie na łąso młodych byczków i wiązanie im nóg, które właśnie oglądaliśmy. A jak inaczej wyłowić z całego stada chorego osobnika i unieruchomić na czas zastrzyku? Taki byczek waży ładnych kilkadziesiąt kilogramów, wcale nie jest łatwo podrzucić go, przytrzymać i związać.

- Zobacz, jak koń współpracuje - pokazał kasztanka, który, cofając się, napiął łąso przytroczone do siodła. Jeździec w tym czasie kończył oplatać liną pęciny byczka. Zwierzę ma leżeć nieruchomo przez kilka sekund. Gdyby łąso nie było napięte, byczek mógłby wstać. A ja nareszcie zrozumiałam, po co w kowbojskim siodle ten rożek w przednim łęku! Jeździec po prostu przywiązuje do niego łąso.

Siodło zresztą stanowi do dziś najcenniejszy element dobytku kowboja. Dobre wystarcza i na trzydzieści lat. Tak było zawsze. Koń może być cudzy - ranczera, właściciela stajni. Siodło należy do kowboja, jest jego warsztatem pracy. Musi być też wygodne, w końcu pasterz bydła przemierza na koniu wiele mil dziennie. Nawet obecnie niektórzy siedzą w siodle i po piętnaście godzin każdej doby. Dlatego - jak potem wytłumaczył mi John Rule z Narodowej Siodlarni w Oklahoma City - siodła kowbojskie są głębokie, z wysokimi łękami, przednim i tylnym, zapewniają wygodny dosiad i oparcie podczas pracy z lassem. Przedni rożek pomaga też odzyskać równowagę, kiedy koń uskoczy nagle w bok. Podziwiałam w warsztacie Johna siodła, które robi na zamówienie. Wszystkie misternie zdobione, skóra wytłaczana, często okuwana srebrem. Na takie siodło trzeba czekać trzy lata.



Kowbojskie siodło musi być dostosowane do ciężkiej, wielogodzinnej pracy. Musi być więc wygodne i trwałe.

Zadowolona z odkrycia tajemnicy kształtu kowbojskiego siedziska poczułam, że muchy, muszki, komary i wszelakie żyjątka całą mnie obsiadły. Brian śmiał się, gdy zaczęłam się otrząsać, drapać, odpędzać owady. Taktownie nie skomentował, ale w tym momencie zrozumiałam, że koszule z długim rękawem, dżinsy i kapelusz - to konieczność. Owady w Vinicie, gryząc moje niezastłonięte kończyny, najwyraźniej postanowiły dać mi lekcję. Opędzając się od nich, ruszyłam wokół areny i przypatrywałam się strojom. Wśród koszul przeważały oczywiście dżinsowe albo flanelowe w kratę, z długimi rękawami, zapinane na zatrzaski. Koszule eleganatów były ozdobione *bolo tie*. To cienki, pleciony, skórzany rzemyk zamiast krawata, spinany broszą. Spodnie natomiast zdobiły pasy z wielkimi klamrami.

Jeden z nagabywanych przeze mnie kowbojów wyjaśnił mi, że noszone przez wszystkich dżinsy to wranglery, bo tylko one po wewnętrznej stronie nogawki mają pojedynczy szew. Inaczej kowboje, jeżdżąc konno, poraniliby sobie uda (*wrangler* znaczy dosłownie „kowboj”). Szew podwójny, ten gruby, ozdobny, powinien być na zewnątrz.

Wszyscy, i mężczyźni, i kobiety, mieli na nogach skórzane buty z cholewkami - kowbojki. „Skutecznie chronią przed upałem i kurzem, a przede wszystkim przed kolcami, patykami, ukąszeniami gadów i skorpionów” - wytłumaczył mi Brian. Nie było też człowieka na tym rodeo, który nie miałby bandanki. Chustka, większa od tej używanej do nosa, może służyć jako maska na twarz w czasie burzy piaskowej lub jako szalik w zimie, na rodeo używa się jej głównie do wycierania potu.

Całości stroju dopełniały rękawiczki z jeleniej skóry i oczywiście kapelusz. Przeważały białe albo czarne. Jeden z przechodzących mężczyzn, pokazując swój szary, jak mi się wydawało, sfilcowany kapelusz wyjaśnił, że to najdroższy model z sierści bobra. Śmiał się z

mojej ignorancji, tłumacząc, że tylko takie nakrycie głowy skutecznie chroni przed słońcem, wiatrem, chłodem i deszczem. Kapelusz musi być sztywny, mocny i trwały. Może być słomkowy, skórzany lub z sierści bobra, tak jak jego. I te ostatnie są najdroższe. Z początku mu nie wierzyłam, ale potem widziałam takie kapelusze w specjalistycznym sklepie z kowbojskimi nakryciami głowy Shorty's Caboy Hattery w Oklahoma City. Taki szary, niepozorny, z sierści bobra kosztował prawie dwa tysiące dolarów!



Kowbojskie kapelusze z sierści bobra są bardzo sztywne. Modelować je można tylko przy pomocy pary.

Zwykle słomiane kapelusze można było kupić na straganie, przy którym zrobił się duży ruch po zakończeniu kolejnej konkurencji na arenie. Sprzedawca pokrzykiwał, że kto ma żyłkę hazardzisty, może za trzy dolary zostać posiadaczem torby z niespodzianką. Szare, wymięte siatki nie wyglądały zbyt zachęcająco, ale troje nastolatków skorzystało z oferty. Patrzyłam, jak podekscytowani otwierali paczkę. W środku były: T-shirt, plastikowe okulary i opakowanie cukierków. Odeszli zadowoleni.

Do sąsiedniego stoiska podszedł może sześciolatek. Buzię miał umorusaną. W dłoni ścisnął dolarowy banknot. Krążył, dotykając kolejnych przedmiotów, coraz bardziej zdesperowany, by coś sobie kupić, by uczcić pobyt na rodeo. Jednak czego nie dotknął, okazywało się za drogie. Plastikowy kolt, prawie jak prawdziwy - pięć dolarów, najtańszy kapelusz rozmiar dziecięcy - trzy dolary, bandanka z koźmi - dwa dolary. Sztuczne ognie - półtora dolara. W końcu sprzedawca ulitował się nad malcem, obniżając cenę za plastikowego konika. Chłopczyk rzucił banknot na ladę, złapał swoją zdobycz i dołączył do innych dzieciaków, biegających wokół areny mimo bardzo późnej pory.

Coraz to nowi ludzie wchodzili przez bramkę, teraz już nikt jej nie pilnował. Kasjerzy i bileterzy szykowali z boku drewniany podest na tańce tuż po zakończeniu konkursu ujeżdżania koni.

Jeden z zawodników, który zakończył przed chwilą swoje popisy, stał, opierając się nogą o barierkę. Jego koń, równie zmęczony jak jeździec, przestępował z nogi na nogę. Mężczyzna poklepał czule swojego rumaka i spojrzał w górę. Odruchowo powiodłam wzrokiem w tym samym kierunku. Pośrodku nieba widniał księżyc w całej krasie. Miałam wrażenie, że patrzy prosto na nas.

- Ciekawe, komu przyniesie szczęście tym razem - mruknął kowboj. Popatrzył na mnie, strzepnął swój czarny zakurzony kapelusz, uderzając nim o cholewki butów. A drugą ręką otarł wąsy i powiedział, że nie zamieniłby tego pastuszego znoju i trudu na nic innego na świecie.

błękitny wieloryb

- Z tatuażami jest jak z czipsami, nie można zjeść tylko jednego - tłumaczył mi Ron Jones, The Tattoo Man („Wytatuowany Człowiek”). Spotkaliśmy się w północnej Oklahomie na parkingu przy Drodze 66. Chciałam poznać człowieka, który na cześć starej szosy pokrył swoje ciało kolorowymi obrazkami znajdujących się przy niej znaków, budynków, neonów i atrakcji turystycznych.

Ron okazał się nieustannie uśmiechniętym, dowcipnym mężczyzną, którego rozsadza energia, mimo przekroczonej sześćdziesiątki. Opowiadając, od czasu do czasu poprawiał na głowie niebieską bejsbolówkę. Zaczął się tatuować pod koniec lat dziewięćdziesiątych, na swoje pięćdziesiąte urodziny, bo chciał zrobić coś, czego jeszcze nikt nie wymyślił. Pokazał mi niewielki obrazek szosy ze znacznikiem 66 na łydce - to był pierwszy tatuaż. Dalej już się potoczyło samo.

Na szerokim trawniku obok parkingu Ron podwinął rękawy koszulki i wyginał się, żeby dobrze było widać rysunki na jego skórze. Cierpliwie czekał, aż zrobię zdjęcia, a następnie podciągnął nogawki szortów. Wydawał się trochę zawstydzony tym publicznym obnażaniem się. W końcu pokazał mi także plecy. W sumie doliczyłam się siedemdziesięciu tatuaży.



Ron Jones „The Tattoo Man” jest ilustrowanym przewodnikiem po atrakcjach Drogi 66. Mówi: „Coraz więcej fajnych miejsc na Drodze 66 się odbudowuje, otwiera po latach. Chciałbym mieć na sobie wszystkie znane budynki, neony, maskotki”.

Nasza sesja fotograficzna wywołała zainteresowanie ludzi wyjeżdżających ze stacji benzynowej, którzy, rozpoznawszy Rona, podbiegli z prośbą o autograf. Czytali o nim w broszurze *Dziwactwa Drogi 66*. „Jedni lubią łowić ryby, inni lubią co innego” - Ron nie uważa

swojego hobby za niezwykcyjne. Według niego bycie chodzącym ilustrowanym przewodnikiem po legendarnej szosie jest fantastyczne.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat jego życie zupełnie się zmieniło. Właśnie dzięki Drodze i tatuazom. Choć pozostał tym samym prostym, niewykształconym człowiekiem, to przestał być szarym, anonimowym, zwykłym spawaczem. Zaczął dużo czytać, rozmawiać, ma swoją pasję. Stał się kimś ważnym. Jest zapraszany na wszystkie uroczystości związane z Route 66. Razem z innymi osobistościami przecina wstęgi przy otwieraniu wyremontowanych moteli i stacji benzynowych, ściska dłonie turystów, pozuje do zdjęć. Potrafi na takie imprezy jechać całą noc swoim ukochanym chevroletem z 1956 roku (dwudrzwiowy sedan 210), pomalowanym w kolory flagi amerykańskiej. Podczas tych podróży obserwuje, jak wiele się zmienia na dobre na Drodze 66. Poznał już dużo ważnych osób i nawiązał przyjaźnie.

- To wciąż jak narkotyk, sama się przekonasz - powiedział. Na pożegnanie pokazał mi ponownie na swojej skórze obrazki miejsc, które zobaczę jeszcze w Oklahomie. Był wśród nich wieloryb.

Błękitnego kolosa wypatrzyłam za zakrętem w miejscowości Catoosa. Na placyku przy drodze nie było ani jednego auta. Przez otwartą furtkę weszłam na ścieżkę prowadzącą nad małe jezioro, nad którym unosił się ten stwór. Dopiero gdy podeszłam bliżej, zorientowałam się, że ta oryginalna konstrukcja to pomost.

- Kąpielisko z wielorybem było nie lada atrakcją czterdzieści lat temu - powiedział Blaine Davis z westchnieniem świadczącym o tęsknocie za dawnymi czasami. Ma on pełne prawo do nostalgicznych wspomnień, bo to jego ojciec był twórcą tej budowli. Dziś sześćdziesięcioośmioletni Blaine pełni funkcję strażnika i opiekuna nieczynnej już plaży. Staliśmy nad jeziorkiem zarośniętym glonami, a on opowiadał mi, jak ojciec to wszystko zaprojektował i zbudował. Zupełnie sam. Boczne płetwy wieloryba to zjeżdżalnie dla maluchów. Specjalne rurki doprowadzały na nie wodę, żeby był lepszy poślizg. Z ogona można było skakać do wody. Wąskie schodki pośrodku paszczy ssaka prowadziły na grzbiet, do trampoliny, na którą się wdrapałam. Z góry roztaczał się widok na całe jezioro. Kiedyś było ono specjalnie pogłębiane, żeby młodzież mogła poszaleć. Ostatnią atrakcję stanowiła woda tryskająca co chwilę nad głową wieloryba, jak u prawdziwego morskiego ssaka. Zobaczyłam, że waleń ma jedno oko szeroko otwarte - to profil wystawiony na wschód; a drugie, od strony zachodniej -

przymknięte. Ojciec Blaine'a był nie tylko dobrym budowlańcem, lecz także dowcipnym człowiekiem, pomyślałam.

Blaine opowiadał, że w latach siedemdziesiątych wejście na plażę kosztowało pięćdziesiąt centów za dzień. Przyjeżdżali tu ludzie z bliższej i dalszej okolicy, a dzieciaki spędzały przy wielorybie całe dni. Tym bardziej, że przydomowe baseny wtedy były jeszcze rzadkością. Na kąpielisku zawsze dyżurowało więc trzech ratowników, zazwyczaj chłopców ze szkoły średniej.

Ale dlaczego właściwie powstał ten wielki błękitny ssak z płetwami, a nie zwykły pomost? Hugh Davis, ojciec Blaine'a, przez trzydzieści osiem lat pełnił funkcję dyrektora zoo w Tulsie, kochał zwierzęta i już wcześniej zbudował ARK - nie arkę, tylko Animal Reptile Kingdom, czyli królestwo gadów. Blaine wskazał stojący opodal, stary, drewniany budynek w kształcie wielkiej łodzi, która miała dwadzieścia metrów długości. Mieszkały w nim kiedyś aligatory i węże. Zbutwiałe deski wyraźnie wskazywały, że od dawna Królestwo jest opuszczone. Blaine tłumaczył mi, że na dole oprócz prywatnego zoo mieścił się sklepik, w którym jego mama sprzedawała napoje i przekąski. Na górze natomiast znajdowała się duża sala bankietowa. Tam odbywały się imprezy dla dzieciaków. Kiedy ojciec skończył budować ARK w 1961 roku, była to największa atrakcja w okolicy. Przyjeżdżali tu i miejscowi, i turyści. Samochody nie mogły się pomieścić na parkingu.

Gdy Blaine był małym chłopcem, w ich domu wciąż mieszkaly jakieś zwierzęta. Czasem węże, niekiedy niedźwiedzie, zawsze były szympansy, a raz nawet zagościł u nich mały lis. Natomiast w stawie przy domu żyły aligatory. Ojciec przynosił z zoo ich noworodki odrzucone przez matki po porodzie. Uśmiechając się do wspomnień, Blaine mówił, że dla jego mamy nie było różnicy, czy to ptak, małpa, czy jej własne dziecko - każdego traktowała tak samo.

- Nigdy nie zapomnę wspólnej kąpeli w wannie z moją siostrą, Dee Dee, i niedźwiadkiem grizzly! - śmiał się Blaine.

Miał wtedy sześć lat, a siostra trzy. Grizzly był z nich najmłodszy.

Nic dziwnego, że wszystkie gazety pisały o niezwykłym miejscu w mieście Catoosa, a zdjęcia rodziny Davisów ze zwierzętami można było zobaczyć w różnych magazynach. Powstało też wiele kolorowych pocztówek. Blaine pokazał mi cały ich stos. Na jednej - uśmiechnięty ojciec, Hugh Davis, z wężem na szyi. Na drugiej - mama, Zeta, na pomoście, głaszcze aligatora. Na trzeciej - mama z dziećmi i trzema węzami.

Teraz nie ma tu już żadnych zwierząt i ludzie przyjeżdżają tylko na chwilę, popatrzeć na błękitnego wieloryba. Plaża nigdy nie jest zamykana. Nawet wtedy, gdy Blaine wyjeżdża. A co roku na zimę emigruje do południowego Teksasu. Ucieka na kilka miesięcy od śniegu i słońca. W Teksasie, w parku stanowym nad małym jeziorem Texana pracuje jako wolontariusz: pilnuje, sprząta, oprowadza turystów. Wynagrodzeniem są dla niego słoneczna pogoda i możliwość rozstawienia za darmo przyczepy oraz korzystania z wody i prądu. W ten sposób jego koszty utrzymania spadają niemal do zera.



Blaine Davies, strażnik i opiekun błękitnego wieloryba, najbardziej niezwykłego pomostu na świecie, który zbudował jego ojciec na stawie w Catoosa.

Blaine zaprosił mnie do tej swojej przyczepy, która okazała się turystycznym kolosem i jego jedynym domem. Stała zaparkowana tuż za płotem, przy plaży z wielorybem. Wewnątrz salon, kuchnia, sypialnia i łazienka - zadziwiająco przestronnie. Klimatyzator był przeraźliwie. Usiedliśmy przy stoliku, mój gospodarz wrzucił do szklanek dużo lodu i zalał go wodą z kranu. Rozkoszując się chłodem, gawędziliśmy o życiu.

Blaine tłumaczył, że mieszka w przyczepie, bo tak jest najprościej. Gdy rozwiódł się przed dziesięciu laty, sąd przyznał cały majątek żonie. Został bez niczego. Przyczepa daje mu wolność, może ją stawiać, gdzie chce. Jego wielki ford pikap dociągnie ją choćby na koniec świata.

Zauważyłam na ścianie tabliczkę: „Uwaga, emerytowany pracownik. Może opowiadać godzinami”. Rzeczywiście, niezły gawędziarz z tego Blaine’a. Mijały kolejne kwadransy, a my wciąż rozmawialiśmy. Mężczyzna coraz bardziej otwarcie mówił, także o problemach.

- Ojciec zawsze był pijany - przyznał w pewnym momencie. - Rano wyjeżdżał do pracy, zanim my wychodziliśmy do szkoły. A wracał pijany wieczorem.

Wypowiedziawszy te słowa, Blaine odetchnął z ulgą, jakby strasznie ciążyła mu ta tajemnica o ojcu, który dla świata zewnętrznego miał zupełnie inny wizerunek: był wesoły, towarzyski, dowcipny, wszyscy go podziwiali. Davis poprawił bejsbolówkę na głowie i powiedział, że tata, zafascynowany zwierzętami i fotografią, zaczął pić już jako osiemnastolatek, podczas rocznej podróży do Afryki. Sam nigdy o tym nie mówił, ale Blaine przeczytał całą historię w dziennikach ojca. Jego zdjęcia z Afryki publikowano w różnych magazynach. Współpracował nawet ze słynnym fotografem Anselem Adamsem.

- Podczas afrykańskiej wyprawy wszyscy pili, więc i on spróbował, ale nie miał mocnej głowy. Po powrocie, w 1928 roku, zaczął pracować w zoo. Miał wtedy dziewiętnaście lat. Szybko został dyrektorem ogrodu. Najmłodszym na świecie! - z dumą dodał syn.

Któregoś dnia ojciec, wróciwszy wcześniej z pracy, zapowiedział: „Przestaję pić”. Już wielokrotnie to obiecywał. „Tym razem to zrobię - zapewnił. - Musicie jednak mnie wesprzeć, nie uda mi się bez waszej pomocy!”. Opowiadając o tym, Blaine ocierał łzy.

- Moja matka była ruda. Wiesz, co to znaczy? Tak, miała niezły charakter. Nie dała sobie w kaszę dmuchać. Ale widziałem, że po raz pierwszy się powstrzymała i nic nie odpowiedziała. A tata rzeczywiście przestał pić. I zaczął budować wieloryba.

Płetwal błękitny stał się symbolem trzeźwości ojca. Jego budowa pełniła funkcję „terapii zajęciowej”. Blaine przyznał, że szokiem dla niego było widzieć ojca trzeźwego.

Potem mężczyzna zwierzał mi się ze swojej samotności, bo obydwój rodzice nie żyją, także jego młodsza siostra zmarła na raka. Z żoną kłócili się przez kilkadziesiąt lat, odszedł, gdy w gniewie mierzyła do niego z pistoletu. Dwaj synowie się usamodzielnili, a ich dzieci już dorastają. Od ponad dziesięciu lat jest na emeryturze, pracował na policji i w biurze szeryfa. Teraz na pół etatu dorabia w sklepie z wyposażeniem domowym na benzynę do pikapa, który pali jak smok. Brakuje mu takich rozmów jak ta, którą prowadzimy. Zazwyczaj siedzi w przyczepie sam jak palec. Turyści zatrzymują się tylko na kilka minut, by zrobić zdjęcie i rzadko o coś zapytają.

Po ponad czterech godzinach konwersacji Blaine wyciągnął z kufierka album o Drodze 66, zatytułowany *Imperium rozrywki*. Trzymając go w dłoni, powiedział, że już nigdzie nie można go kupić. Wręczył mi swój ostatni egzemplarz jako wyraz wdzięczności za wysłuchanie jego opowieści. Powiedział, że nigdy wcześniej tak dobrze mu się nie rozmawiało. Zerknęłam na okładkę albumu, patrzył z niej mały Blaine - blondasek stał obok siostry i mamy, która

uśmiechała się opleciona wężami. Chłopczyk na fotografii był zachmurzony i zawstydzony obecnością aparatu. Z taką samą zawstydzoną miną teraz Blaine dopytywał, kiedy znów przyjadę.

Słońce chowało się za horyzont, gdy zbliżałam się do Tulsy. Przy wielkim, wydawałoby się, niezagospodarowanym placu, zobaczyłam neon: „Admiral Twin Drive-In”. To było słynne kino dla zmotoryzowanych przy Drodze 66. Przybytek X Muzy, otwarty w 1951 roku, mieścił aż tysiąc dwieście aut!

Tego wieczoru przed wjazdem do kina stała kolejka samochodów, w każdym siedziało kilka osób. Po zapłaceniu w kasie pojechałam w prawo. Na lewo kierowali się miłośnicy dramatu, ja wybrałam komedię. Kino pod chmurką miało bowiem dwa ekrany, to znaczy: na tej samej betonowej ścianie stojącej pośrodku z dwóch stron wyświetlano dwa różne filmy.

Na niebie pojawił się piękny granatowo-czerwony pas. Jechałam ścieżką między samochodami osobowymi ustawionymi przodem do ekranu, a pikapami, stojącymi tyłem. Na ich platformach na turystycznych krzeselkach już siedzieli widzowie. Parkowałam, gdy na ekranie pojawiły się napisy. Z ogromnego pawilonu, gdzie sprzedawano jedzenie i napoje, biegli do swych aut ludzie z wielkimi kubkami i tacami. Chłopak z forda stojącego obok poradził mi, żebym włączyła radio i złapała odpowiednią częstotliwość, w ten sposób będę doskonale słyszeć dialogi. Moja niewiedza go rozśmieszyła i nie mógł się nadziwić, że nigdy w życiu nie byłam w kinie samochodowym. On przyjeżdża tu co tydzień, bo *drive-in* jest lepsze niż zwykłe kino. Przede wszystkim tańsze, a także bardziej komfortowe, bo auto zapewnia prywatność. Człowiek, który to wymyślił, to miał łeb!

Był to niejaki Richard Hollingshead junior, który pracował jako sprzedawca w sklepie swojego ojca w stanie New Jersey. Na początku lat trzydziestych XX wieku rozpiął prześcieradło między drzewami na podjeździe swojego domu i z projektora zainstalowanego na dachu auta wyświetlił film. Głos dochodził z tranzystora, który postawił za ekranem. Pomysł chwycił, więc Richard opatentował swój wynalazek i oficjalnie rozpoczął projekcje w 1933 roku. Zrewolucjonizował w ten sposób kulturę amerykańską, łącząc dwie, dopiero co rozbudzone, fascynacje - auta i kino. Kina *drive-in* szybko zrobiły furorę, stały się częścią amerykańskiego krajobrazu. Śpiewano o nich piosenki (między innymi w musicalu *Grease* i zespół Beach Boys). W 1958 roku padł rekord - liczba kin samochodowych przekroczyła cztery tysiące. Największe, w stanie Michigan i Teksasie, mogły pomieścić nawet trzy tysiące aut!

Chłopak z forda, mrugając do mnie, powiedział, że jego rodzice przyjeżdżali na randki do tego kina, więc ma podejrzenie, że został tu poczęty. Może właśnie dlatego tak bardzo lubi tu wpadać i cieszy się, że to kino nie podzieliło losu tysięcy innych, które nie podołały konkurencji wideo i telewizji kablowej. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych w całych Stanach działało już tylko niespełna pięćset kin samochodowych. Wszyscy spodziewali się, że znikną zupełnie, bo przecież w epoce nowoczesnych multipleksów i telewizyjnego wideo na żądanie kina *drive-in* nie miały prawa przetrwać. A jednak, po kilkunastu chudych latach teraz przeżywają odrodzenie, ku uciesze miejscowych i podróżników.

Szlak łez

Przed Tulsą, wielkimi reklamami ustawionymi przy szosie, kusił Casino Resort - największy salon gry w Oklahomie, prowadzony przez Indian Czirokezów. Moim oczom ukazał się wielki, nowoczesny budynek. A w nim - lśniące wnętrza, luksusowe pokoje hotelowe, wielka sala konferencyjno-kongresowa. Plakaty w holu zapraszały na wieczorne występy znanych artystów. Ogromną halę jednorękich bandytów wypełniały hałas maszyn i okrzyki szczęśliwców. W sąsiednim pomieszczeniu ze stołami do pokera, black jacka i ruletką znajdowało się mniej ludzi, ale i tak dużo jak na środek dnia. Podobno ten salon gry zarabia milion dolarów dziennie. A jeszcze jest rozbudowywany, by pomieścić wszystkich wierzących w swój szczęśliwy los.

Indianie mogą zakładać i prowadzić kasyna na terenie swoich rezerwatów. Pozwala na to prawo federalne, nawet w tych stanach, w których hazard jest nielegalny. „Pierwszym Amerykanom”, jak mówi się o czerwonoskórych, przyznano ten przywilej w latach osiemdziesiątych XX wieku. Możliwość zarabiania na hazardzie, podobnie jak ulgi podatkowe, miała być sposobem na zmniejszenie ubóstwa indiańskich plemion oraz rekompensatą za wyrządzone wcześniej krzywdy.

Spośród pięciuset sześćdziesięciu dwóch uznanych przez rząd federalny indiańskich plemion, około dwustu dwudziestu zdecydowało się na zbudowanie salonów gry. Obecnie działa ich w USA czterysta. Pojawiają się czasem w amerykańskiej prasie doniesienia o firmach, które bogacą się na przywilejach czerwonoskórych, niewiele dając im w zamian. Jednak duże, operatywne plemiona, jak Czirokezi, po mistrzowsku wykorzystały okazję. W Oklahomie mają sześć przybytków hazardu.

- To chichot historii - usłyszałam za plecami. Stał za mną postawny biały mężczyzna w średnim wieku. - Nadszedł czas rewanżu, to zemsta Indian - mówił. - Korzystają przecież z pieniędzy białych uprawiających hazard w ich kasynach.

Rewanż, zemsta za nieludzkie traktowanie, za wyrzucenie ich z ziem praojców, za zagrabienie ich majątku, za zabijanie? Czy przez tego mężczyznę przemawiała zazdrość, czy poczucie winy za minione krzywdy, jakie biali wyrządzili Indianom? Nie zdążyłam spytać, zniknął między automatami do gry.

Pojechałam więc do Tahlequah (czytaj: Talekła), stolicy plemienia Czirokezów (po angielsku Cherokee), leżącej godzinę jazdy na wschód od Tulsy, by w tamtejszym muzeum poznać ich historię.

Czirokezi, podobnie jak Czikasawowie, Czoktawowie, Krikowie i Seminole, zamieszkujący między innymi tereny stanów Georgia, Północna Karolina, Tennessee i Alabama, już na przełomie XVIII i XIX wieku przyjęli prawa i religię białych. Czerwonoskórych chroniła ustawa, wydana w 1787 roku przez Kongres USA, mówiąca o tym, że ziemi nie należy odbierać Indianom bez ich zgody, co sugerowało zakaz przemocy, ale dawało możliwość zawierania transakcji. Indianie zakładali biznesy, farmy, budowali domy i chrześcijańskie kościoły, uprawiali ziemię, byli posiadaczami niewolników. Ale zachowali swą odrębność kulturową i polityczną. Stworzyli własne rządy. Nie bez powodu Amerykanie nazwali te pięć grup - Pięcioma Cywilizowanymi Narodami (Plemionami). W 1827 roku Czirokezi uchwalili nawet konstytucję wzorowaną na amerykańskiej, uzupełnioną ich zwyczajami i tradycjami. Niektóre zapisy w tej ustawie były nowatorskie, na przykład prawo, które dawało kobiecie możliwość transferu własności bez zgody męża, czego amerykańskie przepisy nie przewidywały. Czirokezi posługiwali się alfabetem stworzonym w latach 1809-1821 przez Indianina nazywanego Sekwoja. Wydawali własną gazetę. Uczyli się na tyle szybko, że do lat trzydziestych XIX wieku czytać i pisać umiało więcej Indian niż białych, którzy mieszkali w sąsiednich wioskach. Nie można zatem mówić, że byli „dzikusami”.

Osadnicy z Europy coraz liczniej przybywający do południowo-wschodnich stanów potrzebowali jednak nowej przestrzeni i możliwości rozwoju. Tymczasem dobrze radzący sobie czerwonoskórzy stanowili konkurencję dla często niewykształconych, pełnych uprzedzeń imigrantów. Poza tym prosperujące majątki Indian okazały się łakomym kąskiem dla biednych białych przybyszów. Pomysł wydawał się prosty: wyrzucić „dzikusów” za rzekę Missisipi, na dzikie, przez nikogo niechciane (wówczas) tereny.

Orędownikiem usunięcia Indian był Andrew Jackson wybrany w 1828 roku na prezydenta. Sam pochodził z rodziny ubogich osadników z Tennessee. Los rdzennych mieszkańców przypieczętowało odkrycie złota w Georgii. Parlament tego stanu wydał akt, na mocy którego skonfiskowano im ziemię. Co prawda amerykański Sąd Najwyższy uznał to za niekonstytucyjne, ale prezydent Jackson przeforsował ustawę o wysiedleniu czerwonoskórych na zachód od Missisipi.

Po protestach, próbach negocjacji i zawierania traktatów przesiedlanie rozpoczęto latem 1838 roku. Wtedy dla Czirokezów rozpoczął się dramatyczny okres w historii, nazwany Szlakiem Łez. Żołnierze siłą wyrzucali Indian z domów i zapędzali ich do specjalnie przygotowanych obozów. Pierwszy taki obóz, który można nazwać koncentracyjnym, powstał w Fort Cass, w stanie Tennessee, gdzie w zagrodach stłoczono czternaście tysięcy ludzi. Czekali tam w upale wiele tygodni, nie mieli co jeść ani pić. Podobnych miejsc powstało kilka. Z nich Indianie, wraz ze swoimi niewolnikami i białymi współmałżonkami (było wiele małżeństw mieszanych), ruszyli na zachód w wielkich grupach, każda liczyła około tysiąca osób. Marsz trwał ponad pół roku! Spośród siedemnastu tysięcy wysiedlonych Czirokezów, ponad cztery tysiące zmarło po drodze.

W muzeum nie było tłoku. Oprócz mnie ekspozycję zwiedzali francuska para i pięciu młodych mężczyzn w towarzystwie staruszki. Wyglądali na Indian. Gdy z głośników rozległy się krzyki żołnierzy, płacz dzieci i jęki kobiet, chwycili się za ręce. Trzech z nich ukradkiem ocierało łzy, a staruszka zaciskała pięści. Nie musiałam o nic pytać, wiadomo, że ich przodkowie przeżyli. Wraz z innymi ocalonymi zamieszkali tu, na terenach dzisiejszej Oklahomy, które wówczas zwano Terytorium Indiańskim. Miało ono, zgodnie z deklaracjami z 1830 roku, znaleźć się poza kontrolą władzy „cywilizowanej”, czyli amerykańskiej, i zostać wyłączone spod osadnictwa białych. Ale i tę obietnicę władze złamały. Pięćdziesiąt lat po zakończeniu przesiedleń zezwoliły osadnikom na zajęcie ziemi.

W Tahlequah co wieczór na terenie muzeum jest wystawiany spektakl *Szlak Łez*. Oglądany pod gołym niebem wywołuje w widzach ogromne emocje.

- Bezdusznosc i zachłanność ówczesnych osadników są porażające, a my ciągle wysławiamy tych pionierów - powiedział szeptem młody chłopak do siedzącej obok dziewczyny. To studenci z Florydy, na pierwszych samodzielnych wakacjach zmierzali autem na zachód. Siedzieli tuż przede mną i było po nich widać, jak spektakl ich zszokował. Nie mogli się też nadziwić, skąd Indianie wzięli siły, by odbudować swoje życie na nowo na nieznanym, wrogim terenie, zamieszkanym przecież przez inne plemiona indiańskie.

Słyszając rozmowę tych młodych ludzi, pomyślałam, że gdyby budowniczości Ameryki, na czele z prezydentem Andrew Jacksonem, wiedzieli, jakie bogactwa kryje ta ziemia, pewnie nie pozwoliliby Indianom tu zostać. Ale gdy w Oklahomie odkryto ropę, było już za późno.

Plemiona, które zesłano przypadkiem na roponośne tereny, z dnia na dzień stały się bogate. To właśnie odkrycie surowców naturalnych bardzo im pomogło w rozpoczęciu normalnego życia.

Czirokezi byli szczęściarzami. Najpierw dzięki ropie, a teraz dzięki hazardowi mają pieniądze także na badania historyczne i tworzenie muzeów. Pieniądze z kasyn zasilają budżet plemienia i są wydawane na szkoły, ochronę zdrowia, wyposażenie szpitali, na projekty poprawiające warunki życia - budowę domów, dróg, wodociągów. Władze plemienne fundują młodzieży stypendia naukowe, wysyłają studentów na najlepsze uniwersytety. Zapewniają też miejsca pracy tym, którzy sami sobie nie radzą.

Opowiadała mi o tym Victoria, trzydziestoletnia, niewysoka, czarnowłosa dziewczyna w okularach. W jej żyłach płynie ćwiartka krwi czirokeskiej. Ojciec jest pół Czirokezem, a pół Komanczem, działa w Radzie Plemiennej Czirokezów. Mama zaś pochodzi z Teksasu. Obydwoje rodzice pracują w przemyśle naftowym. Ich dom, a właściwie posiadłość, jest ogromny, styl życia rodziny przypomina bardziej serial *Dynastia* niż *Winnetou*.

Victoria tak naprawdę ma na imię Marylyn. Pseudonim umożliwia odcięcie się od rodziny i wraz z kruczoczarnymi włosami i ciemnymi okularami pomaga w pracy. Victoria zajmuje się bowiem promowaniem w Oklahomie amerykańskich i zagranicznych zespołów grających muzykę neogotycką. Dziewczyna zafascynowana czarnym rockiem prowadzi dość alternatywny, jak na Oklahomę, styl życia. Nosi się na czarno, jeździ małym ekologicznym samochodem i mieszka z dwoma kotami w domku kilka mil od posiadłości rodziców.

Victoria tłumaczyła mi, że z roku na rok rośnie populacja Czirokezów, i to wcale nie z powodu rekordowej liczby narodzin. Po prostu dzięki ogromnym dochodom z hazardu i umiejętnie prowadzonym inwestycjom to plemię stało się najbogatszym w całej Ameryce. Opłaca się więc przyznać do indiańskiej krwi. Wiele osób, które przez lata ukrywało swoje pochodzenie, teraz wychodzi z cienia i dlatego Czirokezi stali się największym indiańskim narodem w Stanach Zjednoczonych, liczą ponad trzysta trzydzieści tysięcy członków. Wyprzedzili nawet dotychczas największe plemię - Nawahów.

- Żeby ktoś mógł zostać uznany za Czirokeza - wyjaśniała mi cierpliwie Victoria - musi mieć minimum jedną szesnastą indiańskiej krwi z tego plemienia (czyli wystarczy, jeśli pradziadek był Indianinem). Teraz wyzwaniem dla władz plemiennych stała się propozycja, by o prawo do włączenia do tego narodu mogli się ubiegać potomkowie niewolników, którzy razem z Indianami przeszli Szlak Łez. Choć brak tu więzów krwi, to łączy ich tragiczna historia. Victoria

pokazywała mi na ulicy Indian, Mulatów, Murzynów, białych i mówiła, że ten czy tamten jest Czirokezem. Rozpoznawała ich nie po rysach i kolorze skóry, tylko po specjalnych „czirokeskich” numerach rejestracyjnych samochodów.

Gdy zwiedzałyśmy muzeum sztuki indiańskiej w Tulsie, podziwiając uwiecznione na płótnach tradycyjne sceny polowań, walk, gawęd przy ogniskach, rozmawiałyśmy z Victorią o tym, że Czirokezi nie tylko od wieków mają żyłkę do interesów, lecz są także bardzo nowocześni. Dla mnie zaskoczeniem było, że na mail wysłany do władz plemienia dosłownie w ciągu kilku minut otrzymałam wiadomość od naczelnego wodza. Victoria naigrawała się, pytając, czy myślałam, że Czirokezi wysyłają sygnały dymne w odpowiedzi na maile. Uprzedziła jednak, żebym była cierpliwa w kontaktach z władzami plemiennymi, bo administracja, jak wszędzie, jest zbiurokratyzowana. Poza tym wielu czerwonoskórych pracuje w „czasie indiańskim”, a termin ten oznacza nic innego jak spokój i powolność.

Victoria uświadomiła mi także, że Czirokezi wyprzedzają wszystkich, nawet białych, swoimi decyzjami. Przystanęła przed jednym z wielkich portretów i powiedziała, że kobieta na nim widoczna jest tego najlepszym dowodem. Była to Wilma Mankiller, która przez dziesięć lat (1985-1995) sprawowała funkcję naczelnego wodza plemienia Czirokezów.

- W ilu państwach na świecie kobiety rządziły w tym czasie, ha? - spytała Victoria i namówiła mnie do przeczytania autobiografii kobiety wodza.

Mankiller po angielsku znaczy „ten, który zabija ludzi”, a w języku Czirokezów jest tytułem wojskowym - jak na przykład major - i znaczy „ten, który broni wioski”. Sama Wilma Mankiller zawsze lubiła żartować ze swojego nazwiska, mówiąc, że ciężko sobie na nie zapracowała.

Urodzona w 1945 roku z ojca Czirokeza i matki pół Holenderki, pół Irlandki, wyrosła w Oklahomie, w biedzie. Gdy jej ojciec przyjął stanowisko w Biurze do spraw Indian i cała rodzina przeniosła się do San Francisco, mieszkała w ubogiej murzyńskiej dzielnicy. Wtedy, jak napisała w autobiografii, przekonała się, że biedni mają o wiele większą zdolność rozwiązywania swoich problemów, niż się ludziom zazwyczaj wydaje.

Do Oklahomy wróciła w połowie lat siedemdziesiątych, po rozwodzie z pierwszym mężem, i zaczęła studia. W 1979 roku cudem uniknęła śmierci w czołowym zderzeniu na szosie. Groziła jej amputacja nogi, ale uratowało ją siedemnaście operacji. Rok później zdiagnozowano u niej przewlekłą chorobę mięśni. Walka o życie i zmaganie się ze słabościami przekonały ją, że

musi się spieszyć, by coś osiągnąć. Tym „czymś” stało się pomaganie ludziom. Zatrudniła się w indiańskim Biurze do spraw Rozwoju. Zastąpiła świetnie zorganizowaną akcją zdobycia pieniędzy na budowę wodociągu i zmobilizowania mieszkańców małej, trzystupięćdziesięcioosobowej osady Bell do wspólnej pracy przy tej inwestycji.

Po tym sukcesie, w 1983 roku Wilma Mankiller, liberalna demokratka, dostała propozycję od Rossa Swimmera, konserwatywnego republikanina, prezesa niewielkiego banku, objęcia stanowiska jego zastępczyni, gdy on wygra wybory na naczelnego wodza Czirokezów. I tak została wicewodzem. Gdy dwa lata później Swimmera mianowano na szefa Biura do spraw Indian, zawiadującego wszystkimi plemionami, Mankiller przejęła jego obowiązki.

W 1987 roku prowadziła już własną kampanię i walczyła w wyborach na naczelnego wodza. Nie zniechęciły jej ani codziennie przebijane opony w samochodzie, ani groźby, że zginie, jeśli się nie wycofa. Wygrywając, pokazała wszystkim, jak daleko może zajść indiańska dziewczyna. I przyciągnęła uwagę mediów, które nagle zaczęły interesować się, jak żyją Indianie i jakie mają problemy. Mankiller zebrała miliony dolarów na budowę szkół, klinik i ośrodków, w których organizowano różnego rodzaju kursy dla Indian. Ponownie wygrała wybory w 1991 roku.

Cztery lata później, po zakończeniu kadencji, wycofała się z życia publicznego z powodu złego stanu zdrowia. Do długiej listy jej chorób doszły chłoniak i rak piersi. Przeszła też transplantację nerki.

W 1998 roku otrzymała od prezydenta Billa Clintona Medal Wolności, najwyższe cywilne odznaczenie w USA.

Zmarła 6 kwietnia 2010 roku na nowotwór trzustki. Do śmierci pierwsza kobieta wódz mieszkała ze swoim drugim mężem w tej samej posiadłości, w której się urodziła, Mankiller Fields. Jej kolejne książki wspomnieniowe stały się bestsellerami. Czasami brała udział w konferencjach, wygłaszała przemówienia i tłumaczyła, że być Indianinem to zaszczyt. To między innymi dzięki niej Czirokezi są dumni ze swojej historii i języka. W Tahlequah nawet na znakach drogowych widnieją napisy w alfabecie Sekwoi.

Długo po opuszczeniu krainy Czirokezów miałam przed oczami Wilnę Mankiller nawołującą do działania i optymizmu. Przypomniałam sobie jej słowa: „Ciężko widzieć przyszłość, gdy się ma łzy w oczach”.

„Ojciec Drogi 66”

Jechałam szerokimi ulicami rozległej Tulsy, podziwiając zadbane domy, trawniki i... padoki, po których biegały konie. Dość zaskakujący widok jak na drugie co do wielkości (po Oklahoma City) miasto w stanie Oklahoma, liczące czterysta tysięcy mieszkańców. Niegdyś nosiło ono przydomek światowej stolicy ropy naftowej.

W ogromnym zadbanym parku ujrzałam dwa błyszczące w słońcu ultranowoczesne gmachy. Początkowo myślałam, że to siedziby banków lub firm ubezpieczeniowych, ale zauważyłam, że między nimi wyrastają wielkie, wzniesione w górę dłonie, złożone jak do modlitwy. Okazało się, że są to budynki chrześcijańskiego uniwersytetu, założonego przez teleewangelistę Orala Robertsa. Opodal znajdowała się wieża modlitwy wyglądająca jak statek kosmiczny.

W samym centrum miasta kolejne zaskoczenie - zobaczyłam piękne budynki w stylu art déco przemieszane ze zwykłymi kamienicami i sklepikami. Potem dowiedziałam się, że Tulsa jest trzecim, po Nowym Jorku i Miami, miastem w USA z największym nagromadzeniem gmachów w tym ciekawym stylu architektonicznym z lat dwudziestych XX wieku. W mieście przy ruchliwej Drodze 66, świetnie prosperującym dzięki rozwiniętemu przemysłowi rafineryjnemu, firmy, korporacje i banki prześcigały się w staraniach, żeby architektura ich siedzib była nowoczesna i modna.

W jednym z takich pięknych budynków, ośmiokondygnacyjnym domu z 1929 roku, odwiedziłam Michaela Wallisa. Jest on niekwestionowanym autorytetem, jeśli chodzi o Drogę 66. Jego książka, pierwsza poświęcona starej szosie, ukazała się w 1990 roku i sprzedano ponad milion jej egzemplarzy. Dziś nazywa się ją „biblią Drogi 66”, a sam autor nosi miano Ojca Chrześcijańskiego legendarnej szosy, bo dzięki niemu ona odżyła.

Zabytkowa winda zawiozła mnie na trzecie piętro, gdzie Michael Wallis ma swoją pracownię. Czekał na mnie w korytarzu. Dwupokojowe mieszkanie przerobione na gabinet i archiwum było zawałone po sufit papierami, gazetami, książkami. To tu powstawały kolejne książki historyczne Wallisa, ostatnia o Billym Kidzie. Autor przyznał, że trochę mu ciasno w jego klitce, ale skoro pisze o zabytkach i wysławia stare budynki, nie mógłby (i nie chce) mieszkać w nowoczesnym dużym domu. Po krótkim rekonesansie poszliśmy na piąte piętro, do

mieszkania Wallisów, nieco większego od pracowni. Z okna widać było ulicę, którą biegła Droga 66 przez Tulsę.

Pisarz opowiadał, że to miasto jest wygodną, praktyczną lokalizacją, ponieważ spotykają się tu wschód z zachodem. Mieszkał wcześniej w ośmiu różnych stanach, a to tu został na dobre. Bo dzięki międzynarodowemu lotnisku wszędzie jest blisko, a ludzie są serdeczniejsi niż gdzie indziej.

Michael Wallis lekko potarł wąsy i rozsiadł się wygodnie na wielkiej skórzanej kanapie. Na lewej dłoni miał dwa duże sygnety, na prawej - jeden, ale za to zdobiony ogromnym turkusem. Niskim, ciepłym głosem snuł opowieści o ludziach, miejscach i zdarzeniach. Jego kotka, Sofie, ocierała się o moje nogi, a każda kolejna historia brzmiała w jego wykonaniu jak bajka.



Pisarz Michael Wallis jest Ojcem Chrzestnym Drogi 66. To jego książka, sprzedana w ponad milionie egzemplarzy, przypomniała legendę Matki Drogi. Główny konsultant filmu *Auta* użył także głosu szeryfowi.

Opowiedział między innymi o tym, jak zdecydował się napisać książkę o Drodze 66 i jak początkowo wiele osób nie rozumiało, skąd wzięło się jego zainteresowanie tą starą szosą. W 1989 roku w zachodniej Oklahomie zatrzymał się na stacji benzynowej. Pamięta, że było zimno i wietrznie. Właściciel stacji rozpoznał go i zapytał, czego szuka w tej okolicy. Zaczął się śmiać, gdy Wallis powiedział mu, że pisze książkę o Route 66. „Kto chciałby czytać o tym starym kawałku asfaltu? - wykrzyknął mężczyzna. - Przecież tutaj się nic nie dzieje, wszyscy pouciekali, gdy otwarto autostradę”. Michael Wallis rozeźlony tą kpina zaproponował, aby tamten sam opowiedział, jak żyje przy starej szosie. Okazało się, że tę stację benzynową zbudował jego dziadek w 1927 roku. Prowadził ją ojciec, potem on, niedługo przejmie ją jego córka. Tuż przy szosie było boisko, na którym grał w futbol. Z pobliskiego przystanku autobusowego wyruszył

do wojska, do Wietnamu. Po powrocie, w kościele na rogu, ożenił się ze swoją szkolną miłością. Mężczyzna, opowiadając to, zrozumiał, że ta szosa to całe jego życie. Podał rękę Wallisowi i przyznał: „Cieszę się, że piszesz tę książkę”. Wallis wsiadł do auta i ruszył. Pół mili później stwierdził, że ta Droga nigdy nie przestanie istnieć! Gdy spytałam, jak to jest być Ojcem Chrzestny legendy, skromnie odpowiedział, że książka była jego listem miłosnym do Drogi 66. A także do ludzi na niej żyjących i pracujących, bo to oni są najważniejsi.

Wallis urodził się w 1945 roku w stanie Missouri, wyrósł przy Drodze 66. Była to pierwsza szosa, po której podróżował, na niej uczył się prowadzić samochód. Jako żołnierz to na „66” łapał autostop, żeby dostać się do jednostki, gdy wracał z domu. A jako młody reporter właśnie na tej Drodze szukał tematów do gazety.

- Droga 66 jest jak jedna długa wioska - powiedział, uśmiechając się. - Mapa starej szosy wytatuowała się już w mojej głowie. Znam na pamięć każdy zakręt, każdą przecnicę i mostek. Znam też wszystkich, którzy przy „66” mieszkają. Jesteśmy jak rodzina. Ale zawsze spotykam tam też kogoś nowego, odkrywam coś nieznanego.

Weszła żona Michaela, Suzanne. Przedstawiłam się, a ona oznajmiła: „Ty też jesteś już częścią tej dużej rodziny. Witamy”.

Człowiekiem, który zaczął tworzyć tę wielką społeczność, był Cyrus Stevens Avery. Opowiedziała mi o nim jego wnuczka mieszkająca w Tulsie - Joy Avery - kobieta ponad sześćdziesięcioletnia, wysoka, szczupła, z burzą siwych włosów. Patrząc na zdjęcie portretowe młodego, przystojnego i nienagannie ubranego Cyrusa Avery'ego mówiła, że dziadek pewnie nawet nie podejrzewał, że jego przeprowadzka w 1907 roku z Vinity do Tulsy zapoczątkuje rewolucyjny projekt, zwany Dobrymi Drogami. W Tulsie bowiem Cyrus Avery wymyślił proste a genialne urządzenie, które pomagało wyrównywać wertepy na piaszkowych ścieżkach. Były to wielkie, ciężkie, drewniane kłody, luźno połączone ze sobą łańcuchami, wleczone przez konie w tę i z powrotem po odcinku szlaku wymagającym naprawy. Mieszkańcy stanu Oklahoma, wdzięczni Cyrusowi za ten wynalazek, nadali mu tytuł Ojca Dobrych Dróg.

Używając dzisiejszych określeń, można powiedzieć, że Avery był deweloperem. Brał udział w różnych projektach, ale to właśnie drogi stanowiły jego pasję. Uważał, że powinny łączyć ludzi. Marzył o tym, by któraś z głównych amerykańskich szos dotarła aż do Mexico City. Wielokrotnie powtarzał, że w obliczu upowszechnienia wynalazku o nazwie „samochód” i Oklahoma, i cały kraj najbardziej potrzebują dróg i masowej komunikacji.

Avery w połowie lat dwudziestych XX wieku został członkiem specjalnego, pięcioosobowego komitetu, który zastanawiał się, jak sprawić, aby auta mogły swobodnie przemieszczać się po kraju. Reprezentował w nim stan Oklahoma. Zaproponował stworzenie jednej szosy łączącej wschód z zachodem dzięki scaleniu istniejących krótkich odcinków szlaków i ścieżek. Do tamtej pory drogami w USA zawiadywały poszczególne miasta i hrabstwa, dlatego nikt nie był zainteresowany wykładaniem pieniędzy na budowę nowych przejazdów.

Joy pokazała mi mapę, na której jej dziadek w 1925 roku wytyczył nitkę łączącą Chicago z Los Angeles. By ominąć trudne przeprawy przez góry i pewnie z lokalnego patriotyzmu, zdecydował, że szosa będzie biegła przez Oklahomę. A później nadzorował jej budowę. Otwarcie nowej trasy nastąpiło 11 listopada 1926 roku, a Avery został okrzyknięty Ojcem Drogi 66.

- Dziadek był wizjonerem i zapaleńcem. To pewne - powiedziała Joy. Siedziałyśmy w jej przytulnym domu, pełnym drobiazgów, zdjęć i książek. Przeszła właśnie na emeryturę, więc wreszcie ma czas, by przejrzeć pamiątki i papiery po zasłużonym przodku oraz więcej się o nim dowiedzieć. Śmiejąc się, stwierdziła, że bycie wnuczką takiego człowieka zobowiązuje. Od kilku lat zaproszenia na wszelakie uroczystości i spotkania odbywające się na Drodze 66 napływają do niej lawinowo. Od 2002 roku w imieniu dziadka wręcza też nagrodę przyznaną za realizację najlepszych projektów odbudowy lub renowacji starej szosy.



Drogę 66 wymyślił Cyrus Avery. Połączył istniejące odcinki szlaków, ścieżek i szos, biegnące przez miasteczka i osady. Poszerzył je i utwardził. Joy Avery, wnuczka Ojca Drogi 66 przez długie lata nie miała świadomości, jak wiele jej dziadek zrobił dla Ameryki.

Pokazując kolejne zdjęcia z archiwum Cyrusa Avery'ego, Joy przyznała, że przez wiele lat nie wiedziała, że Droga 66 jest taka ważna. Żyła w nieświadomości. Wyciągała coraz to nowe dokumenty, oryginalne plany i projekty, mówiąc, że on dla niej przez całe życie był po prostu dziadkiem. Rzadko bywał w domu, ciągle gdzieś jeździł, pracował, wracał dopiero wieczorami.

Dziadek traktował dzieci zupełnie inaczej niż wszyscy znani im dorośli. Dawał im wolność - działania i wyboru. Bez pouczania i mówienia, co mają robić.

Avery był skromnym człowiekiem. Joy podała przykład, jak startował w wyborach na gubernatora Oklahomy. Postanowił wtedy, że nie będzie prowadził kampanii. Uważał, że albo ludzie wiedzą, co potrafi, i mu zaufają, albo nie i wtedy nie zasługuje, by zostać gubernatorem. Cały ten blichtr i mizdrzenie się na wiecach wyborczych oceniał jako zupełnie niepotrzebne. Przegrał. Zdecydowanie nie był politykiem.

Nigdy nie opowiadał swoim wnukom, czym się zajmuje. Kończył jeden projekt i zaczynał drugi. O Drodze 66 w ogóle nie wspominał.

Joy, podobnie jak większość Amerykanów, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych oglądała serial telewizyjny *Route 66*, nadawany przez stację CBS. Dwaj główni bohaterowie - brunet i blondyn - podróżowali w nim po Stanach przepiękną corvette. W każdym odcinku przyjeżdżali w nowe miejsce, rozwiązywali zagadki, pomagali spotkanym ludziom, nawiązywali przyjaźnie. Gościnnie w serialu występowały różne gwiazdy, między innymi: Robert Redford, Lee Marvin, Buster Keaton czy Stefanie Powers. I choć odcinki rzadko kiedy kręcono rzeczywiście na Drodze 66, to serial przyczynił się do ogromnego wzrostu popularności szosy. Telewidzowie zapragnęli, tak jak ich ulubieni bohaterowie, poznawać kraj, a serial stał się kultowy.

- Dziadkowie nie mieli telewizora - powiedziała Joy z uśmiechem - więc pewnie nawet nie wiedzieli, że Droga 66 cieszyła się taką popularnością.

Dziś miłośnicy legendarnej szosy uważają, że numer, jaki Cyrus Avery nadał swojemu „ukochanemu dziecku”, nie był przypadkowy. Wpada w oko, dobrze się go zapamiętuje. Niektórzy twierdzą nawet, że szosa przejęła charakter i osobowość po swoim projektancie. Spokojna i cicha robi swoje, a bez niej - ani rusz.

Joy powiedziała, że jeśli chce ją lepiej poznać i zrozumieć, powinnam przyjść na mszę do jej kościoła. Nie było mi łatwo trafić do właściwego przybytku wiary, przy tej samej ulicy znajdowało się bowiem kilka kościołów. Gdy podeszłam w końcu do maleńkiego budynku, na którym nie było żadnego krzyża, drzwi się otworzyły i Joy oznajmiła: „Witamy w kościele unitarian uniwersalistycznych”.

Wnętrze tej świątyni okazało się niewielkim pokojem. Nie było tam ołtarza, tylko stolik i nieduża mównica. Pośrodku stała Murzynka i czytała bajkę o małym czarnym chłopcu, który

miał odwagę grać na trąbce swoją muzykę. Historia przypominała opowieść o Charlie'emu Parkerze (pseudonim „The Bird”, genialny trębacz jazzowy). Starszy biały mężczyzna po każdym zdaniu przygrywał jeden akord na pianinie. Rozejrzałam się dyskretnie, licząc uczestników mszy: osiemnastu dorosłych, połowa białych, połowa czarnych, czworo murzyńskich dzieci - w wieku od kilku do kilkunastu lat. Po zakończeniu opowieści malcy zerwali się z miejsc i z plastikowymi miseczkami zaczęli zbierać datki. Wszyscy wrzucali monety. Dzieciaki wybiegły w końcu z pokoju, ich część mszy się skończyła.

Do mównicy podeszła Mary, biała kobieta po pięćdziesiątce. Powitała wszystkich i poprosiła Joy, by mnie przedstawiła. Musiałam wstać, a wszyscy, patrząc na mnie, kiwali z aprobatą głowami. Próbowali też powtórzyć moje nazwisko. „Łakomsi” - to wersja najbardziej zbliżona do oryginału. Gdy do wiklinowych koszyków puszczonej przez Joy w obieg wkładali banknoty, przy mównicy stanął pastor - postawny Murzyn o imieniu Gerald. Wyjaśnił, że to wyjątkowy dzień, msza będzie bowiem modlitwą jazzową, a takie odbywają się tylko raz w roku. „Muzyka jest wspaniałym medium i środkiem wyrazu - powiedział. - Ale zanim ona zabrzmi w tym wnętrzu i naszych sercach, zapalmy świece i pomódlmy się w intencji tych, którzy potrzebują naszego wsparcia”.

Świece zapłonęły zatem na cześć zmarłego niedawno kolegi i za chłopaka z sąsiedztwa, który w ciężkim stanie leży w szpitalu po wypadku samochodowym. Wsparcie otrzymali też poszkodowani w ostatnim huraganie oraz Barack Obama. Joy zapaliła świeczkę w intencji Cyrusa Avery'ego, bo właśnie tego dnia przypadały jego urodziny. Powiedziała, że z każdym rokiem coraz lepiej poznaje dziadka, coraz więcej się o nim dowiaduje dzięki temu, że ludzie z całego świata pytają o niego. Mówiąc to, patrzyła na mnie. I znów wszyscy obecni odwrócili wzrok w moją stronę, kiwając głowami.

Pastor zachęcił do modlitwy i zapanowały cisza, skupienie, powaga. Jak potem wyjaśniła mi Joy, unitarianie modlą się w myślach, każdy po swojemu, do swojego Boga. Wierzą w to, że każdy człowiek ma prawo do własnej religii i może ją wyznawać tak, jak chce. Uważają, że najwyższym sędzią w sprawach religii są nie dogmaty ani duchowni Kościołów, ale osobiste wybory. Kościół unitarian jest Kościołem humanistycznym, jednym z mniejszych w USA.

Tymczasem Gayle, starszy pan w białej koszuli i spodniach na szelkach, usiadł przy pianinie i zaczął brzdąkać standardy jazzowe. Modlitwa powoli dobiegała końca. Większość obecnych miała przymknięte oczy. Niektórzy lekko kiwali się w rytm. „Yeah” - pokrzykiwali od

czasu do czasu, najwyraźniej do swoich myśli czy modlitw, a może do muzyki. Po nabożeństwie Gayle wytłumaczył mi, że nie mają żadnego ustalonego, formalnego porządku, a tymczasem, poprosił na środek Joy. Kobieta zagrała na gitarze i zaśpiewała dwa protest songi z czasów wojny secesyjnej. Potem zaśpiewali: Kevin, i Mary, i znów Joy. Wnuczka Avery'ego jednocześnie tłumaczyła słowa na język migowy. Potem opowiedziała mi, że w dzieciństwie miała kłopoty z mówieniem i dopiero język migowy umożliwił jej przełamanie psychicznej bariery, dlatego gdy dorosła, została tłumaczem migowym, pomagała niesłyszącym dzieciom w szkołach.

Kevin, Mary i Joy zaśpiewali razem *Summertime*. A natępnie przed zebranymi stanęła Gwyn, Murzynka o mocnym, głębokim głosie, wykonała najpierw *That Sunday, That Summer* Nat King Cole'a, a potem *What a Wonderful World* Louisa Armstronga. Ta piosenka, opisująca przyjemność z codziennych, prostych czynności, śpiewana przez Armstronga w 1968 roku, przy wzrastających niepokojach społecznych, stała się nieformalnym hymnem wolności. Teraz, w tym niewielkim wnętrzu wypełnionym uśmiechniętymi ludźmi, zabrzmiała tak wzruszająco, że łzy napłynęły mi do oczu. Siedząca obok starsza pani, Betty, opiekunka tego kościoła, taka była zadowolona, że aż podskakiwała na krześle, przebierając nogami w rytm muzyki. Patrząc na mnie, powiedziała, że to piękne, iż każdy na swój sposób rozmawia z Bogiem.

Gayle, wstając zza pianina, ogłosił, że na zakończenie, zamiast hymnu zamykającego, zagrają i zaśpiewają specjalny utwór na cześć gościa. Wszyscy kolejny raz odwrócili się w moją stronę i wstali. Ja też się podniosłam i w podziękowaniu pochyliłam głowę. „Zaśpiewajmy, żeby jej projekt się powiódł” - powiedział Gayle. Patrzyłam na nich, a moje oczy robiły się coraz większe. Wszyscy poważnie pokiwali głowami. Rozległy się pierwsze akordy *Get Your Kicks on Route 66* - rockandrollowego hymnu na cześć najwspanialszej z dróg.

Joy, śpiewając, śmiała się do mnie. Wszyscy klaskali zadowoleni z wrażenia, jakie na mnie wywarli. A następnie podchodzili, ściskali moją dłoń, składali życzenia i gratulowali. Byli zachwyceni, że sprawili mi niespodziankę.

droga-matka, droga-ucieczka

Droga biegła przed siebie, prosto jak strzeł, między niskimi drzewami. Czasem wznosiła się i opadała lekko. Mijałam kolejne miejscowości: Sapulpa, Bristow, Depew. Widziałam z Drogi 66 „bieda-osiedla”, grupy przenośnych domów, a przy nich resztki trawy z trudem walczące o przeżycie. Porozrzucane rancza, do których wiodły piaszczyste ścieżki. Zapraszały do nich drewniane bramy z ułożonymi z patyków nazwiskami właścicieli. Tu zardzewiały most, tam odrapany neon i jakiś stary motel, który pamiętał początki transkontynentalnego szlaku. Jadąc, myślałam o tym, o czym niedawno opowiadał mi Michael Wallis. Oklahoma w latach trzydziestych XX wieku ucierpiała jak żaden inny stan. Mieszkający tu ludzie dostawali cios za ciosem. Najpierw w 1929 roku rozpoczął się wielki kryzys, potem w 1930 nastąpił okres suszy i burz pyłowych (trwał do 1939 roku).

W pewnym momencie przy zarośniętym trawą starym odcinku asfaltu pojawił się znak „droga zamknięta”. Pośrodku pola, które wyglądało jak nieużytek, stał wrak samochodu. Z daleka nie było widać, czy to stare auto, ale od razu pomyślałam, że Michael Wallis miał rację, przekonując mnie, że skutki tego trudnego dziesięciolecia wciąż tu widać. Rzeczywiście, nadal wszystko przypomina ciężkie czasy kryzysu.

Zatrzymałam się w jakiejś niewielkiej przydrożnej knajpce na kawę. Zwykły układ wnętrza z kilkoma stolikami typu „przedział” i ławami do siedzenia wyściełanymi skajem oraz kilka stołów przy niskim barze, za którym widać było małą kuchenkę. Pięciu starszych panów, najwyraźniej stałych bywalców, w milczeniu sączyło czarny płyn z kubków. Nie zareagowali na moje przywitanie, ani nawet na zagajenie na temat pogody. Dopiero pytanie o dawne czasy ich rozruszało. Zaczęli wspominać. Jeden mówił, że na początku zeszłego stulecia na Wschodnim Wybrzeżu mieszkali jego wujowie, więc on doskonale wie, jak zaczął się wielki kryzys. Inni, pomrukując i stukając kubkami, wtrącali swoje opowieści. Kelnerka, kobieta w sile wieku, o niskim głosie, wciąż dolewała kawy ze szklanego dzbanka i pokrzykiwała co chwila: „Naprawdę? Niemożliwe!”.



Stacja benzynowa Conoco w miejscowości Miami w Oklahomie potocznie nazywana jest dziurą w ścianie, bowiem tę maleńką chatkę dobudowano do stojącego przy Drodze 66 większego gmachu w 1930 roku.

W latach dwudziestych XX wieku Wschodnie Wybrzeże Ameryki ogarnął szal charlestona, który swoim obłądnym tempem dobrze oddawał charakter tamtych lat. Ludzie bawili się, rozkoszując luksusowym życiem. Umożliwiały je wprowadzone przez banki natychmiastowe kredyty. „Ciesz się życiem dzisiaj, zapłacisz jutro” - to hasło powszechnie powtarzano. Na raty kupowano samochody, a pod pożyczki hipoteczne - domy. Na kredyt można było też nabyć akcje na giełdzie - wystarczyła wpłata dziesięciu procent wartości transakcji, a biuro maklerskie pokrywało resztę. Gdy później ceny akcji rosły, klient sprzedawał je i spłacał pożyczkę maklerowi, a zysk zatrzymywał dla siebie. Był to prosty i tani sposób na zabicie majątku, przynajmniej na papierze.

To wesołe życie skończyło się nagle 24 października 1929 roku. Wtedy na nowojorskiej giełdzie pękła bańka spekulacyjna, bo ludzie w obawie przed spadkiem wartości posiadanych przez nich papierowych fortun, zaczęli się ich pozbywać. To było błędne koło. Im więcej osób próbowało sprzedać akcje, tym ceny bardziej spadały, a im bardziej spadały, tym więcej przestraszonych ludzi próbowało pozbyć się akcji. Wybuchła panika. Fortuny istniejące tylko na papierze zniknęły w ułamkach sekund. A na Wall Street maklerzy walczyli między sobą o to, by wyzbyć się wszystkiego, co się dało. Nastąpił taki chaos, że zarząd giełdy zamknął galerię dla obserwatorów i gości, co się nigdy wcześniej nie zdarzyło.

W „czarny czwartek”, jak nazwano ten dzień, w obrocie znalazło się trzysta milionów akcji. W następnych dniach liczba ta wzrosła do trzydziestu milionów, a po kilku kolejnych dobach większość akcji nie miała już żadnej wartości. Majątki gromadzone przez lata, w ciągu kilku godzin zniknęły. Przedsiębiorcy, którzy zaciągnęli kredyty, nie byli w stanie ich spłacić i

bankrutowali. Ludzie zmuszani przez banki do zwrotu pożyczek, za bezcen sprzedawali na ulicach swoje mienie: auta, meble, ubrania. Zaczęły też bankrutować banki, ponieważ nie mogły ściągnąć pieniędzy od wierzycieli. Tak nakręciła się spirala wielkiego kryzysu, nazywanego także wielką depresją. Zrozpaczeni bankruci skakali z okien swoich biur w Nowym Jorku. W „czarny czwartek” odnotowano najwięcej samobójstw w historii świata. W wielkich miastach z dnia na dzień zamykano fabryki. Wkrótce produkcja przemysłowa spadła o połowę, bez pracy została jedna czwarta ludzi.

Mężczyźni wspominali, że tu, w Oklahomie, gdzie mieszkali głównie drobni farmerzy, „czarny czwartek” nie wywołał od razu paniki. Tu przecież nikt nie miał wielkich majątków czy inwestycji, każdy dłuwał na swoim lub wdzierżawionym kawałku nieurodzajnej ziemi. Ale pogoda nie dopisywała i modlitwy o deszcz nie dawały rezultatu. Wyjałowiona gleba nie przynosiła plonów. Farmerzy żyli na kredyt i w końcu banki, mając poważne kłopoty w związku z wielką depresją i próbując ratować się przed upadkiem, zaczęły żądać spłaty pożyczek, nawet tych najmniejszych, farmerskich. Kto nie mógł spłacić, ten tracił ziemię. Na małe pola zaczęły wjeżdżać wielkie ciągniki, które nie tylko orały ziemię, lecz także burzyły domy.

Staruszkowie opisywali tamte wydarzenia coraz bardziej rozemocjonowani. Jeden z nich szczególnie przykuł moją uwagę, może dlatego, że w przeciwieństwie do kolegów zamiast bejsbolówki miał na głowie kapelusz. A może dlatego, że był bardzo skupiony, uważny i oszczędny w słowach, zupełnie jak Henry Fonda w roli Toma Joad z filmu *Grona gniewu*. Premierze tego dzieła Johna Forda, w styczniu 1940 roku, towarzyszyły głośnie protesty, mimo że scenariusz, zgodnie z hollywoodzkimi wymogami, i tak kończył się bardziej optymistycznie niż powieść, na podstawie której powstał. *Grona gniewu* Johna Steinbecka ukazały się w 1939 roku i przez wielu od razu zostały okrzyknięte powieścią antyamerykańską. Bankierzy i finansiści, ukazani jako bezwzględni i zachłanni, sądzili, że to cios wymierzony w kapitalizm. Mieszkańcy Oklahomy oburzali się, że Steinbeck ukazał ich w złym świetle, jako nieporadnych nędzarzy. Także Kalifornijczycy nie byli zadowoleni ze swojego wizerunku okrutnych wyzyskiwaczy. Mimo to, a może właśnie dzięki temu, książka szybko stała się bestsellerem. Była drugą najbardziej rozchwytywaną powieścią po *Przeminęło z wiatrem* Margaret Mitchell i, tak samo jak ten melodramat, wyjątkowo szybko została zekranizowana. John Steinbeck został za tę powieść nagrodzony najpierw Pulitzerem w 1940 roku, a potem literackim Noblem w 1962 roku.

Gdy wspomniałam o *Gronach gniewu*, w knajpce wybuchła burzliwa dyskusja, którą uciął jeden z mężczyzn, mówiąc, że Steinbeck dobrze wszystko opisał. Jego przodkowie, jak rodzina Joadów z powieści, najpierw zabierali ziemię Indianom, potem zwalczali węże, a wreszcie zmagali się z bankami. A gdy katastrofalna susza zamieniała lichą glebę w pył zdmuchiwany wiatrem, oni, jak tysiące innych ludzi, zostali zmuszeni do opuszczenia swoich poletek. Tak oto mieszkańcy wschodniej Oklahomy masowo ruszyli na zachód w poszukiwaniu pracy i lepszego miejsca do życia.

Wkrótce dołączyło do nich wielu ludzi z północnej części stanu, wygnanych z domów przez burze pyłowe. Cały ten region (do dziś nazywany Dust Bowl) przekształcił się w pyłową nieckę, w której silne wiatry wiejące miesiącami porywały wysuszoną ziemię. Pył wirujący w powietrzu powodował, że widoczność była ograniczona do kilkudziesięciu, a czasem nawet kilku metrów. Oglądałam potem zdjęcia z tego okresu w Muzeum Drogi 66 w Clinton. Z trudem można na nich rozpoznać sylwetki ludzi walczących z wiatrem i pyłem. Jeden ze starszków wspominał, że doskonale pamięta, jak matka otulała go całego prześcieradłem i chowała pod koc, a mimo to miał piasek w ustach.

Najgorsze przyszło 14 kwietnia 1935 roku, w Niedzielę Palmową, którą potem nazwano „czarną niedzielą”. Rano niebo okazało się wyjątkowo błękitne i czyste. Słońce świeciło, było ciepło. Ludzie uradowani tak piękną pogodą po mszach wybrali się na pikniki. Burza nadeszła o czwartej po południu. Wiatr wiejący z prędkością ponad stu mil na godzinę porywał wszystko. Kotłował i ciskał kamienie w okna domów. Niszczył i zabijał. Ptaki i króliki padały zaduszone pyłem. W ciągu kilkunastu minut gwałtownie spadła temperatura, nastąpiła ciemność. Naukowcy wyliczyli potem, że w 1935 roku wiatry i burze przeniosły osiemset pięćdziesiąt milionów ton ziemi. Ludzie umierali na pyłowe zapalenie płuc i z wycieńczenia. Z północnej Oklahomy wyjechało czterdzieści procent ludności.

Gdy w 1933 roku na Wschodnim Wybrzeżu, w Waszyngtonie, władzę przejął prezydent Franklin Delano Roosevelt i zaczął wprowadzać ideę New Deal, Nowego Ładu, (by zreformować gospodarkę i program bezpieczeństwa socjalnego), mieszkańcy Oklahomy byli już w drodze. Wielopokoleniowe rodziny, zachęcane ulotkami proponującymi pracę przy zbiorze owoców, przemieszczały się do Kalifornii z dobytkiem załadowanym na samochody. Stare przeciążone auta osobowe i rozsypujące się ciężarówki zapełniły jedyną wówczas drogę prowadzącą na zachód. Wkrótce dołączali do nich ludzie ze stanów: Arkansas, Kansas i Teksas,

którym burze pyłowe też dały się we znaki. W całym regionie Wielkich Równin bez dachu nad głową zostało pół miliona ludzi.

Steinbeck pisał:

Szosa 66 to droga ucieczki dla tych, co uchodzą przed lotnym piaskiem i kurczącą się ziemią, przed grzmiotem ciągników i wywłaszczaniem, przed powolną inwazją pustyni w kierunku północnym, przed huraganami nadsciągającymi z wyciem od Teksasu, przed powodzią, które nie wzbogacają ziemi, lecz niszczą nawet te trochę bogactwa, które można by na niej znaleźć. Przed tym wszystkim uciekają ludzie i ciągną na szosę 66. Ciągną bocznymi drogami, drózkami wyjeżdżonymi przez wozy i polnymi ścieżkami. Szosa 66 to droga-matka, droga-ucieczka.⁵

Wędrowcy zostali nazwani „Okies” od skrótu „OK” oznaczającego Oklahomę (w polskim tłumaczeniu powieści Steinbecka jest używana wersja „Oklaki”).

I znów w knajpce przy kawie wybuchła dyskusja, czy Oklaki to określenie pejoratywne, czy też nie. Jeden z mężczyzn, zupełnie dotąd milczący, przerwał ją, mówiąc, że on wie najlepiej, bo jako dziecko jechał z rodzicami i dziadkami starym ffordem model T, jak Joadowie w *Gronach gniewu*, do Kalifornii. Zawiodła ich tam droga-matka, ale gdy już dotarli do celu, piękna zielona kraina nie okazała się rajem, ponieważ reklamowane w ulotkach miejsca pracy były bardzo nisko płacone, a poza tym nie było ich dużo. Mężczyzna przyznał, że niewiele pamięta, ponieważ był malutki, ale wie z opowieści rodzinnych, że Kalifornijczycy wcale nie przyjmowali Oklaków z otwartymi ramionami, wręcz przeciwnie, traktowali imigrantów jak plagę szarańczy. W 1937 roku Kalifornia przyjęła nawet przepisy, które ustanawiały surowe kary dla tych, którzy pomagali w sprowadzaniu na teren stanu biednych ludzi. Bezdomni, upokorzeni Okies, zdani na wyzysk właścicieli ziemskich wegetowali w obozach. Wielu podczas długiej wędrówki umierało z głodu i wycieńczenia. Tylko nielicznym udawało się od razu odbić od dna. Niektórzy po jakimś czasie wrócili na stare śmieci. Tak właśnie zrobiła rodzina tego mężczyzny. I jest dumny, że dali radę dotrzeć do Kalifornii i wrócić.

⁵ John Steinbeck, *Grona gniewu*, przeł. Alfred Liebfeld, Wrocław 1933, s. 209–210.



W Muzeum Drogi 66 w Clinton można zobaczyć między innymi zdjęcia z czasów Dust Bowl. Oklahoma była jednym ze stanów najbardziej poszkodowanych przez żywioł i dotkniętych przez wielki kryzys gospodarczy.

Wychodziłam z tej małej, zapyziałej knajpki poruszona rozmową ze staruszkami. Ich pamięć była tak żywa, tak barwna. A przecież czasy wielkiego kryzysu i burz pyłowych kojarzą się z czarno-białymi fotografiami, jakie pokazała światu Dorothea Lange. Ta fotoreporterka, pracując w latach 1935-1939 dla rządowej agencji zajmującej się rolnictwem, podróżowała po kraju i nieodpłatnie przesyłała zdjęcia do gazet w całych Stanach. Najślynniejsza fotografia, zrobiona przez nią w jednym z obozów Oklaków w Kalifornii, przedstawia zamyśloną kobietę z dwójką dzieci, siedzącą pod płachetką namiotu. Wizerunek tej trzydziestodwuletniej matki, głodnej i zdesperowanej - fotografia przejmująca, pełna bólu i rozpacz - stał się symbolem epoki wielkiej depresji.

skała portem przeznaczenia

Jako kolejne na mojej trasie znalazło się Stroud, liczące dwa i pół tysiąca mieszkańców. Przed wielu laty słynęło z alkoholu lejącego się strumieniami w wielu saloonach, dzięki czemu zyskało przydomek „Dziki Miasteczko”. Potem rozgłosu nabrało za sprawą bandyty, Henry’ego Starra, który chciał jednego dnia obrabować dwa banki, ale rozeźleni mieszkańcy go zastrzelili. Teraz o dawnych ekscesach pamiętają pewnie tylko najstarsi. Stroud wydało mi się senną miejscowością, gdzie czas płynie leniwie.

Gdy budowano Drogę 66, usuwano wszelkie przeszkadzające kamienie i głazy. Największy z nich został kupiony przez niejakiego Roya Rivesa za całe pięć dolarów. Rives pociął wielki kamień na plastry i w 1939 roku użył ich do zbudowania restauracji. Dał jej nazwę jak najbardziej adekwatną - Rock Cafe. I to właśnie ta knajpka była celem mojej wizyty w Stroud.

Neon Rock Cafe, umieszczony wysoko na słupie, widziałam z daleka. Wystawał nad inne budynki. Obok zamiast restauracji stała ruina. Śmierdziało strasznie. Knajpka spłonęła doszczętnie w maju 2008 roku. Zostały tylko gołe ściany.

Właścicielka tej ruiny - Dawn Welch - przyszła na spotkanie w szortach i koszulce. Długie włosy miała związane w kucyk. Nie widać było po niej ani tego, że skończyła czterdzieści lat, ani ciężkich przeżyć. Opowiadała, że do Stroud przyjechała w 1993 roku, gdy zrezygnowała z etatu księgowej na wielkim statku wycieczkowym. Miała plan, żeby pojechać do Kostaryki i otworzyć restaurację, bo nęciły ją tamtejsze ulgi podatkowe. W Stroud poznała właściciela Rock Cafe, który zaczął ją namawiać na dzierżawę, przekonując, że dzięki temu nauczy się, jak prowadzić biznes, zanim pojedzie do Kostaryki.

A po roku już nie mogła stąd wyjechać. Odkupiła tę knajpkę, bo przez ten czas dowiedziała się, że Rock Cafe to nie taka zwykła przydrożna restauracyjka, a Droga 66 to nie taka sobie boczna szosa. Dawn spostrzegła, że właśnie tu, w tej dziurze, świat leży u jej stóp. Przyjeżdżali do niej bowiem ludzie ze wszystkich kontynentów: podróżnicy, turyści, dziennikarze, twórcy. Zauważyła, że jej dzieci (ma dwójkę), obcując z przybyszami, stały się o wiele bardziej otwarte i chłonne niż inne dzieciaki w ich wieku. Zrozumiała, że przydrożna knajpka daje jej ogromne możliwości, ale tylko od niej zależy, czy i jak je wykorzysta. Zaczęła

myśleć o Drodze 66 jak o oceanie. O Rock Cafe - jak o swoim statku. To miejsce stało się jej portem przeznaczenia.

Zakasała więc rękawy, zmobilizowała do pracy całą miejscowość, zmusiła do wyremontowania Drogi, odnowienia innych budynków. Uzyskała wpis swojej restauracji do rejestru zabytków i dostała rządowe dofinansowanie na renowację. I była szczęśliwa mimo rozvodu. Jej pierwszy mąż - Szwajcar, Christian Herr, z którym razem pracowała na statku - wytrzymał w Stroud tylko pięć lat.

- Dla niego sukces oznacza wypchany portfel - Dawn pokręciła głową z dezaprobatą. - Myślał, że po pięciu latach prowadzenia tu restauracji będzie milionerem. Pewnie każdemu Europejczykowi wydaje się, że w Ameryce pieniądze leżą na ulicy - zaśmiała się. - A tu nie można dorobić się milionów. Tu, w tej dziurze, gdzie wszyscy się znają i wszystko o sobie wiedzą, można jedynie prowadzić normalne, spokojne życie - dodała. O takim życiu marzyła, pracując na statku.

Słuchając Dawn, przestałam się dziwić, że to właśnie ona, ładna, miła, spokojna, ale stanowcza kobieta, stała się pierwowzorem głównej kobiecej postaci w filmie *Auta* - Sally Carrera (niebieskie porsche 911). To ona mobilizuje całą Chłodnicę Górską do działania i sprawia, że goniący za sukcesem wyścigowy mistrz Zygzak McQueen zaczyna doceniać przyjaźń i dostrzegać urok życia w małym mieście.

Patrzyliśmy na ruiny, a Dawn mówiła, że po pożarze nie miała nawet chwili wątpliwości, wiedziała, że musi odbudować swoją knajpkę.

- Muszę pokazać dzieciom, że nie wolno się załamywać żadnymi przeciwnościami, że nie ma takiej przeszkody, której nie da się pokonać. Nawet jeśli jest tak ogromna jak ta - wskazała ręką na ruiny. Trzynastoletnia Alexis i siedmioletni Paul powiedzieli mi zaś, że nie mogą się doczekać, kiedy znów będą mogli pomagać w kuchni i podawać posiłki.



Down Welch w swojej zniszczonej pożarem Rock Cafe w Stroud. Dla niej ta knajpka i wszystko, co z nią związane, jest ucieleśnieniem Amerykańskiego Marzenia. Mówi: „American Dream nie oznacza dla mnie bogactwa, ale chęć, by odnieść sukces, robiąc to, co się lubi, by zarazić tym myśleniem swoje dzieci”. Down była pierowzorem postaci Sally Carera w filmie *Auta*.

Gdy się żegnałyśmy, pomyślałam, jak wiele racji miał Michael Wallis, mówiąc, że rodowici Oklahomianie mają wrodzoną zdolność do pokonywania trudności i rozpoczynania życia na nowo. Powiedziałam jej o tym. Śmiała się radośnie i prosiła, abym mimo wszystko trzymała za nią kciuki.

Odbudowa Rock Cafe zajęła jej rok.

nic już nie będzie takie samo

Oklahoma City powstało w ciągu jednego dnia. 22 kwietnia 1889 roku tysiące osadników marzących o swoim skrawku ziemi czekało na pustej prerii na strzał będący sygnałem, że można przekroczyć granicę Terytorium Indiańskiego. Strzał padł w samo południe. I wszyscy popędzili na wyścigi, aby zajmować jak najlepszą ziemię. Już pod wieczór puste dotąd tereny przemieniły się w dziesięcioletnie miasto namiotów.

Gdy odkryto tu ropę naftową na początku XX wieku, osada przeżyła drugi boom i rozwinęła się w oszałamiającym tempie. Wieże wydobywcze rosły jak grzyby po deszczu, także w centrum miasta. I wciąż tu są, jedna nawet przed stanowym Kapitołem.

W stolicy, którą Oklahoma City stało się trzy lata po przyłączeniu stanu do USA (w 1907 roku), kwitł handel bydłem (do dziś odbywa się tu największy targ w Ameryce). Nigdzie indziej nie ma też tak wielu specjalistycznych sklepów sprzedających kowbojskie akcesoria i odzież. No i tu znalazło swoją siedzibę amerykańskie muzeum kowbojów, National Cowboy Hall of Fame.



Ogromna butelka mleka na dachu maleńkiego sklepiku spożywczego w Oklahoma City to próba przyciągnięcia uwagi podróżujących zatłoczoną starą szosą. Dziś to lokalny symbol Drogi 66.

Jeździłam po tym rozległym, spokojnym mieście, patrzyłam, jak stare hale fabryczne i magazyny przerobiono na galerie sztuki i restauracje. Przyglądałam się ludziom spieszącym na lunch, wśród których byli i biznesmeni w garniturach, i kolorowo ubrane osoby wyglądające na artystów, i kowboje w zabłoconych butach z ostrogami. Zastanawiałam się, jak bardzo zmieniło się ich życie po tragedii, jaka wydarzyła się tu w 1995 roku, kiedy to Oklahoma City stało się symbolem przemocy, terroru i śmierci.

19 kwietnia 1995 roku w Oklahoma City był piękny i słoneczny dzień. W centrum półmilionowego miasta, stolicy stanu, jak zwykle panował duży ruch. Ku rządowemu budynkowi Alfreda P. Murraha zmierzali ludzie idący do pracy, a także interesanci, aby załatwić sprawy w urzędach, i rodzice, by odprowadzić dzieci do przedszkola mieszczącego się w tym gmachu. Opiekunki wieszały w oknach obrazki, wykonane poprzedniego dnia przez podopiecznych, a w sali zebrań rozpoczynało się posiedzenie jednej z komisji.

O 9.02 miastem wstrząsnął potężny huk. To wybuchła bomba umieszczona w żółtej ciężarówce firmy Ryder, zaparkowanej przed budynkiem federalnym. Ładunek ważący ponad dwie tony był mieszanką popularnego w USA nawozu (saletry amonowej) i ropy naftowej. Potężna eksplozja zmiotła z powierzchni ziemi prawie połowę dziewięciokondygnacyjnego gmachu. Podmuchał wywrócił znaki drogowe i parkometry, przewracał przechodniów na sąsiednich ulicach. Zginęło sto sześćdziesiąt osiem osób, w tym dziewiętnaścioro dzieci. Ponad pięćset osób zostało rannych.

Dziś w samym sercu miasta znajduje się pomnik, Oklahoma City National Memorial, upamiętniający te wydarzenia. Po raz pierwszy zobaczyłam go wieczorem. Jodie, moja przewodniczka po Oklahoma City, pięćdziesięcioletnia pielęgniarka z lokalnego szpitala onkologicznego, przekonywała mnie, że właśnie po zmierzchu będzie to niezwykle przejmujący widok. Miała rację. Na trawniku stało sto sześćdziesiąt osiem krzeseł z brązu i szkła. Podświetlone od spodu wyglądały, jakby się unosiły nad trawą. Obok był płytki basen, w którym woda, nieustannie falując, cichuteńko szumiała. Niebo miało granatowy kolor. W ten wieczór w centrum Oklahoma City panowała cisza. W tafli wody niezmaconej nawet najłżejszym wiatrem odbijały się krzesła. Po dwóch węższych stronach basenu stały podświetlone murowane ściany - bramy. Na wschodniej widniał napis: „9.01”. Na zachodniej: „9.03”. Dwie krótkie minuty dzielą zwyczajną codzienność życia od szoku i chaosu. Napis na granitowej bramie głosił:

Przychodzimy tu, żeby pamiętać o tych, którzy zostali zabici, o tych, którzy przeżyli, i o tych, którzy zostali zmienieni na zawsze. Wszyscy, którzy tu spoczywają, wiedzą co znaczy przemoc. Oby ten pomnik przynosił pocieszenie, siłę, pokój, nadzieję i ukojenie.



168 krzesel z brązu i szkła upamiętnia ofiary bombowego zamachu terro-rystycznego w Oklahoma City z 1995 roku. To miejsce bólu, ale także nadziei. „O tragedii trzeba mówić, bo jeśli zapomnimy, to tym samym pozwolimy, żeby znów doszło do przemocy” - mówią mieszkańcy Oklahoma City.

Zazwyczaj spokojna Jodie miała łzy w oczach, gdy przystanęłyśmy na chwilę pośrodku miejsca, w którym znajdował się rządowy gmach. Do dziś trudno jej się przemóc, by odwiedzić stojące obok muzeum. To wciąż zbyt bolesne. „To mógł być ktokolwiek z nas” - powtarzała. Każdy mieszkaniec Oklahoma City stracił tu kogoś: krewnego, przyjaciela, znajomego. Wspominała, jak rannych rozwożono do wszystkich szpitali. Ona także pomagała opatrywać poszkodowanych i uspokajać przerażonych ludzi.

Dla wszystkich, także dla Jodie, do tamtego momentu terroryzm był zjawiskiem, które przydarzało się gdzieś na krańcach świata, a nie u nich. Nie wiedzieli wtedy, że sześć i pół roku później zdarzy się coś jeszcze bardziej potwornego. 11 września 2001 roku w serii zamachów na World Trade Center w Nowym Jorku i Pentagon w Waszyngtonie zginęło trzy tysiące osób.

W Muzeum Zamachu Bombowego w Oklahomie, otwartym w 2001 roku, udokumentowano rozwój wypadków minuta po minucie, dzień po dniu. Multimedialna ekspozycja wywarła na mnie ogromne wrażenie. Moment wybuchu bomby zarejestrowano na dźwiękowym nagraniu z posiedzenia jednej z komisji. Słysząc najpierw głosy zdziwienia, a potem przerażenie i huk walących się betonowych ścian. Wystawa pokazuje dramat ludzi próbujących wydostać się spod gruzów i tych uwięzionych na wyższych piętrach tego, co zostało z budynku, bez szans na ucieczkę. Słysząc rozmowy służb ratowniczych, wezwania pomocy. Widać chaos na ulicy, lecące kawałki ścian i szyb, ludzi spieszących z pomocą, krew tryskającą z ran tych, którym udało się wyjść o własnych siłach. Słysząc krzyjące matki wzywające swe dzieci, syreny karetek.

Przedstawiono tu historie ludzi, którzy zdołali się uratować, i tych, którzy nieśli pomoc. Była wśród nich Rebecca Anderson, trzydziestosiedmioletnia pielęgniarka. Dowiedziawszy się z telewizji o tragedii, natychmiast przyjechali wraz z mężem, aby ratować innych. Pomogła dwóm osobom wydostać się z budynku, a potem uderzył ją w głowę kawałek spadającego betonu. Po czterech dniach zmarła. Później amerykański tygodnik „Newsweek” ogłosił ją jedną z pięciu bohaterek 1995 roku.

Doktor Andy Sullivan, dziekan Wydziału Chirurgii Ortopedycznej Uniwersytetu w Oklahomie, w gruzach przeprowadził najtrudniejszą operację swojego życia - amputował nogę dwudziestoletniej Murzynki. Wczołgał się między betonowe bloki, którymi była przygnieciona, i leżąc na brzuchu, lewą ręką odciął kończynę scyzorykiem. Uratował jej w ten sposób życie, bo inaczej nie dałoby się wydobyć tej kobiety.

Na filmach prezentowanych w muzeum ratownicy wspominają koszmar czołgania się po leżących ciałach i szczątkach ludzkich po to, aby ratować czyjeś tłące się jeszcze życie. Na ulicach wokół zgliszczy stali ludzie nawołujący swoich bliskich. Zaglądali w twarze wychodzącym ratownikom, dopytywali: „Czy nie widziałeś...?”.

Fotografie i nagrania dźwiękowe udokumentowały, jak rodziny czekające na odnalezienie bliskich informowano o postępie akcji ratunkowej. Była ona bardzo trudna, resztki gmachu groziły zawaleniem, dodatkowo przeszkadzały deszcz i wiatr. Piątego dnia po zamachu, w niedzielę 23 kwietnia, podczas specjalnej mszy ku czci ofiar, prezydent Bill Clinton mówił: „Cały naród jest w żałobie” i „Mamy wciąż nadzieję, że są jeszcze żywi”. Wszystkie lokalne restauracje dowoziły do centrum miasta darmowe posiłki dla ratowników i czekających rodzin. Każdy robił wszystko, co mógł, aby pomóc, choćby podtrzymać na duchu rannych i ich bliskich. Jednak nikogo żywego nie udało się już wydostać spod gruzów. Wydobyto prawie wszystkie ciała, tylko trzech nie odnaleziono. Akcję ratunkową zakończono dopiero po piętnastu dobach. Kilka dni później resztki budynku wysadzono w powietrze, a następnie zrównano z ziemią.

Kari Watkins, szefowa Muzeum Zamachu Bombowego w Oklahomie, niespełna czterdziestoletnia, wysoka i potężna kobieta, była reporterka telewizyjna i PR-owiec, opowiadała mi, jak dziennikarze w swoich pierwszych relacjach, próbując dociec powodów zamachu, wskazywali na islamskich terrorystów. To był najprostszy trop, bo przecież dwa lata wcześniej islamiści zdetonowali bombę w samochodzie zaparkowanym pod World Trade Center. Zginęło

wtedy sześć osób, a ponad tysiąc zostało rannych. A w 1995 roku wszyscy zadawali pytanie: „Dlaczego Oklahoma?”.

Sprawcę zatrzymano właściwie przypadkowo niespełna godzinę po zamachu na jednej z autostrad, około siedemdziesięciu mil od Oklahoma City. Uwagę policjanta zwrócił samochód bez tablic rejestracyjnych. Jego kierowca, Timothy McVeigh, miał pistolet bez pozwolenia ważnego w tym stanie. Już dwa dni po zamachu policja z pomocą FBI ustaliła, że to właśnie ten dwudziestosiedmioletni żołnierz z Zatoki Perskiej wynajął ciężarówkę, w której znajdowała się bomba.

Amerykanie długo nie mogli uwierzyć, że to ich rodak podniósł rękę na swoje siostry i braci. Dla Kari najgorsza była świadomość, że tę rzeź spowodował zwykły chłopak z sąsiedztwa.

Po aresztowaniu McVeigha jego kumpel z wojska, Terry Nichols, który pomagał mu w przygotowaniach do zamachu, sam oddał się w ręce policji w Kansas. Okazało się, że obydwaj byli skrajnie prawicowymi fanatykami, działającymi w paramilitarnych organizacjach. McVeigh pozostawał pod ogromnym wpływem *The Turner Diaries* („Dzienników Turnera”), apokaliptycznej, rasistowskiej i antysemitowskiej powieści o przyszłej wojnie ras w Ameryce Północnej, autorstwa amerykańskiego nazisty, Williama Luthera Pierce’a. Terrorysta był owładnięty wizją nakreśloną w tym utworze i wzorował się na jego bohaterach. Użył takich samych materiałów do wysadzenia budynku federalnego, umieścił je na takiej samej ciężarówce i wybrał nawet taką samą porę dnia jak „biali patrioci” w książce. Tyle tylko, że bohaterowie lektury rozpoczynają zamachem wojnę, mordują kolorowych, gejų, Żydów, żeby w końcu zrzucić bombę atomową na Izrael.

Dla McVeigha incydent w Oklahoma City miał być wyrazem sprzeciwu wobec polityki amerykańskich władz, próbujących ograniczać prawo obywateli do swobodnego noszenia broni. Miał też stanowić zemstę na rządzie za masakrę w Waco w Teksasie w jej drugą rocznicę. Chodziło o krwawy szturm agentów federalnych na siedzibę uzbrojonej po zęby sekty dawidian, kierowanej przez charyzmatycznego Davida Koresha, uważającego się za Chrystusa. 19 kwietnia 1993 roku agenci federalni z ATF - Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych - po długim oblężeniu siedziby sekty podłożyli ogień pod zabudowania. Osiemdziesięciu członków grupy wolało spłonąć, niż się poddać. McVeigh próbował dostać się do siedziby sekty w czasie oblężenia, a po szturmie agentów federalnych poprzysiągł im zemstę. Szukał tylko sposobu i odpowiedniego budynku, w którym pracują agenci ATF. Znalazł taki

gmach w Oklahoma City. Wybrał to miasto, bo uznał, że tu będzie najłatwiej przeprowadzić zamach. Bombę zrobił sam. Gdy odchodził od ciężarówki przed zdetonowaniem ładunku, wsadził sobie zatyczki do uszu, by uchronić się od odgłosów potężnego wybuchu.

Timothy McVeigh został skazany w 1997 roku na karę śmierci. Wyrok wykonano w 2001 roku. Przed wstrzyknięciem mu trucizny McVeigh wyznał, że żałuje, iż nie zrównał całkowicie budynku Murraha z ziemią. Po raz pierwszy w historii egzekucję za pośrednictwem wewnętrznej, więziennej telewizji kablowej oglądało ponad trzysta pięćdziesiąt osób. Byli to krewni ofiar eksplozji w Oklahoma City.

Terry Nichols dostał wyrok dożywotniego więzienia podczas procesu federalnego (w zamachu zginęło siedmiu pracowników federalnych). W drugim procesie, który dodatkowo wytoczył mu stan Oklahoma, otrzymał kolejnych sto sześćdziesiąt jeden wyroków dożywocia, po jednym za każdego zabitego cywila.

Opisowi przygotowań do zamachu oraz śledztwu i procesowi jego sprawców została poświęcona w muzeum osobna ekspozycja. Kari Watkins podkreślała, że chodzi o to, aby ludzie zrozumieli, że temu nieszczęściu można było zapobiec. Przyjaciele McVeigha wiedzieli o jego planach i nie zrobili nic, by mu przeszkodzić. Każdy, wychodząc z wystawy, powinien mieć świadomość, że w takiej sytuacji trzeba działać.

- Jeśli nasz przyjaciel ma kłopoty, nie radzi sobie z problemami, to pomóżmy mu - perswadowała Kari. - Porozmawiajmy, wytłumaczmy, że użycie przemocy nie jest wyjściem z trudnej sytuacji. Nawet wielką złość czy frustrację z powodu postępowania władz można wyładować w inny sposób, na przykład działając społecznie albo domagając się zmiany przepisów. A jeśli to nie pomaga, to zadzwońmy na 911 i wezwijmy policję.

Słowa Kari dźwięczały mi w uszach, gdy kolejny raz przechodziłam z sali do sali w muzeum. Czy zaalarmowanie władz uratowałoby życie tych stu sześćdziesięciu ośmiu osób? W *gallery of honour* można poznać każdą z nich. Poszczególne ofiary mają swoje półeczki ze zdjęciem, a rodziny przynoszą tu maskotki, zabawki, odznaczenia, listy. Muzyka potęgowała wrażenie. Stojąca obok mnie para młodych ludzi ukradkiem ocierała łzy. Na bocznym ekranie wyświetlano krótkie filmy z pogrzebów, bo to niezwykle muzeum ma też być miejscem, gdzie bliscy zabitych mogą szukać pocieszenia i wspominać tych, których stracili.

Kari zna rodziny wszystkich ofiar. Gdy przychodzą na uroczystości rocznicowe, trzymają się za ręce i razem płaczą. Trudne to są spotkania. Znacznie prościej byłoby odbudować gmach,

przyczepić na jednej ścianie tablicę o tym, co się zdarzyło w 1995 roku, i żyć dalej. Ale mieszkańcy Oklahoma City chcieli pokazać wszystkim Amerykanom i całemu światu, że potrafią się podnieść i nie zostaną pokonani przez tchórzy.

Po wyjściu z muzeum przyglądałam się pamiątkom zaczepianym na siatkowym płocie, zostawianym przez rodziny, przyjaciół i obcych ludzi. Były tam maskotki, zabawki i koszulki, a także drobne upominki oraz zdjęcia tych, którzy zginęli, i tych, którzy zostali przez nich osieroceni. Zupełnie jakby chcieli pokazać, że są, myślą, pamiętają. Płot przez pięć lat stał wokół pustego placu po zawałonym gmachu. Ludzie zostawiali na nim karteczki z wiadomościami, przesłaniami, modlitwami. Gdy stanął tu pomnik i zbudowano muzeum, mieszkańcy Oklahoma City uznali, że ogrodzenie zostanie.

Integralną częścią pomnika stało się też drzewo, które rosło przy gmachu federalnym na środku parkingu. Wcześniej ponaddziewięćdziesięcioletni wiąz, jako jedyny w tej okolicy, dawał cień. Wszyscy chronili się pod nim, szukając ochłody. Jednak wybuch zniszczył drzewo, jego gałęzie zostały połamane, a pień w dużej części się spalił. Mimo to roślina nie umarła. Mieszkańcy Oklahomy nie mogli się nadziwić, ile siły i woli przetrwania jest w tym olbrzymie. Wezwano ekspertów, którzy dokonali badań i stwierdzili, że wiąz ma szansę odżyć, bo zapuścił bardzo głębokie i mocne korzenie pod asfaltem. Usunięto więc resztki jezdni, przywieziono najlepszą, najżyźniejszą ziemię. Otoczono opieką spalony pień, ogołocony z gałęzi. Drzewo nazwano „Survivor Tree” („Drzewo Ocalałe”). Stało się ono symbolem nadziei.

Jego nasiona zostały posadzone w różnych miastach i miasteczkach Oklahomy. Co roku z kolejnych nasion powstają sadzonki wręczane uczestnikom ceremonii upamiętniających zamach terrorystyczny. Patrzyłam na piękne, mocne gałęzie znów dające cień. Napis na murku wokół drzewa głosił: „Duch tego miasta i tego narodu nie zostanie pokonany. Podtrzymuje nas głęboko zakorzeniona wiara”.

To miejsce bólu i straty, ale także nadziei - powiedziała mi Jodie. Ona podobnie jak inni mieszkańcy Oklahoma City uważa, że trzeba o tragedii mówić, wspominać ją. „Jeśli zapomnimy o tym, co się tu wydarzyło, to tym samym pozwolimy, żeby znów doszło do przemocy”.

Światowa stolica rednecków

Ostatnim miasteczkiem przy Drodze 66 w Oklahomie, przed granicą z Teksasem, jest Erick. To miścinka założona w 1901 roku, teraz licząca około tysiąca dusz, z których jedna trzecia żyje w ubóstwie. Przy zjeździe z autostrady minęłam dwa motele dużych sieci, dalej szeroka główna ulica poprowadziła mnie między niskimi domami z cegły. Wśród nich wyróżniał się budynek mieszczący Muzeum Rogera Millera, muzyka country, który się tu wychował. Ale nieco dalej, w zrujnowanym West Winds Motel hulał tylko wiatr. Część drewnianych domów miała okna zabite deskami. Nie było żywego ducha na ulicy, Erick wyglądało jak wymarłe. W końcu przy jednym z wolno stojących budynków z czerwonej cegły zobaczyłam postać z długimi włosami. Mężczyzna wylewał z miski wodę wprost na kępę rachitycznej, zakurzonej trawy. Podjechałam bliżej, by odczytać napis na budynku. Głosił on: „Sandhills Curiosity Shop - redneck capital of the world”.

Pojęcie „redneck” to dosłownie „czerwony kark”, oznacza białego, niewykształconego i biednego człowieka. Żyje on na prowincji, pracuje fizycznie i kompletnie nie zna się na towarzyskich konwenansach. Nie czyta książek i ma konserwatywne poglądy. Poza tym lubi się najęść, zwłaszcza mięsiwa, nie wylewa za kołnierz. I jeszcze: ma rubaszne poczucie humoru i trzyma pod ręką strzelbę. W Polsce na rednecków mówi się: „buraki” (bo ze wsi), „chamy” (bo bez ogłady) lub „karki” (bo to umięśnione, napakowane typy, których lepiej nie spotkać w ciemnym zaułku).

Gdy weszłam do mrocznego budynku z napisem o red-neckach, dostrzegłam najpierw setki starych, metalowych znaków, tablic rejestracyjnych i puszek, które wisiały na ścianach lub wspierały się na kartonowych pudłach i wiekowych, drewnianych szafkach. Reklamowe naklejki, flagi i czapeczki bejsbolowe zajmowały każdą wolną przestrzeń. Całe pomieszczenie wypełniały rupiecie, które Amerykanie nazywają „antykami”. Wśród mebli, figurek i instrumentów muzycznych krzątały się dwie postaci. To Harley i Annabelle Russellowie. Szykowali się do zamknięcia swojego dziwaczego sklepiku z pamiątkami. Gdy powiedziałam, że jestem dziennikarką z Polski, uśmiechy na ich twarzach rozjaśniły cały lokal. Chcieli, co prawda, już iść do domu na kolację, ale szybko zmienili plany. Rozstawili na środku ciemnego pomieszczenia krzesła (każde inne), wyjaśniając, że ten budynek jest najstarszy w Erick i że przez wiele lat mieścił się tu sklep mięsny.

Harley - w piżamowych spodniach w kwiaty i fioletowej poplamionej czymś koszulce - nawijał jak katarynka, mówił na jednym wdechu, zaśpiewując i pokrzykując.

- Jesteśmy niewydarzonymi muzykami, gramy tu, w Erick, w stanie Oklahoma, w światowej stolicy rednecków, w co byś pewnie nie uwierzyła, gdybyś nie zobaczyła na własne oczy. Masz okazję podziwiać prawdziwych rednecków pracujących i bawiących się w swoim naturalnym środowisku. Oto głupota i szaleństwo w czystej postaci! - wrzeszczał na cały głos, jakby był w transie.

Sześćdziesięciodwuletni Harley w niczym nie przypominał rednecka. Chudy jak szczapa, z długimi, rozwichrzonymi blond włosami i długą siwiejącą brodą, wyglądał raczej na hippisa albo alternatywnego artystę.

- Oczywiście, że jestem redneckiem - krzyczał Harley. - Jak chcę kąpiel z bąbelkami, to najpierw muszę się najęść fasoli! - śmiał się jak szalony i pokrzykiwał głośno: „yee haw” (czytaj: „i-ha!”).

Harley urodził się w Erick, ale wyjechał, gdy tylko podrosł. Przez wiele lat szwendał się tu i tam. Wrócił w 1986 roku, po czwartym rozwodzie. Erick to było jedyne miejsce, gdzie mógł się jakoś utrzymać. Kupił dwa budynki. Jeden przeznaczył na dom. A drugi - na magazyn swoich pamiątek i zbiorów staroci, które przetrwały czwarty rozwód i przyjechały tu razem z nim z Teksasu. Poustawiał wszystko pod ścianami tak, że nie można było przejść. Siedział całe dni między tymi rupieciami i czytał książki o samodoskonaleniu. Niekiedy ktoś przychodził, ludzie oglądali starocie, a kilka razy nawet ktoś coś kupił. Zarobione w ten sposób pieniądze Russell wydawał na nałogi: na coś do picia i do palenia. Opowiadając o sobie, Harley się uśmiechał. Zaproponował mi też skręta, a gdy odmówiłam, wyciągnął flaszkę Jacka Danielsa - słynnej whiskey z Tennessee. A kiedy i na to nie dałam się skusić, zawołał do swojej towarzyszki, Annabelle, żeby przyniosła mi puszkę zimnego piwa.

W życiu Harleya Annabelle zjawiała się niespodziewanie. Razem z koleżanką zjechała na chwilę z autostrady, żeby rozprostować nogi. W jedynym otwartym budynku szukała toalety. A w nim siedział Harley i brzdąkał na gitarze. Zaproponował im masaż (wspominając to, wsuwał dłoń pod wyimaginowaną spódnicę, żeby nie miała wątpliwości, o jaki rodzaj masażu chodziło). Dalej opowiadała już Annabelle. Wysoka, szczupła, z długimi, zupełnie siwymi włosami oraz anielskim głosem, który idealnie pasował do całej jej postaci, mówiła, że ten dziwaczny brodac, pokrzykujący i wybuchający co chwilę śmiechem, ją zauroczył. Wydał jej

się bratnią duszą, bo, podobnie jak ona, nie miał stałego zajęcia, nie przywiązywał wagi do dóbr materialnych i muzykował. A ponieważ dobre, hippisowskie czasy się skończyły i wszyscy wokół się ustatkowali, Annabelle uznała, że to będzie jej szansa. Przywiozła swoje rzeczy z San Diego i zamieszkała z Harleyem, choć życie w Erick było dla niej szokiem kulturowym.

Annabelle i Harley Russellowie najpierw planowali sprzedawać zdrową żywność. Ale kto w Erick kupi organicznie produkowane jedzenie? Nikt! Przecież tu mieszkają same rednecki. Przekształcili więc sklep w salon muzyczny. Harley śpiewał od dwunastego roku życia. Przez wiele lat grał w *honky tonks*, barach z występami na żywo. Miał sporo różnych instrumentów, między innymi kilka gitar Martin. Są najlepsze na świecie. Harley, wskazując na dwie gitary wiszące na ścianie, warte pięćdziesiąt tysięcy dolarów, powiedział, że ani tych, ani innych instrumentów nikt nie chciał w Erick kupić. Zaczęli więc razem z Annabelle, która również ma talent, na tym i innym sprzęcie dawać lekcje muzyki. Chętnych do odkrywania własnych umiejętności było niewielu, niektórzy do dziś nie oddali im jeszcze instrumentów wypożyczonych ze sklepu i wciąż część osób nie zapłaciła za lekcje. Harley skomentował to krótko: „Ci ludzie zachowali się jak prawdziwe rednecki, w końcu to ich światowa stolica!”.

Wkrótce Russellowie przekształcili sklepik w magazyn z antykami. Ale też nikt u nich nie kupił. Żaden mieszkaniec Erick nie przekroczył nawet progu ich sklepu! Nie mieli pieniędzy na utrzymanie, głodowali. Chcieli wydostać się z tego przeklętego miasteczka, ale nie było ich stać na wyjazd. Żeby jakoś przetrwać, najęli się w 1999 roku w tych dwóch motelach przy zjeździe z autostrady. Zajmowali się wszystkim. Sprzątali, przygotowywali śniadania dla gości, robili pranie, kosili trawę, a jak kierownictwo któregoś z moteli wyjeżdżało na wakacje, to w zastępstwie i zarządzali. Pracowali jak szaleni, spali na kanapie w holu, ale dzięki temu udało im się nie tylko zarobić parę groszy, lecz także coś odłożyć. W tym czasie co trzy miesiące przychodzili do swojego domu i do swojego magazynu ze starociami, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Któregoś dnia wpadli, żeby odpocząć od harówki w motelach i trochę się rozerwać. Zdjęli ze ściany gitary, zaczęli grać i śpiewać. Nagle jakiś facet pojawił się w drzwiach, pytając, czy może wejść z grupą ludzi. „Jasne, możecie wejść, tylko nam nie przeszkadzajcie” - odpowiedział Harley. Nie obchodziło go co to za ludzie ani po co tu przyjechali. Pod koniec drugiej piosenki wszyscy przybysze, a było ich wielu, trzymali w dłoniach tamburyny, bębenki, grzechotki, które

od lat nietknięte wisiały na ścianach, grali i śpiewali razem z nimi. Przyjezdni byli Brytyjczykami zwiedzającymi Amerykę.

Odkąd Harley pamiętał, żaden turysta nie zawitał do Erick. To przecież nie jest i nigdy nie był region turystyczny. Wkoło mieszkają sami farmerzy, a pola ciągną się aż po horyzont! Ale jeden z Brytyjczyków zapowiedział, że wróci za dwa tygodnie. I rzeczywiście przyjechał z kolejną grupą. Okazało się, że reprezentuje największe biuro podróży w Wielkiej Brytanii. Tak zaczęło się dla Harleya i Annabelle nowe życie.



Harley i Annabelle Russellowie w Erick założyli światową stolicę rednecków. Wyśmiewają się z przywar „czerwonych karków”, odstawiając zwariowane show. Turyści ich uwielbiają, sąsiedzi - nienawidzą.

W sklepiku wypełnionym „antycznymi” rupieciami para odstawia musical własnego pomysłu. Grają, śpiewają, tańczą i opowiadają dowcipy. Pokazują turystom kawałek prawdziwej Ameryki, jakiej nie zobaczą w żadnym muzeum. Russellowie nie sprzedają pamiątek, nie serwują jedzenia. Nie mają ustalonego honorarium, żyją z napiwków. Wreszcie znowu czują się artystami. W ich repertuarze są wszystkie najbardziej znane, popularne piosenki country, no i oczywiście śpiewają o Drodze 66.

Harley przyznał, że grają to, czego chcą turyści, ponieważ zależy im na tym, żeby przyjeżdżali. Razem z Annabell mają dość chudych i smutnych lat. Łakną towarzystwa. Uwielbiają się śmiać, kochają rozmawiać, dyskutować. Odwiedza ich bardzo mało Amerykanów, bo przecież oni wiedzą, kto to jest redneck. Najczęściej przyjeżdżają zagraniczni turyści. Większość z nich nie mówi po angielsku, ale są entuzjastycznie nastawieni.

- Są gotowi na wszystko - mrugnął do mnie porozumiewawczo Harley, a ja już sobie wyobraziłam, jak opowiada turystkom z Holandii, Danii, Niemiec czy Anglii sprośne dowcipy (bardzo lubi „ostre” kawały), bez obaw o wytoczenie procesu o molestowanie seksualne. Przed

obcokrajowcami może naśmiewać się z rednecków, a przybysze z Francji, Szwecji, Włoch czy Hiszpanii będą bić brawo i nikt na pewno się nie obrazi.

Russellowie na wyścigi tłumaczą, że przed nikim nie udają geniuszy. Nawet na szyldzie mają to napisane: „Mierni muzycy”.

- Jesteśmy prostymi Amerykanami, bez wykształcenia i manier, za to mamy nałogi i złe przyzwyczajenia - Harley zakończył to zdanie interesującym zaśpiewem.

Czasem do Russellów przyjeżdżają profesorowie socjologii ze studentami, którzy zadają mnóstwo pytań. Najczęściej o to, jak to możliwe, że takie hippisowskie dziwadła przetrwały w tej dziurze zabitej deskami. Harley przyznaje, że nie było i wciąż nie jest łatwo, bo mieszkańcy Erick nie są w stanie wytrzymać tego, co on i Annabelle wyczyniają. Gdy to mówił, był naprawdę zdenerwowany.

- Oni są tak zazdrośni, że niech ich szlag trafi - krzychał. - Te lokalne matoly uważają, że jak turyści przyjeżdżają do nas, to powinni obejść całe miasteczko, zajrzeć do wszystkich dziur. Nie mają pojęcia, że te grupy mają swoją trasę oraz terminy i że zatrzymują się tylko w najlepszych miejscach.

Annabelle z bólem w głosie mówiła, że lokalni mieszkańcy nadali im już tyle różnych przydomków. Nazywali ich dilerami narkotykowymi, pedofilami molestującymi dzieci, porywaczami, złodziejami, członkami sekty Rodzina Charlesa Mansona (to mordercy między innymi żony Romana Polańskiego - Sharon Tate). Grożono im, a ich budynek był wielokrotnie obrzucany kamieniami. Kilka tygodni przed moją wizytą ktoś wybił im szybę. Wstawienie nowej kosztowałoby dwa tysiące, więc postanowili zabić okno tekturową tablicą. Kilka dni wcześniej dzieciaki z sąsiedztwa zrobiły dziurę w ścianie budynku, taką wielką - Harley pokazując, szeroko rozłożył ramiona. Ją też załatali tekturą.

Zdarzało się, że turyści szukający do nich dojazdu, byli mylnie informowani i kierowani w inną stronę. Harley próbuje sam przed sobą wytłumaczyć zachowanie mieszkańców miasteczka, mówiąc, że ludzie z takiej małej społeczności nigdy nie podróżowali, nie widzieli nic i nikogo, nie mają pojęcia, że można inaczej żyć. Taka rolnicza społeczność nigdy nie miała do czynienia z osobami innego pokroju. Nic dziwnego, że nie wiedzą, co myśleć.

- Gdybym był na ich miejscu, prawdopodobnie też bym nienawidził takich odmieńców jak my. Ludzie są na tyle dobrzy, na ile potrafią zrozumieć innych. Boją się rzeczy, których nie ogarniają - skomentował mężczyzna.

W Erick jest osiem kościołów, to przecież środek Pasa Biblijnego. Na moje pytanie, do którego kościoła oni chodzą, Harley krzychał, że do żadnego. Kilku pastorów próbowało namówić go, żeby przyszedł na mszę i dał pieniądze na odnowienie świątyni. Nie skusiła go nawet perspektywa zbawienia.

Russellowie wyznali też, że teraz byłoby ich finansowo stać na wyjazd, ale już nie chcą nigdzie jechać. Uparli się, że nie tylko nie poddadzą się niechęci mieszkańców Erick, lecz także przywrócą miasteczko na mapę. I tak właśnie się stało. Dzięki Harleyowi i Annabelle do Erick ściągają tysiące ludzi, nazwa miejscowości pojawia się w internecie i w gazetach. Czy sąsiedzi zmienili swoje nastawienie do Russellów? Na to pytanie para odpowiedziała chórem: „Ależ skądże, pycha naszych sąsiadów nie pozwala im przyznać, że popełnili błąd. Nigdy nawet nie próbowali nas zrozumieć. Przykładali do nas własną miarę” - rozgoryczony Harley mówił wyjątkowo poważnie, a Annabelle dodała z zaciętością, która zupełnie do niej nie pasowała, że to właściwie dobrze, iż nie prowadzą tu żadnego życia towarzyskiego i nie mają przyjaciół, bo dzięki temu są jedyni w swoim rodzaju.

- Nic od nich nie potrzebujemy, ani ich przyjaźni, ani ich pieniędzy.

Gdy zepsuł im się samochód, sprzedali go mechanikowi za sto siedemdziesiąt dolarów. Chodzili po miasteczku na piechotę, wywołując kolejną falę plotek na swój temat. Kilka tygodni później odkupili naprawione auto po nieco wyższej cenie! Ale zakupy nadal robią w sklepiku naprzeciwko, nie wyjeżdżają nigdzie na wakacje, nie biorą udziału w wyborach, bo nie ma sensu wybierać mniejszego zła, a przecież politycy i tak mówią tylko to, co ludzie chcą usłyszeć.

Harley uważa, że choć Stany to wolny kraj, Amerykanie chcą mieć zawsze więcej niż ich sąsiedzi i dlatego tracą swoją wolność, bo wpadają w kleszcze, w niewolę posiadania. Stresują się, zamiast cieszyć się życiem, a przecież trzeba być zadowolonym z tego, co się ma w sercu i w głowie.

- My jesteśmy naprawdę wolni. Jak te ptaki na gałęzce, gdy mamy ochotę śpiewać, to śpiewamy. Nie musimy poddawać się żadnym grafikom, harmonogramom.

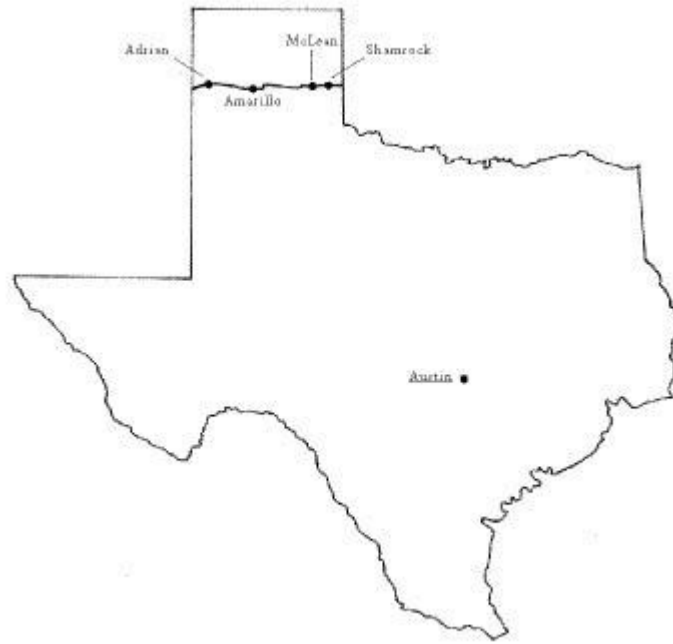
Chciałam zapłacić za wypite piwo, co oburzyło Harleya i Annabelle. Krzyczeli na mnie, że tu nie chodzi o pieniądze. Jeśli mają chęć, dobrze się bawią, to zapraszają całą grupę turystów do domu na obiad. Każdy przybysz może wtedy zdjąć instrument ze ściany i zagrać razem z nimi.

Teraz te dwa siwowłose, uśmiechnięte „wolne ptaki” miały ochotę zaśpiewać dla mnie. Przebrali się w swoje redneckowe smokingi, czyli farmerskie spodnie z karczkiem, ale uszyte z materiału w biało-czerwone pasy, wzięli gitary i rozbrzmiał nieoficjalny hymn Drogi 66:

Jeśli planujesz jechać na zachód,
Podróżuj moją trasą, jedź najlepszą szosą,
Baw się dobrze na Drodze 66.

Podskakiwali przy tym, machali nogami i przytupywali bosymi stopami. Śpiewając, wybiegli na ulicę. Wciąż nie było na niej żywego ducha. Harley i Annabelle odstawili dla mnie wspaniałe show. Patrzyłam na tabliczkę nad drzwiami reklamującą ich sklepik: „Szaleństwo w czystej postaci”. Właśnie tak!

5 Teksas



diabelski sznur

„Dont't mess with Texas” - na ogromnych billboardach przypominających o trwającej od ponad dwudziestu lat wielkiej kampanii „Nie zaśmiecaj Teksasu”, której celem jest utrzymanie dróg w czystości, nie ma powszechnego w USA słowa „proszę”, ale ostrzeżenie, aby nie szukać tu kłopotów. Ta gra słów stanowiła dla mnie i innych przybyszów przekraczających granicę Oklahomy z Teksasem ważny sygnał: gdzie jak gdzie, ale tu nie należy szukać guza.

W drugim co do wielkości (po Alasce) i liczby mieszkańców (po Kalifornii) stanie USA odcinek Drogi 66 liczy zaledwie sto siedemdziesiąt osiem mil i przecina jego północny kraniec. Do dziś zachowało się pięćdziesiąt mil starej szosy. Mknęłam autostradą między bezkresnymi terenami przez krainę nazywaną Panhandle, czyli „rączka od patelni”. Ten wąski pasek rzeczywiście przypomina ją kształtem. Ziemia wokół była płaska, bez drzew. Pola bawełny i kukurydzy ciągnęły się aż po horyzont, na którym mogłam wypatrzeć jedynie silosy zbożowe.

Wreszcie pojawił się zjazd na Drogę 66. Doprowadził mnie do Shamrock z pięknie odnowionym budynkiem w stylu art déco - U-Drop Inn. Kremowy gmach z wieżyczkami niegdyś pełnił funkcję zajazdu i jedynej restauracji w promieniu ponad stu sześćdziesięciu kilometrów. Teraz mieszczą się tam centrum informacji turystycznej, kawiarnia i stacja paliw.



Stacja Phillips 66 w McLean nazywana jest domem dla lalek. W 1928 roku była to pierwsza stacja tej firmy w Teksasie. Została odnowiona w latach pięćdziesiątych XX wieku przez mieszkańców miasteczka. Zarządza nią Tekskańskie Stowarzyszenie Drogi 66.

W kolejnej miejscowości - McLean - odnowiona, wymalowana na pomarańczowo maleńka stacja benzynowa Phillips 66, z budyneczkiem jak z bajki, zachęcała do zrobienia zdjęcia. W miejskim muzeum historycznym starsza pani, wolontariuszka, z dumą mówiła, że McLean było kiedyś światową stolicą uprawy arbuźów. Patrząc na dwie przecznice miasteczka i

domy wyglądające na opuszczone, trudno mi było uwierzyć w słowa tej kobiety, że z takiego miejsca codziennie odjeżdżały w świat pociągi zapełnione arbuzami. Gdy odkryto ropę naftową, farmerzy zamienili ciężką i nieopłacalną pracę w rolnictwie na etaty w rafineriach. Zostało w tej okolicy zaledwie kilka rancz. Teraz w miasteczku mieszka osiemset osób, jest tylko jeden sklepik spożywczy, ale są za to aż trzy muzea i nieprzerwanie od 1903 roku ukazuje się lokalna gazeta „McLean News”.

Jednym ze starych, osiadłych rodów na tych terenach są Trewowie. Delbert Trew, siedemdziesięcioletni emerytowany farmer (tak sam się przedstawił), założyciel i sponsor dwóch muzeów: Drogi 66 i Druetu Kolczastego w McLean, a poza tym autor trzynastu książek i felietonista piszący do kilku magazynów, okazał się wysokim i szczupłym mężczyzną o skupionej twarzy. Jasny kapelusz z dużym rondem nasadzony na czoło dodawał mu powagi. Trew był ubrany w dżinsy, na koszulę narzucił czarną wiatrówkę. Gdy się poruszał, jego znoszone kowbojki mocno stuknęły w podłogę. Mówił tak, jakby policzki miał czymś wypchane, „r” wyraźnie dźwięczało, ale końcówki zanikały. Łączył słowa, przeciągał sylaby. Chwilę zajęło mi przyzwyczajanie się do tego teksańskiego akcentu.

Usiedliśmy na drewnianych ławach w ogromnej, pustej sali, przeznaczonej na zebrania teksańskiego Stowarzyszenia Drogi 66 i Delbert Trew rozpoczął swą opowieść. Na roli zaczął pracować, gdy miał dziewięć lat. Wydzierzawił wtedy od ojca trzysta dwadzieścia akrów ziemi. Zasiał pszenicę, zebrał, sprzedał, za zarobione pieniądze kupił cielaki i odchowwał je, potem sprzedał krowy, znów zasiał ziarno, i znowu kupił krowy. Miał konto w banku jak prawdziwy farmer. Oczywiście, jego ojciec też musiał podpisać dokumenty finansowe i pożyczał mu narzędzia do pracy. Ale najważniejsze było to, że nigdy, ale to nigdy, nie poprosił ojca o pieniądze!

- To była szkoła życia, nie to, co dzisiaj - podsumował swoją opowieść Delbert.

Gdy spytałam, jak duże jest jego ranczo, uśmiechnął się szeroko. Poprawił kapelusz, patrzył przez chwilę na swoje zakurzone kowbojki. W końcu pogroził mi palcem i dał pierwszą lekcję:

- Nigdy nie pytaj Teksanczyka, jak duże ma ranczo, bo wtedy on zapyta ciebie, ile masz pieniędzy na koncie. Takich pytań się nie zadaje! To nie twój interes - powiedział ostro.

Ale po chwili przyznał już łagodniejszym tonem, że w porównaniu z wielkimi posiadłościami, jakie są w okolicy, jego ranczo jest małe. Zresztą już dwadzieścia pięć lat temu

przewidział, że rolnictwo będzie zamierać, ponieważ za dużo ingeruje w nie państwo i przetrwają tylko wielcy farmerzy. On już skłonił czterech synów, by szukali innego wykształcenia. Z ich farmy może wyżyć jedna rodzina, pod warunkiem że będzie prowadzić konserwatywny tryb życia. Co to oznacza? Oto Delberta lekcja druga: nie mieć długów, żadnych problemów z kartami kredytowymi, trzymać trochę odłożonych pieniędzy w banku, płacić rachunki na czas. I dalej: być uczciwym, żyć zdrowo, nie tracić czasu. Mój teksański nauczyciel krytykował dzisiejszą młodzież, że wszystko kupuje na kredyt, że żyje ponad stan, że wysiaduje przed telewizorem. On w telewizji ogląda tylko programy informacyjne. Dzięki technice szybkiego czytania pochłania dziennie jedną książkę, najczęściej o tematyce historycznej.

Jako farmer z urodzenia i historyk z zamiłowania przez lata zgłębiał dzieje niezwykłego wynalazku, prostego a rewolucyjnego, mianowicie drutu kolczastego. Zafascynowany znaczeniem, jakie ten z pozoru błahy przedmiot miał w historii Teksasu, zaczął kolekcjonować różne jego odmiany, aż wreszcie stworzył muzeum.

Podeszliśmy do gablot, w których niewielkie kawałki drutu leżały jeden pod drugim, z datą starannie wypisaną ołówkiem. A Delbert Trew opowiedział mi, że na pomysł skręcenia dwóch stalowych nitek i umieszczenia na nich ostrych, wystających kolców (nieprzesuwających się ani nieobracających) wpadł francuski wynalazca Louis Jannin w 1865 roku. Pierwszy oficjalny patent uzyskał jednak Amerykanin Joseph Glidden w stanie Illinois w 1874 roku. Szybko drut kolczasty zrobił furorę w USA, a konkretnie w Teksasie, gdzie zaczęto go stosować na masową skalę. Wcześniej bowiem do wyznaczania granic posiadłości służyły tu tylko kamienie albo drewno. Jednak przy takich ogromnych połaciach ziemi drewniane płoty okazywały się zbyt drogie, drut był za to tanim materiałem. Jego prawdziwie rewolucyjne znaczenie polega więc na tym, że pomógł wyznaczyć granice własności. Stanowiło to przełom w sposobie myślenia. Niektórzy mówią wręcz, że był to koniec epoki starego Zachodu, nieograniczonych możliwości i otwartych przestrzeni.



Delbert Trew, założyciel muzeum drutu kolczastego w McLean. Teksaszczyk z krwi i kości. Muzeum zostało uznane przez magazyn „Time” za jedną z pięćdziesięciu największych amerykańskich atrakcji przydrożnych.

Nie od razu nowy wynalazek spotkał się z aprobatą. Kowboje przyzwyczajeni do swobodnego wypasu bydła, napotykając przeszkody, protestowali i je przecinali. Swój sprzeciw wyrażały też różne grupy religijne uważające, że drut kolczasty jest wymysłem szatana, ponieważ krowy raniły się na zasiekach. Stąd popularna w USA nazwa *devil's rope* („sznur diabła”). Ale krowy szybko się nauczyły, że nie należy dotykać drutu kolczastego, przestały się do niego zbliżać i krytyka ustała. Przycinanie zapór zostało uznane za przestępstwo, a prawo własności umocniło się jako podstawa życia w Ameryce.

Delbert wytłumaczył mi, że każdy farmer miał swój znak - wypalano go na skórze krów, aby pracujący dla niego kowboje wiedzieli, których zwierząt pilnować. Gdy drut kolczasty stał się popularny, właściciele rancz za punkt honoru stawiali sobie ogrodzenie swojego terenu wyjątkowym, unikalnym drutem, który był swego rodzaju wizytówką. Powstawał więc drut podwójny lub potrójny z dwoma, trzema lub czterema kolcami. Z kolcami okrągłymi, płaskimi lub wyciętymi we wzory. Delbert wskazywał kolejne sploty rozpięte w gablotach, o każdym potrafił opowiedzieć jakąś historię.



Początkowo drut kolczasty nazywano sznurem diabła, bo uniemożliwiał przekraczanie granic rancz. Ostatecznie usankcjonował prawo własności. W muzeum znajdują się nie tylko okazy wszystkich rodzajów drutu i zagród, ale także dzieła kowbojskiej sztuki.

W muzeum „diabelskiego sznura” dowiedziałam się też, że powstają z niego dzieła sztuki, rzeźby i oryginalne instalacje. Niektóre z eksponatów stworzył sam Delbert („Robiłem to, gdy byłem młody. Miałem czas na takie zabawy”). Inne przysłali mu zapaleni kolekcjonerzy, których w całych Stanach Trew znalazł pięciuset.

Po stworzeniu Muzeum Drutu Kolczastego Delbert wraz żoną Ruth założyli Muzeum Drogi 66 („To nasza alejka dojazdowa do domu”) i jej Stowarzyszenie. Dla nich ta stara szosa jest takim samym rozdziałem w historii Ameryki jak Indianie czy bizona. Wskazując znak Drogi 66, Delbert zapewnił mnie, że jest autentyczny.

- Wiem, bo sam go ukradłem, gdy szosa została wykreślona z rejestru dróg krajowych - zaśmiał się po raz pierwszy podczas naszej długiej rozmowy, wyraźnie zadowolony z eksponatu. Dumą Delberta jest także największy w Ameryce zbiór książek i artykułów prasowych o Drodze 66. Przystanęliśmy przy ogromnych zeszytach, oprawionych w twarde okładki. Przeglądałam tę kopalnię wiedzy, a Delbert mówił, że kiedy chciał się wycofać z nadmiaru obowiązków, to przyplątały mu się kłopoty zdrowotne i od tamtego momentu głosi teorię, że im więcej pracuje, tym jest zdrowszy. W obydwu muzeach robi wszystko, także sprząta, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jego żona, Ruth, jest skarbnikiem i prowadzi księgi.

Nadszedł czas na lekcję trzecią: zadać pytanie, co to znaczy być Teksasńczykiem, to tak, jakby spytać, co to znaczy być chrześcijaninem. Uśmiechnęłam się w myślach po tym stwierdzeniu, bo przypomniałam sobie, że John Steinbeck w książce *Podróże z Charleyem* napisał: „Teksas jest stanem umysłu. Teksas jest obsesją. [...] Jest mistyką, bardzo zbliżoną do religii”⁶. A Delbert tłumaczył, że prawdziwy Teksasczyk to człowiek urodzony tu, w Teksasie. Amerykaninem można zostać po kilku latach pobytu w USA, ale Teksasńczykiem - nie.

- Jesteśmy dumni z naszej historii - powiedział stanowczo Delbert. Teksas jako jedyny z obecnych stanów USA był niezależnym państwem przez dziesięć lat. Lone Star Republic (Republika Samotnej Gwiazdy) powstała w 1836 roku po rewolucji teksańskiej, która, choć krwawa, pozwoliła Teksasowi na oderwanie się od Meksyku. Przystępując do Unii w 1845 roku,

⁶ John Steinbeck, *Podróże z Charleyem*. W poszukiwaniu Ameryki, przeł. Bronisław Zieliński, Warszawa 1991, s. 219–220.

Teksas (jako jedyny stan na mocy traktatu) postawił warunek, że będzie się mógł odłączyć, kiedy będzie chciał.

Lekcja czwarta? Delbert zawahał się przez chwilę.

- U nas jest po prostu inaczej. Nie mamy stanowego podatku dochodowego. Chronimy własność. Wszyscy mogą posiadać broń i każdy umie z niej korzystać. Nie mamy tylu hippisów, gejów i innych takich dziwaków co gdzie indziej. Nie przyjeżdżają tu, bo wiedzą, że jesteśmy dla nich zbyt surowi. Nadal mamy karę śmierci i ją wykonujemy, nie patyczkujemy się z przestępcami. Tak, u nas jest inaczej - powiedział Delbert i pożegnał się, bo musiał iść do dalszych, rozlicznych zajęć.

Gdy wyjeżdżałam z McLean, jak na zamówienie w publicznym radiu NPR trwała dyskusja na temat ogromnych kosztów kary śmierci. Rosną one, gdyż do rozpatrzenia sprawy zagrożonej najwyższym wymiarem kary potrzeba wielu ekspertów, biegłych i prawników. Jest więcej apelacji i rozpraw. Statystycznie rzecz biorąc, skazany między wyrokiem a egzekucją spędza w więzieniu prawie jedenaście lat. W Teksasie - znacznie krócej. Tu też wykonuje się najwięcej egzekucji i przyznaje najmniej ułaskawień. Richard Dieter, dyrektor Centrum Informacji na temat Kary Śmierci - badawczej organizacji non profit - dowodził, że nawet w bardzo „efektywnym” systemie teksańskim koszty szacuje się na dwa-trzy miliony dolarów na jednego skazanego. To trzy razy więcej niż kosztowałoby przetrzymanie tego więźnia w separacie przy zaostrożonych środkach bezpieczeństwa przez czterdzieści lat. To tylko jeden z argumentów przeciwko karze śmierci, który sprawia, że społeczne poparcie dla niej w całej Ameryce się zmniejsza (z osiemdziesięciu procent w 1994 roku, do sześćdziesięciu dziewięciu w 2007 roku) i coraz więcej stanów z niej rezygnuje (już czternaście zniosło ten rodzaj kary).

Słuchając tej audycji, zdałam sobie sprawę, że Teksasczycy sądzą, że kara śmierci jest słuszna i tak samo oczywista jak działalność Ku-Klux-Klanu, uważanego przez zwolenników za „opokę chrześcijaństwa”, a przez przeciwników - za bractwo propagujące terror. Klan działa nie tylko w Teksasie, lecz także w innych stanach, głównie na południu i południowym wschodzie. Powstał 1866 roku w Tennessee z inicjatywy sześciu byłych żołnierzy konfederackich. Kongres zdelegalizował go w 1871 roku, ale Klan reaktywował swoją działalność jako organizacja podziemna w 1915 roku w Atlancie. A w roku 1925 liczył już około pięciu milionów członków. Choć i mnie, i wielu ludziom na świecie wydawało się, że Ku-Klux-Klan to zamierzchła przeszłość, to sama się przekonałam, że jest inaczej. W 1999 roku byłam świadkiem

zorganizowanej demonstracji Klanu w małej miejscowości Jasper w południowo-wschodnim Teksasie. Kilkanaście postaci odzianych w długie białe szaty, z wysokimi stożkowatymi kapturami zasłaniającymi twarze stało przed budynkiem sądu w tym miasteczku, trzymając flagi klanowe i konfederackie. Demonstracja odbywała się w obronie trzech białych podejrzanych o bestialskie morderstwo Murzyna. Gdy do Jasper przyjechali bojownicy partii Nowe Czarne Pantery uzbrojeni w karabiny, policja ewakuowała mieszkańców, wyrzuciła dziennikarzy, a członkowie Ku-Klux-Klanu schronili się w gmachu sądu. Do starć nie doszło.

Przy polach słoneczników, cudnie lśniących w słońcu, oderwałam się od wspomnień. W okolicach miejscowości Jericho Droga 66 z asfaltowej zmieniała się w żwirową, by po kilku milach zaniknąć za płotem prywatnej posiadłości. W samochodowym odbiorniku włączyła się lokalna stacja religijna, a w niej trwał konkurs ze znajomości Biblii. Gdy zawróciłam w kierunku autostrady, włączyła się inna audycja, w której pastor uzdrowiciel starał się pomóc dzwoniącej do redakcji kobiecie, prosząc Boga, by odwrócił rotację kręgow i wyciągnął je do normalnej długości. Żona pastora rozkazała bólowi wyjść z ciała słuchaczki. Nie dowiedziałam się, czy polecenia pomogły, bo znowu zniknął zasięg. Co pozwoliło mi zauważyć wielkie stada krów na rozległych pastwiskach.

Przy przechylonej wieży wodnej w Britten (krzywej niczym ta w Pizie) złapałam stację Christian Sattelite Network. Jej słuchacze domagali się wprowadzenia w publicznych szkołach nauki kreacjonizmu. To pogląd, że Bóg stworzył Ziemię i człowieka około sześciu tysięcy lat temu i wszystko, całe dzieło stworzenia, trwało sześć dni, a odbyło się tak, jak zapisano w Biblii. Według sondaży aż połowa Amerykanów (czterdzieści pięć-pięćdziesiąt pięć procent w różnych badaniach) podziela to stanowisko, to znaczy, wierzy, że Bóg odpowiada za stworzenie życia na Ziemi. Uczenia kreacjonizmu zakazał w 1987 roku Sąd Najwyższy USA, uznając, że łamie to zasadę rozdziału Kościoła od państwa. Tymczasem religijna prawica uważa, że teoria ewolucji powszechnie wykładana w szkołach to bluźnierstwo. Jeden słuchacz mówił, że jeśli ktoś nie wierzy, to niech jedzie do Glen Rose (południowy Teksas), do Muzeum Świadcstw Stworzenia Świata. Eksponowane tam skamieliny śladów ludzkich stóp i łap dinozaurów dowodzą, że ludzie chodzili po Ziemi już w czasach, gdy żyły te zwierzęta. Także skamielina odbicia kowbojskiego buta i skamieniały młotek mają dowodzić, że teoria ewolucji to czczy wymysł darwinistów. Nawet George W. Bush („Jaka szkoda, że już nie jest prezydentem” - mówił jeden z diskutujących), którego ranczo, Crawford, leży zaledwie godzinę jazdy od Glen Rose,

opowiedział się w 2005 roku za równym traktowaniem ewolucjonizmu i kreacjonizmu na lekcjach biologii. Powiedział wtedy, że „jednym z zadań edukacji jest zaznajamianie ludzi z odmiennymi szkołami myślenia”. Odpowiedzi uczestniczącego w audycji profesora nie usłyszałam, bo włączyła się następna stacja, tym razem muzyczna, a w niej leciały songi z błaganiem o „wolność dla tych, którzy słuchają Pana”. Akurat we wsi Groom mijałam ogromny biały krzyż, stojący między Drogą 66 a autostradą. To największy na zachodniej półkuli symbol wiary.

I wtedy włączyła się kolejna lokalna stacja z audycją o dostępie do broni, a konkretnie o tym, że w Fort Worth, koło Dallas w Teksasie, nauczycielom pozwolono przynosić pistolety do szkoły. Jak tłumaczył przedstawiciel rady tej szkoły, decyzję podjęto po kolejnej strzelaninie, jakiej dokonali uczniowie gdzieś w USA. Nauczyciele przejdą intensywne szkolenie dotyczące zarówno używania broni, jak i względów bezpieczeństwa. Zwolennik tego rozwiązania argumentował, że wszystkie tragedie, jakie się wydarzyły w ostatnich latach były spowodowane tym, że placówki oświatowe uczyniono „strefami wolnymi od broni”. Krzyczał: „Ludzie, którzy strzelają do uczniów, to diabły! Niech wiedzą, że jeśli przyjdą do naszej szkoły i zaczną strzelać do dzieci, to spotkają się z oporem”. Przeciwnik obecności broni w szkołach nie został dopuszczony do głosu, przynajmniej dopóki ta stacja nie znikła w moim odbiorniku. Wtedy przypomniałam sobie zdanie, które gdzieś kiedyś wyczytałam, że w czasach kolonii brytyjskiej w Wirginii stosowano trzy kary: więzienie, śmierć i zesłanie do Teksasu.

Big Texan

Wielkie tablice na przedmieściach Amarillo kusily perspektywą darmowego, siedemdziesięciodwuuncjowego steku. „Big Texan zaprasza” - krzyczał napis, a gigantyczny kowboj w kapeluszu uśmiechał się zachęcająco. Szybko przeliczyłam, że siedemdziesiąt dwie uncje to cztery i pół funta, czyli dwa kilogramy. Toż taki kawał mięsa wystarczyłby na tydzień, pomyślałam. Ciekawość jak zwykle zwyciężyła.

Restauracja to wielki, niski budynek, pomalowany na żółto, wyglądający na tancbudę lub halę targową. Przed nim stały ogromne limuzyny Cadillaca z rogami bawołów na masce oraz gigantyczna krowa na przyczepie. Wewnątrz przywitało mnie i innych wchodzących gromkie: „Howdy Y'all” (w wolnym tłumaczeniu: „Jak się macie?”), które skierował do nas mężczyzna usadzający gości w sali jadalnej. Była ona ogromna i ciemna. Przy stolikach siedzieli zgłodniaли ludzie, a mięsiwo na wielkich, stojących przed nimi talerzach pachniało apetycznie. Kelnerzy w dużych jasnych kapeluszach dźwigali potężne kufle teksańskiego piwa. A między stołami przechadzało się trzech grajków, starszych panów w kowbojskich strojach. Dźwięki gitary, skrzypiec i kontrabasu nie przeszkadzały w rozmowach. W kuchni otwartej na salę uwijało się kilku kucharzy. Węgle pod grillem rozgrzane do czerwoności syczały, gdy skapywał na nie tłuszcz. Jeden z kucharzy dokładał nowe porcje żeberek i steków na ruszt.

Tuż przy kuchni, w samym środku sali, znajdowało się podwyższenie. A na nim stół, przykryty wielką krowią skórą służącą za obrus. Był nakryty dla kilku osób, choć dotychczas zajęto tylko jedno krzesło. Dwudziestokilkuletni chłopak z krótkimi rudymi włosami spokojnie oddychał, skupiając się jak przed konsumpcyjnym sprintem. Sala nagle ucichła. Kelner przyniósł ogromny talerz z połacią mięsa i postawił go przed chłopakiem. Ten najpierw poprawił okulary, a potem powoli odkroił kawałek, spróbował. Kiwnął głową z aprobatą. Wtedy kelner uruchomił wielki elektroniczny zegar odmierzający sześćdziesiąt minut i krzyknął: „Start”. Rozległy się brawa, błysnęły flesze aparatów.

Jeden z dopingujących młodych mężczyzn wyjaśnił, że to ich kumpel, Tim, obchodzący tego dnia urodziny. Jeśli zje ten gigantyczny, dwukilogramowy kawał mięsa wraz ze wszystkimi dodatkami w ciągu godziny, to nie będzie musiał płacić. Jeśli nie da rady - trzeba będzie zapłacić siedemdziesiąt dwa dolary. To znaczy, kumple się złożą i uregulują rachunek, bo to ich prezent

urodzinowy dla Tima. Chłopak tłumaczył, że samo mięso to pół biedy, ale jeszcze trzeba zjeść pieczonego ziemniaka, bułkę, sałatę i kilka smażonych krewetek na przystawkę.



Kolejna próba bicia rekordu w restauracji Big Texan. Zjeść dwa kilogramy wołowiny w ciągu godziny wraz z dodatkami? Kto da radę - nie zapłaci za danie. Kto nie pochłonie góry mięsa, dostanie rachunek na 72 dolary.

Patrzyłam, jak Tim nerwowo kroił mięso i powoli przeżuwał. Jego towarzysze pokrzykiwali przez kilka minut słowa zachęty, a potem zabrali się za swoje, znacznie mniejsze porcje. Inni gapie wrócili już też do stolików. W sali znowu zapanował gwar.

Podszedł do mnie Bobby Lee, jeden z obecnych współwłaścicieli lokalu. Wysoki, przystojny i opalony mężczyzna, ubrany w dżinsy i koszulę z logo restauracji, przyznał, że sam jako nastolatek przystąpił do bicia rekordu. Mimo że ojciec namawiał go, by zrezygnował w trakcie jedzenia, nie poddał się i pochłonął dwa kilogramy mięsa w mniej niż godzinę. Później jako zawodowy hokeista też dużo jadł. Ale dziś już nie ma takich możliwości. Powiedział to, lekko wzdychając i pocierając wąsy. Razem przyglądaliśmy się chłopakowi, a Bobby opowiedział mi o swoim ojcu, który to wszystko wymyślił.

Bob Lee senior (rocznik 1929) miał niesamowite pomysły i gwiazdy mu sprzyjały. Zanim los rzucił go do Amarillo, był szefem kuchni wojskowej kantyny, po służbie w armii skończył studia dziennikarskie, potem gotował dla sieci hoteli Marriott, a następnie dostarczał dania liniom lotniczym. W 1960 roku otworzył restaurację przy Drodze 66. Choć nie był ani Teksasńczykiem, ani kowbojem, uznał, że na Dzikim Zachodzie jakoś mało tej „dzikości” widać, więc motyw westernu najlepiej przyciągnie klientów. Dlatego lokal nazwał Big Texan Steak Ranch. Przed budynkiem kręcili się konno kowboje z lassami, w drzwiach gości witali dwumetrowi, uśmiechnięci młodzieńcy w kapeluszach jeszcze potęgujących ich wzrost (Bob zatrudnił połowę lokalnej drużyny koszykarskiej), a między drewnianymi ławami chodziły kelnerki z koltami w

olstrach na biodrach. Kapela przygrywała stare kowbojskie melodie. Dziewczyny z pobliskiej szkoły czasem tańczyły kankana na ławach.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Ludzie jadący Drogą 66 do Kalifornii chętnie zatrzymywali się w Big Texan nie tylko, aby się posilić, lecz także aby chłonąć westernową atmosferę, tym bardziej że wśród gości pojawiała się wielu prawdziwych pasterzy bydła. Przychodzili oni z pobliskiego targowiska, na które dowozili zwierzęta. Bob dodatkowo zachęcał ich specjalną, niską ceną za kufel piwa. Kowboje w Big Texan przejadali i przepijali więc swoje wypłaty oraz snuli opowieści, stając się jednocześnie atrakcją dla turystów. Bob Lee w czarnym cylindrze, z czarnym wąsem przechadzał się wśród stolików, patrząc, jak biznes kwitnie, żartował i rozmawiał ze wszystkimi.

W 1962 roku, w któryś piątkowy wieczór, wygłodzeni kowboje ponaglali kucharza, mówiąc, że są tak głodni, że zjedliby całą krowę z kopytami. Bob, usłyszawszy to, zaproponował konkurs. Będzie serwował steki kowbojom za darmo, a kto zje najwięcej, ten wygra pulę, na którą się wszyscy złożą. Każdy z dwunastu kowbojów wrzucił więc po pięć dolarów do kapelusza. Bob uwijał się w kuchni, smażąc funtowe steki (około pół kilograma mięsa). Wszyscy klienci restauracji dopingowali zawodników. Najbardziej wytrzymały poddał się w połowie piątego steku! W ten oto sposób została ustanowiona granica możliwości kowbojskiego apetytu: cztery i pół funta, czyli siedemdziesiąt dwie uncje. Bob tego samego wieczoru ogłosił, że każdy, kto zje takie danie w ciągu godziny, nie będzie musiał za nie płacić.

Od tamtej pory codziennie trzech-czterech śmiałków próbuje swych sił. Co szóstemu się to udaje. Do dziś gigantyczną sztukę mięsa usiłowało pochłonąć ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Osiem i pół tysiąca dało radę. Wśród nich są nawet jedenastoletni chłopczyk i sześćdziesięciodziewięcioletnia babcia. To rekordziści: on - najmłodszy, ona - najstarsza. Przeważają jednak mężczyźni młodzi lub w średnim wieku. Wszyscy otrzymują certyfikaty, a ich nazwiska zapisuje się w specjalnej księdze. No i są odwożeni do hotelu limuzyną z bawolimi rogami.

Przez dwadzieścia jeden lat rekord należał do bejsbolisty z drużyny Cincinnati Reds, Franka Pastore'a, który w 1987 roku potrzebował tylko dziewięciu minut i trzydziestu sekund na rozprawienie się z dwukilogramowym stekiem i dodatkami. Pastore siedmiokrotnie przyjeżdżał do Big Texan i za każdym razem poprawiał swój czas. Zdradził kiedyś, że sztuka polega na

wkładaniu do ust jak najmniejszych kawałków mięsa i nieustannym krojeniu. Najważniejszy jest więc sprawny nadgarstek.

W marcu 2008 roku rekord Pastore'a został pobity przez Joeya Chestnuta, który potrzebował zaledwie ośmiu minut i pięćdziesięciu dwóch sekund, by połknąć całą porcję. Chestnut to zawodowy zjadacz i rekordzista, uważany za amerykańskiego bohatera i „skarb narodowy” - tak oficjalnie nazywa go Międzynarodowa Federacja Jedzenia Wyczynowego. Chestnut pobił bowiem japońskiego mistrza - Kobayashiego. Pochłonął sześćdziesiąt sześć hot dogów w dwanaście minut, przywracając w ten sposób honor Ameryce.

Patrzyłam, jak chłopak siedzący przy stole na podwyższeniu z trudem przełyka kolejne kęsy. Najwyraźniej nie trenował wcześniej. Wciąż przeżuwał, ale oczy miał już błędne. Podeszli jego koledzy, o coś spytali, a on przecząco pokręcił głową. Zostało mu jeszcze dwadzieścia minut. Kelnerka dyskretnie postawiła przy jego krześle wiadro na wypadek, gdyby zrobiło mu się niedobrze.

Tymczasem w restauracji pojawiła się duża grupa ludzi z laptopami, które natychmiast otworzyli. Na ekranach ukazały się tajemnicze mapy. Bobby wyjaśnił, że to *storm chasers* („łowcy tornad”). Region Panhandle jest wymarzonym terenem do obserwacji zjawisk atmosferycznych, bo dokoła płasko, widać więc z daleka zbliżającą się burzę. A huragany i tornada zdarzają się często. Dlatego równie często przyjeżdżają tu duże grupy zapaleńców, którzy - jak Helen Hunt w filmie *Twister* - podążają szlakiem rozwijającej się trąby powietrznej, by ją badać, obserwować i podziwiać. Ta grupa okazała się międzynarodowym towarzystwem z przewagą Australijczyków. Pokazali mi na ekranie laptopa kolorową plamę, mówiąc, że to ich huragan. Nie zdążyli zamówić dań, gdy jeden z nich krzyknął, że wiatr zmienił kierunek. Zerwali się i wybiegli.

Bobby, patrząc na podwyższenie, mruknął półgłosem, że rudzielec nie da rady. Trudno, nie każdy zwycięża. Ale i tak będzie miał co wspominać. Mężczyzna wskazał na kamerę podczepioną przy suficie, która rejestrowała wszystko, co działo się przy głównym stole. Na stronie internetowej restauracji zawsze jest podgląd na żywo. Gdy zegar na podium zaczął odliczać ostatnią minutę, wszyscy wstali. Niektórzy pokrzykiwali, dopingując chłopaka na finiszu. Gdy brzęczyk zasygnalizował koniec czasu, Timowi, niestety, zostało na talerzu ćwierć kotleta. Mimo to rozległy się gromkie brawa. Nagrodzono go za odwagę. Odchodząc od stołu, powiedział do kumpli, że nie sądził, iż to będzie aż takie trudne.

Przypatrywaliśmy się z Bobbym ludziom przy stolikach. Większość stanowili turyści, choć mieszkańcy Amarillo to zazwyczaj jedna trzecia klienteli. Właściciel nie ukrywał, że z przybyszami łatwiej się robi biznes. Przyjeżdżają tu, by posmakować czegoś innego, wszystko im się podoba, są zadowoleni i weseli. Restauracja jest czynna 365 dni w roku, od 7 rano do 22.30 i ciągle panuje tu duży ruch. Bobby powiedział, że jego ojciec cieszyłby się tymi tłumami, bo jemu biznes nie zawsze szedł tak dobrze. Przeżył i pożar, który doszczętnie strawił lokal, i potem otwarcie autostrady, która zabrała cały ruch samochodowy z Drogi 66, wskutek czego opustoszała restauracja położona w centrum Amarillo. Przeniósł więc biznes za miasto, na kupioną wcześniej działkę, traf chciał, że znajdowała się w pobliżu autostrady. Dodatkowo pomógł zakaz sprzedaży alkoholu w niedziele wprowadzony przez władze Amarillo. Ci, którzy chcieli napić się piwa, zaczęli jeździć za miasto, do Boba Lee.

Po jego śmierci w 1990 roku biznes przejęło troje najstarszych z ośmiorga rodzeństwa: bracia Bobby i Denny oraz siostra Diana. Do restauracji dobudowali motel (bawole rogi zdobią łoża w pokojach, a basen ma kształt mapy Teksasu) oraz hotel dla koni (stajnie, boksy z sianem, parking dla przyczep). Diana zarządza hotelami, Denny nadzoruje kuchnię, Bobby jest od kontaktów z mediami i nowych pomysłów.

Jednym z nich jest wystawianie latem musicalu *Texas* w amfiteatrze w kanionie Palo Duro, kilkadziesiąt mil od Amarillo. Bobby zachęcał mnie do obejrzenia spektaklu, który przedstawia historię Teksasu. Twierdził, że jest on niezwykłym przedsięwzięciem. Co roku bierze w nim udział ponad sześćdziesięciu aktorów, śpiewaków i tancerzy, wybieranych w specjalnych castingach tylko na jeden sezon. Przesłuchania zaczynają się zawsze w lutym.



Bobby Lee, jeden z właścicieli restauracji Big Texan Steak Ranch rozwija pomysły swojego ojca i podtrzymuje tradycje kowbojskie.

Bobby po naszej rozmowie musiał pojechać do kanionu, aby posprawdzać, czy wszystko zostało przygotowane na wieczór. Zabrałam się więc razem z nim. Miał rację, mówiąc, że sceneria jest niesamowita - Palo Duro to drugi co do wielkości kanion w USA (po Wielkim Kanionie rzeki Kolorado). Ogromna dziura pojawiła się nagle w płaskiej powierzchni gruntu. Czerwone skały rozpościerały się w dole na wiele kilometrów. Zjechaliśmy na samo dno kanionu. Gdy zachodzące słońce oblało swym światłem rudą ziemię, teren wyglądał wręcz magicznie. Tłumnie przybyli turyści zostali najpierw nakarmieni na świeżym powietrzu przy stołach nakrytych ceratą w kolorach teksańskiej flagi (obiad przyrządzili kucharze z Big Texan), a potem zajęli miejsca w ogromnym amfiteatrze z naturalną, wielką sceną, z czerwonymi skałami zamiast dekoracji. Gdy zza krzaków wyjechały na scenę konie, widzowie zaczęli bić brawo.

Bobby przyznał na zakończenie naszego spotkania, że taki właśnie Teksas chcą widzieć turyści. „Realizujemy ich wyobrażenia” - powiedział, dodając, że sam tylko raz w życiu siedział na koniu.

zalegalizowana forma obłędu

Gigantyczna para nóg wyrastała pośrodku pola. Nogi nie były bose. Białe tenisowe skarpety ciasno otulały stopy i łydki. Gdy podjechałam bliżej, przekonałam się, że było to nie przywidzenie, lecz rzeźba. Pomyślałam, że Amarillo - największe, dwustutysięczne, teksańskie miasto przy Drodze 66 - musi być interesujące.



Wielkie nogi w tenisowych skarpetach to dzieło artysty Lightnina McDuffa. Stoją pośrodku pola. Czasem pasą się przy nich krowy.

Wkrótce zobaczyłam znak stojący na rogu ulicy, taki jak drogowy, tylko zamiast „stop” widniał na nim napis: „Hej, koleś, masz fajki?”. Kawalek dalej był kolejny znak, z portretem Szekspira i napisem: „Bill”. A przejechawszy kilka następnych przecznic, wśród jednorodzinnych drewnianych domów z werandami ujrzałam tablicę głoszącą: „Któregoś dnia mój książę przybędzie”. Na ulicy prezydenta Monroe’a natomiast stał znak z Marilyn Monroe. Potem widziałam jeszcze wymalowaną świnie, płynącą pod wodą w masce, i ogromne serce, z którego skapywała tworząca kałużę woda.

Clay, ponadtrzydziestoletni były policjant, a teraz operator i dziennikarz jednej z lokalnych stacji telewizyjnych, powiedział mi, że tych znaków są tysiące. Pojawiają się i znikają. To taki nieustający happening o nazwie Dynamite Museum. Tworzy go grupa młodych ludzi malująca humorystyczne abstrakcje. Jeśli ktoś chce, aby zabawny znak znalazł się w pobliżu jego domu, to zgłasza się do Muzeum Dynamitu. Nie ma jednak żadnego wpływu na treść emblematu. To leży w gestii artystów. I nigdy nie wiadomo, kiedy „dzieło sztuki” pojawi się na ulicy. Clay był entuzjastą tych „eksponatów”, ale przyznał, że są ludzie, którym się one nie podobają i którzy uważają, że na pewno władze miasta chętnie by się ich pozbyły. Ale wtedy człowiek, który stworzył Dynamite Museum, pozbyłby się władz miasta. A człowiek ten to Stanley Marsh 3 -

lokalny miliarder, którego dziadek był jednym z pierwszych potentatów naftowych na tych terenach. Ojciec rozwinął biznes, stając się dodatkowo wydobywcą helu, a syn rozszerzył rodzinne imperium o media, był między innymi właścicielem dwóch lokalnych stacji telewizyjnych afiliowanych przy ogólnoamerykańskich sieciach ABC i NBC. Jest trzecim Stanleyem w rodzie Marshów. Używa cyfry arabskiej zamiast rzymskiej, bo uważa, że ta druga byłaby zbyt pretensjonalna. Nie chce więc, by mówić o nim Stanley Marsh the Third („trzeci”), tylko Three („trzy”). Nie lubi bowiem dworskości.

Siedzieliśmy z Clayem i pracującą z nim młodziutką reporterką Sarah przy stoliku w knajpce w ogromnej kręgielni Western Bowl. Razem z jej właścicielem - Martym Fenbergiem, mężczyzną po siedemdziesiątce, Teksaszczykiem z krwi i kości, którego poznałam kiedyś w samolocie - obmyślaliśmy sposób, jak najszybciej doprowadzić do mojej wizyty u Marsha 3, na ogół unikającego dziennikarzy. Przy okazji ekipa telewizyjna chciała zrobić ze mną wywiad. Sarah i Clay twierdzili, że rzadko się zdarza, by obcokrajowcy spędzili w ich mieście więcej niż dwie godziny, a już nigdy nie spotkali kogoś, kto przyjeżdża do Amarillo któryś raz z rzędu na kilka dni dla przyjemności. Jedliśmy typowe lokalne śniadanie, składające się z grubego plastra podpieczonej szynki, smażonych ziemniaków oraz bułki polanej tłuszczem wymieszanym z mąką (tak zwane *gravy* - mnie nie smakowało), i dyskutowaliśmy o najbardziej kontrowersyjnej osobie w Amarillo.

Stanley Marsh 3 przez część mieszkańców został kiedyś nazwany głupim ekscentrykiem i zjawiskiem zenującym dla miasta. Tak przynajmniej wynikało z ankiety przeprowadzonej przez lokalną gazetę „Amarillo Glob”. Druga grupa (znacznie większa, co podkreślił Clay) uznała jednak, że miliarder jest geniuszem nadającym miastu osobowość.

Clay zaśmiewał się, opowiadając mi, jak w 1999 roku Marsh 3 w indiańskim pióropuszu odtańczył na żywo na oczach widzów w całych Stanach szalony taniec, czym przeszkodził reporterowi kanału meteorologicznego, który mówił o opadach śniegu na żywo z Amarillo. Występowi Marsha towarzyszyła muzyka z *Gwiazdnych wojen*, puszczone na cały regulator z odtwarzacza w jego samochodzie. Mężczyzna tłumaczył potem w sądzie, że zawsze, gdy zaczyna sypać biały puch, on wykonuje swój „taniec śniegu”. Przecież konstytucja daje mu do tego prawo. Był to zresztą jeden z wielu happeningów miliardera.

Marty przestrzegł mnie, że Marsh czasem ze swojego biura spuszcza na przechodniów balony z wodą. Wygląpy dziwaka wielu osobom przesłaniają jego prawdziwie artystyczne

dokonania. A współpracował on z wieloma twórcami, finansował ich pomysły i dawał im nie tylko swobodę działania, lecz także przestrzeń, które mogli wykorzystać. W Amarillo pracował na przykład Robert Smithson, jeden z głównych teoretyków i twórców sztuki ziemi. Wielokrotnie był tu John Chamberlain, rzeźbiarz minimalista, najbardziej znany ze swoich rzeźb z karoserii samochodów, wystawianych w Nowym Jorku w słynnych muzeach MoMA i Guggenheima. Za sprawą Marsha Amarillo ma więcej dzieł sztuki nowoczesnej niż jakiegokolwiek inne miasto w Stanach, poza Nowym Jorkiem oczywiście. Ale za to tu wszystkie dzieła stoją na świeżym powietrzu, nie w muzeach, i można je obejrzeć za darmo.

Marty podkreślił, że to dzięki Marshowi i jego Ranczu Cadillaców Amarillo jest na światowej mapie turystycznej. Cadillac Ranch to już miejsce kultowe. Turyści przyjeżdżają tu nie po to, by zwiedzać piękne parki (miasto jest nazywane Żółtą Różą Teksasu, z hiszpańskiego *amarillo* - „żółty”), ani by podziwiać pomnik helu (Amarillo nosi przydomek światowej stolicy tego gazu), ani nawet by obejrzeć kilka prac Georgii O’Keffe z czasów, gdy uczyła tu rysunku, tylko po to, by zobaczyć właśnie cadillaki.

Porzuciwszy moich nowych przyjaciół, dyskutujących o przyszłości miasta, pojechałam szukać słynnej instalacji sztuki współczesnej. Znalazłam ją nieco poza Amarillo, tuż przy Drodze 66. Furtka w ogrodzeniu nie miała żadnego skobelka. To miejsce jest otwarte non stop. Pośrodku pola kukurydzy zobaczyłam dziesięć limuzyn wbitych maskami w ziemię. Jedna za drugą, równiutko ustawione, skierowane na zachód. Instalacja została zrealizowana w 1974 roku przez grupę artystyczną o nazwie Ant Farm (Ferma Mrówek). Artyści kupili stare auta od lokalnych farmerów i wkopali je w ziemię w kolejności od najstarszego - club coupé z 1949 roku, do najmłodszego - sedana z 1963 roku. Początkowo wszystkie cadillaki były czerwone. Potem Stanley Marsh wpadł na pomysł, że to ma być żyjące dzieło sztuki. Ogłosił więc, że każdy odwiedzający może je dowolnie malować.



Ranczo cadillaków - teksański symbol Drogi 66, jedna z najbardziej znanych na świecie atrakcji turystycznych Amarillo. Dziesięć aut wkopanych w ziemię kieruje się na zachód. Każdy może pomalować samochody, jeśli tylko ma ochotę.

Obserwowałam, jak trzech młodych ludzi bawiło się farbą w spreju. Dwie kobiety z zazdrością patrzyły na młodzieńców. One miały tylko gruby flamaster. Ale dobre i to. Ważne przecież, żeby złożyć swój autograf, cokolwiek domalować. Nawet nie próbowałam zgadywać, ile warstw farby może mieć na sobie to dzieło sztuki. Przy jednym z aut stała rodzina z małymi dziećmi, które próbowały wpełznąć do wnętrza. Przy następnym mężczyzna w bandance na głowie, w asyście nastolatka, wycinał nożem kawałek opony. Podjechała grupa skośnookich motocyklistów, którzy z okrzykami radości zaczęli się nawzajem fotografować. Japończycy, jak się okazało, poprosili mnie o zrobienie im zdjęcia. Głęboko się potem kłaniali w podziękowaniu.

Rozejrzałam się wokół. Kiedyś Stanley Marsh wykopał głęboką dziurę w ziemi, tuż przy cadillakach. Wszedł do niej i kazał się zasypać tak, że tylko głowa mu wystawała. Tkwił w tej pozycji przez kilka godzin, zagadując zniecka do turystów. Większość pokładała się ze śmiechu, ale jedna starsza pani wylądowała w szpitalu z zawałem serca. Teraz, gdy Marsh przekroczył siedemdziesiątkę, przyjeżdża czasami i tylko patrzy na zwiedzających, zadowolony z efektu, jaki jego dzieło wywołuje u kolejnych pokoleń podróżników.

Drogą 66 wróciłam do miasta. Szeroka ulica biegła między małymi domami, porozrzucanymi trochę bez ładu i składu. Niektóre wyglądały na porzucone. W co ładniejszych i bardziej zadbanej budynkach z cegły mieściły się antykwariaty lub sklepy ze starociami i pamiątkami. Ścisłe centrum skupiało się przy placu, wokół którego stało kilka wieżowców. W knajpce z kanapkami sprzedawczyni powiedziała, że wszyscy tu znają Stanleya Marsha. I dodała, że on to jest ktoś i ma charakter.

Stałam przed najwyższym, trzydziestopiętrowym gmachem w Amarillo, gdzie urzęduje Stanley Marsh 3. Zadarłam głowę do góry, próbując dostrzec jakiś szalony znak, świadczący o jego obecności, a może wypatrywałam zlatującego na mnie balonu napełnionego wodą. Nic nie dostrzegłam, nic nie spadło, weszłam więc do środka. Portier skierował mnie do windy. Wysiadając z niej na dwunastym piętrze, spodziewałam się ujrzeć biuro, recepcję i eleganckie szklane drzwi firmy Marsh Enterprises. Tymczasem trafiłam do czegoś w rodzaju magazynu czy pracowni artystycznej. Wszędzie porozwieszano wielkie, kolorowe płótna.

Jakiś młody chłopak szedł w moim kierunku korytarzem. Miał zmierzwione blond włosy, koszulkę bez rękawów z dużymi wycięciami pod pachami i czarne spodnie upaprane farbą. Powiedział, że Stan czeka, więc poszłam za nim. W ogromnym pokoju za kolejną serią gigantycznych płócien leżał na kanapie starszy, potężny mężczyzna. Kółdra i poduszki były porozrzucane, częściowo pod nim, częściowo obok niego. Pod kanapą w rzędki stały rozczłapane kapcie, ciemne sznurowane buty i białe adidas. Na ścianach wisiało kilka wielkich abstrakcyjnych obrazów. Stanley Marsh 3 z ociąganiem podniósł się na mój widok, nie odrywając wzroku od olbrzymiego ekranu na przeciwległej ścianie. Wskazał ręką krzesło stojące tyłem do ekranu, na którym wyświetlały się notowania giełdowe. Paski przelatywały, tabelki pojawiały się i znikaly, wypierane przez kolorowe wykresy. Wciąż spoglądając na tę migającą ścianę, polecił mi, żebym usiadła, a młodego blondyna odesłał. Jeszcze przez chwilę rozmawiał przez telefon tym samym nieznoszącym sprzeciwu tonem, wpatrując się w migoczący ekran. Zyskałam więc czas, by mu się przyjrzeć. Miał na sobie koszulkę w biało-niebieskie paski. Na nosie okulary. Potargane siwe włosy nie dawały rady zakryć łysiny nad czołem. Tak wyglądał człowiek, który sam o sobie mówi, że jest artystą, filantropem i głupcem.

Niezmienionym tonem oznajmił, że zawodowo przeszedł już na emeryturę. Sprzedał stacje telewizyjne, wydzierżawił część ziemi, część sprzedał. Teraz zajmuje się tylko inwestycjami na giełdzie, ale akcjami obraca bardzo zachowawczo, nie ryzykuje. O pieniądzach nie chciał mówić, bo nigdy nie odpowiada na pytania o zarobione miliony. Sam uważa siebie za przedstawiciela klasy średniej. Chwilę później powiedział z przekąsem, że mówią o nim „teksański ekscentryczny milioner”, a on wolałby, by mówili „multimilioner”, co zresztą byłoby bardziej zgodne z prawdą.

Stanley Marsh stwierdził, że nienawidzi polityki i polityków, bo to zawodowi kłamcy. Wierzy w jeden światowy rząd i chciałby, żeby nie było granic. Jest demokratą. Nie jest religijny, ale uważa, że Jezus był najważniejszą postacią w historii ludzkości.

Najchętniej mówił o sztuce. Milszym już głosem przyznał, że pomysły na happeningi przychodzą do niego same. A kreatywność to w stu procentach ciężka praca i skupienie. Wyjaśnił mi, jaka idea przyświecała mu przy tworzeniu Rancza Cadillaców. Gdy był mały, w USA panował kryzys, samochody były brzydkie, toporne. A potem nagle, po drugiej wojnie światowej, nastąpił boom ekonomiczny i pojawiły się cudowne nowe auta. Każdego było na nie stać. Oczywiście on też chciał mieć samochód. Dlatego pierwsze zarobione pieniądze (pracował w

tartaku, dostarczał gwoździe, miał wtedy szesnaście lat) przeznaczył na wpłatę na auto, bo właśnie ono oznaczało uniezależnienie się od rodziców, wyprowadzkę z domu, ucieczkę od pouczania, nakazów i zakazów, było nadzieją na randki, dawało wolność. Za najlepsze i najbardziej luksusowe uważano właśnie cadillaki. Oczy mu rozbłyły, gdy mówił, że aż się chciało wskoczyć do takiego samochodu, porwać jakąś blondynkę do Las Vegas i rozbić bank w kasynie. A potem pognać do Los Angeles i zostać gwiazdą filmową. Tak wtedy wszyscy myśleli. Jeśli ktoś nie miał takich pragnień, to znaczyło, że jest z nim bardzo niedobrze. Dlatego gdy się już dorobił, postanowił wznieść pomnik temu amerykańskiemu marzeniu. Dziesięć cadillaków przy Drodze 66 kieruje się do Hollywood, by stać się gwiazdami filmowymi.

Dzięki tej popularnej instalacji wielu artystów chce z nim pracować. Ale on nie zatrudnia ich na stałe. Mają wolność twórczą, mogą w każdej chwili odejść. Lubi pracować z młodymi, ponieważ wykazują mnóstwo zapału. Wprowadził jednak regułę, że przyjmuje tylko tych, którzy skończyli dwadzieścia jeden lat, bo nie chce mieć żadnych problemów. Artyści u niego zawsze dużo palą, piją i eksperymentują.

Marsh nigdy nie sprzedał żadnego dzieła. Uważa, że sztuka powinna być wystawiana za darmo, aby wszyscy ludzie mogli się nią cieszyć. Obrazy należałoby wieszać w sklepach spożywczych, na stacjach benzynowych, przystankach, w domach towarowych. Nie powinny być zamykane w muzeach, bo muzea to wymysł bogaczy. Trzeba się porządnie, elegancko ubrać i nie wolno palić - ludzie zamiast cieszyć się tam sztuką, czują się zastraszeni.



Multimilioner Stanley Marsh 3 w gabinecie ze swoim aktualnie nadwornym artystą LBK na tle wielkiego ekranu z notowaniami giełdowymi. Stanley nie używa rzymskiej numeracji przy nazwisku, bo uważa, że to pretensjonalne. Kocha nowoczesną i zwariowaną sztukę. Sponsoruje artystów, bo jest zdania, że sztuka powinna być wystawiana za darmo, aby wszyscy ludzie mogli się nią cieszyć.

- Sztuka jest ostatnią dozwoloną, legalną formą obłędu, szaleństwa. I ja jestem w tym dobry - powiedział z szelmowskim uśmiechem. - Sztuka jest prawdą. Zawsze robi wrażenie na człowieku. Wspaniale, że nie ma w niej ograniczeń. Doskonale dzieło wyłania się z kurzu, pyłu i słońca. Żeby zobaczyć sztukę, trzeba przestać myśleć stereotypowo i nie wolno dać sobie wmówić, że wartość ma tylko to, co nam wskażą krytycy.

Marsh opadł ociężale na oparcie kanapy, rozłożył szeroko ręce i uśmiechając się, zapytał, czy jeszcze coś chcę wiedzieć. Chciałam, więc podkreślił, że wcale nie twierdzi, że ciężka praca powinna wypełniać całe życie. Najważniejsze, by życie było przyjemne, ekscytujące. Nie trzeba okazywać wszystkim szacunku. Można lekceważyć innych, jeśli to komuś sprawia przyjemność, a jemu właśnie sprawia. Liczy się tylko to, żeby ludzie byli sobą, i nie słuchali tych, którzy im coś każą.

Coraz bardziej rozluźniony i spokojny przyznał, że uwielbia otwarte przestrzenie i wieczorny śpiew cykad. Za swój największy sukces uważa małżeństwo. Tu w jego tonie zabrzmiało ciepło. Jest dumny z rodziny, żony, pięciorga dzieci i tyluż wnuków. Do grona rodziny zaliczył też najbliższych przyjaciół. Powiedział, że dzieci nie pracują dla niego, tylko z nim. Zdaje sobie sprawę, że ma bardzo dominującą osobowość i lubi, żeby wszystko robiono na jego modłę. Dzieciom trudno byłoby znieść jego ciągłe uwagi i strofowania.

Plany na przyszłość? Być szczęśliwym. Budzić się rano i sprawdzać, co życie przyniesie. Nudzą go ludzie, którzy mają wszystko zaplanowane na wiele tygodni naprzód. Jemu wystarczy, że wie, kiedy będą Boże Narodzenie oraz Święto Dziękczynienia, i że nie będzie pracował w soboty i niedziele.

- Chcę żyć jak motyl, a nie jak pociąg jadący po szynach - oświadczył Stanley z uśmiechem.

Gdy czas mojej wizyty w biurze Stanleya Marsha dobiegał końca, drzwi się otworzyły i wszedł młody blondyn, który mnie wprowadził. Marsh przedstawił go jako LBK i powiedział, że to jego asystent do spraw sztuki i aktualny nadworny artysta. Za moimi plecami chłopak dał jakiś znak szefowi. Marsh spytał: „Ile?”. Ten wyciągnął dwa palce. Mężczyzna sięgnął do kieszeni, wyjął grubą brązową kopertę i wyciągnął dwa studolarowe banknoty. Blondyn zręcznie jednym ruchem zwinął je w mały rulonik i schował do kieszeni. Stanley polecił mu, by pokazał mi wszystko, co tylko chcę, i zawiózł do Wendy, czyli jego żony. Odwróciwszy się do mnie, szepnął, mrugając okiem, że muszę przecież poznać drugą wersję zdarzeń.

Gdy wyszliśmy z pokoju Stanleya, chłopak wyjaśnił, że ma dwadzieścia trzy lata, a skrót LBK wziął się stąd, że kilka lat temu jeździł na bardzo długiej desce (pokazał na wysokość swojego czoła), dlatego wszyscy wołali na niego Long Board Kid. I tak zostało.

Wyszliśmy przed budynek. Nie było nawet milimetra cienia. Auto chłopaka to stary poobijany chevrolet pikap, wielki samochód, cały oklejony naklejkami z flagą amerykańską. Na dachu szczekaczka - głośnik. Otworzyłam drzwi, wypadła jakaś pusta butelka. Na podłodze było tyle śmieci, że nie miałam gdzie postawić stopy. LBK nawet nie zauważył mojego wahania. Wskoczyliśmy i ruszyliśmy. Wszędzie widziałam ślady po petach.

LBK powiedział, że najpierw odwiedzimy jego pracownię, i jak szalony zawrócił auto na środku ulicy. Jechaliśmy pod prąd, a on się zaśmiał, mówiąc, że jest mistrzem nielegalnych operacji. Oczy miał półprzymknięte. Sprawiał wrażenie naćpanego. Jazda trwała kilka sekund, bo pracownia LBK mieściła się w starym warsztacie naprzeciwko wieżowca. Samochód zahamował z piskiem opon. Nieobliczalny kierowca otworzył drzwi do warsztatu. Moje nozdrza uderzył zapach farby i zgnilizny. W atelier wały się kartony, puszki z farbą. LBK złapał jeden pojemnik aerozolu i wybiegł, zapalając kolejnego papierosa. Gdy zobaczył skierowany na siebie obiekt aparatu, zaczął iść w moim kierunku jak model, ręką przeczesał włosy, uśmiechnął się zniewalająco - nowe wcielenie Jamesa Deana.

Zadziwiająco szybko wydostaliśmy się z miasta. LBK rozpędził samochód jak wariat. W pewnym momencie droga biegła w dół, potem w górę, auto podskoczyło, a ja poczułam się jak na diabelskim młynie. LBK wrzasnął z uciechy i się zaśmiał. Przy kolejnym takim skoku krzyczałam razem z nim: „I-ha”!

Z daleka pokazał mi jedno z dzieł sztuki: *Floating Mesa* (Pływające wzgórze). To płaska góra niedaleko Amarillo, w jednej trzeciej wysokości przepasana błękitną folią, która zlewa się z kolorem nieba. Gdy się na nią patrzy, wydaje się, że cała góra unosi się w przestworzach.

Potem skierowaliśmy się w stronę rancza Marshów. Na jego terenie znajduje się dzieło Roberta Smithsona, który przekształcał pejzaże w obiekty artystyczne - *Amarillo Ramp*, stworzone w 1973 roku. Dotrzeć do rampy można tylko ścieżkami wijącymi się wśród kaktusów i kończącymi się tak nagle, jak się zaczynają. LBK parę razy się zastanawiał, którą z nich wybrać. Powiedział mi, że w ciągu roku tylko kilka osób odwiedza to miejsce. A każdy zwiedzający musi zostać przywieziony, bo sam nigdy by nie trafił. Dzieło sztuki okazało się spiralną groblą zanikającą w ogromnym sztucznym jeziorze, teraz wyschniętym. Marsh

specjalnie dla Smithsona stworzył ten akwen. Dzień po ukończeniu prac autor chciał z powietrza zrobić zdjęcie swojego dzieła. Samolot się rozbił, zginęli artysta, fotograf i pilot.

Żar lał się z nieba. Chodziłam po ziemnym ślimaku, próbując wprowadzić w życie instrukcje Marsha, by nie patrzeć i nie myśleć konwencjonalnie. Gdy wspięłam się z powrotem na brzeg urwiska, zobaczyłam, że LBK maluje kaktusy zieloną farbą w spreju.

- Nie uważasz, że teraz bardziej soczyście wyglądają? - powiedział, zaciągając się papierosem. Kilkakrotnie psiknął farbą na rośliny, odszedł, przyjrzał się, poprawił zmierzwione włosy i znów psiknął.

Po tym artystycznym performansie z piskiem opon ruszyliśmy na Cmentarz Znaków. To miejsce, gdzie są składowane stare, przywiezione z ulic eksponaty Muzeum Dynamitu. Stały oparte o drewnianą balustradę, jeden obok drugiego, ze śmiesznymi rysunkami i napisami. Wokół kręciły się krowy - wszak byliśmy wciąż na ranczu. W tej scenerii LBK pokazał mi na swoim nowym iPhone'ie, jakie projekty ostatnio robi. Powiedział, że bawi się grafiką komputerową, by uzyskać taki efekt, jak w dzieciennym kalejdoskopie. Można by takie wzory wykorzystywać do tkanin.

Spytałam go, gdzie znajduje się słynny *Gigantyczny Stół Bilardowy*, kolejna praca artystyczna Marsha. Wielką płachtę zielonego plastiku i ogromne białe kule Stanley umieszcza od czasu do czasu gdzieś w najbliższych okolicach swojego rozległego terytorium. Tylko pasażerowie przelatujących samolotów mają szansę ujrzeć to dzieło sztuki. LBK mruknął, że nie może zdradzić jego lokalizacji, bo niespodziewane zobaczenie stołu bilardowego przez widzów jest częścią sztuki.

Pojechaliśmy w końcu do Toad Hall („Dwór Kreatury/Ropuchy”), posiadłości Stanleya Marsha 3 i jego żony. Lawirując autem między kaktusami a dziurami w ziemi, LBK przeciął teren wielkiego rancza Marshów i już po kilku minutach byliśmy na miejscu. Obszerny, parterowy, stary dom z ciemnego drewna sprawiał wrażenie niezwykle przyjaznego. Weszliśmy przez przeszklony taras. Wendy, żona Stanleya, w niebieskim pulowerku, ze starannie uczesanymi siwoblond włosami do ramion, powitała nas wylewnie. Tak naprawdę nazywa się Gwendolyn O'Brien Marsh, ma ukończone trzy fakultety, specjalizuje się w sztuce, historii i prawie. Studiowała w Paryżu. Jest honorowym konsulem Francji. W Amarillo słynie jako niestrudzona działaczka na rzecz poprawy systemu edukacji. Działa w niezliczonych

stowarzyszeniach i fundacjach. Pisze teksty do lokalnej gazety o polityce, edukacji i sprawach społecznych. Okazała się bezpośrednią, spokojną i dystyngowaną panią.

- Może chcielibyście kawałek placka? - rzuciła pytanie i nie czekając na odpowiedź, zwróciła się przemiłym głosem z typowo teksańskim akcentem do otyłej Murzynki krzątającej się po kuchni: - Sandra, pokrój to pyszne ciasto, które przed chwilą wyjęłaś z pieca.

Wendy, nieznacznie gestykułując, opowiedziała, że jej dziadek przeprowadził się tu w 1880 roku. Ranczo nazwał Frying Pan Ranch („Ranczo Patelni”). Jako pierwsze w Teksasie zostało całe ogrodzone drutem kolczastym. Jej rodzina i Marshowie dobrze się znali. Mama Stanleya uczyła malarstwa trzech młodych Marshów i Wendy. Mama Wendy uczyła wszystkich gotowania i ogrodnictwa. Jej rodzice byli republikanami, rodzice Stanleya - demokratami, ale politycznie połączył ich w 1952 roku Eisenhower. Wspominała, jak razem ze Stanleyem jechali na udekorowanych rowerach w paradzie na jego cześć - to była pierwsza rzecz, jaką zrobili razem. Potem, podczas randek wspólnie malowali akwarele. Gdy się pobierali, chcieli mieć dwanaścioro dzieci, ale ponieważ ona nie mogła zająć w ciążę, to adoptowali piątkę.

Wendy oprowadziła mnie po domu. Wszędzie było mnóstwo książek. Na ścianie wisiały zdjęcia z czasów hippisowskich, na żadnym nie mogłam poznać, że Stanley dużo pił. Teraz jest dumnym niepijącym alkoholikiem. Właśnie dlatego Marshowie założyli centrum pomocy uzależnionym w Amarillo. Podarowali też ziemię pod prywatną szkołę uczącą zgodnie z chrześcijańskimi wartościami, ustanowili stypendium dla młodzieży z mniejszości etnicznych, finansowo wspierają wydział farmacji w wyższej szkole medycznej.

Wyszliśmy na zewnątrz, by zobaczyć jedno z wczesnych dzieł Johna Chamberlaina. Bukiet kwiatów z karoserii starego samochodu stał na środku podwórka. Wendy wyjaśniła, że wszyscy artyści zatrzymywali się w ich domu i że to były bardzo wesołe, acz pracowite czasy. Zaśmiała się, wspominając, że miała też swój wkład w sztukę, bo twórcy z Fermi Mrówek chcieli porzucić cadillaki po całym polu. A ona się nie zgodziła, przecież trzeba było wysiać pszenicę.

Gdy się żegnałyśmy, Wendy podała mi dwie książki. Jedną o swoim dziadku, drugą o historii Amarillo. Powiedziała, że Stanley dzwonił i mówił, że na pewno mnie zainteresują.

- Życie ze Stanleyem jest zabawne - stwierdziła. - Lepiej być z kimś wesołym i pomysłowym niż z nudziarzem.

Przy wyjeździe z Toad Hall zauważyłam znak z napisem: „Road does not end”. Przypomniałam sobie słowa Stanleya Marsha 3, że jest zbyt niepoważny, by mieć jakąś filozofię życiową. Ale ma motto. Brzmi ono właśnie tak: „Droga się nie kończy”.

królowe szos

W Amarillo Droga 66 połączyła się z międzystanową autostradą I-40. Wjechałam i od razu poczułam pęd powietrza od gnającej obok ciężarówki. Zanim ja i moje auto zrozumieliśmy, że trzeba zdecydowanie przyspieszyć, wyprzedziły nas kolejne wielkie trucki. Śmigaly tak, że mój samochodzik kołysał się wciągany w wir powietrza wytworzony przez pędzące kolosy. Każda ciężarówka była inna, ale wszystkie piękne, czyste i kolorowe oraz błyszczące chromowymi elementami. Królowe szos, a w nich nowocześni kowboje, którzy prześcigają się w przyozdabianiu swoich wspaniałych maszyn.

Wystawiłam rękę za okno, pomachałam do jednego z truckerów, żeby „dał głos”. Pierwszy nie zauważył, drugi się zaśmiał i pociągnął za sznurek syreny. Chwycił też od razu wiszący przy lusterku mikrofon CB-radia. Inni najwyraźniej odebrali komunikat, bo z ich wielkich maszyn też wydobyło się głębokie „buu, buu”. Przy takim akompaniamencie od razu jechało mi się lepiej po gładkiej jak stół autostradzie.

Trzy ciężarówki zjechały na ogromną stację Petro. Postanowiłam i ja zobaczyć, jak wygląda taki prawdziwy przystanek dla trucków i porozmawiać z kierowcami.

Zaparkowałam z boku olbrzymiego parkingu, który może pomieścić sto pięćdziesiąt ciężarówek. Obserwowałam, jak te potężne maszyny, zgrabnie manewrując, ustawiały się równo, jedna przy drugiej. Z bliska wydały mi się znacznie większe niż na szosie. Ich silniki wyły. Kierowca pomarańczowej ciężarówki wypełniał jakieś formularze. Uśmiechnął się przepraszająco. Nie miał czasu rozmawiać, musiał nadgonić papierkową robotę. Z czarnej ciężarówki wyskoczył gość ubrany pod kolor, czyli cały na czarno. To Ed z Georgii. Oświadczył, że jeździ już trzydzieści pięć lat, pokonuje rocznie około stu tysięcy mil. Na pytanie, czy zna wielu innych kierowców, odpowiedział, że zna tylko kierowców. Całe życie spędza w ciężarówce. Wszystkich oczywiście znać nie sposób. Przedsiębiorstwa transportu drogowego zatrudniają prawie trzy i pół miliona ludzi siedzących za kółkiem. Z niektórymi kumplami Ed spotyka się na trasie regularnie, z innymi - sporadycznie, o każdym wie tyle, ile tamten jest gotów sam powiedzieć.

- Tworzymy rodzinę - stwierdził. - W potrzebie spieszymy sobie z pomocą, ostrzegamy się przed niebezpieczeństwem, przed policją i radarami.

Ed przyznał, że w drodze często rozmawiają przez CB-radio nie tylko o ciężarówkach i dziewczynach, lecz także o życiu. Narzekają na płace, pracodawców, opowiadają dowcipy, polecają sobie nowe albo świeżo odkryte miejsca.

Po drugiej stronie budynku stacji zobaczyłam szereg kolosów podczepionych żółtymi rurami do stalowej konstrukcji, która ciągnęła się przez całą długość parkingu. Akurat podjechała granatowa ciężarówka. Wskoczył z niej mężczyzna w szarym sweterku. Na głowie miał zawiązaną bandankę, a spod niej wysypywały się długie ciemne włosy. Wepchnął żółtą rurę do okna swojej maszyny i wytłumaczył mi, że to *idle air*, urządzenie, które tłoczy do szoferki powietrze z klimatyzatora, a także dostarcza prąd, telewizję i internet. Dzięki temu można wyłączyć silnik, zaoszczędzić paliwo i w ciszy się wyspać.

- Wskakuj, pokażę ci, jak to działa - zaproponował i pierwszy zwinnie pokonał wysokie stopnie. Objuczona torbą z aparatem ledwo się po nich wdrapałam. Raymond Fugar - tak nazywał się mój nowy znajomy - otworzył pokrywę urządzenia wsadzonego przez okno od strony pasażera. Lewa połowa okazała się minikomputerem. Prawa - klimatyzatorem. Raymond przeciągnął specjalną kartę przez czytnik zamontowany na monitorze, wpisał swoje nazwisko i już, wszystko zaczęło działać. Ustawił temperaturę i natychmiast rozległ się szum, a z rury popłynęło powietrze. Dotknął kilku kolejnych ikonek pojawiających się na ekranie i sprawdził pocztę elektroniczną. Wyjaśnił, że opłaty są ściągane z konta jego pracodawcy. To bardzo wygodne, dlatego zawsze stara się zatrzymywać tam, gdzie jest ta usługa. Pokazał mi mapkę, na której widać wszystkie stacje z *idle air* - sto czterdzieści pięć w całych Stanach, a najwięcej w Teksasie.

Po zapoznaniu się z nowoczesną technologią przyszedł czas na zwiedzenie ciężarówki. Raymond tłumaczył się, że jest mała, nie ma prysznica ani kuchenki, mimo to on bardzo ją lubi. Spędza w niej właściwie całą dobę. No, poza tymi krótkimi chwilami, kiedy idzie sprawić sobie kąpiel w publicznej łazience albo coś zjeść w barze.

Raymond ma trzydzieści pięć lat. Urodził się w Kentucky. Nazwał siebie chłopakiem ze wsi, bo kocha zieleni i spokój. Kiedyś próbował mieszkać w mieście, ale wytrzymał zaledwie osiem miesięcy, ponieważ nie mógł znieść ciągłego hałasu, tłoku i sąsiadów z każdej strony.

Pierwszy raz siedział w ciężarówce, gdy miał jedenaście lat. Wujek David dał mu wtedy poprowadzić olbrzyma. Kierowcami trucków oprócz wujka są także ojciec Raymonda i kuzyn, zwany „Juniorem”. Raymond najpierw miał się różnych zawodów. Naprawiał dachy, reperował

podłogi, malował ściany. Potem pracował w warsztacie samochodowym, następnie w różnych sklepach: spożywczych, przemysłowych, w supermarkecie Walmart. W restauracjach zmywał naczynia.

- Mówię ci - ton powagi zabrzmiał w jego głosie - nie ma lepszej pracy niż kierowca ciężarówki. Co noc jestem gdzie indziej, poznaję nowych ludzi. To wspinała robota.

Raymond uśmiechnął się przy tym serdecznie, ukazując liczne braki w uzębieniu, co w obliczu mody na białe, równe zęby powszechnie panującej w USA nie jest często spotykane. Zapytałam, czy nie przeszkadzają mu długie godziny jazdy, oddalenie od rodziny i niskie płace. To są bowiem główne powody rezygnacji z kariery zawodowego kierowcy, zwłaszcza młodych ludzi. Niektórzy po kilku latach zaczynają mieć kłopoty psychiczne, bo nie radzą sobie z samotnością i odpowiedzialnością. Dane z departamentu transportu wskazywały, że do 2014 roku będzie brakować ponad stu tysięcy kierowców. Raymond odpowiedział na to, że wcześniej zarabiał mniej, a pracował więcej. Teraz nie ma żadnych powodów do narzekania. No może poza jednym. Rzadko widuje się z narzeczoną. Ostatni raz spotkali się trzy miesiące temu w Gallup, w Nowym Meksyku. Ale za to codziennie rozmawiają i piszą do siebie e-maile. Dziewczyna nazywa się Cynthia, jest z Kanady i też pracuje jako kierowca ciężarówki. Raymond ma nadzieję, że któregoś dnia będą jeździć razem. Wtedy mogliby zrobić więcej kursów. Na razie musi wywiązać się z kontraktu z pracodawcą, który zapłacił za jego szkolenie i licencję. Raymond przyznał, że dopiero od dwóch lat oficjalnie może prowadzić trucka. Ale któregoś dnia kupi własnego, usamodzielnia się. Wtedy też będzie miał czas na to, aby pojeździć bocznymi drogami.

Marzy mu się też taka przygoda, jak w filmie *Konwój*. Nie, nie chodzi o zatarg z policją. Raczej o przyjemność jechania w grupie. Jechać tak, jak Gumowy Kaczor, pędzić na czele konwoju po autostradzie albo mknąć gdzieś boczną drogą i wzbijać tumany kurzu. Wszyscy wstrzymują oddech, patrzą, a tu ciężarówka za ciężarówką, ale by było super! Ciekawe, czy odtwórca głównej roli, Kris Kristofferson, rzeczywiście sam prowadził trucka na planie.

Po spotkaniu z Raymondem wskoczyłam znów na Drogę 66. Tym razem oprócz silosów zbożowych dostrzegłam też krowy. A gdy po prawej stronie szosy pojawiło się ogromne pole słoneczników, pomyślałam, że szkoda, że Raymond nie widzi tego żółtego, wesołego zjawiska. O chłopaku z granatowej ciężarówki pomyślałam też w Adrian, gdzie znajduje się *midpoint* czyli „środek trasy”. Pod dużą tablicą wskazującą, że Chicago i Los Angeles leżą dokładnie o 1139 mil stąd, zdjęcia robiło sobie troje motocyklistów, w takich samych bandankach jak Raymond.

Po drugiej stronie jezdni wielka strzałka na wysokim słupie kierowała do MidPoint Cafe. Knajpka, działająca nieprzerwanie od 1928 roku, rozśławia tę małą miejscowość, a właściwie farmerską wioskę, w której mieszka tylko sto trzydzieści pięć osób. MidPoint Cafe przez lata zmieniała właścicieli, ale teraz zarządza nią Fran Houser.

Gdy weszłam do restauracji, z głośników dobiegała muzyczka z lat pięćdziesiątych. Zaś Fran - sześćdziesięcioletnia wesółka kobieta, w dżinsach i białej koszulce - krzątała się po kuchni. Na powitanie spytałam, co robi na tym pustkowiu. Zaśmiała się i rzucając hamburgery na rozgrzany blat, powiedziała, że codziennie zadaje sobie to pytanie. Po czym przewróciła mięso na drugą stronę i przygniatała je płaską metalową łopatką. Obok na blacie podgrzewały się przekrojone bułki. Znowu ze śmiechem stwierdziła, że to najprostsze danie na świecie, dlatego jest tak popularne. Nawet ona nauczyła się je robić, gdy w 1985 roku przyjechała tu, do Adrian, ze Wschodniego Wybrzeża.



Połowa Drogi 66 wypada w Adrian w Teksasie.

Usiadłyśmy przy jednym ze stolików. Ja pałaszowałam pysznego hamburgera, a Fran cichym głosem opowiadała.

Zanim tu osiadła, pracowała dla linii lotniczych w obsłudze naziemnej, na lotnisku. A w małżeństwie nie musiała nic umieć i nic robić, bo miała służbę: jedną kobietę do gotowania, drugą do sprzątania. Po rozwodzie wybrała się do Teksasu, bo jej matka jest rodowitą Teksanką. Tu zakochała się w kowboju, który był menadżerem na pobliskim ranczu. Prawdziwa miłość przetrwała tylko sześć lat. Gdy znów się rozwiodła, postanowiła kupić tę restaurację. Chciała ją przerobić na sklepik z antykami, ponieważ widziała siebie w roli osoby, która elegancko wygląda wśród bibelotów, czyta książki i rozmyśla. Tymczasem mieszkańcy Adrian przekonali ją, że musi podtrzymać lokalną tradycję, bo przecież knajpka zawsze tu była. Fran stanęła więc przy kuchni.

- Przez pierwsze dni zakładałam do pracy jedwabne koszule - powiedziała, chichocząc. - Tłuszcz strzelający z gorącego blatu i hamburgerów wszystkie je poplamiał. Nie wiedziałam, ani jak się ubrać, ani jak gotować, ani jak wywabiać plamy - potrząsnęła głową. - Kiedyś przyjechała mama w odwiedzinach. Był straszny tłok. Ludzie czekali już od dłuższego czasu, aby złożyć zamówienie. Mama postanowiła pomóc, podeszła do stolika i powiedziała: „Nie traćcie czasu na czytanie menu, moja córka i tak potrafi zrobić tylko hamburgera”.



Fran Houser smaży hamburgery w MidPoint Cafe. W Teksasie zaczynała budować swoje życie na nowo. Początkowo przeklinała, teraz nie wyjechałaby stąd za żadne skarby świata.

W końcu Fran zamieniła jedwab na bawełnę, a buty na obcasach - na adidas. W smażeniu hamburgerów osiągnęła mistrzostwo. I zaczęła żyć dla siebie samej, cieszyć się każdym dniem, każdym gościem, każdą podaną potrawą. Namówiła też kobietę z sąsiedztwa, Joannę, aby wzbogaciła menu o coś słodkiego. Tak powstało słynne *ugly crust pie* („ciasto z brzydkim brzegiem”). Joana nazwała je *ugly*, bo brzegi nie są takie gładkie jak w fabrycznych ciastach sprzedawanych w sklepach, tylko nierówne, zwykle, domowe. O tym deserze piszą wszystkie przewodniki.

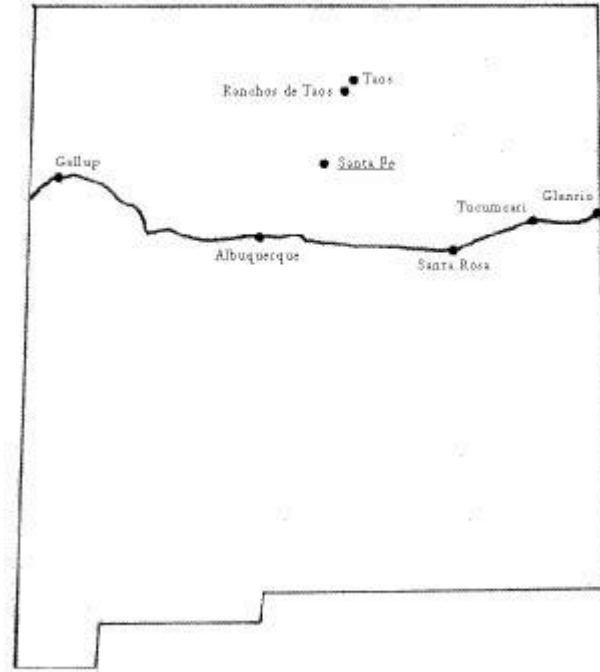
Przez okno zobaczyłam, że kolejna grupa harleyowców parkuje swoje piękne maszyny. Gdy weszli do środka, przywitaliśmy się niemal jak starzy znajomi - to Japończycy, których spotkałam na Ranczu Cadillaców. Zdążyli przez ten czas objechać cały Teksas dookoła. Fran uśmiechnęła się i powiedziała zadowolona:

- Nasze brzydkie ciasto jest słynne na całym świecie!

Kilka minut później rozmowę przerwały nam dwie motocyklistki z Arizony w czarnych skórzanych kurtkach i bandankach na głowach. Kupiły kilka pamiątek i poprosiły o wysłanie paczką. Fran pobiegła pakować rzeczy do kartonu i zapisać adres. Na odchodnym kobiety z twarzami ogorzałymi od słońca i wiatru, poprosiły restauratorkę o autograf. A Fran, pierwowzór

postaci Loli w kreskówce *Auta* (turkusowej limuzyny, która jest właścicielką jedynej knajpki w Chłodnicy Górskiej), ze skromnym uśmiechem złożyła swój podpis na pocztówce. Po czym odwróciła się do mnie i cichutko powiedziała, że już nie może się doczekać drugiej części filmu.

6 Nowy Meksyk



swobodni jeźdźcy

Na granicy Teksasu z Nowym Meksykiem znajduje się Glenrio - *ghost town*, „miasto widmo”. Słyszałam o nim niezwykle opowieści, jakoby ludzie znikali tu w niewyjaśnionych okolicznościach. Podobno co jakiś czas pojawia się nowy wrak samochodu hen, gdzieś na środku pola. Zjechałam z autostrady, aby się sama przekonać. Trafiłam na asfaltową ścieżkę, wokół której rosły dzikie krzaki. Początkowo asfalt był szeroki, miał wymalowane pasy, ale kilkaset metrów później się zwężył. Niedaleko szosy stał porzucony zardzewiały pikap, na pewno pamiętający czasy burz pyłowych i wielkiej migracji na zachód. Między zaroślami a drzewami stały pojedyncze drewniane domki, a właściwie ruiny zabudowań, które przed laty stanowiły o świetności tego miejsca.

Glenrio było miejscowością niezwykłą, bo leżało w dwóch stanach. Na początku XX wieku działały tu po teksańskiej stronie dworzec kolejowy, poczta i stacja benzynowa, a w należącej do Nowego Meksyku części mieściły się hotel, sklep i bar. Glenrio publikowało nawet własną gazetę, choć nigdy liczba stałych mieszkańców nie przekroczyła trzydziestu osób. Największy tłok zanotowano jesienią 1939 roku. Wtedy przez trzy tygodnie kręcono tu zdjęcia do filmu *Grona gniewu*. Reżyser, aktorzy i statyści wprowadzili zrozumiałą ekscytację w życie tej osady i na długo pozostawili wspomnienia.



Zepsute auto łatwiej było porzucić niż naprawić w tak małej osadzie jak Glenrio na granicy Teksasu i Nowego Meksyku.

Gdy szybka autostrada zaczęła przebiegać tuż obok, podróżni przestali się zatrzymywać w Glenrio. Podobno w 1985 roku mieszkali tu tylko dwie osoby, ale wciąż była czynna poczta. Dziś całe miasteczko objęły w posiadanie owady i rozpleniające się chwasty. Droga 66 jeszcze całkiem nie porosła trawą, ale widać, że rzadko tu się ktokolwiek zapuszcza.

Asfalt kończył się na wzgórzu. Dalej, w głąb Nowego Meksyku, wiodła piaszczysta, czerwona droga. Wypatrywałam osady Endee, dziś wymarłej i opuszczonej, ale sto trzydzieści lat temu słynącej z sobotnich spotkań krewkich pastuchów bydła. Jak głoszą legendy, zabawy były tak ostre, że każdej niedzieli na łąkach za miasteczkiem chowano tych, którzy nie mieli szczęścia ani w kartach, ani w pojedynkach.



Dalej już tylko szutrowa ścieżka. Droga 66 kończy się w Glenrio. Przez Nowy Meksyk prowadzi przez wiele mil autostrada numer 40.

Ze wzgórza widziałam jednak tylko ogromne łąki, poprzecinane drutem kolczastym. W oddali po autostradzie mknęły ciężarówki. Przy jedynej odchodzącej od Drogi 66 piaszczystej ścieżce stał żółty znak „dead end”, czyli to droga bez wyjazdu. Znak, przestrelony w kilku miejscach, zdawał się ostrzegać przybyszów, żeby nie zapuszczali się tam, dokąd ich nikt nie zapraszał. Jakoś dziwnie się poczułam i rozejrzałam nerwowo. Panowała zupełna cisza. Nawet ptaki nie śpiewały. Tylko czasem słychać było szelest zeschniętej trawy poruszanej przez ciepły wiatr, a może przez jaszczurki.

Na autostradzie I-40 wrzuciłam do samochodowego odtwarzacza płytę z utworami z najwspanialszych westernów, kupioną w Amarillo. Jeszcze nie wiedziałam, że przez następne dni muzyka Morriconego, Bernsteina i Tiomkina będzie wciąż rozbrzmiewać w mojej głowie i z westernowymi standardami będą mi się kojarzyć kolejne odwiedzane miejsca. Przy żwawych dźwiękach z filmu *Siedmiu wspaniałych* odruchowo spojrzałam, czy wzdłuż szosy nie pędzą jacyś konni jeźdźcy. Zza deski rozdzielczej mojego auta widać było tylko rozległą przestrzeń prairii, porośniętą trawami spalonymi słońcem. Ciężarówki sunęły jedna za drugą. Kierowcy spieszący się na zachód na pewno nie mieli nawet czasu, by pomyśleć, że to tu kiedyś wypasały się ogromne stada bizonów. I że to tu na łowy wyprawiali się wojownicy plemienia Komanczów.



Na autostradzie 40 ruch nieprzerwany w dzień i w nocy.

Hen, daleko, błyskawica przecięła intensywnie niebieskie niebo. Kilka białych obłoczków płynęło razem ze mną. W popołudniowym słońcu trawy były bardziej żółte. Pojawiły się zarysy oddalonych wzniesień. Szosa biegła prosto do horyzontu, jak równiutka kreska narysowana przy linijce, omijała osady i miasteczka, o istnieniu których przypominały z rzadka ustawione drogowskazy. Ich nazwy uświadamiały przejeżdżającym, że pierwsi byli tu hiszpańscy konkwistadorzy, a dopiero długi czas po nich pojawili się amerykańscy myśliwi, poszukiwacze skarbów, zbójcy i w końcu osadnicy. Nowy Meksyk do Unii został przyjęty jako jeden z ostatnich stanów, bo czterdziesty siódmy (tuż przed Arizoną, w 1912 roku, potem były już tylko Hawaje i Alaska). Pod względem wielkości jest piątym stanem (po Alasce, Teksasie, Kalifornii i Montanie), ale jeśli chodzi o historię, kulturę i kolory nieba - nie ma sobie równych. W końcu nie na darmo nosi przydomek Land of Enchantment („Kraina Oczarowania”). Ciekawe, czym tym razem mnie oczaruje stan wielkości Polski, a zamieszkanym przez zaledwie dwa miliony ludzi? - pomyślałam.

Pierwsze zamieszkane miasteczko w Nowym Meksyku - Tucumcari - przywitało mnie ogromnym brązowym napisem na turkusowym tle: „Oto jesteśmy na Drodze 66”. Neon umieszczono na wysokim słupie. Po obu stronach szosy stały parterowe budynki moteli, zupełnie jakby ten odcinek trasy był turystyczną sypialnią. Potem się dowiedziałam, że rzeczywiście, małe Tucumcari w latach pięćdziesiątych XX wieku szczyliło się aż dwoma tysiącami miejsc noclegowych. Teraz jednak wiele moteli wyglądało na podupadłe, zniszczone i nieczynne. Puste baseny, wyschnięta trawa i obłaząca z budynków farba nie zachęcały nawet do krótkiego postoju. W tym motelowym szeregu wyróżniał się Blue Swallow („Niebieska Jaskółka”). Płaski, parterowy budynek w kształcie odwróconego U mieścił nie tylko pokoje, lecz także garaże dla

samochodów. Recepcja znajdowała się w małym domu stojącym pośrodku. Motel pomalowany na jaskrawo niebiesko odcinał się od tła, jakie stanowiło przejmująco granatowe niebo. Całości obrazu dopełniał świecący niebiesko-żółto-biało-zielono-czerwonym światłem neon z jaskółką. Wielobarwne jarzeniówki wskazywały drogę do pokoi, a przed każdym z nich stały drewniane fotele bujane, też niebieski.

W recepcji wesoły mężczyzna o okrągłej twarzy - Bill - zaproponował, że pokaże pokój i energicznie wcisnął mi w rękę książkę pamiątkową, mówiąc: „Zobacz, przeczytaj, jeśli ci się spodoba, co napisali inni - zostań”. W książce zauważyłam wpisy w różnych językach, a tymczasem Bill już w pokoju numer trzy pokazywał mi, że tu mogę wytrzeć się prawdziwie grubym, mięsistym ręcznikiem „made in USA”, a nie cienką chińską ściereczką, jak w innych motelach. Potem przyznał, że takiego sposobu zachęcania klientów nauczył się w dzieciństwie, bo dużo podróżował z rodzicami, wiedział więc, co robi dobre wrażenie. Powiedział też, że gdy kilka lat wcześniej usłyszał o wystawieniu na sprzedaż tego motelu, zbudowanego w 1939 roku, znajdującego się na liście obiektów zabytkowych, to aż podskoczył z radości. Już wiele lat zajmuje się odbudowywaniem i renowacją starych budynków, ale tu postanowił zostać dłużej. Dlaczego? Bo to piękne miejsce i świetny pomysł na biznes. Bill uświadomił mi, że, podobnie jak on, na emeryturę zaczyna właśnie przechodzić cały *baby boom* - wyż demograficzny z drugiej połowy lat czterdziestych. Aż siedemdziesiąt trzy miliony osób zaczęło nabywać prawa emerytalne po ukończeniu sześćdziesiątego trzeciego roku życia.

- Sto tysięcy ludzi dziennie przechodzi na emeryturę - tłumaczył mi Bill.

A wiadomo, emeryci mają wreszcie czas dla siebie i pieniądze, które mogą wydać. Większość z nich zacznie znowu podróżować. Będą chcieli odwiedzić miejsca, które pamiętają z młodości. Dlatego Bill wyremontował Niebieską Jaskółkę bardzo starannie, a zapaleniu odnowionego zabytkowego neonu towarzyszyło duże zainteresowanie mediów. Motel wyróżnia się też ceną.

- Moje pokoje są po sześćdziesiąt sześć dolarów i rzadko kiedy zostają mi wolne - oświadczył. Konkurencyjne motele przez lata oferowały pokoje za grosze, po dziewiętnaście dolarów, i nie miały gości.

Bill powiedział, że z boku recepcji znajdę lodówkę i żebym wzięła sobie z niej piwo, jeśli mam ochotę. Koło lodówki stały stół i kilka turystycznych foteli. To było miejsce, gdzie Bill robi barbecue, czyli amerykańskiego grilla. Turyści lubią siadać tu wieczorami, rozmawiać, popijać

browar. Każdy poczęstowany odkupuje potem piwo sprzedawane w sześciopakach w pobliskim sklepiku, dlatego zawsze jest dużo pełnych butelek.

Naszą rozmowę przerwał huk motorów. Podjechało kilka harleyów. Bill pobiegł, aby się przywitać. To grupa z Norwegii. Przybysze wyglądali na czterdziestolatków. Wszyscy mieli na kaskach naklejone amerykańskie flagi. Dwaj członkowie grupy, jadący na zgrabnych chopperach („odchudzonych”, przerobionych harleyach) o wysuniętym przodzie, wąskich zbiornikach, z długimi widelcami, mieli dodatkowo naklejki z flagą na kurtkach i na bakach motocykli. Wyglądali jak bohaterowie filmu *Swobodny jeździec* z 1969 roku: Wyatt, czyli „Kapitan Ameryka”, grany przez Petera Fondę, i Billy, którego zagrał reżyser filmu Dennis Hopper, przemierzający Amerykę na motocyklach Harleya-Davidsona. Przybysze byli może trochę tępsi od Petera Fondy, ale im to najwyraźniej nie przeszkadzało. Głowy mieli dumnie uniesione, dłonie trzymali wysoko na kierownicach. Dostojnie zrobili jeszcze jedno kółko wokół motelu. Potem przyznali, że to ich ukochany film i że jadą zygzakiem przez Taos na Zachodnie Wybrzeże. Niebieskoocy potężni blondyni cieszyli się jak dzieci, gdy opowiadali mi, że do podróży, która jest wyprawą ich życia, przygotowywali się, oglądając po raz n-ty *Easy Ridera*. Motocykle wypożyczyli w Chicago, ale większość z uczestników tej wyprawy ma własne u siebie w kraju. W końcu, nawet nie zdejmując skórzanych kurtek, sięgnęli po piwo do lodówki, mile zaskoczeni gościnnością Billa.

Chwilę później podjechały dwa kolejne motory, a na nich dwa małżeństwa z Tucson w Arizonie. Wracaly właśnie do domu z Milwaukee, ze zjazdu motocykli Harleya-Davidsona, organizowanego co roku w rocznicę powstania firmy. Kobiety weszły do recepcji, a ich mężowie dołączyli do nas, usiedli przy lodówce i zaczęli opowiadać o wydarzeniu, na które zjechało ponad sto tysięcy motorów. Norwegowie słuchali z otwartymi ustami, wyraźnie zazdroszcząc tego doświadczenia.

Potem wszyscy z zapalem rozmawiali o harleyach, prowokowani moimi pytaniami.

- To nie są zwykłe motocykle - dowodzili, przekrzykując się. Legendarna marka powstała w 1903 roku, gdy czterech dzentelmenów: William, Walter i Arthur Davidsonowie oraz William Harley, zbudowało w Milwaukee pierwszą maszynę jednocylindrową o pojemności silnika czterysta dziesięć centymetrów sześciennych. Bracia Davidsonowie wraz z przyjacielem Harleyem doskonalili potem swoją maszynę, która zdobywała coraz więcej uznania wśród motocyklistów. Modelami Harleya-Davidsona interesowała się też armia. I to zarówno w czasie

pierwszej, jak i drugiej wojny światowej. Wersja wojskowa miała silniki osłaniane od spodu pancerną płytą, a tylne sakwy przerobiono na kanciaste, by mogły przewozić radiostację. Na harleyach jeździli Elvis Presley, Jimi Hendrix, a nawet Brigitte Bardot.

Rozemocjonowani mężczyźni mówili o swoich ukochanych maszynach z czułością i szacunkiem. W końcu jednomyślnie uznali, że dostojna, niespieszna jazda na motocyklach jest po prostu rozkoszą. Amerykanie twierdzili, że pęd powietrza daje im poczucie wolności. Tylko jadąc na motocyklu, czują, że żyją, bo wszystko jest takie namacalne, wszystko naprawdę pachnie. Norwegowie zazdrościli im przestrzeni i pogody. Jasne, trudno jeździć motocyklem w padającym śniegu i skandynawskim mrozie. Wyobrażałam sobie, jak po powrocie z podróży ci harleyowcy przekształcają się w pracowników korporacji lub urzędników. Jak inaczej wyglądają i zachowują się bez skórzanych strojów oraz kasków.

Jeden z motocyklistów z Arizony, facet koło pięćdziesiątki z dużym brzuchem, poklepał mnie po plecach, mówiąc, że jak sama kiedyś zacznę jeździć na motocyklu i wsiądę na harleya, to zrozumie, o czym oni teraz mówią. Pokiwałam głową, myśląc, że rzeczywiście muszę wreszcie zrobić prawo jazdy na motor.

Zmierchało już, gdy pojawił się przed motelem jeszcze jeden samotny jeździec. Wysoki, szczupły facet, ubrany cały na czarno, parkując motocykl, pieszczotliwie musnął niklowaną kierownicę. W głowie rozbrzmiała mi muzyka z filmu *Dobry, zły i brzydki*. Mężczyzna zdjął kask, na jego twarzy ukazał się kilkudniowy zarost. Facet wyglądał zupełnie jak Clint Eastwood. Kask postawił na mocno wytartym skórzanym siedzeniu. Bąknął coś do nas na powitanie i zniknął za drzwiami motelowej recepcji. Chwilę później przyłączył się do całej grupy, wziął piwo i przysłuchiwał się dyskusjom o magicznych miejscach i najbardziej niezwykłych maszynach, jakie kiedykolwiek widzieli rozmówcy. W końcu, pocierając ręką o brodę, mruknął, że nie wyobraża sobie, że można nie jeździć. On cały czas jeździ. Bo jazda to wolność.

Na te słowa pioruny rozbłysły na szafirowym niebie, rozświetlając je niezwykłymi kształtami. Rozgoniła nas burza.

Nazajutrz nie było śladu po deszczu. I po harleyowcach - o świcie pomknęli w drogę. Błękitne niebo odcinało się od dachów budynków, na których dostrzegłam wielkie malowidła z samochodami, czaszkami bawołów i oczywiście szosą. Tucumcari chwali się rekordową liczbą murali upamiętniających Drogę 66. Ponad trzydzieści kolorowych scen ozdobi ściany biur, sklepów i moteli. Nie brakuje też nowoczesnych akcentów - wielkie stalowe cyfry i litery

umieszczone na cokole, jakby dla czołgu, wyraźnie wskazują podróżnym kierunek: Route 66 na zachód.

Minęłam dróżkę prowadzącą na południe do maleńkiej osady Puerto de Luna. Tam rewolwerowiec Billy the Kid w Boże Narodzenie w 1880 roku zjadł ostatnią kolację wigilijną u swojego przyjaciela, polskiego imigranta Alexandra Grzelachowskiego. Pół roku później zginął nieopodal, w Fort Sumner, zastrzelony przez dawnego druha - szeryfa Pata Garretta.

Kolejna boczna szosa prowadziła na południe do słynnego Roswell (gdzie w 1947 roku rozbiło się UFO, co potwierdzają lokalne muzeum oraz wizerunki Marsjan na wszystkich wystawach sklepowych) i dalej aż do granicy z Meksykiem, do krainy papryczek chili. Na wspomnienie enchilad i tacos, jakie jadłam w Hatch, światowej stolicy chili (tam są największe na świecie uprawy ostrych papryczek), aż pociekła mi ślinka. Ale też z rozbawieniem przypomniałam sobie, jak nie wiedziałam, co odpowiedzieć na pytanie usłyszane pierwszy raz w Nowym Meksyku: „Czerwone czy zielone?”. Chodziło oczywiście o papryczki, z których jest przygotowywany sos do potraw. Czerwone są ostrzejsze, zielone - łagodniejsze. Czerwone je się wysuszone i starte na proszek, w zielonych czuć miąższ. Sosy podaje się do wszystkich potraw lokalnej kuchni, uznawanych przez wielu znawców za najlepszą w USA.

Rozmyślania o smaku ostrych sosów wywołały burczenie w moim brzuchu, więc zatrzymałam się w przydrożnej knajpce - klasycznym dinerze. Omlet z zielonymi papryczkami chili i *huevos rancheros* (jajka sadzone na tortilli z pomidorami i chili) przegrały z serową enchiladą obficie polaną gęstym sosem z czerwonych chili. Danie było doskonałe. Czego nie można powiedzieć o kawie, dolewanej mi co chwilę do kubeczka przez właścicielkę, kucharkę i kelnerkę w jednej osobie. Ale cóż, dobrą kawę mogę pić wszędzie, a takiego dania nie zjem nigdzie poza Nowym Meksykiem.



Route 66 Cafe w Santa Rosa. I tu, jak przystało na Nowy Meksyk, zamawiając danie, usłyszymy pytanie „Czerwone czy zielone?”. Papryczki chili, bo o nie chodzi, są stanowym dobrem kulinarnym i kulturowym.

Przy wjeździe do Santa Rosa żółty ford kabriolet, umieszczony na wysokim i szerokim słupie, zachęcał do odwiedzenia muzeum motoryzacji. Jedynym zwiedzającym tego poranka, oprócz mnie, był rostry, chudy jak szczapa mężczyzna w firmowej koszulce Harleya-Davidsona bez rękawków. Podziwiał stare, klasyczne samochody razem z trójką małych dzieci. Był zarośnięty i wytatuowany, bejsbolówkę miał niedbale nasuniętą na głowę, w zębach obracał zapalną. Nieco zachrypniętym głosem, przez zaciśnięte usta powiedział mi, że po raz pierwszy zabrał kilkuletnie dzieciaki w podróż Drogą 66. Jadą na czterech kółkach, bo syn i dwie córki jeszcze są za mali na motocykl. Poklepał latorośle po głowach i odszedł, wskazując im pomarańczowy samochód wyścigowy Chevroleta z 1955 roku, z silnikiem o mocy czterystu koni mechanicznych. Dzieciaki, śliczne rudzielce, trochę nie dowierzały, że taki staruszek mógł być postrachem szos. Podziwiałały za to furgonetkę z hydraulicznie obniżanym podwoziem, tak że prawie dotykała podłogi. Zaglądały przez otwarte okna limuzyn Lincolna i Oldsmobila i pytały, do czego służą drążki oraz przyciski. Wpatrzone w ojca chłoneły każde jego słowo, gdy pokazywał starego forda model T, jakim na zachód jechało wielu Oklaków. Mężczyzna cierpliwie tłumaczył im, jak rozwijała się motoryzacja. Potem, przechodząc obok mnie, puścił oczko i powiedział cicho:

- Widzisz, połknęły bakcyła. Na razie są za małe, byśmy mogli się razem wybrać do Taos, za daleko i droga zbyt kręta, ale za kilka lat, kto wie? Wtedy dowiedzą się, jak kiedyś żył ich tatuś, i przekonają, że jazda motocyklem jest najwspanialszym uczuciem na świecie i nigdy się nie nudzi.

Gdy wyszli z muzeum, postanowiłam, że zanim pojedę Drogą 66 do Santa Fe, muszę zobaczyć Taos.



W muzeum samochodów w Santa Rosa dzieciaki z wypiekami na buziach oglądają stare auta. Tatusiowie też nie kryją emocji. Muzeum założył James „Bozo” Cordova, który wychował się przy Drodze 66. Najpierw zbierał modele samochodów, potem otworzył warsztat. Teraz kolekcjonuje auta, ale także je odnawia i sprzedaje.

Boczna szosa na północ, zawiodła mnie w góry, najpierw do Las Vegas, małej miejscowości niemającej nic wspólnego ze słynną jaskinią hazardu, a potem na północny wschód zakrętami wśród wysokich drzew, do Taos. Przed miastem witały przybyszów indiańskie tipi, które zachęcały do wstąpienia do ogromnego sklepu z lokalnymi produktami. Wśród nich wypatrzyłam wiązki suszonej białej szałwi, która jest świętym ziołem Indian, używanym jako kadzidło podczas uroczystości religijnych, mającym także moc uzdrawiającą. Wzmocniona jej zapachem zobaczyłam w oddali ośnieżone szczyty gór. Bliżej centrum tego pięcioletniego miasteczka pojawiły się małe, parterowe domy z cegły adobe. To glina wymieszana ze słomą, suszona na słońcu. Całą konstrukcję pokrywa się potem szczelnie grubą warstwą gliny. Dlatego budynki wyglądają jak ulepione i mają lekko pomarańczowy kolor. Intensywnie niebieskie okiennice i drzwi dodają im uroku. Na niewielkim rynku Taos przysiadły różne sklepiki i galeryjki.

Mimo słońca powietrze było rześkie. Ludzie przechadzali się niespiesznie. W małej, miniaturowej wręcz knajpeczce serwującej tylko mocną kawę espresso długowłosa, szczupła dziewczyna za ladą powiedziała mi, że do Taos nie przyjeżdża „masowy turysta”, nie docierają tu autokary z grupami ani amerykańskimi, ani zagranicznymi - za daleko od głównych tras przelotowych, nie ma autostrady. I właśnie dzięki temu jest tu spokój. Nie ma pośpiechu. Panuje swobodna, niewymuszona atmosfera. Ona sama - mówiła chętnie i szybko - przyjechała do Taos kilka lat wcześniej i zakochała się w tym miejscu. W wolnych chwilach maluje, jak wielu innych tutaj. Przecież w mieście działa od 1898 roku Kolonia Artystów. Bywali tu często Georgia

O'Keeffe i Ansel Adams. Wciąż jest w Taos więcej malarzy, pisarzy i innych twórców niż „zwykłych” ludzi. „Bo gdzie znajdują takie piękne góry i widoki oraz tak świetny klimat?” - pytała dziewczyna i dalej opowiadała, nie czekając na moją reakcję. Tylko tu jest niesamowity, wyglądający jak twierdza, kościół Świętego Franciszka z Asyżu, który malowali wszyscy przyjeżdżający do Taos malarze („Najczęściej uwieczniany przez artystów gmach w USA”). I wspaniała rzeka Rio Grande, nad którą właśnie tu został przerzucony jeden z najwyższych mostów w Stanach („Na nim Oliver Stone kręcił scenę ślubu bohaterów kultowego filmu *Urodzeni mordercy*, widziałaś!?”). I wreszcie największy zabytek, Pueblo Indian Taos, koło którego działała w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych komuna hippisowska („Cel pielgrzymek harleyowców”).

Dziewczyna z kawiarni nie powiedziała tylko, że w Taos nadal jest sporo hippisów, mimo że komuna w New Buffalo, założona w 1967 roku, ta, którą pokazał Dennis Hopper w *Swobodnym jeźdźcu*, już nie istnieje. Ale wciąż wielu ludzi poszukujących wolności pozostało w mieście. A w New Buffalo działa centrum, w którym uprawia się organiczną żywność i przybysze mogą się nauczyć, jak zbudować lepiankę i jak żyć zgodnie z prawami natury. Hopper zresztą mieszkał na stałe w posiadłości w pobliżu Taos. Domy mają w okolicy Julia Roberts oraz Val Kilmer. I wiele innych sławnych osób, które chronią się tu przed paparazzimi.

Taos Pueblo leży kilka mil za miastem. Indiańska wioska jest otoczona drzewami. Pośrodku niej wartkim nurtem płynie rzeka. Patrzyłam z podziwem na duży kompleks budynków, a raczej wielopiętrowy labirynt pomieszczeń, liczący sobie ponad tysiąc lat. Ściany z gliny i słomy zapewne dają chłód nawet w najbardziej upalne dni. Nieliczne małe okna nie wpuszczają światła w lecie i mrozu w zimie. Idealne warunki. I bezpiecznie, bo dostęp na wyższe kondygnacje umożliwiają tylko nieliczne drabiny. Jak bardzo musieli się dziwić w 1540 roku pierwsi hiszpańscy podróżnicy, którzy tu dotarli i zobaczyli, że „prymitywni” Indianie budują wielokondygnacyjne domy i potrafią dobrze zorganizować sobie życie w miasteczku?

Lokalna przewodniczka uświadomiła mi, że Taos Pueblo znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO i jest niemal najstarszym zamieszkanym budynkiem na półkuli zachodniej (zbudowanym około 1000 roku naszej ery). Większość Indian Taos (prawie dwa tysiące osób) żyje w rezerwacie na terenach wokół Pueblo, ale wciąż w zabytkowym gmachu, w którym nie ma kanalizacji, wody ani prądu, mieszka blisko sto pięćdziesiąt osób.

Wiele mieszkań zostało przekształconych w sklepiki. Indiańscy artyści sprzedają w nich swoje rzeźby, obrazy i biżuterię. W niektórych można nawet płacić kartą. Prąd wytwarzają generatory.

Indianie Taos wiedzą, że Pueblo jest jedną z największych atrakcji w okolicy, dlatego stawiają warunki. Oprócz biletu za wstęp musiałam zapłacić za możliwość robienia zdjęć. Fotografować wolno tylko tych ludzi, którzy się zgodzą. Ale oczywiście zazwyczaj nikt się nie zgadza. Indianie wierzą bowiem, że zdjęcie więzi ducha sfotografowanej osoby.

Zamiast skupiać się na polowaniu na ujęcia, usiadłam więc nad rzeką. Tuż przy jej brzegu dwa kudłate duże kundły wygrzewały się w słońcu. Trzeci, mniejszy, krążył wokół pieców chlebowych - dużych glinianych stożków, często używanych, bo czarnych od dymu przy niewielkich otworach. Rozkoszowałam się doskonałą dla mnie temperaturą w okolicach dwudziestu-dwudziestu pięciu stopni Celsjusza, którą Taos zawdzięcza wysokości na jakiej leży - 2118 metrów nad poziomem morza. Patrzyłam na leżącą nieopodal górę Sangre de Cristo (Krew Chrystusa), uznawaną przez Indian za świętą. W środku lata jej wierzchołek był pokryty śniegiem. Tymczasem psy zainteresowały się okruchami indiańskiego chleba, który jadłam. Z pokorą łapały resztki przysmaku, by potem spokojnie położyć się i czekać na nowych przybyszów.

Indiański „apartamentowiec” w słońcu był wyraźnie pomarańczowy, a wioskowy kościół wyglądał dokładnie tak, jak na fotografiach Ansel Adamsa z lat czterdziestych XX wieku.

Minęli mnie dwaj motocykliści w czarnych skórkach. Pod słońce nie mogłam dostrzec twarzy, ale usłyszałam, jak jeden z nich zauważył: „Stary, to naprawdę tu «Kapitan Ameryka» przejeżdżał na harleyu!”, a drugi rozmarzonym głosem skonstatował: „Warto było jechać taki kawał, żeby dać się ogarnąć temu uczuciu doskonałości i nieskończonego piękna natury”. Aż gwizdnęłam z wrażenia, że obcy przechodzień tak dokładnie podzielał moje odczucia.



Taos Pueblo, najstarszy na półkuli zachodniej apartamentowiec, znajduje się na liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Mekka hippisów i artystów. Pokazany w filmie *Swobodny jeździec*.

„matka sztuki amerykańskiej”

Wyjeżdżając z Taos, zatrzymałam się w miejscowości Ranchos de Taos, przed słynnym kościołem misyjnym Świętego Franciszka z Asyżu, tym masowo uwiecznianym przez fotografów i artystów. Patrzyłam na wielką bryłę i musiałam przyznać rację Anselowi Adamsowi, który dziewięćdziesiąt lat temu powiedział, że to jeden ze wspaniałych architektonicznych pomników Ameryki. Nie jest duży, ale wydaje się ogromny, dzięki grubym murom z cegły adobe, gładko „otynkowanym” rdzawą gliną. Zbudowany na przełomie XVIII i XIX wieku pełnił funkcje obronne. Dlatego ma tylko trzy niewielkie okna - jedno nad wejściem, dwa po bokach. Wnętrze białe, surowe, czyste, spokojne. Białe framugi, białe drzwi i białe drewniane krzyże. Przy wejściu do kościoła wznoszą się dwie wieże. Wokół wybuchają żywa zieleń drzew i krzewów oraz czerwień i biel kwiatów, starannie podlewanych przez ogrodnika. No i to niebo, tak bardzo niebieskie. Całość zamyka szeroka i gruba brama z gliny, od której biegnie mur łączący się ze ścianami bocznymi kościoła. Miałam wrażenie, że misja Świętego Franciszka z Asyżu jest oazą na pustyni.

W 1929 roku Ansel Adams sfotografował świątynię od tyłu. W tym samym roku, też od tyłu namalowała ją Georgia O’Keeffe. Właściwie na jej obrazie widać tylko fragment muru. Patrzyłam teraz na tę gołą, lekko pomarańczową ścianę kościoła i myślałam o panującej tu ciszy, o trudzie życia, jakie wiodły tu kolejne pokolenia, o oślepiającej intensywności światła, o barwach, jakich nigdzie indziej nie widziałam.



Kościół św. Franciszka z Asyżu w Taos jest najczęściej uwiecznianym przez artystów budynkiem w Ameryce.

Obraz ten towarzyszył mi jeszcze długo, gdy jechałam na południowy zachód. Wąska droga wiodła wzdłuż Rio Grande. Wspaniała rzeka biegła najpierw w głębokim wąwozie

bazaltowych, wulkanicznych skał. Potem gołe urwiste zbocza ustępowały miejsca łagodniejszym i zadrzewionym pagórkom. Rzeką płynęło kilka pontonów. Kolorowo ubrani śmiałkowie w kaskach na głowach wcale nie mieli rozradowanych twarzy, raczej poważne i skupione. Patrzyłam na nich przez teleobiektyw mojego aparatu. Dzielnie walczyli z falami i nurtem. Muzyka z westernu *Rio Bravo* (tak Meksykanie nazywają Rio Grande) grała w moim aucie bez ustanku. Rwąca i mętna, brązowa toń nie przypominała tu w niczym spokojnej, leniwej wody przy granicy z Meksykiem w Teksasie, którą można by przebyć wplaw. Rzeka skręciła wreszcie zdecydowanie na południe. A ja skierowałam się na północny zachód do krainy Georgii O’Keeffe.

Stałam na poboczu szosy biegnącej do Abiquiú w milczeniu, zachwycając się intensywnością barw rdzawo-różowych skał, soczystą zielenią krzewów i niebieskością nieba. Horyzont roztopiał się w rażącym słońcu. Szosa wiła się jak zaskroniec, znikając pośród gór. Dziwne, ale upał wcale nie dawał się we znaki. Może to dzięki położeniu wysoko w górach, a może dzięki licznym rzeczkom i strumykom, dającym ochłodę i pozwalającym roślinności tak bujnie się rozwijać.

Pomarańczowe skały wyrastające nad drogą miały niezwykle kształty, jakby tęgie kobiety stały blizutko jedna obok drugiej. Kawałek dalej bardziej rdzawe kamienie układały się w łapy wielkiego smoka. Po drugiej stronie szosy za jeziorem Abiquiú wypiętrzało się wąskie płaskowzgórze Cerro Pedernal. To na tę górę patrzyła Georgia O’Keeffe, mieszkając w Ghost Ranch („Ranczu Duchów”), liczącym prawie dziewięćdziesiąt kilometrów kwadratowych. To tu jeździła najpierw konno, a potem specjalnie przystosowanym dla niej fordem model A (z powiększonymi szybami), tu szukała wysuszonych, zbielałych czaszek koni, krów, baranów i wołów. Tu podziwiała wschody i zachody słońca i całymi dniami malowała.

Samo Abiquiú okazało się małą osadą. Przy szosie najpierw elegancki *inn* („zajazd”), oczywiście z pomarańczowej gliny i słomy, potem maleńka poczta i stacja benzynowa z jedynym sklepikiem, pełniącym też funkcję restauracji. Na wzgórzu gliniany kościółek, białe drewniane krzyże, kilka domów z adobe. I takiej samej konstrukcji posiadłość Georgii O’Keeffe, która teraz należy do fundacji jej imienia. Dom słynnej malarki jest otwierany dla turystów jedynie w lecie na cztery godziny dziennie. A zwiedzać można tylko z przewodnikiem i wyłącznie po uprzednim zarezerwowaniu miejsca (kolejka na mniej więcej miesiąc i nikogo cena pięćdziesięciu dolarów

nie odstrasza). Miałam szczęście, że akurat ktoś odwołał rezerwację i dostałam się do wnętrza budynku.

Miła, choć nie wylewna przewodniczka uświadomiła mi, że Georgia O'Keeffe, nazywana „matką sztuki amerykańskiej”, trafiła do Nowego Meksyku właściwie przez przypadek. W czasie gdy była nauczycielką malarstwa w Amarillo, w Teksasie (1912-1914), jechała pociągiem do Colorado. Pociąg miał dwudniowy postój w Santa Fe. Obowiązkowy przystanek zaowocował zauroczeniem. Wtedy postanowiła, że będzie przyjeżdżać w te okolice. I tak rzeczywiście było. Z Santa Fe wyruszyła do Taos, a potem dotarła w pobliże Abiquiú. I co roku spędzała tu kilka miesięcy. Najpierw wynajmowała dom w Ghost Ranch, a potem, w 1945 roku kupiła tę posesję. Alfred Stieglitz, genialny artysta fotografik, którego była żoną, nigdy podczas ich długoletniego małżeństwa nie odwiedził Nowego Meksyku. Po śmierci Stieglitza (1946) malarka przeniosła się tu na stałe.

Chodziłam po liczącej prawie pięćset metrów kwadratowych posiadłości, podziwiając jej prostotę i funkcjonalność. Georgia O'Keeffe przez trzynaście lat starała się kupić tę nieruchomość. Następne cztery lata trwał remont, który sama nadzorowała w każdym szczególe. Malowała drzwi do kolejnych pomieszczeń na niebiesko i pilnowała, aby okna wychodzące na skarpe nad szosą były bardzo duże. Pozwalały obserwować okolicę i malować bez wychodzenia z domu.

Na jednym z obrazów zobaczyłam ciemny zygzak na jasnym tle. Przewodniczka oprowadzająca naszą grupkę pomachała ręką, bym podeszła do okna. Za szybą ujrzałam dokładnie ten sam zygzak. To szosa wijąca się wśród pagórków. Słońce wypalało kolory z czerwonych skał i tło było dokładnie tak samo białe, wyjałowione, jak na obrazie.

- Tak, tak, dopiero tu można zrozumieć obrazy Georgii O'Keeffe - powiedziała szeptem przewodniczka, która najwyraźniej przyzwyczała się do widoku zszokowanych, zadziwionych, rozanielonych twarzy zwiedzających.

Czułam, że z każdego zakątka tego domu płynie do mnie niesamowita energia. I piękno. I zarazem przekaz tak prosty. Już wiedziałam, dlaczego wracając z podróży po Ameryce lub po świecie, Georgia O'Keeffe mówiła, że żyć tu - to właśnie jest szczęście. Gdy umarła w 1986 roku, mając dziewięćdziesiąt dziewięć lat, jej prochy rozsypano nad czerwonymi wzgórzami. Jestem pewna, że Indianie mają rację i duch Georgii O'Keeffe powrócił do jej ukochanej krainy.

Zozobra oczyszczający ze zła

Chęć obejrzenia obrazów Georgii O'Keeffe przywiodła mnie wreszcie do Santa Fe, bo w tym sześćdziesięcioletnim mieście, stolicy stanu Nowy Meksyk, znajduje się muzeum malarki, chlubiące się najbogatszymi na świecie zbiorami jej dzieł.



Sześćdziesięcioletnie, położone w górach Santa Fe, to miasto o najbardziej uporządkowanej miejskiej architekturze. Nie wolno tu stawiać innych gmachów niż z cegły adobe - z suszonej na słońcu gliny ze słomą.

Wjeżdżałam do miasta pod wieczór. Zachodzące słońce ciepłym światłem muskało niewysokie domy z adobe. Mury wygładzone gliną błyszcząły na żółtopomarańczowo. Brązowe belki wzmacniające konstrukcję, wystające ze ścian, rzucały cienie. Pęczki czerwonych papryczek chili zdobiły krużganki, wnęki i tarasy dodawały kolorytu. Santa Fe wyglądało tajemniczo i ponętnie, jak jakieś niezwykle dzieło sztuki. A wszystko dzięki temu, że władze miasta założonego przez Hiszpanów w 1610 roku, już dawno temu zdecydowały, że w centrum mogą powstawać tylko budynki nawiązujące do architektury z początków osady i kultury lokalnych Indian Pueblo. Nie ma więc żadnej nowoczesności i brzydoty, bo całe miasto jest utrzymane w jednym stylu architektonicznym - dziś nazywanym nowomeksykańskim.

Miejscowość u stóp góry Krew Chrystusa Hiszpanie nazwali La Villa Real de la Santa Fé de San Francisco de Asís, czyli Królewskie Miasto Świętej Wiary pod wezwaniem Świętego Franciszka z Asyżu. Praktyczni Amerykanie skrócili później nazwę do Santa Fe. W czasie podboju Dzikiego Zachodu to właśnie tu kończyła się słynna linia dyliżansów pocztowo-pasażerskich Santa Fe Trail.

Teraz na wąskich uliczkach rozbrzmiewał wesoły gwar. Wraz z tłumem mijałam kolejne galerie wypełnione dziełami sztuki nowoczesnej, ludowej z całego świata i indiańskiej. Na

wystawach sklepów z biżuterią i pamiątkami królował Kokopelli, bóstwo z indiańskich legend. „Ten, Który Przynosi Radość” - podróżny rozsiewający dobry humor oraz szczęście swą muzyką, grający na flecie, tańczący, z rozwianymi piórami na głowie. Kolejne mijane przeze mnie restauracje były przepelnione, przed wieloma stały kolejki ludzi czekających na wolny stolik. Zapachy dań, sosów i przypraw unosiły się jak delikatna mgiełka pod krużgankami. Apetyczne aromaty przywiodły mnie w końcu na centralny plac, obstawiony stoiskami z jedzeniem.

Pośrodku skweru, na murku siedział siwy gość w kapeluszu. Brzdąkał na gitarze i jednocześnie grał na organkach, zamocowanych na uchwycie wokół jego szyi. Obok na wózku inwalidzkim emerytowany hippis, z długimi włosami i przepaską na czole, machał stopą w takt muzyki, przytrzymując jednocześnie swój aparat tlenowy. Jego towarzyszka w kwiecistej chuście na głowie nawet nie zwracała uwagi na rozkrzyczane dzieciaki, biegające wokół nich po trawie za kolorowymi balonami, ani na kudłate psy radośnie bawiące się opodal.

Zagadnięty przeze mnie przechodzień, starszy, korpulentny pan w turystycznym kapelusiku, powiedział, że właśnie kończy się finał konkursu kulinarnego, w którym rywalizują największe lokalne szkoły (a w Santa Fe jest ich mnóstwo i słyną w całych Stanach z idealnego smaku i wykwintnej, oryginalnej kuchni). Dodał, że nie ma dnia, by nie odbywał się tu jakiś festiwal, konkurs, parada, występ, fiesta czy inne święto - sztuki, rękodzieła, muzyki, jedzenia albo historyczne czy kościelne. Dlatego, tłumaczył mi mężczyzna, nie ma się co dziwić, że Santa Fe, jedno z najstarszych miast w Stanach, jest od ponad dwudziestu lat nieprzerwanie uznawane za najmodniejsze. Nie bez znaczenia jest też fakt, że dzięki położeniu na wysokości około 2100 metrów nad poziomem morza cieszy się idealnym klimatem - w lecie dużo słońca, ale nie za gorąco, a w zimie idealne warunki narciarskie. On sam przyjeżdża tu co roku, bo na targach sztuki ludowej kupuje niepowtarzalne okazy do swojej galerii, jaką prowadzi w miasteczku w stanie Maryland. Stanley, tak miał na imię ten mężczyzna, uświadomił mi, że dzięki tysiącom galerii, wystaw i targów Santa Fe jest uznawane za drugi pod względem wielkości, po Nowym Jorku, rynek sztuki na świecie. Na pożegnanie wręczył mi wizytówkę i zaprosił na Wschodnie Wybrzeże.

Kawałek dalej podekscytowane turystki pokazywały sobie indiańską biżuterię kupioną chwilę wcześniej. Zaopatrzyły się w podcieniach Pałacu Gubernatorów, długiego, parterowego budynku, oczywiście w stylu adobe, gdzie swoje wyroby rozłożyli na kocach Indianie z różnych plemion, Pueblo i Nawahowie. Mężczyźni i kobiety, mimo słońca otuleni w pledy, siedzieli w

milczeniu, czasem tylko nieznacznie się uśmiechali, odpowiadając na pytania tłoczących się przechodniów. Indianie są tu codziennie. I w niczym nie przeszkadzają ani gubernatorowi, ani stanowym urzędnikom, którzy tu pracują. Pałac Gubernatorów, zbudowany w 1610 roku, jest najstarszym obiektem administracji cywilnej na terenie całych Stanów Zjednoczonych. W tym samym roku powstała też w Santa Fe misja San Miguel - najstarszy kościół w USA.

Katolicko-misyjna historia miasta nie przeszkadza jego mieszkańcom w łączeniu różnych kultur i obrzędów. Uświadomił mi to Jess, były szef kuchni kilku międzynarodowych restauracji, obecnie strażak-ratownik, który szukając ciekawych wyzwań, już po czterdziestce, odkrył w sobie nowe powołanie. Jess wraz ze swoimi przyjaciółmi, Roelifem - zaklinaczem koni, oraz Jill - psycholożką ludzi i zwierząt, specjalizującą się w dogoterapii, namówili mnie do udziału w trwającej tydzień Fieście i wytłumaczyli znaczenie tego święta.

Hiszpańscy katolicy duchowni z nowego Miasta Świętej Wiary chcieli na siłę nawrócić Indian z plemion Pueblo, zamieszkujących te tereny. W 1675 roku prawie pięćdziesięciu czerwonoskórych zostało oskarżonych o praktykowanie czarów. Kilku powieszono, resztę wychłostano i uwięziono. Wśród nich był szaman, przywódca religijny Pueblo San Juan, Popé. Pięć lat później to właśnie on stanął na czele rewolty, która za cel postawiła sobie przywrócenie tradycyjnego stylu życia i religii. Ochrzczonych pobratymców Indianie oczyszczali wywarem z jukki. Niszczyli też symbole katolickie. Hiszpańscy kolonizatorzy opuścili wtedy niemal cały Nowy Meksyk. Jednak po śmierci Popé, w 1692 roku, Hiszpanie pod wodzą Don Diego de Vargasa zaczęli stopniowo odzyskiwać kontrolę nad ludem Pueblo. Santa Fe zostało pokojowo przejęte. Sukces powstania z 1680 roku polegał na tym, że Europejczycy zaczęli łagodniej obchodzić się z Indianami. Nie wykorzystywali już na siłę ani ich języka, ani religii. Dzięki temu nie zanikły.

Na pamiątkę powrotu Hiszpanów do miasta od 1712 roku jest organizowana Fiesta, podczas której Hiszpanie i Indianie razem świętują pokojową koegzystencję, powrót katolickiej wiary, ale też przywrócenie indiańskiej godności i tradycji. Podczas uroczystej procesji siedemdziesięciocentymetrowa drewniana figura Dziewicy Maryi, nazywana La Conquistadora - uratowana przez Hiszpanów w 1680 roku - opuściła katedrę Świętego Franciszka i dumnie „obeszła” całe miasto. Wydarzenia sprzed ponad trzystu lat przypomina także spektakl historyczny wystawiany na centralnym placu. Konkwistadorzy, franciszkanie i Indianie, wszyscy w strojach z epoki, byli entuzjastycznie witani przez tłum zalewający ulice. Okrzyki: „Vive la

Fiesta” rozlegały się co chwilę. Jess wyjaśnił mi, że punktem kulminacyjnym obchodów jest ceremonia Zozobry. Ten dawny indiański zwyczaj rozliczenia się z tym, co było, przejęty przez grupę artystów wszedł na stałe do kalendarza wydarzeń w Santa Fe w 1924 roku.



Fiesta w Santa Fe - hiszpańskie i indiańskie święto cementujące Amerykanów różnego pochodzenia, różnych kultur i tradycji. To okazja do zabaw, hulanek i swawoli.

Jess, Roelif i Jill byli wyraźnie podekscytowani tym, co się działo. Przepychaliśmy się razem przez ponad czterdziestotysięczny tłum zgromadzony na stadionie bejsbolowym. Z głośników ryczała muzyka, słycać było śpiewy. Od kilku godzin trwał koncert rockowy, który był jednocześnie piknikiem i okazją do spotkań towarzyskich. Ludzie wokół rozmawiali, śmiali się.

W końcu zobaczyłam Zozobrę. Ta ponadpiętnastometrowej wysokości papierowa kukła wypchana słomą stała pośrodku sceny, przytrzymywana linami z kilku stron. Jess, przekrzykując hałas muzyki, wyjaśnił, że Zozobra symbolizuje wszystkie złe wydarzenia minionego roku. I za chwilę całe to zło zostanie zniszczone.

Rozległo się bicie w bębny. Na scenę przed Zozobrą wyskoczyli tancerze w czerwonych strojach. Ich dynamiczne ruchy i skoki wywołały aplauz publiczności. A wśród niej zauważyłam dużo latynoskich, indiańskich, białych, skośnookich i czarnych twarzy. Byli tu potomkowie pierwszych hiszpańskich kolonizatorów, którzy wypędzili Indian, i potomkowie tych Indian, którzy wypędzić się nie dali. Młodzi i starzy, artyści i robotnicy razem podskakiwali w rytm głośnej muzyki.

Ktoś wreszcie nie wytrzymał napięcia i krzyknął: „Burn him” („spalić go” - bo Zozobra to facet). Po kilku sekundach już cały stadion skandował: „Spalić go”! Tancerze wzięli pochodnie w dłonie.

Jess pochylił się do mnie i krzyżąc, tłumaczył, że w momencie, gdy Zozobra zacznie płonąć, muszę szybko wyrzucić z siebie cały zgromadzony ból, żal, złość, pozbyć się smutku, czarnych myśli. To pozwoli mi się oczyścić.

- Uwierz mi, to działa! - uśmiechnął się szeroko i wznosił ręce do góry, machał nimi i wrzeszczał: „Spalić go”. Patrzyłam, jak Zozobra próbuje walczyć, porusza rękoma, wydaje z siebie przeraźliwe, zwierzęce ryki. Ciekawe, ile osób musiało obsługiwać tę wielką marionetkę, żeby tak dobrze odgrywała swą rolę? Gdy dłonie Zozobry zajęły się ogniem, tłum wpadł w ekstazę. Już nie krzychał, tylko wył. Patrzyłam na Jessa i jego przyjaciół, którzy śmiali się, skacząc. Pomyślałam, że i ja powinnam spróbować. Zaczęłam podskakiwać, patrząc, jak spalają się kolejne części ciała Zozobry, jak wije się w konwulsjach. Na koniec ogniem zajęła się głowa.

- Zozobra wyjątkowo długo się palił - Jess przekrzykiwał wrzaski tłumu i zerkał ukradkiem na mnie, jakby chciał zapytać, czy mi się podoba.

Roelif wesoło stwierdził, że bardzo mu ulżyło, a ja nie miałam powodów, by mu nie wierzyć. Mnie też lżej się zrobiło na duszy. Ten Zozobra to świetny wynalazek! Przygnębienie i mrok odchodzą, a następnego dnia mieszkańcy Santa Fe, z umysłami nieobciążonymi smutkiem, mogą przystąpić do radosnego świętowania. Będą się ekscytować wyborami miss i przygotowaniami do parady psów. Czworonogi poprzebierane i udekorowane jak na bal karnawałowy przespacerują wokół centralnego placu, dostarczając miejscowym tematy do rozmów na następne tygodnie, a turystom cudne pamiątkowe fotografie.

Wolna od smutków i trosk wróciłam na Drogę 66, co w Santa Fe wcale nie było trudne, bo stara szosa jest tu świetnie oznakowana. I to mimo że biegną przez miasto zaledwie jedenaście lat. Bo już w 1937 roku zbudowano skrót pozwalający zaoszczędzić cztery godziny między Tucumcari a Albuquerque. Jadąc na południe przez góry, myślałam o tym, że wszyscy korzystający ze skrótu powinni żałować nieodwiedzenia Miasta Świętej Wiary.

Minęłam skręt do Los Alamos (gdzie mieści się ośrodek badań jądrowych i gdzie w czasie drugiej wojny światowej Robert Oppenheimer w ramach projektu „Manhattan” pracował nad skonstruowaniem bomby) i przy dźwiękach muzyki z westernu *Jak zdobywano Dziki Zachód* dotarłam w końcu do Albuquerque (czytaj: Albukerki). Moją przewodniczką po tym półmilionowym mieście (jedynym dużym ośrodku w Nowym Meksyku) była Adele, kobieta po sześćdziesiątce, która kilka lat temu wygrała walkę z rakiem i postanowiła, że wreszcie będzie robić to, na co ma ochotę i co lubi. Zaczęła więc tworzyć kolaże z papieru i tkanin. Działa w

spółdzielni artystycznej, która ma galeryjkę w niegdyś górniczym, a obecnie artystycznym miasteczku Madrid, w połowie drogi między Santa Fe a Albuquerque.

Dziś miasto słynie z rozgrywanych rokrocznie międzynarodowych zawodów balonowych, w których startuje ponad tysiąc zespołów z całego świata i na które zjeżdża ponad osiemset tysięcy ludzi. Kiedyś był tu ponoć najbardziej ruchliwy odcinek Drogi 66. Teraz patrzyłam na Central Avenue - główną ulicę miasta - szeroką, o niskiej zabudowie. Niektóre budynki w stylu adobe, inne - art déco mieściły knajpki i sklepiki. Popularne dawniej warsztaty samochodowe i motele zostały zastąpione przez księgarnie i kawiarnie, bo Albuquerque to miasto uniwersyteckie (średnia wieku mieszkańców wynosi trzydzieści trzy lata).

Za Albuquerque Droga 66 zostaje wchłonięta przez autostradę I-40. Przejeżdża przez tereny Indian z plemion Pueblo - Santa Ana (kasyno i superluksusowy kurort), Laguna (kasyno, gdzie nie przerywając gry na automatach, można poznać historię Route 66) i Acoma (kasyno Sky City).

W Acoma Pueblo, leżącym na niedużym płaskowyżu, przewodniczka o wyglądzie, głosie i zachowaniu groźnej wojowniczką uświadomiła naszej grupce (zwiedzać można tylko z przewodnikiem), że Acoma jest najstarszą stale zamieszkaną osadą w Stanach Zjednoczonych, powstała mniej więcej w tym samym czasie, co Taos (około 1000 roku naszej ery). Hiszpanie wielokrotnie próbowali zająć miasto, ale nigdy im się nie udało. Nawet w 1599 roku, gdy kolejny hiszpański najazd zrujnował Pueblo i uśmiercił ośmiuset mieszkańców. Ci, którzy przeżyli, odbudowali domy i odtworzyli pola uprawne. Bo Acoma to rolnicy, choć na świecie są bardziej znani jako znakomici garncarze. Misy i dzbany wytwarzane wciąż prymitywnymi metodami przez Indianki zbierają nagrody nie tylko na targach w Santa Fe. Rozchwytują je galerie i muzea z całego świata. Tajemnica produkcji i wzornictwa jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Dreptaliśmy za naszą wojowniczką-przewodniczką przez wioskę, a kobiety Acoma pokazywały swoje wyroby: dzbany, dzbanuszki, misy i miseczki. Misternie zdobione w symetryczne wzory. Przeważały kolory: czarny, biały, szary, brązowy. Starsze małżeństwo z Arkansas, które razem ze mną przypatrywało się tym cudnym naczyniom, nie mogło się nadziwić, że można takie piękne rzeczy robić, nie ukończywszy żadnych szkół. Młoda Indianka ze śmiechem odpowiedziała im, że talent wyssała z mlekiem matki.



Acoma Pueblo - jedyna indiańska osada nigdy nie zajęta przez Hiszpanów. Przewodniczka-wojowniczką opowiada o najstarszej stale zamieszkaną osadzie w Stanach Zjednoczonych.

W drodze powrotnej do Sky City, kierowca mikrobusu, który mnie wiozł, zaproponował, że zatrzyma się na drugim płaskowzgórzu, bym mogła zrobić dobre zdjęcia. Jason, tak miał na imię kierowca, długowłosego Indianin, zaparkował na górze obok szarej, obdrapanej furgonetki, widniał na niej napis: „Jubiler”. Wskoczył z niej Jo, ponad siedemdziesięcioletni indiański złotnik. Zapewniał mnie, że wszystko, co ma na sprzedaż zrobił własnoręcznie. Jeśli chcę się przekonać, to mogę z nim zostać. Korciło mnie tym bardziej, że widok był niesmowity. Płaskowzgórze, na którym znajdowało się Pueblo Acoma, wyglądało z daleka jak babka z piasku pozbawiona czubka. Na terenach między górzystymi wypiętrzeniami pały się krowy. Niebo było bezkresne. Pożartowaliśmy trochę i z żalem pojechałam dalej.

Zrobiłam jeszcze tylko krótki przystanek w Continental Divide, czyli w miejscu Wielkiego Wododziału Kontynentalnego, gdzie rozdzielają się dorzecza rzek spływających do Atlantyku i Pacyfiku. I po sfotografowaniu pamiątkowej tablicy pomknęłam do Gallup.

Światowa stolica Indian

- Zatańczcie, zatańczcie - skandował tłum, klaszcząc w rytm słów. Rozległy się miarowe uderzenia w bębni i usłyszałam powolną, monosylabyczną pieśń: - Aua, aua.

Indianie, ubrani w rozłożyste pióropusze i jaskrawe różnokolorowe stroje, udekorowane szeleszczącymi tasiemkami, piórkami, sznureczkami i paciorkami, dreptali w tańcu, zataczając coraz większe kręgi. Najpierw powoli, potem coraz prędzej, w rytm muzyki. Szybkim krokiem towarzyszyła pantomima, wyrażająca radość i swobodę. Pośrodku, otoczony młodymi, dreptał starszy mężczyzna. Gdyby nie okulary na nosie wyglądałby jak z ilustracji w powieściach, którymi zaczytywałam się w dzieciństwie. Pióropusz na jego głowie był naprawdę wielki - z orlich piór. To główny wódz plemienia Kiowa. Jego błękitna koszula była koloru nieba. Jego ręce powyżej łokcia opinały duże srebrne bransolety, a pierś zdobiła tarcza z kolców jeżozwierz. Pozycja wodza i jego wiek pozwalały tylko na dostojny krok, ale młodzież wokół niego wirowała w szaleńczym tańcu. Bębni nagle umilkły. Widzowie zawyli z radości, burzą oklasków podziękowali za występ. Zmęczeni, oblani potem, ale uśmiechnięci Kiowa pozdrowili tłum.

Tak przywitała mnie światowa stolica Indian - Gallup. Miasteczko, liczące dwadzieścia dwa tysiące mieszkańców, nosi to miano od 1922 roku, czyli od momentu, gdy zorganizowano tu pierwszy międzyplemienny zjazd czerwonoskórych, nazywany teraz Inter-Tribal Indian Ceremonial.

Żar lał się z nieba. Na Main Street (ulicy Głównej), którą przez miasteczko przebiega Droga 66, wzdłuż torów kolejowych nie było ani kawałeczka cienia. Indiańska parada, będąca jedną z najbardziej spektakularnych imprez zjazdu, dopiero się rozkręcała. Przeszły już co prawda poczty sztandarowe, przemaszerowali oficjele i wojskowi oraz przejechała platforma z najstarszymi i najbardziej zasłużonymi weteranami wojennymi. Oklaskiwano już kolejne miss piękności poszczególnych plemion i aplauzem nagrodzono orkiestry szkolne. Ale dopiero teraz paradowali przedstawiciele wszystkich plemion uczestniczących w zjeździe. Szli grupami, zachowując odstępy między sobą. Co kilkadziesiąt metrów zatrzymywali się, by rozpocząć pokaz tańca. Dzięki temu mogli ich „w akcji” podziwiać wszyscy widzowie po obydwu stronach ulicy. Biegałam z aparatem fotograficznym między tańczącymi ludźmi. Jeden tancerz Kiowa, radosny i podekscytowany występem młody człowiek, powiedział mi, że przez cały rok przygotowują się do przyjazdu do Gallup. To przecież największy, najstarszy i trwający najdłużej, bo aż pięć dni,

zjazd Indian z obu Ameryk. Młodzieniec krzyknął też, żebym koniecznie zobaczyła ich wieczorne występy, a następnie puścił się biegiem, by dogonić kolegów.

Tłum już wiwatował na widok Czejenów, których stroje były ozdobione pomarańczowymi, żółtymi i czerwonymi frędzelkami. Wirowali w tańcu i wyglądali jak kolorowe kule. Potem gęsiego, jedna za drugą, podążyły kobiety z plemienia Zuni. Niebieskofioletowe koszule wykańczane koronkami i czarne suknie bez rękawów przydawały im dostojęstwa. Naszyjniki, brosze, naramienniki i wielkie pierścienie z turkusami stanowiły dodatkową ozdobę. Kobiety Zuni niosły na głowach jasnobezowe dzbany, ręcznie wypalane i zdobione na czarno-brązowo. To rolnicze, pokojowo nastawione plemię było prawdopodobnie pierwszym, które udomowiło indyka - symbol Ameryki. Zuni od wieków mieszkają w swoim Pueblo, niedaleko Gallup, i są jednym z niewielu plemion w USA, które nigdy nie zostały zmuszone do zmiany miejsca zamieszkania.

Dalej szli Komancze - władcy południowych równin, najlepsi jeźdźcy świata, przyozdobieni okrągłymi tarczami z piór na plecach i ramionach. Następnie maszerowali skromnie ubrani na białą, szarą i pomarańczową Nawahowie, którzy nieśli ręcznie tkane kilimy. Rezerwat Nawaho, obecnie drugiego co do wielkości plemienia w USA (po Czirokezach) dochodzi aż do Gallup. Obejmuje ogromny obszar, częściowo leżący w Nowym Meksyku, częściowo - w Arizonie. To właśnie jeden z Nawahów, postawny mężczyzna koło czterdziestki, opowiedział mi historię Inter-Tribal Indian Ceremonial.



Wódz plemienia Kiowa rozpoczyna pieśń, która porwie do tańca młodych wojowników. Parada podczas międzyplemiennego zjazdu Indian w Gallup.

Na tych terenach Indianie kultury Anasazi mieszkali już dwa i pół tysiąca lat przed naszą erą. Gdy dotarli tu hiszpańscy konkwistadorzy w 1540 roku, w miejscu dzisiejszego miasteczka znajdował się jeden z większych punktów wymiany handlowej czerwonoskórych. Za

konkwistadorami przybyli duchowni, na siłę nawracający Indian na katolicyzm, i hiszpańscy osadnicy, którzy przez prawie trzysta lat kolonizowali te tereny. Amerykanie pojawili się dopiero wtedy, gdy zaczęto budować kolej żelazną. Osada, założona w 1880 roku, zawdzięcza swą nazwę głównemu kasjerowi kolei Santa Fe - Davidowi Gallupowi, który tu właśnie wypłacał pensje pracownikom. Potem odkryto złoża węgla i wioska rozrosła się w miasteczko. Na początku lat dwudziestych XX wieku jej piaszczyste uliczki były przykryte warstwą węglowego pyłu z pobliskich kopalń i zasnute mgłą dymu z lokomotyw przejeżdżających pociągów. Trzeba było mieć nie lada wyobraźnię, by właśnie tu organizować wielkie indiańskie festyny. Wizjonerem był niejaki Mike Kirk, który handlował z Indianami z różnych plemion. Kirk przekonał lokalnych przedsiębiorców i dyrekcję kolei Santa Fe do finansowego wsparcia jego pomysłu, zgodnie z którym na organizacji zjazdu wszyscy mieli skorzystać: kupcy liczyli na większą sprzedaż, kolej - na podróźnych, Indianie - że będą mogli spotkać się z pobratymcami i biali lepiej ich zrozumieją.

- I rzeczywiście się udało, sława Gallup rosła z roku na rok - powiedział mężczyzna. Stojąca obok kobieta, siedemdziesięcioletnia, wciąż czarnowłosa Lucy Harris, po której widać było hiszpańskie pochodzenie, wtrąciła się do rozmowy. Pamiętała, jak dziadkowie opowiadali, że gdy pierwsze wozy dotarły do miasteczka, Indianie rozbili swoje tipi, rozpalili ogniska i zaczęli świętować, to lokalni mieszkańcy, potomkowie hiszpańskich i meksykańskich osadników oraz imigranci z różnych zakątków świata (Słowianie, Włosi, Azjaci), przecierali oczy ze zdumienia. W Gallup spotkali się bowiem Indianie mówiący różnymi językami. W odmiennych strojach, tańczący różne tańce, gotujący rozmaite potrawy. Byli wśród nich ci, którzy pochodzili z prerii, i ci, którzy mieszkali w pueblach. Spotkały się plemiona koczownicze i osiadłe, rolnicze. Lucy doskonale pamięta, że jako mała dziewczynka przez okno słyszała indiańskie bębny. Czerwonoskórzy rozstawiali tipi w ich ogródku. Często wiali gospodarzy swoim jedzeniem. Dziadkowie i rodzice rewanżowali się swoimi potrawami. Zawiały się przyjaźnie. Potem wszyscy z jej rodziny zaczęli pomagać w przygotowaniu zjazdu. I tak zostało do dziś. Lucy z dumą pokazała emblemat przypięty do piersi - była jedną z pięciuset wolontariuszy pracujących przy organizacji tego wydarzenia.

Naszą rozmowę przerwały okrzyki coraz bardziej rozgrzanego tłumu widzów. Oto zbliżali się Apacze, potomkowie Geronima, którzy na te tereny przybyli w XV wieku. To najbardziej wojownicze plemię zaprezentowało Taniec Wschodzącego Słońca. Stojący obok mnie wysoki

Indianin z długimi włosami zaplecionymi w cienkie warkoczyki, półgłosem wyjaśnił, że Apache Crown Dancers wcielili się w duchy gór zesłane przez Stworzyciela na ziemię, by uczyć Indian, jak żyć w harmonii, a także by uzdrawiać tańcem. Tancerzy było pięciu, wszyscy mieli zasłonięte twarze. Czterej - w czarnych kapturach - reprezentowali kierunki świata. Piąty - zasłonięty białym kapturem - to klaun, komik, prześmiewca, którego zadaniem było odciągać złe duchy. Na głowach tancerze mieli symbole stron świata - jak wielkie drewniane pióropusze. Na biodrach - przepaski oplecione dzwonkami. Na ich nagich torsach widniały wymalowane białe, święte symbole. W kapturach były tylko dwa małe otwory - błyskały w nich rozżarzone oczy. Ich broń - ni to drewniane miecze, ni to pałki - frunęła najpierw w górę, a potem mocno uderzana przez wojowników stukała jedna o drugą. Rytm do tańca wybijało na bębenkach sześciu Indian w błękitnych koszulach i słomkowych kapeluszach. Wiwatom widzów nie było końca. Publiczność złożona głównie z czerwonoskórych umiała docenić sztuk tancerzy i rozpoznawała samo znaczenie tańca. Natomiast turyści bardziej zachwycali się strojami.



Apacze - najbardziej wojowniczy Indianie - w Tańcu Wschodzącego Słońca. Wraz z poddaniem się Geronimo w 1886 roku, Apacze zostali zmuszeni do zaprzestania koczowniczego trybu życia.

Gdy Apacze poszli dalej, tłum znowu zawył, witając Azteków. Wielkie pióropusze z bażancich piór i kolorowe, skąpe stroje wywołały ogromny aplauz. Potomkowie potężnego imperium Azteków, podbitego przez okrutnego Hernána Cortésa, przyjechali do Gallup aż z Mexico City. Publiczność klaskała, by zachęcić ich do tańca. Przybysze z Meksyku byli już wyraźnie zmęczeni, bo na żądanie widzów, co kilkanaście metrów musieli prezentować swój taniec. Ale w końcu ulegli i zaczęli wybijać rytm na olbrzymim bębnie. Uderzeniom wtórowały grzechotki przymocowane na łydkach. Ludzie patrzyli urzeczeni.

Po chwili zbliżyli się Buffalo Dancers. Ubrani w skóry bizonów tańczyli jak te imponujące zwierzęta na prerii. Dostojnie, powoli przeskakiwali z nogi na nogę. Dźwięczały dzwoneczki umieszczone na łydkach i biodrach. Spod wielkich bizonich głów z rogami pot skapywał na śnieżnobiałe koszule. Widzowie nagrodzili oklaskami wytrwałość i urodę tych mężczyzn. Skupione, wręcz gniewne spojrzenia budziły szacunek. Byli to Indianie z Pueblo San Juan. To ich przodkowie w 1680 roku zorganizowali jedyne skuteczne powstanie przeciw hiszpańskim kolonizatorom. Gromkie brawa stanowiły też z pewnością podziękowanie za tamten zryw w obronie indiańskiej godności.

Szłam za tancerzami. Kolorowy pochód skręcił w małą ulicę i zawrócił równoległą do Drogi 66. Stało tam jeszcze więcej widzów, bo domy rzuciły trochę cienia. Domyślałam się, że ludzie zaopatrzeni w składane krzeselka i siedzący po cienistej stronie jezdni to mieszkańcy Gallup, doświadczeni bywalcy parady. Turyści - Amerykanie i Europejczycy z policzkami mocno zaczerwienionymi od ostrego słońca - stali po słonecznej stronie ulicy. Wśród tłumu w cieniu zauważyłam kobiety w zawiniętych po arabsku chustach na głowach. Było też sporo skośnookich twarzy. I Murzyni. Później redaktor naczelny największej, ukazującej się od 1889 roku, lokalnej gazety „Gallup Independent” (jednej z trzech wydawanych w miasteczku) Barry Heiffner powiedział mi, że gdy pierwszy raz tu przyjechał, nie mógł się nadziwić, że Gallup jest istną wieżą Babel. Wśród dwudziestu dwu tysięcy mieszkańców Indianie stanowią trzydzieści procent, kolejne trzydzieści procent to potomkowie Hiszpanów i Latynosi, dwadzieścia pięć procent stanowią Anglosasi, a potem jest cała grupa mieszana: Hindusi, Palestyńczycy, Japończycy, Koreańczycy, Chińczycy, Filipińczycy. Także Chorwaci, Polacy, Słowacy, Grecy, Holendrzy i Włosi. Dzięki tej narodowej różnorodności małe Gallup ma sto restauracji z daniami z całego świata. Jest tu ponad osiemdziesiąt kościołów (najwięcej katolickich), są cztery biblioteki, trzy muzea oraz pięćdziesiąt hoteli i moteli. Co prawda, powiedział mi Barry, aż dwadzieścia cztery procent ludzi w tych okolicach żyje poniżej poziomu ubóstwa i aż dwadzieścia siedem procent to analfabeci. Ale nie są to Indianie. Oni należą do bogatszych mieszkańców. Biedni i niewykształceni są najczęściej nowi imigranci. A tych jest, jak na takie niewielkie miasto, sporo.

Gdy parada okrążyła centrum Gallup i wróciła do miejsca startu na Drodze 66, widzowie powoli zaczęli się rozchodzić. Miejscowi komentowali różnice w strojach i układzie kroków, pozdrawiali znajomych i umawiali się na wspólne oglądanie kolejnych pokazów i występów.

Przyjezdni maszerowali do samochodów pozostawionych daleko za miastem, dopytując, gdzie odbywają się inne atrakcje pięciodniowego zjazdu.

Do 1975 roku indiańskie uroczystości odbywały się w centrum Gallup, zaraz za torami. Ale gdy na tych terenach rozpoczęto budowę autostrady, obchody Inter-Tribal Ceremonial przeniesiono kilka mil dalej. Sześćdziesięcioletni Luis Bonaguidi, syn włoskiego szewca, obecnie potentat wśród producentów wyrobów skórzanych, jeden z członków komitetu organizacyjnego, powiedział mi, że wybór padł na Red Rock Park. Dużo tam miejsca i można bez problemu zaparkować. Twierdził też, że czerwone skały wyglądają cudownie, zwłaszcza po deszczu. A kiedy zachodzi słońce, to nie ma drugiego takiego widoku na świecie. Zapewnił, że sama się przekonam.

Park Czerwonych Skał okazał się ogromnym obszarem, z wyznaczonymi parkingami dla odwiedzających i występujących oraz z gigantycznym kempingiem, na którym stały niekończące się rzędy wielkich turystycznych samochodów. Widziałam osobny plac z rozstawionymi tipi, służącymi za sale prób dla tancerzy i muzyków. Czerwone skały stanowiły naturalną scenografię, wyrastały wokół największej areny i przedzierały mniejsze place.

W kilku miejscach równocześnie odbywały się pokazy indiańskich tańców, śpiewów i zwyczajów. Luis Bonaguidi wyjaśnił mi, że dla wielu Indian to nie tylko okazja do odnowienia więzi plemiennych czy przyjacielskich, lecz także edukacja, bo do dziś niektóre plemiona nie znają się wzajemnie albo mało o sobie wiedzą. Pod brezentowymi dachami rozgrywano zawody dla dzieci i prowadzono zajęcia dla seniorów. Babcie i dziadkowie również mieli swój konkurs tańca, w nieco wolniejszym rytmie. Za ogromną halą wystawienniczo-targową podziwiałam szybkość zagniatania ciasta na indiańskie racuchy i ich smażenia na patelniach stawianych w ognisku. Zapach tych placków, zwanych indiańskim chlebem, rozniósł się po całym parku. W ogromnym amfiteatrze odbywało się rodeo. Wraz z innymi przybyszami kibicowałam więc Indianom ujeżdżającym konie i byki.

Wokół wielkiego placu, przygotowanego do uroczystości, stały ortalionowe daszki, pod którymi gromadzili się ludzie. Okazało się, że to bębniarze i śpiewacy czekający na występ w konkursie. Gdy wreszcie sędzia dał znak rozpoczęcia zawodów, zespoły po kolei rozpoczynały swoje pieśni. Bębniarze z zapamiętaniem wybijali rytm na dużych instrumentach i śpiewali wysokimi, zawodzącymi głosami. Były to pieśni wzywające do tańca, chwalcące przeszłe zwycięstwa, opowiadające o bohaterach - tyle wyjaśnił mi jeden ze starszych Indian

przysłuchujący się wykonawcom. Rytmiczne melodie wprowadzały w trans. Większość bębniarzy to młodzi, ale potężni chłopcy, wyglądający jak zawodnicy sumo. Wielu z nich miało na głowach bandanki albo czapki bejsbolówki. Tylko część była w tradycyjnych strojach, to ci, którzy potem mieli wystąpić w konkursie tańca.

W końcu miało się rozpocząć wielkie Pow-Wow. „Mój” Indianin wciąż stojący przy arenie pouczył mnie, że ze względu na specjalny duchowy, metafizyczny wymiar ceremonii turystów i przybyszów nie-Indian obowiązuje szereg reguł. A zatem podczas tradycyjnych tańców nie wolno wchodzić na arenę ani siadać w jej obrębie, bo wszystkie miejsca z przodu są zarezerwowane dla występujących. Trzeba za każdym razem pytać o zgodę na robienie zdjęć nie tylko mistrza ceremonii, lecz także każdą fotografowaną osobę. Podczas tańców poświęconych pamięci zmarłych nie wolno w ogóle robić zdjęć ani dotykać osób noszących tradycyjne stroje. A najlepiej uważnie słuchać mistrza ceremonii. On właśnie, tubalnym głosem, wzmocnionym przez mikrofon, ogłosił, że rozpoczyna się oficjalna część Pow-Wow. Na arenę weszli najpierw plemienni przywódcy w tradycyjnych strojach. Potem weterani wojenni w mundurach jednostek, w których walczyli. Następnie mężczyźni, którzy służyli we wszystkich rodzajach wojsk. Do nich przyłączyło się kilka kobiet stojących do tej pory z boku.

- To znak nowych czasów - mruknął ten sam Indianin, który zgodził się udzielać mi wyjaśnień. - Wojownikami teraz są też kobiety.

Na scenę wniesiono flagi: amerykańską, stanu Nowy Meksyk, stowarzyszenia weteranów i plemienne. Nastąpiły krótkie przemówienia. Po czym wszyscy wojownicy zaczęli obchodzić arenę dookoła w powolnym tańcu - pochodzie. Był to Gourd Dance - „taniec wojowników”. Tak jak przed laty wojownicy wracający ze zwycięskiej wyprawy byli honorowani, tak dziś wszyscy, którzy walczyli i przeżyli, oddają hołd tym, którzy zginęli. Ale także tym, którzy wciąż służą w wojsku. A Indianie są cenionymi żołnierzami, aż siedemdziesiąt procent odbywa służbę wojskową. Zwinni, silni, walkę mają we krwi.

Jeden z najstarszych wojskowych wyraźnie cieszył się szacunkiem zgromadzonych. Był to osiemdziesięcioletni Kee Etscialty, weteran drugiej wojny światowej. Poprawiając swój wysłużony mundur, ciężko nabrał tchu i powiedział mi, że służył w Trzeciej Dywizji Marines, w centrali. Spędził na wojnie cztery lata. Nie walczył karabinem, tylko mikrofonem, bo był jednym z *code talkers* („mówiących szyfrantów”), którzy w dużym stopniu przyczynili się do zwycięstwa Ameryki na froncie na Pacyfiku. Używali kodu opartego na wyjątkowo trudnym języku

Nawahów. Japończycy nie byli w stanie go złamać. Każdemu szyfrantowi Nawaho towarzyszył żołnierz, który go ochraniał, a w razie niebezpieczeństwa czy dostania się do niewoli miał rozkaz go zastrzelić. Kee śmiał się, mówiąc, że jemu się udało. Teraz może opowiadać o historii dzieciom w szkołach.

Po uroczystym przemarszu wojowników rozpoczęła się ceremonia poświęcona pamięci żołnierza zabitego w Iraku. Członkowie jego rodziny stanęli pośrodku areny, przed nimi położono zwinięty koc. Szaman Nawahów wygłosił krótkie przemówienie, potem zaintonował modlitwę. Rozległ się dźwięk bębnów wybijających rytm. Kolejno podchodzili ludzie, wkładali zwitki pieniędzy między fałdy złożonego koca, po czym ściskali dłonie członkom rodziny zmarłego i stawali z boku, drepcząc razem w tańcu. Po kilku minutach wszyscy ruszyli powoli dookoła areny przy dźwiękach muzyki. Razem, ramię w ramię: weterani z Wietnamu, Iraku, emeryci i młodzi żołnierze.

A potem rozpoczął się konkurs tańca. Rytm nadawali bębniarze śpiewający przejmujące pieśni. Na arenę wychodziły kolejne grupy kolorowo ubranych i przystrojonych Indian. Niektórzy dreptali spokojnie, inni szybko wirowali. Tańczyły też dzieci i kobiety.

Rozejrzałam się wokół. Pośród widzów, kibiców i uczestników konkursów w tradycyjnych strojach wyróżniały się osoby ubrane „po cywilnemu”. W oczy rzucili mi się młodzi wysocy Indianie, modnie ubrani, w ciemnych okularach, z najnowszymi telefonami komórkowymi. Na głowach mieli fikuśne kapelusiki niczym z Hollywood z lat trzydziestych, ale spod nich wystawały ciasno zaplecione warkoczyki. Ich ojciec był ubrany dokładnie tak samo. Wielu spośród widzów nie grzeszyło szczupłością. Najwyraźniej jedzą zbyt dużo racuchów. W przerwach między pokazami, konkursami i występami oprócz tradycyjnego jadła największym wzięciem cieszyły się długie, zakręcane frytki krojone na oczach klientów z jednego ziemniaka. Kolejka ustawiała się też po pieczone nogi indyka - poleć mięsa ważył chyba z półtora kilograma - i po gotowaną kukurydzę w kolbach.

Otyłość stała się obok alkoholizmu jednym z głównych utrapień Indian. Podobno mają wrodzoną niską tolerancję na alkohol (we wszystkich rezerwatach obowiązuje zakaz sprzedaży napojów wysokokowych) i genetyczną skłonność do tycia, związaną ze zmianą środowiska i trybu życia. Nie muszą polować, ciężko pracować ani walczyć, za to mają łatwy dostęp do pożywienia. Za stanowiskiem mistrza ceremonii zobaczyłam porozkładane na stoliku broszury traktujące o tych problemach: „Otyłość”, „Zespół alkoholowy”, „Dorośle dzieci alkoholików”. Czytałam

kolejne ulotki zaciekawiona, jaką akcją edukacyjną przygotowano na ten rok. „Zrozumieć samobójstwo” (młodzi Indianie trzy razy częściej popełniają samobójstwa niż inni młodzi Amerykanie), „Poradzić sobie z przemocą w związku”, „Jak sobie radzić z samotnością”, „Molestowanie dzieci”, „Kokaina”, „Stres”. Dużo tego. Gdy przeglądałam broszury, usłyszałam okrzyki zachwytu. Emocje tłumu wzbudził zachód słońca. Luis Bonaguidi miał rację. Czerwone niebo i czerwone skały wyglądały po prostu magicznie.

Na wielkiej arenie już rozpalono ogniska. Na scenę weszli przedstawiciele kolejnych plemion witani gromkimi brawami i okrzykami. Zaczęły się wieczorne pokazy. Spiker ogłaszał przez megafon, jaki taniec będą podziwiali widzowie. Był więc taniec trawy, indyka, bizona. Kobiety wykonały taniec chusty i taniec dzwoniącego stroju, w którym suknie z naszytymi blaszanymi stożkami i dzwoneczkami wydawały dźwięki przy każdym kroku. Niezwykle energetyczny okazał się taniec zwany fantazyjnym. Tancerze wystrojeni w wielobarwne pióropusze i ogony w kształcie litery U zrobione z piór i kolorowych wstążek wirowali z ogromną prędkością. Ruchom ich ciał towarzyszyły dźwięki dzwoneczków wkomponowanych w stroje. Koralki i lusterka, którymi były wyszyte bluzy, odbijały światło ognisk. Tancerze odgrywali różne role. To byli wiatrem, to drzewami, to znów ptakami. Aż dziw, że nie ulecieli, gdy umilkły bębny.

Na zakończenie występów wszyscy wyszli na arenę i w jednym wielkim szalonym tańcu skakali lub tylko podrygiwali. Na widowni nikt już nie siedział, publika stała i krzyczała z radości. Maluchy, które zasnęły na rękach matek, tylko się przeciągały, ziewając. Ogniska powoli dogasały.

spotkanie mistrzów

Delikatne dotknięcia pędzelka na rozciągniętym płótnie budziły do życia postać Indianina na koniu. Dokąd on tak gna przez prerię? Malarz, by móc odpowiedzieć na pytanie, musiał odłożyć pędzelek na specjalny stojaczek na wysokości jego brody. Zanim wydobędzie z siebie głos, musi jeszcze napić się wody. Zaszło mu w gardle. Sięgnął ustami do cienkiej rurczki, pił łączywie. W końcu powiedział, że zawsze zasycha mu w gardle, kiedy maluje. To od trzymania pędzelka ustami.

Dennis Arviso - Indianin z plemienia Nawaho - jest sparalizowany. Siedział na wózku przypięty dwoma szerokimi pasami - w talii i wokół klatki piersiowej. Inaczej jego bezwładne ciało nie mogłoby się utrzymać w pozycji pionowej. Szyja była podtrzymywana gumową ni to podpórką, ni to obręczą. Do malowania używał kilku cienkich pędzelków. Grubego nie mógłby utrzymać w ustach.

W 1986 roku jechał samochodem po pijanemu, spowodował wypadek, złamał kark. Miał wtedy dwadzieścia trzy lata. Koniec opowieści. Nie wzruszył się, po prostu zrelacjonował. Nie było po nim widać bólu wspomnień, tylko pogodzenie się z losem. Ale przyznał, że łatwo to nie przyszło. Cztery lata walczył ze swoją psychiką, fizycznie nie mógł nic wykonać. Pomogła mu dopiero sztuka. Zaczął malować półtora roku po wypadku. Pielęgniarka w ośrodku rehabilitacyjnym włożyła mu pędzelek do ust, żeby się czymś zajął. Wcześniej nie miał zapędów artystycznych, choć w jego rodzinie, podobnie jak w każdej w plemieniu Nawahów, robiono biżuterię. Zaczął więc malować z bezsilności, ze złości. Wymalowywał cały swój ból i żal, całą rozpacz.

W 1993 roku, siedem lat po wypadku wygrał pierwszy konkurs malarski właśnie tu, w Gallup, na Inter-Tribal Ceremonial. Potem wystawiał też na słynnych targach sztuki w Santa Fe. Na jego obrazach olejnych widać było bezkresne przestrzenie, czerwone skały, Indian na koniach oraz żółte kwiaty i liście szaławii porastające prerię. Dennis powiedział, że maluje to, co widzi, normalne życie. Odkąd ma elektryczny wózek, może malować większe obrazy, bo tak sterowany pojazd pozwala na obroty, daje wolność.

Na dużej sztaludze wisiały dwie odręcznie napisane kartki. Na jednej drukowanymi literami ktoś w imieniu Dennisa zachęcał: „Pytaj, proszę. Możesz zadać każde pytanie”. Na drugiej trochę mniejszym pismem zanotowano: „Twój mąż już tu był i powiedział, że możesz

kupić, co tylko chcesz”. Uśmiechnęłam się do tego zdania, dobrze podkreślającego indiańskie poczucie humoru i będącego jednocześnie zachętą do zainwestowania w sztukę. Wokół stanowiska Dennisa zebrał się tłumek. Każdy chciał zobaczyć artystę przy pracy. Zrobiło się duszno. Spytałam, czy mogę jakoś pomóc. Malarz cicho podziękował i przeprosił, że musi wracać do pracy.

Dennis Arviso był jednym z siedmiuset artystów, których prace wystawiano podczas indiańskiego zjazdu w Gallup. Wystawa i jednocześnie konkurs odbywały się w ogromnej hali w Parku Czerwonych Skał, tuż przy największej arenie. Cindy Tanner, dyrektorka hali wystawowej, powiedziała mi podekscytowana, że jest to najstarsze *art show* w USA. Artyści startują zawsze w dziesięciu kategoriach. Oprócz obrazów i rzeźb były również ceramika, plecione kosze, koszyczki, dzbanuszki oraz kilimy, kobierce, dywaniki. Wystawiano też lalki *kachina* (figurki z drewna topolowego zapewniające zdrowie i pomyślność, będące uosobieniem bóstw czczonych przez plemiona z puebli - Hopi, Zuni, Acoma) i inne drewniane figurki. Oczywiście prezentowano także biżuterię. Tu prym od lat wiodą Nawahowie ze swoimi charakterystycznymi turkusami. Naszyjniki, wisiorki, bransolety, pierścienie i broszki leżały w gablotach za szkłem. Były to dzieła dopracowane w każdym calu, przedstawiające kwiaty, owady, rośliny, zwierzęta i wzory geometryczne. Cindy podkreśliła, że każda sztuka biżuterii jest wyjątkowa, unikalna. Dlatego nie można robić zdjęć na wystawie. Przecież te dzieła sztuki łatwo skopiować z fotografii. Kobieta ostrzegła, że osoba przyłapana na nielegalnym fotografowaniu może zostać ukarana nie tylko konfiskatą aparatu, lecz także grzywną. W ten sposób organizatorzy chcą zabezpieczyć prawa artystów i projektantów. Po zakończeniu wystawy i ogłoszeniu zwycięzców, ich prace można kupić. Często przyjeżdżają po nie przedstawiciele renomowanych galerii. Dla wielu indiańskich twórców nagroda na Inter-Tribal Ceremonial okazała się przepustką do wielkiego świata.

Uznani już, utytułowani lokalni artyści mieli swoje spotkanie w centrum kultury mieszczącym się w budynku dawnej stacji kolejowej w samym sercu Gallup. Pociągi wciąż się tu zatrzymują, o czym informowała kartka na drzwiach wejściowych do dworca. Jeden jedzie na wschód, drugi - na zachód, ale bilety trzeba kupić w internecie. W gmachu można za to zwiedzić muzeum historii miasta i podziwiać sztukę Indian.

Ekspozycję zatytułowano *Reunion of Masters* - „Ponowne spotkanie mistrzów”. Na pierwszym piętrze w dużej sali zobaczyłam na ścianach kolorowe płótna i tkaniny, a pośrodku

rzeźby - jak na każdej wystawie. Różnica była taka, że tu artyści towarzyszyli swoim dziełom, gotowi wyjaśnić, opowiedzieć lub udzielić rad. Gdy weszłam siedzieli wokół stołu i dyskutowali z szefową centrum kultury o tym, że turystom trzeba uświadamiać, jak wiele tanich wyrobów sprzedawanych na ulicznych straganach, to podróbki „made in China”. Zapytałam więc od razu, jak rozpoznać prawdziwe indiańskie dzieło. Krzyknęli prawie jednogłośnie, że jeśli niesie ze sobą symbolikę duchową, jak na przykład łapacz snów, to powinno mieć certyfikat autentyczności. Poza tym Indianie używają tylko naturalnych tworzyw - prawdziwych turkusów, a nie syntetycznych; kolców jeżozwierz, a nie plastiku. Dlatego autentyczny wyrób musi kosztować, nie może być tani. Obrazy i rzeźby najlepiej kupować bezpośrednio od artystów. Jeden z mężczyzn zakończył ten wywód, mówiąc, że gdy Europejczycy jadą do Chin, to nie wierzą każdemu sprzedawcy na ulicy, że ten kawałek skorupy, który on trzyma w dłoni i próbuje im wcisnąć, pochodzi z czasów dynastii Ming. To dlaczego, gdy przyjeżdżają do Ameryki, wierzą pierwszemu z brzegu handlarzowi?

Mężczyzna, który wypowiedział te słowa, miał biały kapelusz mocno wciśnięty na głowę. Wydał mi się przywódcą tej grupy. Okazało się, że był najstarszy. Pięćdziesięciosiedmioletni Baje Whitethorne senior wytłumaczył mi, że Grupa Mistrzów spotyka się od 2000 roku. Wszyscy pochodzą z plemienia Nawahów. Artystami byli ich ojcowie i dziadkowie. Oni sami zaczęli jako kilkuletnie dzieci. Tworzą zgraną ekipę, także ze względu na więzy rodzinne. Baje wskazał siedzących, a oni się przedstawili. Potężny mężczyzna w czarnym kapeluszu to Irving Todd (pięćdziesiąt sześć lat, skończył college, maluje, tak jak ojciec i brat), kobieta obok niego to Elizabeth Whitethorne-Benally (czterdziestoletnia malarka i rzeźbiarka), tęga kobieta naprzeciwko to Cherolyn (trzydziestoletnia tkaczka). Baje wyjaśnił, że maluje akryle i oleje. Ilustruje też książki z bajkami dla dzieci i do nauki języka nawaho.



Indiański artysta Baje Whitethorne marzy o tym, by nowoczesna technologia pokonała wszelkie ograniczenia, jakim podlega, mieszkając w rezerwacie Nawaho.

Irving tubalnym głosem, ledwo otwierając usta, powiedział, że wystawiali swoje prace w różnych krajach na całym świecie, także w Europie: w Rzymie, Paryżu, Genewie. Dzięki podróżom sami się wiele nauczyli. Na przykład tego, jak siebie zaprezentować, jak być niezależnym, jak nie poddawać się pośrednikom, nie dać się wyzyskiwać, jak przeżyć z własnej pracy, z własnego dorobku. I chcą to przekazać innym, tym, którzy jeszcze nie mieli szansy posmakować świata. Stąd idea spotkań, będących jednocześnie happeningami.

Wszyscy czworo chętnie pokazywali mi swoje dzieła, tłumaczyli, jak pracują, co chcieli swoimi obrazami wyrazić. Irving okazał się gawędziarzem, bo przy każdym płótnie opowiadał legendę, którą ono ilustrowało. W naszej rozmowie stale wracał temat marzeń i wolności. Malarz, poprawiając czarny kapelusz i wskazując na kuzynów artystów, wyjaśnił, że wszyscy mieszkają w rezerwacie. A tam nie mogą być właścicielami ziemi, ponieważ należy ona do rządu federalnego, została tylko powierzona w zarządzanie władzom plemiennym. Wszelkie decyzje dotyczące budowania domu czy prowadzenia działalności gospodarczej są zatwierdzane przez władze federalne, czyli Biuro do spraw Indian. Wolność oznacza dla nich możliwość posiadania ziemi i domu oraz decydowania o tym, gdzie mieszkać, co i jak robić. Oczywiście Indianie mogą kupować nieruchomości poza rezerwatem, już połowa czerwonoskórych w Stanach mieszka w oddaleniu od władz plemiennych. Stąd też bierze się, zdaniem mojego rozmówcy, utrata tożsamości kulturowej. Irving zaobserwował, że coraz mniej młodych ludzi identyfikuje się z własnym plemieniem, niektórzy nie wiedzą nawet, z jakiego są rodu, a tylko nieliczni potrafią powiedzieć coś w języku Nawaho. Marzeniem artysty jest zachowanie tradycji i dawnego stylu życia. I to właśnie próbuje przekazać swoimi obrazami.

Elizabeth z dumą przyznała, że jest feministką. Maluje same silne kobiety, w mocnych kolorach. Jej marzenia to samodzielność i samowystarczalność. Nie chce od nikogo zależeć, nie chce na nic czekać. Jej rzeźby - krzyże równoramienne - stanowią symbole płodności, dobrobytu, nowego dnia i pomyślności, pomalowane na intensywnie czerwony kolor. Czerwień to ogień i moc, ale także kolor nieba o zachodzie słońca w jej wiosce - Shonto, czyli „Promienne Źródła”, leżącej pięć godzin jazdy od Gallup.

Baje podszedł do płótna rozwieszzonego na sztalugach. Małym pędzlem zaczął poprawiać końskie kopyta na swoim nowym obrazie. Powiedział, że jego malarstwo jest przesyczone

wartościami Nawahów, bo za cel stawia sobie ich krzewienie. Ale marzy o tym, by wykorzystywać nowoczesne technologie, na przykład sfotografować ten obraz telefonem komórkowym, wysłać MMS i przez telefon zawrzeć transakcję. Mógłby nadal mieszkać w rezerwacie, ale prowadziłyby interesy z całym światem. Nie musiałyby mieć galerii, robiłyby biznes bez wychodzenia z domu. Nie czułby wtedy żadnych ograniczeń.



Feministka Elizabeth Whitethorne-Benally z plemienia Nawahów maluje tylko silne kobiety w mocnych barwach i magiczne indiańskie krzyże.

Jeden dolar dziennie

W Gallup pragnęłam odwiedzić jeszcze jedno miejsce i chciałam poznać jeszcze jednego człowieka. Miejscem tym był El Rancho Hotel, a człowiekiem - Armand Ortega. Jego prapradziadek, Santos Ortega, przyjechał w te rejony z Hiszpanii. Od połowy XIX wieku kursował z towarami do Indian Nawaho wozem zaprzężonym w dwa konie. Zawoził świecidelka i koce, a przywoził skóry. Tradycja handlu przechodziła z pokolenia na pokolenie, ale teraz Armand nie obraca już towarami pierwszej potrzeby, a biżuterią. Dostawcy sami do niego przyjeżdżają, Ortega to uznana marka w Nowym Meksyku, Arizonie i Kalifornii. Armand jest szanowany przez Indian, bo pracuje w starym stylu - rozpoznaje dobre wyroby, oferuje niezłe ceny, rozmawia, poświęca klientom swój czas. Z taką wiedzą, uzyskaną od indiańskich artystów, szłam na spotkanie z jednym z najważniejszych biznesmenów w Gallup.

Hotel El Rancho to okazały piętrowy budynek z kamieni. Front wykończono białym drewnem. Białe kolumny wspierały ogromny, dający dużo cienia dach nad wejściem, który osłaniał także taras na piętrze. Od głównego budynku odchodziły boczne skrzydła, ceglane, pomalowane na biało. Napis na wielkiej tablicy nad drzwiami głosił: „Urok przeszłości, wygoda jutra”.

Ciężkie drewniane drzwi kryły za sobą duże i ciemne wnętrze. Po jego prawej stronie znajdowała się recepcja, z tyłu za nią było przejście do sklepu z biżuterią i restauracji. Na wprost wejścia zobaczyłam duży komin, a nad nim okrężną antresolę. Prowadziły do niej podwójne schody, jak z westernu. Stopnie wyłożone czerwonym dywanem zachęcały, by po nich stąpać. Hotelowe pokoje były ukryte w korytarzu za drzwiami na górze. Całe wnętrze wykończono ciemnym drewnem i ozdobiono porożami jeleni i bawołów.

Armand Ortega czytał gazetę przy recepcji. To niewysoki, szczupły mężczyzna z siwymi, krótko obciętych włosami. Był ubrany w białą koszulę w granatowe paski, z krótkimi rękawkami. Zamiast krawata miał kowbojski *bolo tie* z broszą wysadzaną turkusami. Także pasek od jego zegarka zdobiły kamienie. Całości dopełniały czarne spodnie i czarne skórzane buty. Gdy usiedliśmy na wielkich fotelach obitych skórą, z uśmiechem na ustach zaczął opowiadać o tym, że czuje się bardzo mocno związany z Gallup. Nie tylko dlatego, że tu mieszka. Jednym z ważnych powodów jest również to, że właśnie tu jako jedenastolatek zaczął swoją karierę. Był gazeciarem miejscowego dziennika „Gallup Independent”. Miał wtedy jedno

marzenie - sprzedawać więcej gazet niż inni chłopcy w sąsiedztwie. Armand przyznał, że chciał po prostu zarobić jak najwięcej. Ojciec go nie rozpieszczał, nie dostawał od niego nawet cenciaków na cukierki.

- Pragnąłem mieć pieniądze, bo chciałem, żeby ludzie mnie szanowali. Jak się jest ubogim, to ludzie wołają lekceważąco: „Chłopcze, podejź no tutaj”, a jak się ma trochę kasy w kieszeni, to mówią grzecznie: „Przepraszam, czy mógłbym z panem porozmawiać?”. To jest duża różnica - dodał Armand. Dobrze wie, co mówi, bo przeżył kawał życia. Już dawno skończył osiemdziesiąt lat.

W 1941 roku, gdy USA przystępowały do drugiej wojny światowej i borykały się ze skutkami wielkiej depresji, Armand miał trzynaście lat. To był dla niego pamiętny rok, bo wtedy pierwszy raz wszedł do El Rancho Hotel. Budynek wyglądał prawie tak jak dziś. Nastoletniego chłopca zafascynowały drewniane balustrady, skórzane kanapy, elegancko ubrani ludzie, cały ten wielki świat. Ekskluzywny hotel działał wówczas dopiero cztery lata. Pomysłodawca i jego pierwszy właściciel to niejaki R.E. Griffith. Jego brat D.W. Griffith był wówczas szychą w przemyśle filmowym, reżyserem i producentem. Nakręcił kilkaset krótkich niemych filmów i kilka wielkich epickich dzieł nawiązujących do historii USA. Wraz z Charlesem Chaplinem, Mary Pickford i Douglasem Fairbanksem założyli pierwszą niezależną wytwórnię filmową United Artist. D.W. Griffitha znali wszyscy w Hollywood, nie można się więc dziwić, że hotel brata stał się popularny wśród filmowców, zwłaszcza że w okolicach Gallup kręcono wtedy mnóstwo westernów. W naturalny sposób El Rancho przekształcił się w filmowe centrum dowodzenia.

Od momentu otwarcia hotelu w grudniu 1937 roku wewnątrz budynku widziało więcej gwiazd niż jakikolwiek inny tego typu przybytek na świecie. Lista sław, które się tu zatrzymywały, liczy ponad trzysta nazwisk. Wśród nich byli między innymi: John Wayne, Kirk Douglas, Burt Lancaster, Spencer Tracy, Katharine Hepburn, Humphrey Bogart czy Ronald Reagan.

Armand znowu westchnął, wspominając te piękne lata. Powiedział, że w hotelu funkcjonowały restauracja i kasyno. I on tak bardzo chciał do niego wejść. Pragnął być dorosły, mieć dwadzieścia jeden lat i zagrać w kasynie. Na twarzy Ortegi pojawił się szelmowski uśmiech, gdy opowiadał, jak doskonale pamięta, że stały tam stoły do gry w kości i do blackjacka. Było też szesnaście automatów. Dziesięć, w których się grało monetami

pięciocentowymi, pięć na dziesięciocentówki i tylko jedna maszyna na duże monety, ćwierćdolarówki. Ale ponieważ Armand nie osiągnął odpowiedniego wieku, to wejść nie mógł. Siedział więc na skórzanej kanapie i czekał. „To jest ta sama kanapa, uwierzysz? - Armand wskazał na wielki mebel pod oknem. - Siedziałem tak i myślałem o tym kasynie i hotelu. Tak bardzo pragnąłem, żeby stał się mój. Postanowiłem, że któregoś dnia kupię ten hotel, kupię go dla mojej mamy. Wiesz - uśmiechnął się uroczo - jak się ma trzynaście lat, to jeszcze się nie myśli o dziewczynach”.

Pierwsze marzenie, o tym, by sprzedawać najwięcej gazet, Armand spełnił dość szybko. Znalazł sposób na podbicie serc klientów i zwiększenie sprzedaży. Uśmiech i wytrwałość - to jego recepta. Jako gazeciarka wiele się nauczył, choć majątku się nie dorobił. Ale był najlepszy i dzięki temu mógł kupować sobie cukierki, kiedy tylko chciał. Kilka lat później, gdy skończył siedemnaście lat, otworzył swój pierwszy sklep. Co prawda zainwestowali razem z ojcem i to ojciec pomagał w sprawach organizacyjnych, ale sklep był jego, Armanda. Zresztą dość szybko syn uniezależnił się od ojca. Dziś ma dwadzieścia cztery sklepy, w których handluje indiańską biżuterią, rękodziełem i obrazami. W branży pracują też jego dzieci, ale mają już własne punkty sprzedaży.

Na spełnienie drugiego marzenia o kupnie hotelu, które siedziało w nim jak zadra, Armand musiał poczekać ponad czterdzieści lat. Okazja nadarzyła się dopiero we wrześniu 1987 roku, gdy budynek został decyzją sądu wystawiony na licytację po tym, jak jego poprzedni właściciel zbankrutował.

„Panie i panowie, sprzedajemy dziś ten piękny hotel. Jeśli będzie trzeba, to sprzedamy go w kawałkach, cegła po cegle. Rozpoczynamy aukcję” - tak zaczął się jeden z najbardziej ekscytujących momentów w życiu Armanda. Kobieta prowadząca licytację spytała: „Czy jest ktoś, kto chce kupić ten budynek w całości?”.

Wtedy przez szepczący tłum przepchnął się Armand Ortega i wręczył jej zaklejoną kopertę. Po jej otwarciu kobieta stuknęła swoim młoteczkim w pulpit i krzyknęła: „Sprzedane!”. Armand miał wtedy pięćdziesiąt dziewięć lat. Następnego dnia w hotelu rozpoczęły się prace remontowe.

- Traktuję ten budynek jak starszą panią. Zawiązaliśmy jej tasiemkę na włosach, upudrowaliśmy twarz, uczyniliśmy ją piękną - uśmiechnął się, a ja miałam wrażenie, że oczy mu się zaszklily ze wzruszenia. Pokiwał głową i powiedział, że ten hotel wiele dla niego znaczy.

Więcej niż można kupić za wszystkie pieniądze świata. To symbol tego, do czego doszedł w życiu. I nigdy nikomu nie powie, co było w kopercie i ile zapłacił za El Rancho.

Armand przeprosił mnie na chwilę i odszedł, aby porozmawiać z grupą pięciu kolegów, lokalnych handlowców i biznesmenów. Czekali na niego przy stoliku przed hotelem. Potem razem pili kawę, palili papierosy, żartowali. Widziałam przez okno, jak Armand wskazuje na mnie. Widocznie tłumaczył swoje spóźnienie. Ja cierpliwie czekałam i wykorzystałam czas, by przyjrzeć się dokładnie temu spełnionemu marzeniu.

Portrety aktorów, którzy tu bywali, i ich autografy zdobiły ściany przestronnego holu.

Hol, wykończony ciemnym drewnem, ozdobiony ręcznie tkanymi indiańskimi kilimami oraz myśliwskimi trofeami, na pewno zagrał w niejednym filmie. Pomyślałam, że wszystko tu wygląda tak, jak na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Różnica polega tylko na tym, że każdy pokój ma klimatyzację, telewizor i telefon, a bezprzewodowy internet pozwala na kontakt z całym światem. Z szafy grającej dochodziła muzyka. Rozpoznałam najbardziej znane kawałki z westernów. Miałam wrażenie, że za chwilę otworzą się drzwi i wejdzie John Wayne, strzepując kurz z kapelusza.



Armand Ortega, największy biznesmen w Gallup. Handluje indiańską biżuterią i prowadzi El Rancho Hotel, znany i popularny w kręgach hollywoodzkich. Zaczynał od roznoszenia gazet. Do majątku doszedł, stawiając sobie za cel zarobienie jednego dolara dziennie.

Gdy Armand wrócił, aby kontynuować naszą rozmowę, przyznał, że pali dwie paczki papierosów dziennie, odkąd skończył czternaście lat. Robił w życiu wiele innych rzeczy uważanych za szkodliwe lub głupie. Był nawet bokserem. Na pytanie, jak mu się udało odnieść sukces w biznesie, bez wahania powiedział, że codziennie myśli o tym, żeby zarobić kolejnego dolara. Nie ma znaczenia, czy zarobi milion, czy tylko sto, wciąż chce mieć tylko jednego dolara.

- To naprawdę działa - powiedział. - Nie trzeba porywać się na wielkie rzeczy, nie wolno stawiać przed sobą zadań niemożliwych do zrealizowania. Trzeba robić drobne kroki każdego dnia.

Takimi drobnymi krokami Armand wciąż powiększa swoje małe imperium. Po to, jak powiedział, żeby jego dzieci nie musiały być głodne, żeby nie musiały się szwendać po ulicach. Mówiąc „dzieci”, Armand miał na myśli nie tylko własne potomstwo (ma sześcioro dzieci. „Przynajmniej o tylu wiem, może są jeszcze jakieś w rezerwacie?” - zażartował) i wnuki (dziewiętnaścioro), lecz także swoich stałych, oddanych współpracowników. Jego rodzina liczy trzydzieści jeden osób. A najważniejsze, żeby wszyscy byli zdrowi, by dzieci mogły przejąć biznes i żeby wszystkim się dobrze powodziło. Armand podkreślił, że nie daje pieniędzy na akcje charytatywne, za to tworzy miejsca pracy. Finansuje też kształcenie latorośli pracowników. Zakłada im konta w banku oraz uczy je, co to znaczy pieniądź i jak dobrze gospodarować, żeby nie być biednym.

Bogaty dziś senior Ortega lubi siadywać na olbrzymiej skórzanej kanapie w swoim El Rancho Hotel i przypatrywać się wchodzącym ludziom. Na twarzach przybyszów widać zdziwienie, zaskoczenie. Po ich minach można poznać, jak bardzo ten hotel różni się od innych. Siedzieliśmy tak z Armandem i przypatrywaliśmy się gościom. Po przekroczeniu progu turyści oddychali z ulgą. Na dworze słońce, upał, a tu przyjemnie, chłodno. Dopiero po chwili ich wzrok przyzwyczajał się do lekkiego mroku i słychać było tłumione okrzyki zachwytu. Zerknęłam na Armanda - uśmiechał się zadowolony. Niektórzy wchodzili tylko, by zwiedzić, zrobić kilka zdjęć, a inni zostawali na dłużej. Siadali przy wielkim stole na wprost ogromnego kominka i wypisywali pocztówki, potem z zaciekawieniem przyglądali się fotosom gwiazd, zerkali na duży olejny portret Armanda Ortegi wiszący obok recepcji i zastanawiali się, kto to taki. Nie rozpoznawali mężczyzny z obrazu w tym przemiłym, starszym człowieku obok mnie. Armand zaśmiał się, gdy powiedziałam, że na płótnie wygląda jak amant filmowy.

- Uuuu, co ja kiedyś wyrabiałem! Miałem osiemnaście dziewczyn i jedną żonę. Mówię ci, moja żona to anioł. Wytrzymała ze mną już sześćdziesiąt lat.

Indianin za kontuarem recepcji porozumiewawczo kiwnął głową.

- Muszę znowu iść - powiedział Ortega. - Przyjechali Indianie z biżuterią. Trzeba popracować, obejrzeć i wycenić towar. Idę zarobić kolejnego dolara - uśmiechnął się i zniknął za kotarą obok recepcji.

A ja ruszyłam dalej w drogę. Musiałam opuścić Krainę Oczarowania, najmniej amerykański, bo najbardziej wielokulturowy, ze wszystkich stanów.

7 Arizona



take it easy

Przebiegająca przez terytorium Nawahów i obok rezerwatu Indian Hopi granica Nowego Meksyku i Arizony powitała mnie piorunami i tęczą. Błyskawice widoczne daleko w górach zadziwiająco szybko się przybliżyły. Czarne chmury zasnuły błękitne niebo i lunęła ściana deszczu. Pagórki na bocznej drodze zmieniły się w wodospady, a wgłębienia w szosie - w jeziora. Grzmoty aż wstrząsały samochodem. Krople deszczu bębniły w dach, hałas stał się nie do wytrzymania. Nie było nic widać - nastąpiła noc w środku dnia. Zatrzymałam auto na jednym z pagórków, zastanawiając się, czy powinnam dalej jechać, czy przeczekać burzę. I dopiero wtedy dostrzegłam migające w pobliżu światła awaryjne kilku pojazdów. Inni kierowcy też zrobili sobie postój. Raźniej się poczułam w ich towarzystwie, choć nie sposób było dostrzec sylwetek czy rozpoznać marek samochodów. Natura odegrała przed nami niezwykle spektakl. Nigdy wcześniej nie widziałam tak szybko następujących po sobie piorunów o tak różnych kształtach: w pionie, poziomie, jak rozpostarte gałęzie drzew lub jak szeroko rozpuszczone korzenie. Zauroczone, ale i przerażona bliskością żywiołu, patrzyłam bez ruchu. Ocknęłam się, dopiero słysząc ryk silnika tuż obok mnie i widząc na wysokości twarzy koła wielkiego pikapa. Jego kierowca wychylił się w moim kierunku i krzyknął, żebym, broń Boże, nie skręcała w żadną boczną ścieżkę, bo tym japońskim samochodzikiem utonę w wielkich kałużach. Odjechał w ciemność i w tym samym momencie przestało padać. Burza odeszła. Kilka minut później niebo znów zachwyciło błękitem, w oddali pojawiła się tęcza i tylko mokre plamy na jezdni przypominały o nawałnicy. To był mój ostatni deszcz w zachodniej części Stanów.

Na terenach Hopi, w kolejnych wioskach, niektóre domy wyglądały na bardzo zadbane. Inne były barakami stojącymi wśród uschniętych kikutów roślin. Psy dostojnie i leniwie przechodziły przez wąską jezdnię. Ogromne centrum medyczne aż błyszczało z daleka, rażąc swoją nowością i nowoczesnością. Sklepik kooperatywy artystów i rzemieślników zapraszał do zrobienia zakupów. A wielkie tablice ostrzegały, aby pod żadnym pozorem nie robić zdjęć. Starszy pan o imieniu Milland, dyrektor tej kooperatywy, wyjaśnił mi, że zakaz wydały bardzo dawno temu władze plemienia. Wziął się stąd, że kiedyś ich fotografowano, a potem piętnowano sposób, w jaki żyją.

- A poza tym - powiedział miłym i spokojnym głosem Milland - nie chcemy się czuć jak zwierzęta w zoo.

Indianie Nawaho natomiast za pozowanie do zdjęć mogą zażądać zapłaty. Uprowadził mnie o tym rzecznik prezydenta tego plemienia - George Hardeen. Tłumaczył, że turyści potrafią być bardzo namolni, nachalni i bezwzględni, zwłaszcza w Monument Valley, przy granicy Arizony z Colorado i Utah. Tam na tle czerwonych gór o niezwykłych kształtach pragną zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie z „dzikim czerwonoskórym”. Lokalni mieszkańcy zaczęli więc traktować to jako źródło zarobku.

Sam George okazał się jedynym nie-Nawahem pracującym dla prezydenta Joe Shirleya. Hardeen przez dwadzieścia pięć lat był dziennikarzem prasowym i radiowym, pisał dla „Navajo Times”. Uświadomił mi, że to plemię ma swoją konstytucję, prezydenta, policję i strefę czasową. Nawahowie używają internetu, telefonów komórkowych i oglądają telewizję satelitarną.

- Może jesteśmy tu odizolowani geograficznie, ale nie odcięci od świata - powiedział George.

Wróciłam w kierunku autostrady, która tu, we wschodniej Arizonie, wchłonęła Drogę 66. Gorące powietrze drgało nad szeroką, czteropasmową i gładką jak stół szosą ekspresową. Stwarzało złudzenie, że nawierzchnia jest mokra. Plama zniknęła kilkanaście metrów przed samochodem i znów pojawiała się kawałek dalej. Przypomniałam sobie, że nazwa „Arizona” pochodzi z hiszpańskiego: *arid* to znaczy „spieczony, suchy, jałowy” i *zona* - „strefa, region”. Rzeczywiście, stopniowo okolice stawały się coraz bardziej płaskie, rozległe, spalone słońcem i wysuszone. Gdyby nie kilka ciężarówek, nie byłoby na czym oka zaczepić. Ale zaraz pojawiła się Painted Desert, czyli Pustynia Pstra (zwana też Malowaną) i czerwono-pomarańczowo-żółto-szare pasy piaskowca ożywiły krajobraz.

Chwilę później ten piękny, kolorowy i wręcz surrealistyczny widok dopełnił jeszcze Petrified Forest, czyli Skamieniały Las. Wielkie kłody, mieniające się teraz barwami minerałów, zostały zamienione w kamienie wiele milionów lat temu. Krzemionka pochodząca z popiołu wulkanicznego, rozpuszczona w wodzie przedostała się do tkanek drzewa i przeobraziła w kryształy. Mimo że wynoszenie choćby okruszynki skamieniałego drewna z parku narodowego jest zabronione, to przy autostradzie wielkie reklamy polecały kupno takich pamiątek.

Tablice te towarzyszyły mi aż do Holbrook, gdzie lata świetności Drogi 66 przypominał Wigwam Village - motel, w którym za pokoje służą indiańskie tipi - namioty, ale nie skórzane, tylko z betonu (czyli domki kempingowe). Przed każdym tipi stały zabytkowe samochody, a wszystko razem sprawiało wrażenie, jakby czas się tu zatrzymał.

Winslow, leżące trzydzieści mil dalej na zachód, zaskoczyło mnie robotami drogowymi. Miasteczko rozbrzmiewało hałasem świrdrów, młotów i wielkich maszyn. Sprzedawca w sklepiu spożywczym wyjaśnił, że to część projektu przywrócenia świetności Winslow, które niegdyś było największym miastem w tej okolicy, a po uruchomieniu autostrady I-40 zaczęło umierać. Teraz, po latach zastoju w tym dziesięciotysięcznym miasteczku coś wreszcie zaczęło się dziać, a to zasługa nowego burmistrza, więc wszyscy cierpliwie znoszą hałasy i niewygodę objazdów.

Kilka przecznic dalej, na odnowionym już odcinku ulicy, rozbrzmiewała melodia, której nie można pomylić z żadną inną: *Hotel California* grupy The Eagles. Dźwięki tego megaprzeboju dobiegały z głośników ustawionych w oknie sklepu u zbiegu ulic. Zaintrygowana weszłam do środka. W mrocznym, chłodnym wnętrzu było wszystko, o czym może zamarzyć fan zespołu The Eagles. Korpulentna właścicielka entuzjastycznie zdradziła mi powód uwielbienia tej grupy, grającej mieszankę hard rocka i country. The Eagles nagrali w 1972 roku piosenkę *Take It Easy*, w której solista śpiewał, że stoi na rogu ulicy w Winslow, nie przejmując się niczym, widzi superdziewczynę w przejeżdżającej wolno furgonetce i zastanawia się, czy jej miłość uratuje go tego dnia. I to jest właśnie ten róg ulicy. Wskazała przez okno. Wyrzałam, podążając wzrokiem za jej palcem, i zobaczyłam to samo skrzyżowanie, na którym przed chwilą stałam. Kobieta powiedziała, że nie tylko fani zespołu chcieli zobaczyć, gdzie znajduje się miejsce, w którym można *take it easy* i przez które przejeżdżają takie zgrabne laski. Ludzie szukali rogu ulicy, stali chwilę, czuli sphywającą na nich wolność, robili pamiątkowe zdjęcia. Dla ich potrzeb wszystkie okoliczne sklepy zmieniły asortyment. W podziękowaniu za rozświetlenie miasteczka jego mieszkańcy postawili pomnik, który przedstawia autora piosenki Jacksona Browne'a. Naturalnej wielkości postać z brązu opiera się o słup lampy ulicznej, trzyma w prawej dłoni gitarę akustyczną, wspartą na bucie prawej nogi. Za pomnikiem, na jedynej zachowanej ścianie domu (podarowanego Winslow przez właściciela na potrzeby parku „Standing on the corner”) znajdował się wielki napis z nazwą miasta. Obok obraz dziewczyny prowadzącej półciężarówkę Forda, namalowany na byłej sklepowej witrynie, wyglądał jak prawdziwe odbicie w szybie.

Do postaci z brązu podeszły trzy młode dziewczyny. Próbowały objąć pomnik, pozując do zdjęcia. Wszystkie miały długie włosy, bluzki z rozszerzającymi się rękawami i mnóstwo koralików na szyjach i przegubach. Taki trochę hippisowski styl. Okazało się, że są przyjaciółkami ze szkoły, jadą z Ohio, przeprowadzając się do Kalifornii. Jedna dostała się na studia w Los Angeles, dwie postanowiły wykorzystać okazję, by wyrwać się z rodzinnego

miasteczka. Zapakowały dobytek i ruszyły przed siebie. Do Winslow przyjechały po inspirację. Każda z nich chciałaby umieć się nie przejmować, wyluzować. Ale teraz takie czasy, że wszystko się przeżywa intensywniej. I szkolne niepowodzenia i niejasne perspektywy zrobienia kariery. Dziewczyny mówiły poważnie, dojrzałe. Ale gdy z głośników rozbrzmiały pierwsze takty kolejnej piosenki, wszystkie naraz pisnęły, zaczęły podskakiwać, bić brawo, po czym zaśpiewały na cały głos razem z grupą The Eagles:

Don't let the sound of your own wheels

Drive you crazy

Lighten up while you still can

Don't even try to understand

Just find a place to make your stand

And take it easy!

Nie pozwól, by dźwięk twoich kół

Doprowadzał cię do szału.

Wyluzuj, jeśli wciąż możesz.

Nawet nie próbuj zrozumieć.

Po prostu znajdź miejsce, by stanąć,

I nie przejmuj się.

Muzyka towarzyszyła mi aż do zajazdu La Posada. Gdy rozłożyście dwukondygnacyjne gmaszysko rozpostarło się przede mną, zaskoczył mnie jego delikatnie łososiowy kolor. Od dużego, wyłożonego brukowymi kostkami parkingu, ścieżka do wejścia wiodła przez niewielki skwer skryty za niskim, białym murkiem. Metalowa tabliczka z wymalowaną nazwą hotelu zawieszona na żeliwnej, misternie rzeźbionej bramie bujała się przy mocniejszych podmuchach wiatru.

Wewnątrz powitały mnie ogromne przestrzenie wykończonego drewnem holu i kolejnych wylaniających się sal, zwieńczone grubymi belkami na suficie. Stare skórzane meble, mnóstwo rzeźb, bibelotów i obrazów na ścianach. W długich korytarzach pełno było zakamarków. Pokoje hotelowe umieszczono na piętrze. Każdy oznaczono nazwiskiem znanej osoby, która w nim spała. Przy drzwiach w holu zdjęcie i notka biograficzna z ciekawostkami. Noc spędzili w La Posadzie John Wayne, Shirley Temple i Frank Sinatra. Na półpiętrze znalazłam olbrzymią salę z kominkiem pełniącą funkcję świetlicy. Zanurzyłam się w wielkim skórzanym fotelu,

wyobrażając sobie, jak osiemdziesiąt lat temu panie w długich sukniach z parasoleczkami w dłoniach musiały się zachwycać widokiem swoich dzieci bawiących się w ogródku. Teraz można tu sprawdzić pocztę elektroniczną, bo działa bezprzewodowy internet.

Właściciel La Posady jest jednocześnie burmistrzem Winslow. To Allen Affeldt - pięćdziesięciolatek, największy przedsiębiorca w mieście, architekt z wykształcenia i zamiłowania. Gdy przyszedł na spotkanie, pomyślałam, że w krótkich spodenkach khaki i szarej koszulce polo wygląda jak turysta. Szczupły, siwowłosy i w okularach sprawiał wrażenie bardzo spokojnego. Usiedliśmy przy stoliku w hotelowej restauracji uznawanej za najlepszą w północnej Arizonie i Allen zaczął opowiadać. Przyjechał do Winslow w 1994 roku, zaintrygowany, a może bardziej zirytowany faktem wpisania La Posady, zbudowanej pod koniec lat dwudziestych XX wieku, na listę zabytków przeznaczonych do wyburzenia. A przecież gmach ten jest jednym z najważniejszych i najlepszych przykładów prac Mary Colter, najwybitniejszej architektki w Stanach Zjednoczonych. Mary Colter zaprojektowała ten budynek jako ogromną hacjendę. Podróżni wprost z peronu wchodzili w przestrzeń arystokratycznego luksusu - ogródki, korytarzyki, podcienia, wielkie sale. Sama mówiła, że to perła w jej dorobku. Mieściły się tu hotel i restauracja sieci Harvey House - liczącej ponad osiemdziesiąt zajazdów na różnych stacjach kolejowych. Zajazdy Freda Harveya (pierwszy powstał w 1875 roku), rozsiane na całym południowym zachodzie, wniosły w życie Dzikiego Zachodu prawdziwą rewolucję kulturową. Na stołach leżały białe obrusy, a klientów obsługiwały młode, grzeczne i uczynne dziewczyny z nienagannymi manierami, odziane w czarne suknie i białe fartuszki. Rekrutowano je z lokalnych dobrych domów, były szkolone pod okiem fachowców i przestrzegały surowej dyscypliny. Górnicy, kowboje i poszukiwacze złota wcześniej w knajpach widzieli tylko kobiety lekkich obyczajów.

La Posadę uruchomiono w 1930 roku, był to ostatni Dom Harveya. Nie miała jednak szczęścia. Od czasów wielkiej depresji ruch kolejowy się zmniejszał, aż wreszcie właściciel, czyli Santa Fe Railway, zdecydował o przeznaczeniu hotelu na biura. Potem gmach przez wiele lat zupełnie nieużywany niszczał. Allen Affeldt opowiadał mi o tym przejęty.

- Jest coś niezwykłego w tym budynku. To prawdziwe dzieło sztuki. Można tu się uczyć historii - powiedział. - Nie wiem, może po prostu uczucie, jakim obdarzyła ten gmach Mary Colter, gdy go budowała, dopiero teraz ma szansę rozkwitnąć na dobre?

Affeldt trzy lata negocjował z szefostwem kolei, ponieważ chciało ono zburzyć budowlę ze względu na ogromne koszty utrzymania, konieczność usunięcia azbestu ze ścian i paliwa, które wsiąkło w ziemię przy torach. Sam budynek nie przedstawiał żadnej wartości dla kolei. Ostatecznie Santa Fe Railway zgodziła się sprzedać ziemię. Szacunkowy koszt renowacji zrujnowanego gmachu wyniósł wówczas dwanaście milionów dolarów.

- Nikt nie chciał mi udzielić pożyczki na tę inwestycję. Nikt nie myślał, że można zrobić dochodowy hotel i restaurację w takiej dziurze jak Winslow - Allen ze smutkiem pokiwał głową.

Zaryzykował więc majątkiem własnym i żony. Sami wzięli się do roboty. Allen pracował jako architekt, prawnik i księgowy. Murował i malował. Żona - Tina Mion, artystka malarka - wstawiała okna, malowała witraże i zdobiła ściany wewnątrz. Razem sprząтали i prali. Zamieszkali w tym zniszczonym budynku. Tina urządziła sobie studio w skrzydle, gdzie był kiedyś szpital.

Teraz przybiegła na spotkanie z nami w poplamionych farbą spodniach z karczkiem, z rozwianymi włosami i odrobiną szaleństwa w oczach. Zastrzegła, że siada tylko na chwilkę, bo właśnie maluje serię obrazów i ma wenę. Nie może więc długo rozmawiać. Ale zdążyła powiedzieć, że wtedy na początku, w 1997 roku przyjaciele ją pytali, czy się nie boi. A przecież tu żadnych duchów nie ma. Są za to takie inspirujące wnętrza. Po roku, gdy odremontowali i wyszykowali pięć pokoi, zdecydowali się otworzyć hotel. Wtedy jedna z gazet nazwała Winslow „miastem zbyt silnym, by umrzeć”. Przyjeżdżający do La Posady byli zdziwieni, bo taki olbrzymi gmach, a tylko pięć pokoi do wynajęcia. Tina, opowiadając to, śmiała się, ale na początku nerwów było co niemiara.

- Nigdy nie zapomnę, jak dawaliśmy klucz pierwszym gościom. Byłam rozgorączkowana z emocji i przerażona, czy im się spodoba. Wtedy pomyślałam, że będzie kompromitacja, bo nie mamy takich malutkich mydełek - mówi Tina. Ale nawet bez mydełek hotel zaczął przynosić dochód już w piątym roku działalności. Remont zresztą jeszcze się nie zakończył. Kilku przyuczonych lokalnych robotników pracuje do dziś, przebudowując drugie skrzydło ogromnego budynku.

Odprowadziłam Tinę do jej atelier. Po drodze pokazała mi swoje dzieła. Zdobia wszystkie korytarze La Posady.

- Wygodnie jest mieć taką wielką własną galerię - powiedziała. To właśnie do tych wnętrz musiała zacząć malować duże obrazy. Jej prace to głównie portrety. Seria *Pierwsze Damy*, czyli

żony prezydentów, była wystawiana w Waszyngtonie, w Narodowej Galerii Portretu (National Portrait Gallery). To nie lada zaszczyt i uznanie dla talentu Tiny, była bowiem pierwszą artystką z Arizony z wystawą indywidualną w muzeum narodowym.

Gdy Tina wróciła do pracy, Allen oprowadził mnie po hotelu. Pokazywał każdą oryginalną rzecz z wyposażenia La Posady, jaką udało mu się odnaleźć i odkupić. Na przykład piękne rzeźbione ławy, które kiedyś stały na peronie. Dumny z odzyskania stojącej popielniczki zaprojektowanej przez Mary Colter opowiedział, że pewnego dnia ktoś ją zostawił przed drzwiami La Posady z karteczką: „Niech wraca do domu”. Mnóstwo sprzętów, różne elementy wyposażenia zostały przez lata nieużywania gmachu rozkradzione, „pożyczone” - jak określił Allen. Gdy ludzie zobaczyli, że zajazd wraca do dawnej świetności, zaczęli oddawać. Najwyraźniej przekonywali się, że przybysz z Kalifornii jest w stanie osiągnąć sukces.



Allen Affeldt walczył o możliwość odrestaurowania niezwyklej La Posady. Gdy mu się to udało, mieszkańcy Winslow wybrali go na burmistrza.

On sam, w miarę jak La Posada nabierała kolorów i zapełniała się gośćmi, doszedł do wniosku, że piękny i luksusowy hotel nie wystarczy, by przyciągnąć turystów do Winslow. Zmierzając do celu podróży musieli bowiem jechać dziurawymi ulicami, mijając rozsypujące się domy i speluny, z których wychodzili zataczający się pijacy. Allen zaczął przekonywać innych przedsiębiorców, hotelarzy, sklepikarzy, restauratorów, by coś z tym wspólnie zrobili. Wielu chwyciło za pędzle i odnowiło swoje budynki. Affeldt zabiegał u władz o remont ulic, kanalizacji, wodociągów. Wywalczył ostre przepisy dotyczące sprzedaży alkoholu nietrzeźwym, przewidujące nawet zamknięcie lokalu. Pijacy zniknęli z ulic. Stworzono też dla nich duży ośrodek odwykowy. W mieście nie było żadnych kulturalnych rozrywek, Affeldt kupił więc i wyremontował stare, miejscowe kino. Ludzie znów mogli oglądać filmy. A potem, w 2005 roku, wybrali go na burmistrza.

- To był prawdziwy szok dla tutejszych zasiedziałych rodzin, bo ja mieszkałem w Winslow zaledwie osiem lat - powiedział. - Te rodziny od pokoleń kontrolowały tu życie. Chciały, żeby wszystko zostało po staremu. Bały się, że będę chciał zbyt wiele zmienić, a dla nich zmiana oznaczała niebezpieczeństwo. Przecież w takim miasteczku dla kogoś, kto prowadzi jedyne biuro prawne, rozwój oznacza nic innego jak to, że przyjedzie następny prawnik i otworzy nową kancelarię, że będzie konkurencja, że trzeba będzie ciężiej pracować.

Najwyraźniej mieszkańcy Winslow uznali, że La Posada znaczy tyle, co katalizator zmian. Patrząc na schludne domki, czyste ulice i zachwyconych turystów, wiedziałam, że się nie pomylili.

hobo

Za małą miejscowością Winona Droga 66 prowadziła w gęsty las. Ogromne iglaste drzewa dawały przyjemny cień i rozkoszną odmianę dla zmęczonych słońcem oczu. Zbliżałam się do Flagstaff, sześćdziesięcioletniego miasta, leżącego na wysokości 2100 metrów nad poziomem morza, nazywanego Bramą do Wielkiego Kanionu. Szosa najpierw wiała się między drzewami, potem rozszerzyła się do czteropasmowej ulicy. Po lewej stronie biegły równoległe tory kolejowe, po prawej zaś stał ciąg moteli rozświetlonych neonami. W jednym z nich recepcjonistka o skośnych oczach, energiczna i zdecydowana kobieta w nieokreślonym wieku, po wypełnieniu przeze mnie formularza meldunkowego podsunęła pudełko z zatyczkami do uszu.

- Będziesz tego potrzebować - powiedziała krótko.

Chwilę później zrozumiałam, co miała na myśli. Syrena przejeżdżającego pociągu ryknęła tak głośno i tak blisko, że aż podskoczyłam. Recepcjonistka wyjaśniła, że prowadzi tędy główna trasa kolejowa na zachód, a pociągi trąbią pierwszy raz przed wjazdem do miasta, drugi - przed przejazdem w centrum. W ciemności pędziły niewidoczne, tylko po stukocie kół można było poznać, że to długie i ciężkie składy towarowe.

Następnego dnia, czekając na przejeździe w centrum miasta, miałam okazję się przekonać, jak długie są te pociągi towarowe. Sznur wagonów z kontenerami prosto z Chin wydawał się nie mieć końca. Zaczęłam się bawić w liczenie, ale po pięćdziesięciu zrezygnowałam. Przy szlabanie cierpliwie czekało sporo osób - rowerzystów i pieszych. Zmierzali na *farmer's market*, targ odbywający się co niedziela rano na placu za torami. Na bazarze każde stoisko było oznaczone nazwą lokalnego producenta - farmera, a raczej ekologa, bo wszędzie sprzedawano tylko organiczne produkty. Przy koszu z pachatymi pomidorami kilka kobiet, wachając niepryskane warzywa, zachwycało się ich świeżością. Mężczyzna w kapeluszu wybierał krzywą marchewkę. Obok straganu z ziemniakami, rzepą, cebulą i czosnkiem starsze małżeństwo chłonęło zapach ziół. Kilkuosobowe kolejki czekały przy każdym sprzedawcy. Towar znikał szybko. Za stoiskiem z miodem, była wystawiona ceramika. Dalej drewniane figurki. „Popieraj lokalnych artystów” - głosił napis. Obok wisiały siatki plecione ze sznurka. Kwiaty w poskręcanych szklanych wazonach. Bardzo dużo osób przyszło z psami. Ludzie przystawali, gawędzili, pozdrawiali się jak starzy, dobrzy znajomi. Psy obwąchiwały wszystko i chętnie dawały się głaskać.

Całość tworzyła nietypowy amerykański obrazek. Wśród tłumu wyróżniał się głośnym śmiechem łysy mężczyzna po czterdziestce, z małą kozią bródką. Scott, bo tak miał na imię, uświadomił mi, że Flagstaff jest najbardziej liberalnym miastem w konserwatywnym stanie, jakim jest Arizona. Mieszka tu dużo artystów, ludzi szukających alternatywnych rozwiązań, byłych hippisów. Jest spora społeczność gejowska. Działa także ruch *slow food*, skupiający ludzi chcących chronić tradycyjne, regionalne sposoby upraw, hodowli i przygotowywania potraw. Apteki promują naturalną medycynę i indiańską herbatkę dobrą „na wszystko”. Mieści się tu mnóstwo knajp i kawiarenek, galerii i sklepików z wyrobami lokalnych artystów.

Scott zaproponował, że wszystko mi pokaże, najlepiej podczas przejażdżki rowerowej. Zaprowadził mnie do swojego domu, gestem wskazał rowery stojące na podjeździe, mówiąc, bym wybrała najwygodniejszy. Jego pies, wesoły i kudłaty mieszaniec o imieniu Moon („Księżyc”), też chciał się przewietrzyć. Scott, wyjaśniając mi, że Moon ma kłopoty ze stawami i nie może dużo biegać, instalował do swojego roweru specjalną przyczepkę dla zwierzęcia. Pokonywaliśmy potem we trójkę pagórki Flagstaff, wjeżdżaliśmy we wszystkie uliczki i zakamarki, a Scott prezentował mi najciekawsze i swoje ulubione miejsca.



Mój przewodnik po Flagstaff - Scott i jego pies Moon w przyczepce rowerowej. Scott jest wolnym człowiekiem. Zrezygnował z kariery, by mieć więcej czasu dla synów.

Wróciliśmy w końcu w pobliże targowiska i zasiedliśmy razem z psem przy stoliku przed kawiarnią Tima Macy’ego. Sądząc po długiej kolejce, był to jeden z popularniejszych lokali w mieście. Scott krzyknął do chłopaka obsługującego klientów, żeby podał nam to, co zwykle.

- Zamawianie bez kolejki jest przywilejem stałych gości - wyjaśnił.

Po chwili dostaliśmy kuskus z owocami i mlekiem. Jedząc, przyglądaliśmy się przechodzącym ludziom i rozmawialiśmy. Ta przejażdżka rowerowa zmieniła moje dotychczasowe wyobrażenie o Flagstaff jako „turystycznej pułapce”, szybkim przystanku w

drodze do Wielkiego Kanionu. Scott powiedział, że mogę codziennie brać rower i zwiedzać miasto, i że mogę się u niego zatrzymać. Potem opowiedział o sobie. Studia medyczne, doktorat z psychologii, długi staż w pracy z plemieniem Apaczów. Od kilku lat jest pielęgniarzem w miejskim szpitalu. Zrezygnował z kariery, bo po rozwodzie uznał, że musi być bliżej synów, mieć dla nich czas, a kariera i pieniądze nie są najważniejsze. Jego dziewczyna, Amanda, jest artystką, robi zdjęcia, maluje, dużo podróżuje, głównie do Azji i Ameryki Południowej, w poszukiwaniu inspiracji, ale także by pracować dorywczo. Jak na zawołanie dołączyła do nas Amanda - dwudziestoparoletnia, długowłosa szatynka, opalona i uśmiechnięta. Siedzieliśmy w tej kawiarni dość długo, bo co chwila ktoś podchodził do stolika i witał się ze Scottem.

W ten sposób poznałam siedemdziesięciodwuletniego Joe Richardsa - najbardziej znanego i lubianego człowieka we Flagstaff. Przez trzydzieści dwa lata sprawował funkcję szeryfa, wybory wygrywał osiem razy z rzędu. Przemity, błękitnooki, przystojny mężczyzna w dzinsach i jasnym kowbojskim kapeluszu nagabywany przeze mnie, jak udało mu się zostać rekordzistą, odpowiedział, że działał zgodnie z zasadą: im mniej złości, gniewu jest wokół nas, tym lepiej dla wszystkich.

- Dzikiego konia oswoisz, łagodnie go traktując. Nic nie wskórasz, jeśli będziesz zmuszać go do wykonywania poleceń - powiedział z delikatnym uśmiechem. Po przejściu na emeryturę w 2006 roku zaczął malować obrazy. Zobaczyłam je potem na wystawie w biurowcu w samym centrum Flagstaff - arizońskie krajobrazy w pastelowych kolorach. Spokojne jak Joe.

Gdy tłum na ulicy się przeredził, po drugiej stronie jezdni dostrzegłam dwóch mężczyzn w nieokreślonym wieku. Z daleka wyglądali na artystów alternatywnych. Brodaci, zarośnięci, trochę zakurzeni. Było ciepło, a oni w swetrach. Rozłożyli na murku folię, a na niej jakieś koraliki, wisiorki. Hippisi czy bezdomni? Scott uświadomił mi, że ani jedno, ani drugie. To *hobo* - ludzie, którzy z własnego wyboru żyją na marginesie społeczeństwa, wędrują, bo czują potrzebę ruchu, zmiany otoczenia. Pracują dorywczo po drodze, najczęściej w zamian za nocleg lub jedzenie, a gdy odpoczną i zbiorą pieniądze na dalszą podróż, to znów wyruszają. Tym właśnie różnią się od innych oryginałów, jakich można spotkać w trasie, na przykład trampów, czyli włóczęgów, którzy nie hańbią się pracą, i bumów - włóczęgów, którzy piją i nie pracują, czyli meneli i próżniaków. Najwięcej *hobo* jest na środkowym zachodzie i Zachodnim Wybrzeżu, bo jeździ tu dużo pociągów. *Hobo* najczęściej podróżują właśnie pociągami towarowymi, na gapę.

Czasem łapią autostop. Nazwa *hobo* to albo skrót od *homeward bound* - „w stronę domu”, albo od *hopping boxcars* - „wskakiwanie do wagonu towarowego”.



Joe Richards, najbardziej znany i lubiany człowiek w Flagstaff. Był szeryfem przez trzydzieści dwa lata, osiem razy wygrywał wybory. Mówi: „Chętniej wisiałbym na linie z helikoptera i kogoś ratował, niż przemawiał na wiecu. Wolałbym odbijać zakładników albo ścigać poszukiwanych listem gończym przestępców, niż bawić się na przyjęciu wyborczym”. Ale robił i jedno, i drugie.

Mężczyźni siedzący na murku nikogo nie zaczepiali, nie nagabywali. Cierpliwie czekali, aż ktoś się zainteresuje ich wyrobami. Podeszłam do nich i spytałam, dokąd zmierzają. Wędrowcy, liczący sobie pod sześćdziesiątkę, podnieśli ku mnie ogorzałe twarze i odpowiedzieli, że są w drodze do Kalifornii, wracają z Narodowej Konwencji Hobo, która co roku odbywa się w miasteczku Britt, w stanie Iowa. Pierwszą taką konwencję zorganizowano już w 1900 roku. Spotyka się tam corocznie około stu pięćdziesięciu łazików, mężczyzn i kobiet. Gdy spytałam, czy wiedzą, ilu jest *hobo* w Ameryce, wzruszyli ramionami. „Nikt tego nie wie” - przyznali. Co roku podobno aż trzydzieści tysięcy osób podróżuje na gapę pociągami towarowymi, ale wśród nich są i studenci pragnący posmakować zakazanego owocu (jazda pociągami towarowymi jest oficjalnie zabroniona i surowo karana), i szukający przygody yuppies, którym adrenalina jeszcze za mało podskakuje na Wall Street (wskakiwanie jest niebezpieczne, bo pociągi szybko jeżdżą), a także dzieciaki uciekające z domów. Jeżdżą też różnego pokroju włóczędzy, menele, wariaci, pijacy, narkomani i ci, którzy uciekają przed prawem: złodzieje, mordercy i kryminaliści.

- Samo wskoczenie do pociągu nie czyni z człowieka *hobo* - oświadczył szczuplejszy mężczyzna. I dodał, że prawdopodobnie ich społeczność liczy zaledwie tysiąc osób. Bo w byciu *hobo* chodzi nie o samo przemieszczanie się, lecz o styl życia, filozofię, inne podejście do wartości, ludzi, siebie samego. Drugi mężczyzna, bardziej postawny, stwierdził, że najważniejsze

są poczucie wolności i swobodne życie, w zgodzie z naturą. Oni chcą być szczęśliwi, ale nie tak, jak nakazuje wzorzec klasy średniej, tylko tak, jak podpowiadają im ich wolne, niczym nieskrępowane serce i umysł. Spod swetra tego mężczyzny wystawała wojskowa bluza. Przyznał, że jest weteranem wojny w Wietnamie. Ten szczuplejszy powiedział, że w „wietnamskich” latach organizował demonstracje antywojenne. Wśród *hobo* dużo jest i weteranów, i dzieci kwiatów, ale są także młodzi ekolodzy i zbuntowani anarchiści. Są też tacy, którzy mają półstałe miejsce zamieszkania, i tacy, co mają samochody. Są wreszcie i tacy, którzy na co dzień jako szanowani obywatele kierują przedsiębiorstwami, jak pewien inwestor z Minneapolis - na kolejowy szlak ruszył pierwszy raz na początku lat siedemdziesiątych, ale się ustatkował i dziś ma rodzinę, posiadłość i prowadzi interesy. Lecz gdy zaczyna się wiosna, to coś go pcha w świat. Potrzebuje wolności, więc rusza w drogę. Podobno jego żona to rozumie, a dwudziestoletnia córka towarzyszyła mu na ostatnim zjeździe. Mężczyźni, opowiadając mi o tym, śmiali się, najwyraźniej wciąż żyli dopiero co zakończoną konwencją. Powiedzieli też, że są dumni z doborowego towarzystwa. Przecież *hobo* był Jack Kerouac, który siedem lat podróżował po Stanach, a potem w trzy tygodnie napisał książkę *W drodze*. *Hobo* byli także Jack London i dwóch noblistów z dziedziny literatury: dramaturg Eugene O'Neill i powieściopisarz John Steinbeck.

Mężczyźni nie byli w stanie przewidzieć, jak długo będą we Flagstaff. Chcieli zarobić na dalszą podróż, sprzedając zrobione przez siebie wisiorki, i liczyli, że uda im się to dość szybko dzięki turystom licznie przybyłym do miasta na doroczny zjazd starych samochodów.

Spotkałam ich jeszcze dwa razy w kolejnych dniach w centrum Flagstaff. Chętnie ze mną rozmawiali, bo - jak zauważyli - przynosiłam im szczęście. Turyści, widząc mnie pochyloną nad wisiorkami, nabierali śmiałości i podchodzili. W rewanżu Tom i Jim - w końcu zdecydowali się ujawnić imiona - opowiedzieli mi o kodeksie honorowym *hobo*, który został przyjęty na kongresie włóczęgów, jaki odbył się w 1894 roku w Chicago. Wśród szesnastu punktów są takie: „Kieruj własnym życiem i nie pozwól, by ktoś za ciebie podejmował decyzje”. „Gdy jesteś w mieście, przestrzegaj przepisów, staraj się być dżentelmenem”. „Nigdy nie wykorzystuj słabszego od siebie”. „Nie dopuść do tego, byś się stoczył, został głupim pijakiem, dawał zły przykład”. „Szanuj naturę, nie śmieć”. „Staraj się być czysty”. „Pomagaj dzieciom, które uciekły z domu, namawiaj je do powrotu”. „Pomagaj innym podróżnikom”. „Nigdy nie pozwalaj, by jakkolwiek *hobo* molestował dzieci, a molestujących zgłoś władzom. Są oni największą zakałą

każdego społeczeństwa”. Oprócz zasad filozoficznych, etycznych są też rady praktyczne, na przykład taka: „Gdy szukasz pracy, wybieraj tę, której nikt inny nie chce. W ten sposób nie tylko pomagasz pracodawcy, lecz także zapewniasz sobie miejsce zatrudnienia na przyszłość (gdy przyjedziesz w tę samą okolicę następnym razem)”. Inny punkt mówi: „Jeśli nie ma dostępnej pracy, wykorzystaj swój talent i umiejętności”. Mężczyźni, wskazując towar rozłożony na folii, oznajmili, że dlatego robią biżuterię, ozdoby plecione ze skóry, drewniane figurki. Inni *hobo* grają na gitarze, organkach i śpiewają.

Opowiedzieli mi też o slangu *hobo* i specjalnym kodzie rysunkowym, dzięki któremu dają znać innym wędrowcom, czy w tym domu można dostać coś do jedzenia, mogą ostrzec przed agresywnym psem, albo że gospodarz niemiły, więc lepiej do niego nie wstępować. Pokazując swoje nieduże, mocno sfatygowane plecaki, powiedzieli, że nie mają wielkich potrzeb i przeważnie udaje im się znaleźć bezpieczny nocleg.

Następnego dnia nigdzie nie mogłam ich znaleźć. Pewnie już pojechali. Ja jeszcze zostałam, zafascynowana odkryciem innego oblicza Flagstaff. Przekonałam się, że Scott i Amanda nie zamykają na klucz drzwi swojego domu. Wy tłumaczyli mi, że zamki ograniczałyby ich wolność. Dowiedziałam się też, że są wyznawcami teorii „sześciu stopni oddalenia”, sformułowanej przez amerykańskiego socjologa Stanleya Milgrama, która mówi o tym, że świat jest tak mały, że wystarczy łańcuszek sześciu osób, by dotrzeć do jakiegokolwiek człowieka na świecie. Bo ktoś zna kogoś, kto zna kogoś. Scott aktywnie działa w społeczności Couch Surfing, której członkowie udostępniają sobie nawzajem dach nad głową, zapraszając w gościnę podróżujących na swoje kanapy (stąd nazwa). Przez ich dom codziennie przewijało się kilka osób. W ciągu tych paru dni nigdy nie widziałam, by Scott się spieszył czy irytował. Cieszył się każdą chwilą i uspokajał każdego, kto zdradzał oznaki zdenerwowania.

- Lepiej idź na spacer z psem - powiedział, gdy któregoś dnia zaczęłam się złościć chwilowym brakiem połączenia z internetem w moim laptopie.

Będąc we Flagstaff, nawiązałam korespondencję z Wielkim Księciem Hobo Cyberprzestrzeni - Franem DeLorenzo, którego motto brzmi: „Żyj wolny lub umrzyj”.

- Modlimy się lub nie, pracujemy na stałe lub dorywczo, nie jest to istotne. Najważniejsze, że nie musimy naszych pomysłów na życie konfrontować z wyobrażeniami innych ludzi - tłumaczył mi Fran w kolejnych mailach. Okazało się, że wielu *hobo* ma swoje strony internetowe. Fran oburzył się moim pytaniem, jak to możliwe, i napisał, że nie są

ignorantami, niewydukowanymi matołami tylko dlatego, że nie mają domu i wybierają inny styl życia. W każdym, nawet najmniejszym miasteczku jest przecież biblioteka publiczna, w której można korzystać z internetu. Do nowinek technologicznych trudno przekonać tylko najstarszych *hobo*, ale to jest tak, jak z resztą społeczeństwa. Fran przyznał, że sam ma siedemdziesiąt dziewięć lat. Mieszka w New Hampshire. Do końca życia będzie *hobo*, choć już od dłuższego czasu nie jeździ pociągami, bo bycie takim wędrowcem nie zaczyna się w momencie wskoczenia do pociągu i nie kończy w chwili, gdy uda się z niego wyskoczyć. Założenie rodziny, posiadanie domu nie zmienia tego, co jest w człowieku - ducha.

Gdy wyjeżdżałam z Flagstaff, pociąg jadący równoległe z moim samochodem trąbił przeraźliwie. W kierunku torów szedł zakurzony, przygarbiony człowiek. Pomyślałam, że to pewnie kolejny *hobo*. Zatrąbiłam, dając znak, że chętnie go podwiozę. Machnął ręką, pokazując, że woli wskoczyć do pociągu. Oto kolejna niespokojna dusza, która nie może usiedzieć w jednym miejscu, czuje potrzebę zmiany otoczenia, a zapach podkładów kolejowych i hałas zbliżającego się składu towarowego oznacza dla niej obietnicę przygody.

żyć momentami zapierającymi dech

O poranku na dworcu kolejowym w Williams panował duży ruch. Pociąg do Wielkiego Kanionu rzeki Kolorado stał już na peronie. Przed kasą utworzyła się długa kolejka, turyści odbierali zamówione wcześniej bilety. Wzdłuż wagonów przechadzali się najprawdziwsi kowboje w kapeluszach, z ostrogami przypiętymi do butów i z pistoletami w olstrach. Dzieciaki piszczwały zachwycone.

W drzwiach wagonu przywitała mnie Morgan - energiczna przewodniczka i opiekunka turystów. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu, na białą koszulę nałożony fartuch. Wskazała mi miejsce na drewnianej ławce i wręczyła butelkę wody mineralnej. W ciągu kilku minut wagon wypełnił się podekscytowanymi głosami podróżnych i wkrótce zabytkowa lokomotywa parowa wydała z siebie przeciągły pisk. Szczęknął metal, zazgrzytały koła na szynach. Pociąg powoli ruszył. Wzdłuż torów stali ludzie i machali do nas radośnie. Morgan chwyciła za mikrofon i zaczęła sypać informacjami. Najpierw na temat naszego wagonu. To zabytkowy pullman z 1923 roku, w czasie drugiej wojny światowej woził żołnierzy, z całego składu ma najwięcej oryginalnych elementów: drewniane okna, mechanizmy siedzeń. Od razu przestałam narzekać w myślach na twarde siedzisko, w końcu to zabytek. Morgan przestrzegła przed pochopnym otwieraniem okien. Powiedziała, że są stare, czasem górna szyba spada i może zmiażdżyć rękę. Zauważyłam, że poskutkowało to lepiej niż zakazy. Wszystkie wystawione za okno łokcie od razu się cofnęły. Sprawy bezpieczeństwa mieliśmy już załatwione, więc przewodniczka poinformowała nas, że mamy do pokonania sześćdziesiąt pięć mil.

Wyrzucała z siebie kolejne informacje w szybkim tempie, jakby się bała, że nie zdążymy poznać jej encyklopedycznej wiedzy. Pociąg do Wielkiego Kanionu zaczął jeździć w 1901 roku. Bilet kosztował wtedy 3,95 dolara (teraz najtańszy bilet na drewnianą ławkę kosztuje ponad sześćdziesiąt dolarów). Jechali tym pociągiem prezydenci (Theodore Roosevelt, Taft, F.D. Roosevelt, Eisenhower), gwiazdy show-biznesu (Clark Gable, Doris Day) i koronowane głowy (król Grecji). Gdy Amerykanie zaczęli masowo kupować samochody, Grand Canyon Railway popadło w tarapaty. W 1968 roku odjechał ostatni skład. Potem przez dwadzieścia lat tory zarastały trawą. Aż w 1989 roku małżeństwo z Nebraski - Max i Thelma Biegertowie, którzy majątek zbili na rozsiewaniu nawozów samolotami, wyłożyli piętnaście milionów dolarów, by

spełnić swe marzenie i znów uruchomić słynny pociąg. Rozległy się oklaski - Amerykanie potrafią docenić szczodrość.

Mijaliśmy ogromne połacie ziemi, na której między kamieniami rosły jakieś krzaki i gdzieś tam kaktusy. Dostrzegłam kilkadziesiąt krów wspinających się po skałach jak kozy. Deszczowe chmury zasnuły niebo. Ktoś z tyłu jęknął, że fatalna pogoda. Morgan wytłumaczyła, że sezon monsunów w Arizonie trwa w lipcu i sierpniu. Czasem zdarza się nawet, że spadnie śnieg na 4 lipca, na Święto Niepodległości. Rodzina ze Wschodniego Wybrzeża nie dowierzała.

- Jak to możliwe? - szeptali między sobą małżonkowie. - Przecież jest taki upał.

Tymczasem do wagonu wszedł wysoki mężczyzna w kremowym kapeluszu. Wyglądał na sześćdziesięciolatka. Spod nakrycia głowy wystawały długie, siwe włosy. Miał na sobie białą koszulę, czerwony krawat, czarne dżinsy. Brązowo-kremowa atlasowa kamizelka uzupełniała elegancki strój. Do tego nosił wysokie, skórzane buty z ostrogami. Przystojna twarz, okraszona wąsikiem i bródką, wyglądała bardzo dostojnie. Dopiero gdy poprawił kapelusz, szykując się do występu, zauważyłam, jak mocno ma przerzedzone włosy. Z tego, co mówił, wynikało, że bliżej mu do siedemdziesiątki. Przedstawił się („Mam na imię Jim”) i zaczął śpiewać. Miał donośny, miły głos. Po każdej piosence wyciągały się w jego kierunku ręce z napiwkami. Jim nie chował pieniędzy wstydliwie. Powoli składał każdy banknot tak, by inni widzieli. Ludzie dawali i dolara, i pięć. Po świetnie wykonanym utworze Johnny’ego Casha ktoś dał dwadzieścia dolarów. Mała dziewczynka stanęła w przejściu, ścisnęła w dłoni trzy jednodolarowe banknoty. Nie wiedziała, jak je wręczyć. Jim pomógł jej, pytając: „Czy to dla mnie?”. Ona w odpowiedzi tylko kiwnęła głową uszczęśliwiona, że pomógł jej wybrnąć z trudnej sytuacji.

Na zakręcie widać było, jak chmury pary wypuszczone przez lokomotywę przepływają nad spaloną słońcem prerią. Dźwięk gitary i miły głos Jima wprowadziły wszystkich w dobry nastrój.

Pociąg zbliżał się już do stacji. Morgan wygłosiła do mikrofonu komunikaty organizacyjne i postanowiła przygotować turystów na czekający ich widok Wielkiego Kanionu rzeki Kolorado. Powiedziała, że w ciągu pięciu lat pracy w tym pociągu widziała kanion ponad tysiąc pięćset razy. I za każdym razem ją urzekał.

- Życie nie polega na tym, by liczyć oddechy, ale by cieszyć się momentami zapierającymi dech - powiedziała i zamilkła, żebyśmy dobitnie zrozumieli to przesłanie.

Dopiero na stacji Grand Canyon Village zobaczyłam, jaki tłum dotarł tu wraz ze mną. Ludzie jak mróweczki podążali do wyjścia, nawet nie doceniając, że budynek stacji ma status narodowego zabytku krajobrazowego. Jest to jedyna drewniana stacja kolejowa w USA, która wciąż działa, i to codziennie. Zresztą, wbrew nazwie, Grand Canyon Village jest małym miastem, mieszka tu tysiąc siedemset osób.

Idąc za tłumem, dotarłam do krawędzi kanionu. I tym razem widok gigantycznej dziury w ziemi, wypełnionej najróżniejszymi kształtami i kolorami, oszołomił mnie. Pomyślałam, jak mały czuje się człowiek wobec potężnych sił przyrody. Za plecami usłyszałam szept wtórujący mym myślom: „O Boże, jaki to ogrom, jaka niedostępność”. Pani w kapelusiku mówiąca te słowa ścisnęła za ramię towarzyszącego jej mężczyznę, jakby nie dowierzała, że tu jest, że naprawdę widzi ten cud natury.

Podobnego zdziwienia musiał doznać odkrywca kanionu - Garcíá López de Cárdenas, jeden z uczestników wyprawy Francisca Vásqueza de Coronady, hiszpańskiego konkwistadora i odkrywcy, poszukującego mitycznych Siedmiu Miast Ciboli na terenach dzisiejszego Nowego Meksyku i Arizony. Coronado, który złota nie znalazł, a jedynie turkusy, dotarł do Indian Acoma, Cárdenas zaś wysłany na zachód spotkał Indian Zuni. Mówili oni o wielkiej rzece. By sprawdzić prawdziwość słów czerwonoskórych, Cárdenas, który wyruszył z garstką żołnierzy, stanął tu w połowie września 1540 roku. Żołnierze próbowali zejść do kanionu, ale po trzech dniach i wielu nieudanych próbach zawrócili na południe.

Doszedł do mnie głos przewodniczki, która informowała grupę turystów, że Wielki Kanion ma 446 kilometrów długości. Szerokość waha się od 160 metrów do 29 kilometrów, głębokość wynosi 1,8 kilometra. Rzeka Kolorado zaczęła torować sobie drogę wśród piaskowców jakieś dwadzieścia milionów lat temu. Na samym dole kanionu leżą granity i łupki liczące dwa miliardy lat. W 1906 roku prezydent Theodore Roosevelt, twórca systemu parków narodowych, uznał, że człowiek może tylko popsuć efekt, jaki natura wypracowała przez całe wieki. Dlatego od 1919 roku Wielki Kanion jest parkiem narodowym.



Strażniczka parku narodowego Grand Canyon i jednocześnie przewodniczka zarzuca turystów informacjami. Co roku to miejsce odwiedza nawet dziesięć milionów osób. W obawie przed coraz większym zanieczyszczeniem środowiska władze parku apelują o pozostawianie samochodów na parkingach i proponują przejażdżki ekologicznymi autobusami.

W punktach widokowych turyści robili zdjęcia, próbując uchwycić grę światła i cieni, widoki zmieniające się co chwila pod wpływem słońca i chmur. Patrząc na tłumy zwiedzających, pomyślałam, jak bardzo się pomylił amerykański porucznik Joseph Ives, który w roku 1840 napisał w raporcie z wyprawy do kanionu: „Całkowicie nieprzydatny. Byliśmy niewątpliwie pierwszymi i ostatnimi białymi, którzy odwiedzili ten bezużyteczny zakątek”. Kanion odwiedza co roku ponad pięć milionów turystów. Większość przyjeżdża samochodami. Co ambitniejsi schodzą szlakami na samo dno. Turystów przestrzegają specjalne broszury, mówiące o tym, że w dole jest o wiele goręcej. A zdrowe kolana, zapas wody i kurtka na wieczór są niezbędne.

Szłam ścieżką wzdłuż przepaści kanionu. W dole płynęła cieniutka niteczka Kolorado. Na górze przetaczał się wielojęzyczny tłum. Na drzewie огоłoconym z liści przysiadł kruk. Wiatr podwiewał mu pióra. Kilku turystów, widząc mój obiektyw wycelowany w ptaka przystanęło. A wycieczka obcokrajowców (akurat byli to Francuzi) przeszła, głośno rozmawiając, w ogóle nie zwrócili uwagi ani na mnie, ani na zwierzę. „Grupy mają napięty plan” - wytłumaczyłam sobie. Mężczyzna w koszulce z zielonym logiem producenta traktorów John Deer, który wraz z kilkoma osobami czekał, aż zrobię zdjęcie, podszedł do mnie i przedstawił całą rodzinę. Przyjechali z Iowa. Pierwszy raz odwiedzili Wielki Kanion. Rzadko podróżują, nie mają na to ani czasu, ani pieniędzy. Syn dostał się do college’u, więc postanowili to uczcić niezapomnianymi wakacjami. Rozeszliśmy się, życząc sobie nawzajem wszystkiego najlepszego.

Żeby zdążyć na pociąg, musiałam podjechać autobusem. Na przystanku jakiś zagraniczny turysta spytał mnie, ile kosztuje bilet. Nie chciał wierzyć, że jest za darmo, bo w ten sposób park

narodowy zachęca do korzystania z publicznego transportu. Gdy podjechał pojazd wypełniony wielokolorowym tłumem, Amerykanie ustawili się w kolejce, obcokrajowcy tłoczyli się wokół drzwi.

Na peronie, obok wagonu, Morgan przywitała mnie słowami: „I co moja polska przyjaciółka zobaczyła dziś, czego wcześniej nie widziała?”. Pokazałam jej zdjęcie kruka siedzącego na drzewie. „Pięknie” - skomentowała krótko i odpytała, ile przeszłam, gdzie byłam. Morgan lubi dużo wiedzieć, na szczęście lubi też mówić.

Powiedziała mi więc, że mieszka „in the middle of nowhere” („pośrodku niczego”). Konkretnie? Na pustyni między Kingman a Prescott. Do pracy, do Williams, dojeżdża codziennie czterdzieści pięć mil w jedną stronę. Z tego prawie piętnaście to ścieżka przez pustynię. Gdy dopytywałam, dlaczego mieszka tak daleko, po chwili wahania zaczęła opowiadać.

Kiedyś mieszkała z mężem w pięknym domu w Las Vegas, mieście nazywanym „sztucznym klejnotem pustyni” lub „jaskinią rozpusty”. Miała dobrą pracę, przez wiele lat była krupierką w kasynie przy głównej ulicy Las Vegas, zwanej Strip, była mistrzynią black jacka. Wiele osób marzyłoby, żeby pracować w takim miejscu i dostawać takie napiwki, jakie ona dostawała. Pewnego dnia jedenaście lat temu stała jak zwykle przy stole, rozdawała karty, uśmiechając się do graczy. Hazardziści przegrywali swoje pieniądze. Hostessy roznosiły drinki. Obok kręciły się koła ruletek. Krzyki radości mieszały się z westchnieniami rozczarowania i okrzykami rozpacz. Nagle Morgan zdała sobie sprawę z tego, że marnuje życie. I ta myśl była nie do przepędzenia. Jakby była w jakimś transie, zdjęła fartuch krupierski i odeszła, po prostu rzuciła pracę.

- Tamtego dnia poczułam, że najważniejsze w życiu to robić to, co się kocha, i kochać to, co się robi. Ważne, by nie marnować żadnej chwili - powiedziała Morgan.

Wtedy właśnie postanowili z mężem, że zmienią całe swoje życie. Dzieciaki już studiowały, wyprowadzały się z domu. Kupili pięć hektarów na pustyni za jedyny tysiąc dolarów. Nie było tam ani linii wysokiego napięcia, ani wody. Nikt nie chciał tam mieszkać. Własnoręcznie zbudowali drewniany dom. Wodę przywożą w cysternie z pobliskiego miasteczka. Zainstalowali baterie słoneczne i akumulatory. Morgan z dumą powiedziała, że sama zrobiła całą instalację elektryczną w domu.

- Więc jeśli myślisz, że to tylko ładna buzia, to się mylisz - powiedziała, dotykając swojej twarzy. Wybuchła śmiechem zadowolona z siebie. - Mam pięćdziesiąt dwa lata i jestem dumna z

każdego siwego włosa na swojej głowie. I nie żałuję ani jednej chwili z tych ostatnich jedenastu lat - dodała.

Lokomotywa buczeniem dała znak, że odjeżdżamy. Morgan pobiegła na swój posterunek z przodu wagonu i zaczęła przypominać turystom o zasadach bezpieczeństwa. Ludzie, zmęczeni spacerem, a także nadmiarem widoków i wrażeń, siedzieli spokojnie. Nagle za oknem pojawili się jeźdźcy na koniach z zamaskowanymi twarzami. Ktoś krzyknął: „Bandyci!”.

- Jeśli będziecie dobrze wrzeszczeć, to będą zadowoleni, a tym samym łagodniej was potraktują - powiedziała do mikrofonu Morgan, zachęcając wszystkich, by poćwiczyli okrzyki przerażenia. Na trzy-cztery rozległo się gromkie: „Łaaa!!!”. Dorośli się zaśmiewali, ale dzieci nie były do końca pewne, czy to zabawa. Drzwi wagonu otworzyły się z hukiem. Weszli dwaj rabusie. Mieli twarze zasłonięte chustkami, kapelusze mocno nasadzone na czoła, kolty groźnie błyskały w ich dłoniach. Podchodzili kolejno do podróżnych, grożąc i strasząc, żądali okupu. Panie potulnie wyciągały banknoty dolarowe, panowie się uśmiechali, pokazując, że nic nie mają. Starsze dzieciaki były podekscytowane, maluchy - przerażone. Bandyci, wywijając koltami, w końcu przeszli do następnego wagonu. A do naszego wszedł wysoki mężczyzna w czarnym kapeluszu. Głośno się przedstawił: US „Marshall John Moore”. „To szeryf, nasz wybawiciel” - ktoś powiedział. Marshall John uspokajał dzieci, szarmancko witał się z paniami. Chętnie ścisnął dłonie panów. Kilka minut później byliśmy już z powrotem w Williams.

Centrum miasteczka ograniczało się do jednej ulicy, którą biegła Droga 66, o czym informowały znaki zaczepione na każdej lampie. Pełno było też porozwieszanych amerykańskich flag. Zadbane wystawy sklepów zachęcały do zakupów. Knajpki, i te w stylu westernowym, i te stylizowane na lata pięćdziesiąte, kusiły wystawionymi spisami potraw. Tu i ówdzie stały stare, zabytkowe samochody. Ciąg moteli też robił wrażenie, bo nie było tu, w przeciwieństwie do innych miejscowości, ani pustostanów, ani zrujnowanych budynków. Kilka wyglądało na dopiero co odnowione, a w jednym wciąż trwał remont. Pomyślałam, że widać tu rękę gospodarza. O burmistrza Williams zapytałam w informacji turystycznej (czynnej codziennie od szóstej rano). Okazało się, że jest nim ten sam człowiek, który w pociągu bronił turystów przed rabusiami - John Moore. Co więcej, Moore przez dwadzieścia siedem lat pełnił funkcję szefa policji. Musiałam go poznać.

W niedzielę o ósmej rano znów byłam na stacji kolejowej w Williams. Turyści jeszcze nie przyszli. Kręciło się kilku kowbojów, rozbójników i śpiewaków. Szukając Johna Moore'a,

zaczepiłam jednego z mężczyzn. Powiedział, że szef ma wolne, ale na pewno jest u siebie w biurze. I rzeczywiście był. Siedział przy komputerze w małym pokoju. Gdy weszłam, przyglądał wężom i poprawił koszulę. Jego czarny kapelusz leżał obok klawiatury. Wyjaśnił, że tylko w wolne dni ma czas, aby nadgonić papierkową robotę. Ale chętnie zrobił sobie przerwę, by opowiedzieć mi, jak to się wszystko zaczęło.

Do Williams przyjechał z Missouri w 1986 roku, żeby objąć stanowisko komendanta policji. Wcześniej pełnił tę funkcję w okolicach Kansas City. Williams było zupełnie wymarłe. Nic tu się nie działo, ludzie tkwili w apatii, turystów przyjeżdżało jak na lekarstwo. Moore myślał i myślał, aż wymyślił: przecież tu jest Dzikie Zachód. Co jest symbolem Dzikiego Zachodu? Oczywiście: pojedynki, rozróbny i strzelaniny. Skrzyknął kilku chłopaków i zaczęli wieczorami, po służbie, odgrywać przedstawienia w samym centrum miasteczka. Wyglądało to tak, że jeden facet przebrany za kowboja zaczepiał drugiego, po krótkiej wymianie zdań wyciągali pistolety i „pach-pach” strzelali do siebie. Czasami odgrywali scenę pojedynku.



John Moore, były szef policji, obecnie burmistrz miasteczka Williams, jest pomysłodawcą napadów na pociąg do Wielkiego Kanionu Rzeki Kolorado. Sam odgrywa w nich rolę dobrego szeryfa, który ratuje podróżnych i przegania zbirów. Napady na pociąg to jedna z atrakcji, powodująca, że ludzie chcą jechać do Kanionu pociągiem.

- To było wariactwo! Miejscowi patrzyli na nas jak na idiotów, stukali się w głowy. No bo jak to, szef policji bawi się w strzelaninę? - śmiał się John Moore. Ale im się ta zabawa coraz bardziej podobała. Postanowili pisać scenariusze, wprowadzili dialogi. Stopniowo też stylizowali stroje, dobierali broń. Krytyków mieli co niemiara, ale gdy turyści zaczęli specjalnie przyjeżdżać, żeby zobaczyć western na żywo, to malkontenci ucichli.

Nowe możliwości otworzyło ponowne uruchomienie linii kolejowej Grand Canyon. W pierwszej uroczystej przejażdżce brała udział gubernator stanu Arizona - Janet Neapolitano.

Moore wymyślił dla niej niespodziankę - napad na pociąg. Oczywiście uzgodnił to z agentami ochraniającymi panią gubernator. Wszyscy byli zachwyceni. I od tego momentu napady na stałe weszły do repertuaru jego aktorskiej trupy o nazwie Cataract Creek Gang. John wytłumaczył mi, że jako komendant policji i szef firmy sam odgrywa najlepszą rolę - Marshalla (to połączenie szeryfa z policjantem i agentem specjalnym).

Moore nigdy nie miał kłopotów z naborem chętnych do pracy. W bardzo prosty sposób wyjaśnił mi to człowiek, który tego dnia zastępował szefa w pociągu: „Kto nie chciałby się pobawić w western, kto nie marzył, żeby zostać szeryfem albo rabusiem?”. Mężczyzna przedstawił się jako „Will Be Justice” („Nastanie Sprawiedliwość”). Naprawdę nazywał się Dennis Shirley. Przyjechał do Williams namówiony przez Moore’a kilka lat temu. W Los Angeles był fotografem, robił zespołom rockowym zdjęcia na okładki płyt. Niezła kariera, wielki świat, miłe, dostatnie życie. Ale już mieli z żoną dosyć gonitwy. Przyjechali tu kiedyś w odwiedziny. Zachwycili się, bo widoki takie, że aż dusza się rwie, żeby wskoczyć na konia. Kupili ładną posiadłość i knajpę, którą przekształcili w Wild West Junction - skrzyżowanie piwiarni, restauracji, skansenu i kabaretu z Dzikim Zachodem w roli głównej. I od tamtej pory Dennis spełnia swoje dziecięce marzenia. I jeszcze dodatkowo parę groszy za to wpadnie.

Większość mężczyzn pracujących z Johnem Moore’em to byli policjanci i strażacy. Wielu przyjechało do Williams niedawno. Nie przeraża ich poranne wstawanie (powiedzieli mi, że od wschodu słońca piękniejszy może być tylko jego zachód). Niestraszne im słońce i wiatr („Żona mówi, że lubi mnie takiego ogorzałego od słońca, klimatyzację mam w domu”), ani konieczność noszenia kowbojskich kostiumów („Żartujesz chyba, nigdy nie wyglądałem lepiej niż w tym stroju!”). Wszyscy byli bardzo dowcipni i wygadani. Zarośnięci i długowłosi.

Niebieskie oczy sześćdziesięcioletniego Moore’a śmiały się, gdy mu relacjonowałam odpowiedzi jego podwładnych. Cieszył się, że przedsiębiorstwo ciągle się rozwija. Trupa odbywa poranną strzelaninę koło peronu, przed odjazdem pociągu. Potem grajkowie i kowboje występują podczas jazdy, następnie jest napad na pociąg, a wieczorem - strzelanina na Drodze 66. Pełne ręce roboty.

Moore planował przejść na emeryturę, ale koledzy z zespołu przekonali go, że jeszcze nie czas. Chciałby nacieszyć się wnukami (ma czwórkę) i prawnukami (jest ich już troje), pojeździć konno (sześćdziesiąt pięć rumaków czeka w stajni). Ale służba nie drużba. Wystartował w wyborach na burmistrza, bo zawsze był między ludźmi i wie, że potrafi ich rozruszać. Ma

pomysły i siłę, by je zrealizować. Powiedział z zapałem, że chce być burmistrzem dla ludzi, nie dla siebie. Główne zadania? Rozwój Williams, ściąganie nowych inwestorów, odnawianie budynków. Ceny nieruchomości w miasteczku już podskoczyły ponaddwukrotnie w porównaniu z 2000 rokiem. To najlepszy wskaźnik, że okolica staje się atrakcyjna. Mieszkańców też przybywa. Moore mówił o tym z dumą w głosie.

Największym wyzwaniem jest woda - skąd ją brać, jak ją dostarczać. Przestępstwa są, jak w każdym miejscu zdarzają się drobne kradzieże. Ale ostatnie morderstwo było w 2001 roku. Bo tu chyba wszyscy, nawet ci, którzy chcieliby coś przeszkobać, wiedzą, że turyści są podstawą dochodu całego miasteczka, nie można więc podcinać gałęzi, na której się siedzi.

Burmistrz założył swój wielki czarny kapelusz. Poszliśmy oglądać strzelaninę przy peronie. Publika zgromadzona wokół piaszczystego placyku była zachwycona, bo w skeczach kowboje wciągali też widzów w dialogi. Jeden z obcokrajowców został przez rewolwerowców wyciągnięty na placyk. Nie rozumiał wszystkiego, co mówili, więc oglądający mieli jeszcze większy ubaw. Konie spokojnie stały z boku, cierpliwie znosząc padające co chwila strzały.

Siedzieliśmy z Johnem Moore'em na ławce, zerkając na tłum. Docierały do nas salwy śmiechu. Słonko świeciło, ptaszki śpiewały, a od strony pociągu dochodziło stukanie - to maszyniści sprawdzali sprzęt. Rozmawialiśmy długo, także o życiowych doświadczeniach („Dopiero z wiekiem człowiek zaczyna rozumieć, że są rzeczy więcej warte niż szybki samochód”) i prostych, wręcz banalnie brzmiących wartościach („Jak coś jest złe, to jest złe. Jak dobre, to dobre. Jak ktoś zrobił coś złego, to trzeba go ukarać, jak zrobił dobrze - nagrodzić”). W końcu John Moore powiedział, że lubi, jak przyjeżdżają do Williams reporterzy z całego świata i zadają pytania.

- Nie chodzi o to, że te artykuły są o mnie, choć oczywiście to mile łechce moją próżność - powiedział burmistrz. - Ale najważniejsza jest dla mnie świadomość, że to, co robię, ma sens, bo interesuje ludzi z różnych krajów, może być inspiracją dla innych.

najtwardszy szeryf Ameryki

Pięć kobiet w pasiastych uniformach skutych łańcuchami za nogi, przemieszczając się gęsiego, sprzątało ulicę. Łańcuchy pobrzękiwały, więźniarki w milczeniu zamiatały chodnik i podnosiły śmieci. Widać było, że nauczyły się trudnej sztuki koordynacji ruchów, bo łańcuchy miały krótkie i w grupie nie szło się łatwo. Kolejna piątka nieopodal na kwiatowej rabacie wrywała chwasty.

Był piękny, słoneczny poranek w stolicy stanu Arizona, Phoenix - jednym z pięciu największych miast w USA (po Nowym Jorku, Los Angeles, Chicago i Houston). Szerokie ulice były zalane słońcem. Chmury niezwykle rzadko dają tutaj cień, dlatego Phoenix jest nazywane Doliną Słońca. Zraszacz trawy pracowały pełną parą na wypielęgnowanych trawnikach w posiadłościach bogaczy, którzy tu, na pustyni, stworzyli sobie oazy ze sztucznymi jeziorami. Latynoscy imigranci stłoczeni w odrapanych pikapach jechali do pracy. Eleganckie samochody wjeżdżały do podziemnych parkingów pod wieżowcami w centrum. Przed halą sportową, w której rozgrywa mecze drużyna NBA Phoenix Suns, grupka młodych ludzi robiła sobie zdjęcia. Mężczyźni w garniturach spieszyli do biur, niosąc papierowe kubki z kawą, szybko znikali w klimatyzowanych pomieszczeniach.

Przyjechałam do Phoenix, zbaczając wiele mil na południe od Drogi 66, aby poznać faceta nazywanego najtwardszym szeryfem w Stanach Zjednoczonych - Joe Arpaia. Mówiło mi o nim wiele osób spotkanych w podróży. Jedni - z przerażeniem i zdziwieniem, inni - z podziwem i dumą. Arpaio, wygrywający w cułgach kolejne wybory (w 2008 roku dostał pięćdziesiąt sześć procent głosów), cieszy się rekordową popularnością w Phoenix (osiemdziesiąt procent mieszkańców aprobuje jego działania). Jego fanami okazali się Amy i Robert Collinsowie, którzy oprowadzali mnie po swoim mieście. To właśnie oni opowiedzieli mi o więźniach skutych łańcuchami, wykonujących roboty publiczne. Kara, która nie jest stosowana w amerykańskich więzieniach od lat sześćdziesiątych XX wieku, wróciła do Phoenix wraz z nastaniem na stanowisku szeryfa Joe Arpaia.

Małżeństwo Collinsów i ich dwóch synów (dziesięcio- i trzynastoletni) poznałam poprzedniego dnia przy śniadaniu w motelu. Powiedzieli mi, że spakowali cały dobytek, sprzedali dom oraz samochód i czekają na samolot. Emigrowali do Nowej Zelandii.

- Potrzebujemy zmiany - oświadczyli, zerkając na ekran telewizora, na którym właśnie przemawiał Barack Obama. Robert - przystojny, postawny czterdziestolatek - po dwunastu latach służby w marines został nauczycielem. Amy - miła, dynamiczna blondynka w podobnym wieku - pracowała jako logopedka. Dopadła ich redukcja etatów, przez kilka miesięcy nie mogli znaleźć odpowiedniej pracy. Do tego ten zalew nielegalnych imigrantów. Chcą, żeby ich synowie dorastali w porządnym środowisku.

Zabrali mnie do księgarni, w której Joe Arpaio promował swoją najnowszą książkę *O nielegalnej imigracji, narkotykach i wszystkim, co zagraża Ameryce* (pierwsza *Jak możemy wygrać wojnę przeciw zbrodni* ukazała się w 1996 roku). Przed księgarnią stała długa kolejka. Zjawisko w Stanach niebywałe. I to w taki upał! Ludzie jednak czekali cierpliwie, bo chcieli otrzymać autograf słynnego szeryfa, zamienić z nim kilka słów i podziękować za to, że potrafi być bezwzględny dla przestępców. Miejscowi twierdzili również, że jest kochającym mężem, dumnym ojcem, świetnym sąsiadem. A dla miasta - po prostu zbawcą.

- Nie chcemy nielegalnych imigrantów, nie chcemy handlarzy narkotyków ani innych przestępców. Niech żyje nasz Joe! - krzyknęła pani w sile wieku.

Mężczyzna stojący obok podał dwa przykłady fantastycznych posunięć szeryfa: wklepienie burmistrzowi mandatu za przekroczenie prędkości i nalot na jeden z urzędów miejskich, w którym pracowali nielegalni imigranci. Arpaio (republikanin) pokazał burmistrzowi (demokracie), że władzę też obowiązuje przestrzeganie przepisów.

W tym samym czasie po drugiej stronie ulicy mała grupa przeciwników szeryfa z transparentem: „Obalić Joe Arpaia” pokrzykiwała: „Arpaio’s gotta’go!” („Arpaio musi odejść”). Ci ludzie powiedzieli mi, że szeryf jest megalomanem uwielbiającym występy w mediach, kłamcą i tyranem. Nadużywa władzy i łamie konstytucję. Skazanych poniża, ubierając w różową bieliznę, i znęca się nad nimi, trzymając ich w namiotach, na pustyni.

In-tent prison leży w zachodniej części miasta, za szeregiem wielkich magazynów i pustych placów, ogrodzonych siatkami z drutem kolczastym. Łatwo było je znaleźć dzięki widocznemu z daleka dużemu znakowi: „Vacancy” („wolne miejsca”), takiemu, jakimi reklamują się przydrożne motele. Znak ustawiono w ten sposób, by widzieli go też więźniowie, a nocą jest podświetlany.

Oficer z kilkuletnim stażem, JR, jak przedstawił się na wstępie, pozwolił mi wnieść do środka tylko aparat fotograficzny. Wszystkie pozostałe rzeczy, także dokumenty, musiałam

zostawić u strażniczki na portierni. JR, czekając, aż załatwię formalności w okienku, bardzo szczegółowo, suchym tonem służbisty opowiadał mi, że namiotowe więzienie działa od 1993 roku. Z okazji piętnastej rocznicy jego funkcjonowania, w 2008 roku, szeryf postawił nowe namioty wyposażone w baterie słoneczne. Wszystko jest bardzo ekologiczne. Klimatyzację mają tylko pomieszczenia biurowe, łazienki i dwie ogromne sale pełniące jednocześnie funkcje stołówki i świetlicy. Dla więźniów są namioty. Karę może odbywać naraz dwa tysiące czterysta osób. Odsiadują tu wyroki maksymalnie do roku. Najczęściej za prostytutkę, posiadanie narkotyków, drobne kradzieże. Kilkumiesięczne „wczasy” mają tu też ludzie za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym. Za większe przestępstwa skazani trafiają do więzienia stanowego, które szeryfowi już nie podlega. Do tej pory ponad czterysta tysięcy osób odsiedziało tu swoje kary.

JR powiedział, że poprzedniego dnia więzienie odwiedziła delegacja z Amnesty International. „Ciągłe tu przyjeżdżają, sprawdzają nas. Ostatnio byli też dziennikarze z Holandii. Ale musisz wiedzieć, że nasi żołnierze w Iraku mają gorsze warunki” - JR wskazał zdjęcia wiszące na ścianie w holu. To amatorskie fotografie przysłane przez rodziny amerykańskich żołnierzy z Iraku i Afganistanu. Na jednym wojskowi spali na piachu zawinięci tylko w swoje kurtki, na innym leżeli jeden przy drugim w głębokich koleinach, jakie zostawił w ziemi stojący nieopodal czołg.

- Jak widzisz, więźniowie i tak nie mają źle - rzucił JR, otwierając drzwi pawilonu strażników. Upał buchnął prosto w twarz. JR skomentował, że panuje tu temperatura jak w Iraku.

Szliśmy wąskim przejściem między wysokimi płotami z siatki. Po prawej stronie mieściła się część damska więzienia, po lewej - męska, znacznie większa. W zwoju drutu kolczastego nad tym korytarzem ptaszek uwił sobie gniazdko.

Weszliśmy najpierw do damskiej części. Namioty to wielkie stalowe konstrukcje przykryte zielonymi plandekami. Teraz brezent był podniesiony. Piętrowe prycze stały równo, jedna obok drugiej. Zero prywatności, wszyscy wszystko widzą, nic się nie da ukryć. JR powiedział, że w południe temperatura na samej górze, pod plandeką, gdzie nie dochodzi nawet powiew wiatru, wynosi często około stu trzydziestu pięciu stopni Fahrenheita (ponad pięćdziesiąt siedem stopni Celsjusza). Ale w nocy znacznie spada, więc plandeki są opuszczane. Betonowa podłoga pod pryzami pozwala utrzymać większą czystość. Jeszcze niedawno był tylko piach.

Weszliśmy do jednego z namiotów. Tylko nieliczne prycze były zajęte. Więźniarki chronią się przed upałem w klimatyzowanej świetlicy. Mogą tam przebywać przez prawie cały dzień, oprócz momentów przygotowania posiłków i sprzątania. I my weszliśmy na chwilę do budynku, by odsapnąć i nabrać tchu przed wizytą w męskiej części więzienia. Akurat skazańcy wychodzili ze stołówki. Musieli wrócić do namiotów na czas przygotowywania lunchu. Byli ubrani w biało-szare pasiaste uniformy. Niektórzy mieli przewieszane na szyi różowe ręczniki. Pokrzykiwali coś w stronę dwóch mężczyzn wytaczających z kuchni metalowe kontenery wypełnione tacami. Posiłek składał się z papkowatego purée ziemniaczanego, połowy kolby kukurydzy, czegoś w rodzaju mięsa w sosie, z przewagą sosu, i bułki. Wszystko w kolorze szaro-żółto-zielonkawym. Jeden z więźniów, przechodząc, mruknął, że smakuje tak, jak wygląda. JR potwierdził, że dania bez soli i przypraw nie mogą być pyszne.



Więzienie w namiotach w Phoenix działa od 1993 roku. Mieści dwustu więźniów. Pustynny upał sprawia, że w namiotach temperatura rośnie w lecie nawet do ponad 60 stopni Celsjusza. Szeryf Joe Arpaio, twórca tego więzienia, mówi o swoich podopiecznych: „Mogli nie popełniać przestępstw. Siedzieliby w domu, w klimatyzacji”.

Oficer zaproponował spojrzenie na teren z lotu ptaka. Wyszliśmy więc na zewnątrz i stanęliśmy pod metalową budką strażnika na wysokim wysięgniku, takim hydraulicznym kranie. JR powiedział kilka słów do walkie-talkie i nacisnął przycisk. Budka zjechała na dół. Wychodząca z niej potężna kobieta w mundurze, ocierając pot z czoła i szyi dużym ręcznikiem, wyjaśniła, że zepsuł się nawiew. JR pozwolił jej odpocząć w biurze, a my zajęliśmy jej miejsce. Gdy budka wędrowała w górę, czułam, jak z każdą sekundą rośnie temperatura, nie było czym oddychać. Strażnik odsunął wszystkie przyciemniane okna, bym mogła zrobić zdjęcia. Do środka wpadło gorące powietrze.

W oddali widać było wzniesienia. Za wysokim płotem okalającym więzienie - tylko piach. Pośrodku, między namiotami, na maszcie powiewała flaga. JR zażartował, że wygląda to prawie jak obóz skautowski. Wskazałam ręką na jeden z namiotów, w którym strażnicy krążyli wśród prycz. Rozrzucali materace i pościel. Różowe prześcieradła i ręczniki leżały na piachu. Dwóch więźniów stało z rękami opartymi wysoko na siatce.

- To rutynowa kontrola - wytłumaczył mój opiekun.

Gdy potem przechodziliśmy między namiotami, niektórzy więźniowie odwracali się tyłem, inni wręcz przeciwnie - uśmiechali i pozdrawiali. JR przypomniał mi, że jeśli chcę fotografować, to muszę każdego więźnia zapytać o zgodę. Przestrzegł też, że niektórzy najpierw się zgadzają, a potem żądają zapłaty. Dwóch wesołków siedzących na skrajnej pryczy pomachało do mnie z daleka, pokazując, że chcą pozować do zdjęcia. A gdy skierowałam w ich stronę obiektyw, wysunęli spod pasiastych spodni różowe majtki.

- Pozdrowienia dla szeryfa Joe! - krzyknął jeden z nich i ciszej dodał: - Niech go piekło pochłonie.

Biuro szeryfa mieści się w samym centrum Phoenix, w jednym z budynków wielkich firm bankowo-finansowych. Na parterze nie było żadnego wykrywacza metali. Portier skierował mnie do windy. Na dwudziestym piętrze piękne, mahoniowe drewno tłumilo światło, wprowadzało nastrój powagi, dodawało elegancji. Czekałam w przeszklonym pokoiku obok recepcji, w którym mieściły się dwie małe sofy zarzucone haftowanymi poduszkami. Po kilku minutach drzwi się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna na wózku inwalidzkim. Przedstawił się jako Doug Matteson, jeden z zastępców szeryfa. Widząc mój zdziwiony wzrok, wyjaśnił, że nogę stracił w 2004 roku. Miał wtedy trzydzieści lat. Jechał na motocyklu po autostradzie. Został staranowany przez samochód, a piratem drogowym, który uciekł z miejsca wypadku, okazał się policjant z sąsiedniego hrabstwa. Dodał, że nie brakuje mu ani sił, ani umiejętności, by nadal być policjantem. Pracuje nie tylko tu w biurze, jeździ też na akcje, prowadzi konferencje prasowe.

Doug towarzyszył mi aż do drzwi gabinetu szeryfa. Pokój był ogromny. Za olbrzymim biurkiem siedział siedemdziesięciosiedmioletni postawny mężczyzna w marynarce - Joe Arpaio. Na powitanie krzyknął, że gazety rozkręciły wielką akcję przeciwko niemu. Musi więc przygotować dobrą odpowiedź, może zaproszą go nawet do telewizji. A ja pojawiłam się w jego kalendarzu znieca. Mówił ostrym tonem i od razu poczułam, że dziennikarze nie są jego ulubieńcami.

Spytał, czy chce usłyszeć oficjalny czy prawdziwy powód, skąd się wziął różowy kolor w więzieniu.

- Bo - powiedział - zawsze mam dobre uzasadnienie każdej decyzji.

Wersja oficjalna: dziesięć lat temu zauważył, że gdy więźniowie wychodzili z więzienia czy to na przepustkę, czy już po odbyciu kary, to kradli bieliznę. Zakładali kilka par majtek i skarpet na siebie. Jak majtki były białe, to trudno poznać, czy to więzienny przydział, czy prywatne części garderoby. Szeryf postanowił więc przefarbować całą bieliznę na różowy kolor. Przecież nikt dobrowolnie nie nosi różowych majtek, bokserek, a zwłaszcza nie robią tego te zabijaki, co siedzą w więzieniu. Dzięki temu zabiegowi bielizna przestała znikać. Prawdziwy powód? Z wyraźną satysfakcją Joe Arpaio powiedział, że więźniowie nienawidzą różowego koloru, i dodał, że jeśli nie odpowiada im kolorystyka bielizny pościelowej, niech wybiorą sobie inny motel.

- Chcę, aby nienawidzili więzienia tak mocno, żeby nigdy do niego nie wrócili - zadeklarował. Dlatego na samym początku urzędowania, w 1993 roku, obciął więźniom stawki żywieniowe, bo uczciwi obywatele nie po to ciężko pracują, żeby darmozjady przejadały ich podatki. Jeden posiłek kosztuje dziś zaledwie dwadzieścia centów. Więźniowie nie dostają też kawy. Arpaio argumentował, że to nie jest pięciogwiazdkowy hotel. A poza tym kawa nie ma żadnych wartości odżywczych. Nie mogą też palić papierosów ani przeglądać magazynów pornograficznych. Na jakiś czas pozbawił ich telewizji, ale po wyroku sądu federalnego nakazującym umożliwienie dostępu do kablówki musiał wstawić telewizory do świetlicy. Jednak oglądać można tylko dwa kanały - pogodę i kreskówki dla dzieci.

- Mogli nie popełniać przestępstwa. Siedzieliby sobie przed telewizorem, oglądaliby pornosy, pili kawkę, jedliby to, co by chcieli. Wszystko mogliby robić: czytać, pisać, rozmawiać, a skoro popełnili przestępstwo, to muszą cierpieć - oświadczył szeryf bardzo poważnie. Zlikwidował też siłownię, bo przestępcy mają zmazać swoje winy i spłacić dług wobec społeczeństwa, a nie wzmacniać mięśnie. Więźniowie nie mogą pisać listów, nie mają bowiem przywileju tajemnicy korespondencji. Mogą wysyłać tylko pocztówki i to takie, które zaprojektował Joe Arpaio. Wyciągnął kilka z szuflady. Na jednej był on sam, w tle namioty z napisem: „Vacancy”. Na innej stała grupa skutych łańcuchami kobiet w więziennych pasiakach. Napis głosił: „Keep America beautiful” („Dbaj o piękno Ameryki”).

- Jestem twardy, ale trzeba mieć jakąś rozrywkę - zaśmiał się szeryf i dodał, że kobiety zaczęły skuwać, by nie zostać posądzonym o dyskryminację. Poza tym skuci łańcuchami więźniowie i więźniarki znacznie lepiej działają prewencyjnie niż wszelkie pogadanki i broszurki. Wszyscy przejeżdżający ulicą widzą, co ich czeka, jeśli popełnią przestępstwo. Arpaio jest dumny z tego, że mimo tak surowych reguł i trudnych warunków nigdy nie doszło w jego zakładzie do zamieszek czy buntu. A także z tego, że podczas rozpraw niektórzy podsądni błagają sędziego, by dał im wyższą karę, byle nie trafili do namiotów.

Więzienie na pustyni to jego chluba. Co rusz przyjeżdżają do niego politycy. Nie po to, żeby zwiedzać namioty, ale po to, aby pokazać, że będą twardzi, stanowczy i wezmą się za zbrodniarzy i przestępców. Pomysł na taki zakład karny wpadł mu do głowy, gdy myślał, jak można uprzykrzyć skazańcom życie. A ponieważ sam podczas służby w wojsku w 1950 roku w Korei męczył się, śpiąc na pryczy w namiocie, bez żadnej prywatności i wygod, uznał, że więźniowie też mogą bytować w takich warunkach. Gdy startował w wyborach w 1992 roku, nawet nie wiedział, że więzienia były przepełnione. Namioty, w których szybko można zwiększyć liczbę miejsc, okazały się strzałem w dziesiątkę. Joe Arpaio miał wtedy sześćdziesiąt lat i za sobą wieloletnią karierę w policji w Waszyngtonie i Las Vegas oraz karierę w Drug Enforcement Administration (DEA) - rządowej Agencji do Walki z Narkotykami. Na placówce w Turcji był jedynym amerykańskim agentem federalnym. W Mexico City zajmował stanowisko dyrektora regionalnego DEA, później kierował też biurami w Panamie i Argentynie. Mieszkał także we Francji. Zjeździł kawał świata, wiele widział i wiele doświadczył.

- Funkcje, które pełniłem, i zadania, które wykonywałem, były bardzo ważne, ciekawe i ekscytujące, ale szeryfa wybiera się w wyborach powszechnych. Ludzie na mnie głosują i to właśnie jest najbardziej fantastyczne, że nikt z administracji nie może mnie zwolnić. Ani gubernator, ani nawet prezydent! - powiedział. - Jestem wybierany i mogę robić to, co chcę. Nie tracę czasu na uzgadnianie posunięć z przełożonymi, bo nie mam przełożonych. Nie tracę sił na walkę z biurokracją, na rozgrywki polityczne.

Nagle wychylił się zza biurka i krzyknął do swojej sekretarki, by zadzwoniła do niego na komórkę. Po kilku sekundach rozległa się melodia piosenki *My Way* i głos Franka Sinatry: „I did it my way” („Zrobiłem to po swojemu”). Szeryf Arpaio wskazał ręką wielki napis na ścianie: „My way” - to jego motto. Chce robić wszystko po swojemu i nie przejmuje się krytyką.



Szeryf Joe Arpaio, postrach Phoenix, najtwardszy szeryf Ameryki i najbardziej kontrowersyjny. Atakowany przez media i oskarżany przez organizacje międzynarodowe o łamanie praw więźniów, nieprzerwanie od 1992 roku wygrywa kolejne wybory. Mieszkańcom Phoenix podoba się, że żelazną ręką trzyma porządek w mieście.

- Aktywiści z Amnesty International mnie śledzą. Gubernator i burmistrz są przeciwko mnie, ale robią tylko dobrą robotę. Za każdym razem, gdy mnie atakują, moje notowania rosną - zaśmiał się, po czym stwierdził, że niektórzy dziennikarze to zaraza. Patrzą jedynie, gdzie by tu komu przywalić. Szeryf mówił coraz bardziej zdenerwowany, że pismaki wykorzystują dane, przeinaczają, manipulują wypowiedziami jego zastępców. Wyciągnął z szuflady wycinki i wyrzucając słowa jak z karabinu maszynowego, mówił, że nie boi się dziennikarzy, bo przez szesnaście lat buduje swoją reputację. Dziennikarze mogą pisać, co chcą, nazywać go, jak chcą, ale przecież jego szefami są mieszkańcy gminy. To cztery miliony ludzi, z których większość go podziwia. Spytał mnie, czy wiem, jakie tłumy przychodzą na spotkania z nim. I dodał, że nie jest głupi, zdaje sobie sprawę, że media potrzebują kontrowersji, bo inaczej gazety im się nie sprzedadzą.

Najbardziej kontrowersyjne są sprawy sądowe wytaczane przeciwko szeryfowi i jego ludziom oraz milionowe kwoty wynagrodzeń, jakie płaci prawnikom z publicznej kasy, żeby go bronili. Szeryf krótko stwierdził, że te kwoty są wysrane z palca. A dziennikarze zapominają, że jego działania pozwalają zaoszczędzić wiele milionów dolarów rocznie. Wśród spraw, które ściągnęły gromy na głowę Arpaia, jest na przykład pobicie więźnia przez strażników. Poszkodowany zmarł potem w szpitalu. Szeryf dowodził, że pobicia nie było, więzień spadł z pryczy i się poturbował. Inny przykład: człowiek z niedowładem nóg aresztowany za posiadanie marihuany w dziwny sposób podczas przesłuchania złamał kark. W efekcie nie ma także władzy w rękach. Proces wytoczyła też szeryfowi grupa Latynosów, którzy przebywali legalnie w

Phoenix z ważną wizą i zezwoleniem na pracę, a mimo to byli, jak twierdzą, nękanymi przez policjantów i zatrzymywani bez powodu.

Akcje szeryfa wymierzone w nielegalnych imigrantów są kolejnym gorącym tematem. Lokalna prasa pisała, że Arpaio poluje na biednych, ciężko pracujących ludzi, którzy nie popełnili żadnego wykroczenia.

- A nielegalny pobyt!? To nie jest wykroczenie? - złościł się szeryf. Dodał od razu, że jego rodzice też byli imigrantami. Przyjechali do USA z Włoch, ale legalnie. Nacisk położył na słowo „legalnie”. - Uwierz mi, nie zatrzymujemy ludzi dlatego, że mają taki czy inny kolor skóry, oczu lub włosów. Więżymy tylko tych, którzy popełnią jakieś wykroczenie. Czy to moja wina, że tu są sami Latynosi? Bardzo bym chciał aresztować jakiegoś nielegalnego imigranta z Polski pracującego tu na czarno, a najlepiej żeby miał kradzione dokumenty. Nie znasz kogoś takiego tutaj? Mógłbym to sprzedać mediom - zaśmiał się prowokacyjnie i powiedział, że na pewno dziś znowu będzie gorąco, bo szykują akcję wymierzoną przeciwko ulicznym sprzedawcom żywności. Z rozpoznania i donosów obywatelskich wynika, że większość, jeśli nie wszyscy tacy sprzedawcy, to nielegalni imigranci.

Szeryf zgodził się, bym obserwowała interwencję z bliska. Na zachodnich krańcach Phoenix wskoczyłam więc do samochodu sierżanta Madrida dowodzącego akcją. W wielkim aucie bez oznaczeń pełno było porzucanych papierów, szmat, papierowych torebek i bloczków z dokumentami. Sierżant sprzątnął szybko, bym mogła usiąść. Ruszyliśmy, a on powiedział, że policjantem jest od dwunastu lat, a sierżantem - od roku. Szeryf Joe jest jego przełożonym, czasem wybucha, czasem ponoszą go nerwy, ale robi bardzo dużo dobrego dla miasta.

Jeździliśmy po ulicach centralnej i zachodniej części Phoenix. Sierżant wyjaśnił, że mieszkają tu głównie Latynosi. Małe domy, małe wyschnięte ogródki, bez basenów ani zraszaczy - czyli bieda, ludzie na dorobku. Kilka psów przebiegło przez ulicę. Sierżant Madrid się nie zdziwił, powiedział tylko, że jest przyzwyczajony do widoku bezdomnych czworonogów. Następnie wytłumaczył, że takie patrole jak dzisiejszy (lokalne media nazywają je nalotami) organizują raz w miesiącu. Odpowiadają w ten sposób na zgłoszenia mieszkańców. Były już więc na celowniku i napady, i kradzieże, byli grafficiarze. A teraz są nielegalni sprzedawcy żywności.

W radiotelefonie sierżanta odezwały się głosy. Policjanci zatrzymali ulicznego handlarza. Sierżant Madrid zawrócił w miejscu. Gdy dojechaliśmy do celu, ekipa jednej z lokalnych stacji telewizyjnych już kręciła materiał.

- Prowadzą nasłuch na naszej częstotliwości - rzucił krótko sierżant, który nie miał tego reporterom za złe, bo doskonale wiedział, że potrzebują zdjęć z akcji, nie tylko z konferencji prasowej. Zatrzymany okazał się Latynosem. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów ani zezwolenia na handel. Nie mówił po angielsku. Jedzenie sprzedawał z turystycznej łódki zamontowanej na rowerze przerobionym na trójkołówkę. Gdy jeden z policjantów odchylił wieko, wszyscy zobaczyliśmy kukurydzę w kolbach, stopniałe masło, majonez w wielkim słoju. Zapach zjełczałego tłuszczu rozniósł się po okolicy.

Aresztowany już siedział w radiowozie, gdy podszedł jakiś człowiek z sąsiedztwa. Dziękował sierżantowi za zajęcie się tą plagą. Wiadomo, że taką żywność kupują najbiedniejsi, ale potem wszyscy na tym tracą. Bo przyplątują się choroby, a on nie chciałby, żeby któryś z jego pracowników się struł. Bo cierpi reputacja Latynosów, a on sam też jest imigrantem, ale legalnym. Wiele wysiłku i czasu kosztowało go załatwienie wszystkich papierów. Karnie płaci w USA podatki, ma zieloną kartę, czeka na obywatelstwo. Mężczyzna powiedział, że trzyma kciuki za szeryfa Joe.

Między kolejnymi zatrzymaniami rozmawialiśmy z sierżantem o nielegalnych imigrantach, którzy są naprawdę dużym problemem. Wiązą się z tym nie tylko różnego rodzaju drobne przestępstwa: napady, kradzieże, bójkę, lecz także te poważne: zabójstwa. Phoenix leży zaledwie sto trzydzieści mil od granicy z Meksykiem i codziennie docierają tu dziesiątki, a nawet setki osób. Film Tommy'ego Lee Jonesa *Trzy pogrzeby Melquiadesa Estrady* świetnie pokazał, jak to wygląda.

- Kojoty, tak nazywamy tych, którzy szmuglują ludzi przez granicę - powiedział sierżant Madrid - nie mają żadnego poczucia przyzwoitości. Potrafią zastrzelić kogoś, bo nie jest w stanie im zapłacić stu dolarów - dodał. Przerzucenie człowieka przez granicę kosztuje nawet do dziesięciu tysięcy dolarów. Cena zależy od tego, dokąd ta przerzucana osoba ma trafić. Phoenix jest czymś w rodzaju punktu przesiadkowego. Często ci, którzy organizują przerzut, po kilku dniach tutaj zaczynają podwyższać stawkę, a imigranci nie mają pieniędzy, więc zdarzało się, że jak nie mogli zapłacić, to byli zabijani.

Po kilku godzinach akcja zakończyła się aresztowaniem jedenastu nielegalnych imigrantów. Szeryf Joe poinformował o tym licznie przybyłych dziennikarzy na specjalnie zwołanej konferencji prasowej. Odbywała się ona przed komisariatem. Zapadł już wieczór. Ekspertka od przepisów dotyczących żywności potwierdziła duże potencjalne zagrożenie dla zdrowia mieszkańców. Szeryf grzmiał z mównicy. Dziennikarze pytali, czy akcja była wymierzona w nielegalnych imigrantów. Joe Arpaio zaprzeczył. Po zakończeniu konferencji zatrzymani zostali wyprowadzeni z komisariatu. Szli gęsiego do autobusu. Wszyscy mieli na przegubach różowe kajdanki.

Stanowczość, zdecydowanie i konsekwencja Joe Arpaia w ściganiu i karaniu przestępców zrobiły na mnie wrażenie. Jednak wyjeżdżając z Phoenix, z uwagą rozglądałam się, czy gdzieś nie czają się „chłopcy” szeryfa. Podejrzewałam, że autograf „twardziela” może, w przypadku naruszenia jakichkolwiek przepisów, nie uratować mnie od ponownej wizyty w namiotowym więzieniu. Nigdy w życiu nie jechałam tak przepisowo jak wtedy, aż do granic hrabstwa. A gdy zbliżałam się do Drogi 66, odetchnęłam z ulgą, jakbym zobaczyła znak: „wolność i demokracja”.

Anioł Drogi 66

Czterdzieści pięć mil za Williams zaczyna się najdłuższy nieprzerwany odcinek Drogi 66. Odbija od autostrady w miejscowości Seligman. Tak jak inne osady na zachodzie i ta swoje narodziny zawdzięcza kolei żelaznej, a nazwę - bankierom z Bawarii, którzy stworzyli system finansowania budowy linii kolejowych.

Po obu stronach szerokiej opustoszałej głównej ulicy przycupnęły niskie domki. Ulokowane w części z nich sklepy z pamiątkami kusily turystów zabytkowymi samochodami, manekinami w strojach z minionych dekad i tabliczkami z dowcipnymi napisami, w stylu: „Parking tylko dla chevroletów, inne auta zostaną odholowane”.

Okna białego budynekczku zostały całe oklejone symbolami Drogi 66. Nieduży napis: „Barber” na drewnianej tabliczce pod daszkiem i biały słupek w ukośne niebieskie i czerwone pasy wskazały, że to jest miejsce, którego szukałam.

Wewnątrz panował gwar. W dużym pomieszczeniu między szafkami, półkami i wieszakami tłoczyło się kilkadziesiąt osób. Wszędzie widać było logo „66”: na kubeczkach, pamiątkowych tabliczkach, akcesoriach piśmienniczych, koszulkach, czapczkach i torbach.

W sąsiednim pokoiku nie było nikogo. Pośrodku stał fotel fryzjerski, a pod niedużym lustrem znajdowała się mała umywalka. Buteleczki i pudełka ze środkami kosmetycznymi ustawione na półkach przypominały o dawnych latach. Całe ściany zalepiono zdjęciami, banknotami i wizytówkami. Wyciągnęłam swoją i zastanawiałam się, jak ją przyczepić, gdy wszedł starszy mężczyzna. Podał mi pinezkę, zachęcając gestem, bym z niej skorzystała. Siwe włosy miał skryte pod czapką. Krzaczaste brwi wystawały zza okularów. Uśmiech od ucha do ucha ukazywał mocne zęby. Przedstawił się krótko:

- Jestem Angel.

Energicznie i rażno, jak na swoje ponad osiemdziesiąt lat, wskazał mi dłonią miejsce na fotelu fryzjerskim, okrył mnie wielką płachtą, wziął do ręki brzytwę i udając, że strzępi moje włosy opowiedział historię swojego życia.

Jego ojciec, Meksykanin o nazwisku Delgadillo, osiadł w Seligman w 1917 roku. Nie znał nawet słowa po angielsku. Najpierw pracował na kolei, a potem został golibrodą. Własny zakład, właśnie ten, w którym się znajdowaliśmy, otworzył w 1924 roku.

- Ojciec używał tej umywalki i tego wieszaka na ręczniki - wskazał ręką Angel. - To on zbudował tę szafkę wiszącą w rogu. Wszystko tu zostało tak samo, jak było w latach dwudziestych XX wieku. Wciąż przechowuję rachunek za ten fotel, na którym siedzisz - zaśmiał się. - W 1926 roku kosztował sto dziewięćdziesiąt cztery dolary.

Mama Angela - Juanita, też Meksykanka - urodziła dziewięcioro dzieci: sześciu chłopców, trzy dziewczynki. Angel był trzeci od końca. Przyszedł na świat 19 kwietnia 1927 roku i dostał imię po ojcu. W ich domu się nie przelewało. Tak jak inne dzieciaki z rodziny, bawił się, puszczając latawce na podwórzu. Ich ulubioną grą było „łapanie” cieni ciężarówek przejeżdżających obok ich domu Drogą 66. Dzieciaki „wskakiwały” na auta i „jechały” w podróż, wyobrażając sobie, dokąd je los rzuci, próbując odgadnąć, kto je wiezie.

W czasie wielkiej depresji bieda przycisnęła rodzinę Delgadillów tak bardzo, że spakowali cały swój dobytek. Załadowali go na przyczepę własnej konstrukcji, którą miał ciągnąć ich ford T. Przygotowywali się do wyjazdu na zachód, do Kalifornii, podobnie jak setki tysięcy innych rodzin z południa Stanów. Ale nieoczekiwanie starsi bracia Angela, Juan i Joe, dostali pracę w zespole muzycznym, który przygrywał w knajpkach przy Drodze 66. Ten zastrzyk pieniędzy pozwolił wszystkim Delgadillom na pozostanie w domu.

Na szosie przybywało aut z uchodźcami z Oklahomy, Arkansas i Teksasu. Całe wielopokoleniowe rodziny jechały na zachód, uciekając przed burzami pyłowymi. Nie miały za co kupić jedzenia, nie mówiąc o skorzystaniu z usług golibrody. Angel wspominał, że liczyli z rodzeństwem materace na wyładowanych pakach ciężarówek - ich liczba świadczyła o zamożności podróżujących.

Wtedy Drogę 66 nazywano „Bloody 66” („Krwawa 66”), bo zdarzało się tu bardzo dużo wypadków. Wyasfaltowano ją w tej okolicy dopiero w 1938 roku.

Potem, w czasie drugiej wojny światowej, Angel obserwował konwoje wojskowe, które przemieszczały się jeden za drugim. Na nieodległej pustyni Mojave w Kalifornii był poligon, gdzie podwładni generała Pattona przygotowywali się do walki. Chłopiec podziwiał żołnierzy, którzy na stacji w Seligman wysiadali rozprostować nogi. Pamięta, jak ich zielone mundury zalewały miasteczko. To nie były złe czasy, bo co prawda wojskowych na wiele nie było stać, ale przynajmniej panował ruch w interesie.

Prawdziwy czas rozkwitu nastąpił po wojnie. Ojciec miał wtedy pełne ręce roboty. Bez ustanku napływali żołnierze wracający z pola walki do domów, ludzie odwiedzający swoje

rodziny i turyści. Jechali Drogą 66, ale też docierali tu pociągiem, który właśnie w Seligman zatrzymywał się na całą noc. W miasteczku pojawiły się sklepiki, restauracje, bary, motele. Ruch na Drodze 66 stał się tak duży, że trzeba było kilka razy się rozejrzeć, żeby móc bezpiecznie przejść przez jezdnię.

Dzieciaki Delgadillów miały talent muzyczny, a zapotrzebowanie na rozrywkę było spore, więc rodzina założyła własny zespół. Delgadillo Family Orchestra grywała w okolicznych miejscowościach. Wkrótce podbijała serca przyjezdnych. Angel pomagał też ojcu golić i strzyc mężczyzn, których kolejka ustawiała się przed drzwiami. Po latach przejął biznes od staruszka. Ożenił się i sam stał się ojcem syna i trzech córek.

Wydawało mu się, że szczęście w Seligman zostanie już na zawsze. Ale najpierw kolej zlikwidowała nocny postój pociągu, a potem zbudowano autostradę, która łukiem omijała Seligman. Aż w końcu 22 września 1978 roku, około godziny trzeciej po południu - Angel pamięta to bardzo wyraźnie - wszystko nagle ucichło! Samochody osobowe przestały trąbić na przechodniów, a ciężarówki - dudnić swoimi wielkimi kołami. Z dnia na dzień świat zapomniał o Seligman. Miasto zamarło.

Przez kolejne dni mężczyzna, podobnie jak inni mieszkańcy, codziennie wychodził na ulicę, by wypatrywać przybyszów. Jednak nikt nie przyjeżdżał. Bywały takie dni, że nikt nawet nie przeszedł po chodniku. Angel z żoną rozważali wyprowadzenie się z Seligman, ale nie mieli pieniędzy na kupno nowego domu i postawienie zakładu fryzjerskiego w innym mieście, a chętnych na zakup ich mienia nie było. Wiele osób się wyprowadziło, pouciekało do lepszych miejsc. Zostawiali wszystko, bo nikt nie chciał nic od nich kupić, nawet za grosze. Dopiero wtedy Angel zrozumiał powiedzenie, że człowiek zaczyna doceniać to, co miał, gdy to straci. Najpierw był przygnębiony i smutny, a potem poczuł złość, że jego miasteczko spisano na straty.

- W naszym kraju obowiązuje zasada: „Jeśli możesz przepłynąć, płyn. Jeśli nie potrafisz - toń”. Władza nas zostawiła. Nikt nie pomyślał, że trzeba nam jakoś pomóc - mówił fryzjer z przejęciem.

Dopiero po kilku latach ostatecznie dotarło do niego, że żadna pomoc z zewnątrz nie nadejdzie. Sam zaczął więc przekonywać ludzi, że trzeba coś zrobić. Inspiracja przyszła niespodziewanie. Któregoś dnia w miasteczku pojawiło się małżeństwo, które odbywało podróż śladami swoich rodziców, czyli starą Drogą 66. Angel porozmawiał z tymi ludźmi i dowiedział się, że są zmęczeni jeżdżeniem po autostradach, bo wszystkie wyglądają tak samo i nic

ciekawego na nich nie można zobaczyć. Mężczyzna uznał, że osób o podobnych odczuciach, obserwacjach i marzeniach może być więcej. W lutym 1987 roku zaprosił więc na spotkanie wszystkich, którzy jeszcze próbowali prowadzić swoje biznesy w Seligman i w okolicznych miasteczkach. Zebrało się ich piętnastu. Nie prosił ich o pieniądze, tylko przedstawił plan, jaki miał pomóc mieszkańcom wyjść z obecnej sytuacji. Niniejszym położył on podwaliny pod założenie Stowarzyszenia Drogi 66 w stanie Arizona. Jego celem było promowanie szosy i całego regionu. W rok po spotkaniu, dzięki ich uporczywej akcji informowania o „66” (Angel i jego partnerzy drukowali ulotki, dawali ogłoszenia w prasie), władze stanowe uznały szosę za „zabytkową”. Wzmianki o niej pojawiły się w mediach. Stopniowo pozostałe stany też zaczęły nadawać Route 66 taki status i powstały stowarzyszenia na wzór tego arizońskiego. Drukowano broszury i specjalne mapki, a ludzie znów przyjeżdżali do miejscowości przy Drodze. A im więcej ich się pojawiało i im więcej mówiło się o „66”, tym więcej przedsiębiorstw powracało w stare strony. Domy i ziemia z powrotem nabrały wartości. Ludzie chcieli mieszkać między innymi w sąsiedztwie Angela, a dzięki dochodom zdobyli środki na odnowienie zaniedbanych budynków. Władze hrabstwa i stanu, w którym leży Seligman, przekonały się w końcu, że warto położyć nową nawierzchnię na Drodze.

Angel opowiadał o tym bardzo przejęty i wciąż zadowolony, że się udało. Swój zakład przekształcił w 1989 roku w muzeum, centrum informacji turystycznej i sklepik z pamiątkami. Pracowali w nim razem z żoną, Vilma. Na początku mieli do sprzedania zaledwie kilka koszulek i pamiątkowych tablic rejestracyjnych, jednak z roku na rok biznes się rozkręcał. Teraz sklep aż pęka od różnorodnego towaru. Menadżerem jest jedna z córek - Myrna, która wróciła do Seligman i ściągnęła z powrotem do miasteczka drugą siostrę z mężem. Angel wciąż przychodzi do sklepu codziennie, rano i po lunchu.



Angel Delgadillo z małego miasteczka Seligman jako pierwszy zaczął walczyć o przywrócenie ruchu na starej szosie. Był pomysłodawcą utworzenia Stowarzyszenia Drogi 66 w Arizonie, dzięki któremu uaktywniły się inne stany. Nazywany Aniołem Drogi 66. Mówi: „Jeśli ktoś chce czegoś wystarczająco mocno, to na pewno to osiągnie”.

Podczas naszej rozmowy zauważyłam kątem oka, że ustawiła się kolejka turystów, którzy chcą uścisnąć Angelowi dłoń i podziękować mu za to, co robi dla podtrzymania legendy Drogi 66. Jedni czekali na autograf, a inni - na wspólne zdjęcie. Wejście mężczyzny do sklepu wywołało głośnie okrzyki. Błysnęły flesze aparatów. Kilka osób mu pogratulowało. Podeszłam do stołów rozstawionych na środku sali, na których leżały kroniki, zdjęcia, wspomnienia, listy i artykuły. Angel udzielił tyłu wywiadów mediom, że sam nie potrafi spamiętać ich liczby.

Według niego Droga 66 jest śladem starej Ameryki, w której mówiło się: „tak, proszę pani”, „dziękuję, proszę pana”. Ameryki, w której wszyscy byli dla siebie grzeczni i każdy znał swoje miejsce. Ludzie mieli wtedy czas na rozmowę. W Seligman zresztą wszyscy do dziś utrzymują ten dawny styl oraz tempo życia i pracy. Ekspedienci w sklepach się nie spieszą. Z każdym przybyszem chętnie rozmawiają, opowiadają historie, żartują.

Nagle drzwi lokalu Angela się otworzyły i do wnętrza wpłynęła kolejna duża grupa turystów. Francuzi. Pomieszczenie wypełnił gwar głosów. Ktoś zauważył zdjęcie właściciela z francuskim piosenkarzem rockowym Johnnym Hallydayem. Rozległy się radosne popiskiwanie pań, które odkryły, że zakład golibrody odwiedzili ludzie z całego świata, gwiazdy filmowe, muzycy rockowi, malarze, poeci, bankierzy, urzędnicy, robotnicy.

W tle rozbrzmiewała muzyka z czasów działalności rodzinnego big-bandu. Angel przechadzał się między półkami z książkami, pamiątkowymi znaczkami, zabawkami. To poprawił wiszące na wieszaku koszulki z nadrukiem: „Seligman”, to kogoś poklepał po plecach. Widać było, że gwar głosów, ruch w sklepie i dźwięk silników przejeżdżających aut sprawiają mu ogromną radość. Spytałam go jeszcze, co myśli o miasteczkach, które się poddały i umarły. W jego oczach pojawiły się łzy, kiedy mówił, jak jest szczęśliwy, że jemu się udało. Widocznie inni nie byli tak zdeterminowani jak on, by zacząć działać. Bo, według Angela, jeśli ktoś chce czegoś wystarczająco mocno, to na pewno to osiągnie.

- Tylko jedna osoba może powstrzymać cię przed spełnieniem marzeń - ty sama - powiedział do mnie z uśmiechem.

Wśród założycieli Stowarzyszenia Drogi 66 w Arizonie był także starszy brat Angela - Juan, który zmarł w 2004 roku. U Angela wciąż można kupić pocztówki pokazujące dwóch śmiejących się starszych panów w czapczkach na bakier, siedzących na turystycznych krzeselkach na środku pustej Drogi 66. Wyglądają, jakby przez lata całe przesiadywali na środku szosy, opowiadając sobie dowcipy i zabijając czas w oczekiwaniu na turystów.

Według Angela Juan był największym zgrzywusem w rodzinie Delgadillów. Nazywano go „klaunem Seligman”, bo nieźle dokazywał w swojej knajpce Snow Cap Drive-In. Na przykład każdemu swojemu klientowi nadawał przezwisko. Sprzedając lody, oferował „lekko zużyte serwetki”, a jeśli ktoś chciał nowe, nieużywane, musiał dodatkowo dopłacić. Juan zaskakiwał czekających w kolejce, wydając resztę nie tej osobie, co trzeba. Gdy ktoś wracał do okienka po więcej keczupu do frytek lub hamburgera, proponował, że naleje w dłoń. Grepsy rodem z Jasia Fasoli, dzięki którym sława knajpki rosła. Dziś mieści się ona wciąż o kilkadziesiąt kroków od sklepiku Angela, w tej samej budce, skleconej w 1953 roku z drewna znalezionej przy torach kolejowych. Biznes prowadzą teraz synowie Juana, Johny i Robert.

Zauważyłam, że napis na bocznej szybie Snow Cap Drive-In ostrzega: „Ceny mogą się zmieniać w zależności od zachowania klienta”. W niewielkim budynku mieszczą się kuchnia i okienko do składania zamówień. Z wąskiego, zatłoczonego korytarzyka, który prowadzi do okienka, co chwila dobiegały wybuchy śmiechu. Klimatyzator wył, ustawiony na maksimum, próbując wtłoczyć trochę zimnego powietrza do wnętrza kuchni. Przez otwarte na przestrzał drzwi pchał się żar. Drzwi nie sposób było zamknąć, bo kolejni przybysze chcieli zobaczyć, co się dzieje w środku.

Johny za ladą zaczepiał każdego klienta. Wysokiego blondyna nazwał „Jankesem”, bo miał na głowie czapczkę drużyny bejsbolowej z Nowego Jorku. Kobieta w średnim wieku dostała ksywkę „Pinky”, ponieważ nosiła różową bluzkę. Gdy wyciągnęła rękę po resztę, drobne trafiły do stojącego za nią mężczyzny. A gdy ja zamówiłam lody - słynne „Snow Cap” - Johny spytał, czy całą porcję, czy pół, i pokazał ułamany waflowy rożek. Kiedy próbowałam przymierzyć się do zrobienia mu zdjęcia, sięgnął po pojemnik z musztardą i psiknął prosto na mnie. Na szczęście żółta strużka okazała się plastikowa. Klienci stojący za mną w kolejce zaśmiewali się, widząc moją przerażoną minę. Tak, Johny dzielnie zastępuje swojego ojca.

Cały korytarz knajpki był zalepiony wizytówkami przybyszów, naklejkami z nazwami państw i miast. Stoliki czekały na zewnątrz, w cieniu drzewa, które obwieszono różnymi

drogowskazami. Z tyłu, za budką znajdował się „ogród osobliwości” - dwa drewniane wychodki. Amerykanie czekający na swoje hamburgery nie mogli się nadziwić, co to jest, jak to działa. Robili zdjęcia. Prawdziwa lekcja historii.

Jeszcze długo chodziłam po miasteczku. Po stacji kolejowej nie było już śladu. Wiatr nawiewał pył na szosę. Od czasu do czasu przejechał jakiś samochód. A ja myślałam o tym, co powiedział Angel, że jest najbogatszy na świecie, bo czuje się szczęśliwy. „Co by mi dał milion dolarów?” - zapytał sam siebie i szybko odparł: „Bogaci ludzie rzadko są szczęśliwi, bo pogoń za pieniędzmi nie daje spełnienia. Wspinanie się po trupach po szczeblach kariery nie przynosi radości. Ważne jest to, co człowiek ma w sobie i czy może się tym podzielić z innymi”. I zadał kolejne retoryczne pytanie: „Czy możesz pójść do lekarza i poprosić o wystawienie recepty na lekarstwo dające szczęście? Nie, bo w żadnej aptece nie ma takich eliksirów. Ale możesz przyjechać do Seligman i posmakować tego specyfiku”.

miasto osłów

Wokół widać było tylko wyschnięte trawy, wypalone upałem. Na niebie żadnej chmurki. Droga 66 prażona słońcem w tym bezcienistym regionie przecinała skalistą pustynię. Gdzieś tam pojawiały się wzniesienia, a w oddali majaczyły wysokie góry. Byłam sama na szosie. Nie czułam się zmęczona jazdą, bo droga zakręcała, wznosiła się i opadała. W dodatku ciągle kusilo mnie, żeby się zatrzymać. A to wiatr, wirując, tworzył miniaturowe pyłowe tornada. A to wielka agawa intrygowała, stercząc pośród traw. Nagle przy szosie pojawiły się tabliczki, ustawione jedna za drugą. Czerwone z białymi napisami. Czytane kolejno układały się w wierszyk:

Gdy twój mąż zejdzie na manowce
Burcz na niego i wyrzekaj
Piekl się i dopiekaj
A najlepiej kropnij brutala odrobiną
Burma Shave

Słynne hasło reklamowe pianki do golenia, która nie wymagała pędzla, stało przy Drodze 66, zupełnie jakby czas się zatrzymał. A przecież slogany te można było oglądać przy najbardziej ruchliwych szosach tylko od 1927 do 1963 roku, kiedy to uznano, że kierowcy jadący coraz szybciej nie będą w stanie odczytać haseł, i zrezygnowano z tej popularnej formy promocji. Ale zanim to nastąpiło, przez trzydzieści pięć lat dowcipne rymy nie tylko wskazywały na zalety nowoczesnej pianki, lecz także popularyzowały bezpieczną jazdę. W całych Stanach można było przeczytać ponad trzydzieści pięć tysięcy takich sloganów. O reklamach Burma Shave śpiewano piosenki (na przykład gwiazdor country Roger Miller i Tom Waits), czerwone tabliczki pojawiały się też w filmach (*Bonnie i Clyde*).

Jechałam dalej na zachód wymarłą pustynią, wypatrując kolejnych symboli dawnych czasów. Mijałam wioski widma. Pierwsze było Truxton, niegdyś spory przystanek kolei, gdzie zachowały się tylko warsztat samochodowy i mały motel z knajpeczką. Wielopokoleniowa rodzina prowadząca te przybytki wytrwale udowodniała, że warto czekać na turystów.

Kolejny przystanek to Hackberry, liczące jedno domostwo ze sklepikiem, w którym były mydło i powidło, a także kolekcjonerskie zbiory pamiątek. Na płocie wisiały wysuszone czaszki

zwierząt. Wypłowiwała tabliczka straszyla: „Przed tobą trzysta mil pustyni. Zaopatrz się. Lód, woda, piwo”.

Do Kingman, jedyne dużego miasta w zachodniej Arizonie, było jednak znacznie bliżej. Tam, w obleganej knajpce Mr. D’z Route 66 Diner, jakby żywcem przeniesionej z lat pięćdziesiątych XX wieku, opowiedziano mi o najsłynniejszym ślubie zawartym w tym mieście - Clarka Gable’a z Carole Lombard. Kelnerka w średnim wieku, serwująca *huevos rancheros* z ziemniakami oczywiście nie mogła pamiętać wydarzenia sprzed siedemdziesięciu lat, ale westchnęła, mówiąc, że uwielbia Gable’a i wie o nim wszystko.



Znak w Hackberry ostrzega: „300 mil pustyni przed tobą. Tu kupisz wodę, piwo i lód”. Z pustynią nie ma żartów. W dzień żar leje się z nieba, w nocy temperatura gwałtownie spada. Śmiałowie, którzy zbaczą z utartych szlaków, zazwyczaj źle kończą.

Lombard - aktorka należąca do najbardziej rozchwytywanych i najlepiej zarabiających w latach trzydziestych - była wielką miłością Króla Hollywoodu, powszechnie uznawanego za najwspanialszego aktora wszech czasów i najprzystojniejszego mężczyznę w historii. Ślub wzięli w marcu 1939 roku, podczas przerwy w kręceniu przez niego *Przeminęło z wiatrem*. Gable musiał szybko wracać na plan zdjęciowy, młoda para nie miała więc dla siebie zbyt dużo czasu. Prosto spod kościoła metodystów ruszyli do Kalifornii, oczywiście Drogą 66, bo innej przecież wówczas nie było. Droga przez Czarne Góry była, i wciąż jest, niezwykle kręta i niebezpieczna. Dlatego zatrzymali się na noc w małym Oatman.

Druga kelnerka, znacznie młodsza, przysłuchująca się tej opowieści, dodała, że chciałaby przeżyć taką miłość. Gable przecież mówił, że małżeństwo z Lombard było najszczęśliwszym okresem jego życia, mimo że on był konserwatywnym republikaninem, a ona liberalną demokratką. Niestety, niedługo cieszyli się sobą, w 1942 roku Carole Lombard zginęła w katastrofie samolotu niedaleko Las Vegas, gdy wracała ze zbiórki pieniędzy na wsparcie

amerykańskiego wojska. Gable z rozpaczy zaciągnął się do wojska i poleciał walczyć do Wielkiej Brytanii. Moje rozmówczynie wzdychały z rozrzewnieniem, a ja pojechałam śladami słynnych kochanków.

Za małym sklepem w Cool Springs, stojącym pośrodku skalnej półki między kaktusami i agawami, zobaczyłam kolejne wraki samochodów. Od tego miejsca wzdłuż Drogi 66 wyrastały coraz większe pagórki. A zakręty stawały się coraz ostrzejsze. Serpenty nie były chronione żadnymi barierkami. Jeden nieostrożny ruch wystarczyłby, żeby samochód spadł w przepaść. Przypomniałam sobie zasłyszane gdzieś ostrzeżenia, że w czasie deszczu położone niżej ostre zakręty są zalewane wodą, co gorsza, nocą temperatura spada tu drastycznie. W skalnych rozpadlinach utknęło wiele aut, które uległy uszkodzeniu, a kierowcy nie byli w stanie ich naprawić. Jak na zawołanie zobaczyłam w oddali kolejny wrak samochodu.



Ratunek dla podróżnych w Cool Springs. Benzyna i woda. Wśród okolicznych piaszczysto-skalnych pagórków wraki porzuconych aut.

Zatrzymałam się na zakręcie szosy, w tym miejscu zawijającej się w prawie pełną pętlę. Wdrapałam się na skalną półkę. Z góry widać było, jak stara, miejscami popękana i wielokrotnie łatana Droga wije się niczym wąż między skałami. Wspina na pagórki i opada w kotliny. Zaczepia o kaktusowe pola. Jest smagana wiatrem na przełęczach. Wreszcie znika za górami. Uznałam, że w moim prywatnym rankingu to ten urokliwy odcinek Drogi 66 wskoczył na pierwsze miejsce. Jednak nie mogłam długo napawać oczu tym widokiem, bo parkowanie na zakręcie nie było bezpieczne, mimo znikomego ruchu.

Dalej szosa zaczęła biec zakrętami w dół. Pośród kamieni i kaktusów pojawiły się tabliczki ostrzegające, że wchodzenie do nieczynnych kopalń grozi niebezpieczeństwem oraz że to teren prywatny i każdy, kto chciałby wydobywać złoto, musi wykupić stosowne pozwolenie. Domyśliłam się, że sterty drewnianych pali widoczne z daleka pewnie zasłaniają wejście do

szybu. Tereny te były złotodajne na początku XX wieku. Wartość kruszcu wydobywanego z lokalnych kopalń szacowano w 1930 roku na trzydzieści sześć milionów dolarów, a okolice miejscowości Oatman i Gold Road uznawano za najbogatszy region Arizony. Oatman, do którego się właśnie zbliżałam, stanowiło lokalną metropolię, mieszkało tu wówczas dwadzieścia tysięcy osób, działało dziesięć sklepów, dwadzieścia saloonów, dwa banki i siedem hoteli.

Kilka zakrętów dalej przekonałam się, że miasteczko nie zachowało nic ze swojej dawnej świetności. Szosa przecina je przez środek. Po obu stronach stoją jednopiętrowe drewniane domki, wyglądające jak scenografia do westernu. Zostały połączone nie tylko dającymi cień daszkami, lecz także czymś w rodzaju drewnianego chodnika, który w przeszłości wydobywcom złota pozwalał przejść wzdłuż ulicy suchą nogą. Od drogi chodnik odgradza balustrada, przy niej niegdyś przywiązywano konie. Teraz barierki służyły do wieszania towarów mających przyciągnąć uwagę przybyszów.

Pośrodku jezdni, zamiast samochodów, stało kilkanaście osłów. Niektóre spacerowały leniwie, człapiąc to w jedną, to w drugą stronę. Z rzadka przejeżdżające auta cierpliwie czekały, aż ośla rodzina zdecyduje się odejść na bok. Upał nie zachęcał zwierząt do pośpiechu. Niektóre chowały się przed słońcem pod daszkami sklepów, czasem nawet wsadzały swoje duże łby do środka, zaglądały zaciekawione do wnętrza.

Kim, około pięćdziesięcioletnia spalona słońcem blondynka, sprzedająca na ulicy koszulki z kolorowymi nadrukami, wytłumaczyła mi, że osły są potomkami zwierząt, które pracowały w kopalniach złota. Gdy złoża się wyczerpały w połowie lat czterdziestych XX wieku, ludzie zwinęli manatki i wyjechali. Natomiast zwierzęta zostały i objęły miasto w posiadanie. Dziś mieszka w okolicy tysiąc osłów. Jest ich więcej niż ludzi, bo miejscowość liczy w porywach do siedmiuset pięćdziesięciu mieszkańców i to wtedy, gdy w domach są wszystkie „zimowe ptaszki”. Kim powiedziała, że to lokalne określenie na tych, którzy spędzają w Oatman tylko zimę. W lecie, gdy temperatura sięga prawie pięćdziesięciu stopni Celsjusza, jest dla nich za gorąco. Wtedy można tu smażyć jajka na ulicy (co roku są organizowane takie zawody), ale nie ma czym oddychać. Kim przyjechała tu w 1987 roku z Kalifornii. Właśnie wtedy, dzięki kampanii promującej Drogę 66, prowadzonej przez Angela Delgadillę z Seligman, wiele osób przypomniało sobie o istnieniu Oatman. Osiedli tu na stałe różni artyści, rzemieślnicy i poszukujący spokoju byli hippisi. A także ludzie potrzebujący taniego schronienia i pomysłu na prowadzenie działalności, jak Kim. Wskazując na sprzedawców stojących przed swoimi

sklepikami po drugiej stronie ulicy, powiedziała, że wszyscy są przyjezdni. Leczą tu, w tym suchym, gorącym klimacie reumatyzm, alergię, astmę.



Ośłów mieszka w Oatman więcej niż ludzi. Rządzą niepodzielnie. Samochody muszą czekać, aż zwierzęta ustąpią im miejsca. Turyści karmią je marchewkami. A gdy przybyszów brak, osły same częstują się, czym mogą.

Ośłów w Oatman nikt nie przegania, tym bardziej że turyści mają frajdę. Jak wyjaśniła mi Kim, jest to relacja przynosząca dwustronne korzyści, bo podróżni są zachwyceni egzotyką, a osły dostają jedzenie. Kobieta szturchnęła mnie, by pokazać, jak zwierzęta podchodziły do delikwenta w szortach, wpychały nosy w obiektyw jego aparatu i machały głowami w kierunku kosza pełnego marchewek, który stał przed jednym ze sklepików. Mężczyzna bez wahania sięgnął do portfela i już za chwilę osły chrupały warzywa.

Potem i ja doświadczyłam przebiegłości tych zwierząt, tresujących ludzi. Marchew kupiona za dolara wystarczyła na kilka chrupnięć dwóm natarczywym osobnikom. Kolejne przybiegły, tarasując mi przejście. Następne kupione marchewki, zamiast umożliwić mi ucieczkę, spowodowały tylko zwiększenie liczby chętnych do posiłku. Osły znajdujące się w pobliżu, gdy czuły zapach marchwi lub słyszały dźwięk chrupania, podchodziły bliźutko, osaczały mnie, podszcypywały i popychały, domagając się niecierpliwie kolejnych marchewek. Uratowała mnie dopiero interwencja sklepikarzy obserwujących całą scenę.

Uwolniona od towarzystwa osłów dostrzegłam na ścianie jednego z budynków portret dziewczyny. Wyraźnie widać było tradycyjny indiański tatuaż na twarzy - pasy biegnące od dolnej wargi do krawędzi brody. To Olive Oatman, córka osadników, porwana w tych okolicach w 1851 roku przez Apaczów, zaadoptowana potem przez plemię Mojave i odbita po sześciu latach przez żołnierzy. Jej wytrwałość i odwaga skłoniły mieszkańców powstającego miasteczka do uznania jej za patronkę.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się najokazalszy budynek miasta - Oatman Hotel. Dyndająca nad ulicą drewniana tablica, z której odłaziła farba, informowała, że założono go w 1902 roku. W hotelu nie można już wynająć pokoju. Gmach wymaga generalnego remontu i wielkich nakładów. Wejście na schody zagradzał przewieszony łańcuch. Nalegałam jednak i ludzie ze sklepiku na parterze pozwolili mi wejść na górę. Skrzypienie drewnianych schodów ostrzegało przed zbyt gwałtownymi ruchami. Na piętrze czas się zatrzymał w 1939 roku. Wąski korytarzyk, o równie skrzypiącej podłodze, zaprowadził mnie przed szklane drzwi z koronkową firanczką. To pokój numer piętnaście, który dumnie nosi nazwę „Apartamentu Clarka Gable’a i Carole Lombard”. W skromnym pokoiku mieściły się łóżko, szafeczka i toaletka z miską na wodę. Karteczka przy framudze informowała, że aktorska para spędziła tu noc poślubną i że wszystko pozostało nietknięte od czasów ich wizyty.



Olive Oatman, patronka miasteczka, na wszystkich portretach ma indiański tatuaż na twarzy. Mimo ciężkich przeżyć w młodości dożyła sędziwego, jak na tamte czasy, wieku. Zmarła na atak serca w wieku sześćdziesięciu pięciu lat w 1903 roku.

Legenda głosi, że czasem jakaś zwiewna postać przemyka między pokojami. Niektórzy mówią, że może Clark Gable szuka swojej ukochanej. Ale pewnie ducha widzą ci, co zbyt długo przesiadują w hotelowym barze. Przybytek znajdujący się na poziomie sutereny tętnił życiem. Gdy weszłam, było przyjemnie chłodno i ciemno. Zobaczyłam, że ściany i sufit zaklejono banknotami dolarowymi. „Zielone” poprzyczepiano ciasno obok siebie. Barmanka powiedziała, że początkowo zostawiali je poszukiwacze złota, wierząc, że przyniosą im szczęście. Potem - uszczęśliwieni znalazcy kruszcu. Od dawna nie ma już ani kawałeczka wolnego miejsca, więc kolejni przybysze zaczepiają swoje banknoty skrawkiem rożka. Papierki zwisają, tworząc niezwykle girlandy. Prawie wszystkie są podpisane, na pamiątkę. Podobno kilka z nich przypiął sam Clark Gable.

bingo w Złotym Wybrzeżu

Droga 66 wiała się przez zachodnią Arizoneę wśród skał, kaktusów i suchych traw. Zakrętom i pagórkom nie było końca, aż wreszcie pojawił się piach. Samochodowy termometr wskazywał sto dziewiętnaście stopni Fahrenheita (ponad czterdzieści osiem stopni Celsjusza).

Zabudowania, które wreszcie zobaczyłam po dwóch godzinach jazdy przez pustkowia, wyglądały prawie nierealnie. Na mojej mapie w tym miejscu wciąż była pusta plama. Ale jednak tuż przede mną wyrosło miasteczko. Duży napis przy pierwszym małym baraku głosił: „Salon paznokci i fryzur”. Był sygnowany logiem Drogi 66 oraz wizerunkami dziewczyny i chłopaka na motorach. „Salon” zamknięty. Dalej z piachu wystawał nieduży murek z malowidłem przedstawiającym dokładnie to, co znajdowało się przed nim - piach, trzy rachityczne kaktusy. Do tego napis informował, że trafiłam do Golden Shores. Nazwa Złote Wybrzeże zabrzmiała dość komicznie w tej scenerii.

Miasteczko wyglądało na wymarłe. Poczta mieszcząca się w wymalowanym na niebiesko, miniaturowym, drewnianym kiosku była zamknięta. Linda's Cafe, która wygląda jak knajpka serwująca domowe obiady - też. Nigdzie żywego ducha. Na płaskim baraku będącym siedzibą Związku Weteranów Wojen Zagranicznych dumnie powiewała wielka amerykańska flaga. Tuż pod nią transparent: „Bingo - w każdą niedzielę o drugiej po południu”. Zawahałam się przez sekundę. Jednak napis: „Public welcome” mnie przekonał. Delikatnie uchyliłam drzwi.

Z wnętrza popłynęło chłodne powietrze. Gdy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyłam twarze spoglądające w moim kierunku, jedne zaciekawione, inne zniecierpliwione. Uśmiechnęłam się przepaszając i wślizgnęłam do środka. Przy długich stołach ustawionych w kilku rzędach siedziało, jak policzyłam, trzydzieści pięć osób. Przeważały kobiety. Średnia wieku wynosiła pewnie około siedemdziesiątki. Wszyscy w skupieniu patrzyli na kartki leżące przed nimi i coś na nich zakreślali grubymi flamastrami.

Mężczyzna siedzący za stołem na niewielkim podium po lewej stronie pomachał do mnie ręką, pokazując, że mogę usiąść obok niego. Miał siwoblond włosy spięte w kucyk. Lekko się garbił. Na środkowym palcu jego lewej ręki zobaczyłam wielki sygnet z turkusem.

Przedstawił się jako Nye. Tego dnia była jego kolej na prowadzenie gry w bingo. Nadzorował więc rozgrywkę, wydawał karty z numerkami, zbierał pieniądze i wypłacał wygrane.

Cichym głosem, aby nie przeszkadzać grającym, przedstawił mi obecnych na sali i wyjaśnił zasady gry.

Mężczyzna siedzący w rogu przy mikrofonie to mistrz ceremonii, Jess. Z bujną, ciemną czupryną zaczesaną do góry, wąsami, w niebieskiej koszuli w palmy wyglądał bardzo dostojnie. Mocnym, choć nieco monotonnym głosem wyczytywał kolejną wylosowaną liczbę. Każdy z graczy odszukiwał ją w odpowiedniej kolumnie na kartce, którą miał przed sobą, i zaznaczał wielkim kolorowym flamastrem. Nye wyjaśnił, że na kartce znajduje się sześć pól, każde składa się z pięciu kolumn i pięciu rzędów liczb. A stawiane na numerkach kropki mają utworzyć wskazany wzór - linię lub literę. Kto pierwszy zaznaczy odpowiedni kształt, musi krzyknąć: „Bingo!” i wygrywa. A na nagrodę składają się wszyscy, bo każdy grający płaci za jedną kartę pięć dolarów. Tymczasem wszyscy mieli przed sobą kilka kart. Niektóre kobiety zakreślały numerki jak automaty. Inne, bardziej podekscytowane grą, pokrzykiwały i popiskiwały, gdy odnalazły wylosowaną liczbę. Nye wytłumaczył mi, że w bingo liczą się spostrzegawczość i szybkość. Ale opanowanie i skupienie bardzo pomagają. Dlatego nie grała żadna muzyka, słychać było tylko szmer klimatyzacji.

Liczby wyświetlały się na wielkiej tablicy elektronicznej nad Jessem. Dodatkowo obraz z kamerki, pod którą mistrz ceremonii podkładał kule z numerami, były pokazywane na monitorach wiszących w rogach sali. Nye powiedział, że dzięki temu nikt nie może protestować, że nie wygrał, bo nie dosłyszał numeru. W sumie zostanie rozegranych dwanaście rund. Do każdej przeznaczono planszę innego koloru. Właśnie trwała siódma tura, trudna, bo trzeba trafić liczby układające się w romb pośrodku i dodatkowo - w cztery rogi.

Tego dnia przyszło wyjątkowo mało ludzi, zazwyczaj sala jest wypełniona po brzegi. Nye wskazał puste krzesła, które czekały na nieobecnych. Wszyscy tu mają swoje stałe, ulubione i szczęśliwe miejscówki. Żona Jessa na przykład zawsze siada przy środkowym stole. To ta kobieta ubrana strojnie w cieniutką brązową suknię, wykończoną koronkami - Nye pokazał ją palcem. Włosy miała utapirowane, a na jej szyi błyszczał wielki złoty naszyjnik. Natomiast naprzeciwko niej siedziała kobieta z ciemnymi włosami, w okularach. To Renate - Niemka.

Jess ogłosił przerwę. Nye przedstawił mnie głośno i rozległy się brawa. Renate zaprosiła mnie do swojego stolika.

- Może przyniesiesz mi szczęście - powiedziała. Siedząca naprzeciwko niej krótko obcięta szatynka, w jaskrawożółtym T-shirtcie, z ironicznym uśmieszkiem na ustach zapytała, co robię w

tej dziurze. Przecież wszyscy turyści omijają ten odcinek starej „66”, aby pędzić do Kalifornii lub uciec do jaskini hazardu, Las Vegas. Spodobała jej się moja odpowiedź, że nie spieszy mi się, lubię takie wioski i szukam nowych wrażeń.

- Jestem Janet - przedstawiła się nieco zachrypniętym głosem i wskazała siedzącego obok mężczyznę w brązowej koszuli w kwiaty, mówiąc, że to Beckham. Ale nie umie grać w piłkę. Ma na imię Richard i jest jej mężem. Roześmiała się z własnego dowcipu.

Jess rozpoczął kolejne losowanie. Zaczęłam wpatrywać się w planszę razem z Renate. Po kilku minutach Niemka zamruczała, że brakuje jej tylko jednej liczby. Stuknęła palcem w kartkę, pokazując mi układ kropek. Rozemocjonowana czekała na numer szesnaście.

- Bingo! - to nie Renate krzyknęła, ale Richard. Kobiety przy sąsiednim stoliku przekłęły pod nosem. Były tak blisko. Richard wygrał piętnaście dolarów. Uważnie przeliczył kupkę pieniędzy wypłaconą mu przez Nye'a i powiedział, że mieli szczęście, bo wcześniej zwyciężyła też Janet. Nic więc dziś nie dołożyli do hazardu.

Janet cały czas trzymała puszkę piwa w dłoni. Nie wypuściła jej nawet, gdy gratulowała mężowi wygranej. Zobaczyła, że patrzę na piwo, i powiedziała szybko, że jest alkoholiczką. Zaskoczyło i zaintrygowało mnie jej wyznanie, ale nie zdążyłam o nic zapytać, bo rozpoczęła się już następna gra. Liczby na czerwonych kartkach muszą utworzyć literę T. Wszystko trwało zaledwie kilka minut. Wygrała Renate. Po kolejnej rozgrywce (fioletowa kartka z literą E), wygranej przez staruszkę przy sąsiednim stoliku, Jess znowu ogłosił przerwę. Na papierosa, bo tu prawie wszyscy palą.



Gracze twierdzą, że bingo jest bezpieczne. Mało stawiasz i mało tracisz, co prawda też mało wygrasz, ale przynajmniej nie splukujesz się do suchej nitki. Janet (z nieodłączną niedzielną puszką piwa w dłoni) gra w Golden Shores regularnie.

Ktoś zaczął mówić o hazardzie on-line. I okazało się, że większość obecnych uwielbia nowoczesne technologie. W internecie można pograć w bingo, pokera, black jacka (czyli nasze oczko), nawet w ruletkę czy bakarata. Wszystko dostępne przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. I nie trzeba nigdzie jeździć. Moje pytanie o legalność takich gier wywołało konsternację. W końcu usłyszałam, że samo granie jest legalne, ale nielegalne jest przelewanie pieniędzy z karty kredytowej na zapłatę za hazard w sieci. W obawie przed praniem brudnych pieniędzy prawo federalne zabrania transferu środków na zakłady sportowe i gry hazardowe internetem i telefonicznie. Dlatego firmy, które są właścicielami kasyn w sieci, mają swoje siedziby na Karaibach, w Ameryce Łacińskiej i w Australii, nie podlegają więc amerykańskiemu prawu. Tak czy inaczej - w Golden Shores wszyscy grają w sieci.

Jeden z mężczyzn westchnął i powiedział, że od internetowego hazardu jeszcze łatwiej się uzależnić niż od prawdziwego, kasynowego. Bo wszystko odbywa się w zaciszu domowych pieleszy i wydaje się bezpieczne. Reszta rozmawiających pokiwała głowami. A ja sobie przypominałam dane, mówiące o tym, że w USA patologicznie uzależnionych od hazardu jest trzy i pół miliona dorosłych i ponad milion sto tysięcy nastolatków. Na co siwowłosa staruszka powiedziała, że właśnie dlatego woli bingo. Jest bezpieczne. Mało się stawia i mało traci. Co prawda też mało się wygrywa, ale przynajmniej człowiek nie splukuje się do suchej nitki. Może kupić tylko tyle kart do gry, ile będzie w stanie naraz zakreślać. Grupka znowu pokiwała głowami.

- Ale i od bingo można się uzależnić, zwłaszcza kiedy jest to jedyna rozrywka pobudzająca krążenie krwi w żyłach - mruknęła Janet, złośliwie patrząc na staruszkę.

Jeden z mężczyzn stwierdził, że uzależnienie od hazardu jest stare jak świat. Przecież wiadomo, że Juliusz Cezar z Markiem Antoniuszem większość swego wolnego czasu spędzali, grając w kości lub obstawiając walki kogutów. Podobno nałogowym graczem był Fiodor Dostojewski. Tyle tylko, że w jego czasach nie mówiono o nałogu. Popatrzyłam zdziwiona na Janet, a ona szeptem wyjaśniła, że to ich lokalna encyklopedia, profesor uniwersytecki. Mężczyzna niezrażony ciągnął swój wywód, mówiąc, że dopiero w 1980 roku zaczęto prezentować badania wskazujące na podobieństwo między zamiłowaniem do gier a alkoholizmem. Trzy lata później powstało Stowarzyszenie Anonimowych Hazardzistów na wzór Anonimowych Alkoholików. Jednak dopiero w 1994 roku termin „uzależnienie od hazardu” trafił do leksykonów medycznych.

W Golden Shores nikt nie myślał o leczeniu, ale o tym, by dokończyć rozgrywkę. Po przerwie odbyły się jeszcze dwie rundy. Nikt z „mojej paczki” nie miał szczęścia. Wygrywały panie z drugiej strony sali. Jess ogłosił zakończenie bingo. Ludzie wstawali z ociąganiem, jakby nie mieli ochoty wyjść na upał. Wyrzucali pokolorowane plansze do koszy. Niektórzy umawiali się na spotkanie za tydzień. Janet jakby od niechcienia rzuciła, że jeśli nie mam się gdzie zatrzymać, to mogę u nich. Zaskoczyła mnie po raz drugi. Takie propozycje nie zdarzają się w Ameryce, ludzie strzegą swojej prywatności, a często nawet członkowie rodziny przyjeżdżający z wizytą śpią w hotelu.

Pomyślałam, że najcudowniejszą zdobyczą wolnego człowieka jest brak pośpiechu i grafiku. Odpowiedziałam więc, że z przyjemnością skorzystam z ich zaproszenia. Wyszliśmy z budynku, rozgrzane powietrze buchnęło mi prosto w twarz, że aż trudno było oddychać.

- Nie przejmuj się - poradził Richard, a Janet pocieszyła, że w domu mają klimatyzację i piwo się chłodzi w lodówce.

Poszliśmy do samochodów. Po drodze Richard wyjaśnił mi, że nazwa Golden Shores jest jak najbardziej uzasadniona. Miasteczko leży bowiem tuż przy rzece Kolorado (tej samej, która przepływa przez Wielki Kanion) i przy Jeziorze Gęsim (Goose Lake). Mieszka tu niespełna trzy tysiące ludzi. Wiele domów to weekendowo-letniskowe siedziby Kalifornijczyków, którzy przyjeżdżają tu jeździć na nartach wodnych, łowić ryby i się upijać.

W lecie na trzy miesiące Golden Shores pustoszeje, bo dla gości z Kalifornii jest za gorąco. Wracają zawsze w październiku, gdy temperatura spada do trzydziestu pięciu stopni Celsjusza. Richard westchnął, mówiąc, że wtedy będzie przyjemnie chłodno. A ja pomyślałam, że wszystko jest najwyraźniej kwestią przyzwyczajenia.

Dojazd na miejsce zajął nam dwie minuty. Oślepiło mnie słońce odbijające się od betonowego podjazdu. Budynek okazał się dużym przenośnym *mobile home*. Richard i Janet zaśmiali się, gdy spytałam, czy naprawdę mogą podczepić koła i w każdej chwili zabrać dom w inne miejsce. Powiedzieli, że to jakiś mit, że Amerykanie mieszkają w przenośnych domach, bo chcą się ciągle przeprowadzać. Kupują takie, bo są tańsze i gotowe do zamieszkania w ciągu tygodnia od momentu zawarcia transakcji. Dlatego stały się takie popularne. Richard i Janet przez kilka lat byli menadżerami osiedla takich domków przenośnych (*mobile home park*) w Kalifornii. Znajdowało się tam sto siedemdziesiąt sześć budynków. Mieszkali w nich tylko ludzie powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia. Żadnych dzieci. Richard pracował jako dozorca,

konserwator, złota rączka. Janet była powiernicą, psychoterapeutką mieszkańców, wśród których przeważały samotne kobiety. Obydwoje przyznali, że to była najlepsza praca, jaką kiedykolwiek mieli i najszcześniejszy okres w ich życiu.

Przenośny dom Beckhamów miał nawet werandę. Na niej, za siatkowymi drzwiami szalał pies o imieniu Otis. Trzyletni mieszaniec owczarka australijskiego z niemieckim, jedno oko miał niebieskie, a drugie - brązowe. Energia go roznosiła.

Wnętrze domu okazało się zadziwiająco przestronne i przyjemnie chłodne. Miękką brązową wykładziną podłogową dawała poczucie komfortu. Janet odstawiła pustą puszkę po piwie, którą trzymała cały czas w dłoni, i powiedziała, że początkowo przyjeżdżali tu na weekendy, co dwa tygodnie. Ale w Kalifornii zaczęło się robić coraz gorzej, niebezpieczniej. Któregoś dnia wybrali się na bingo do kościoła katolickiego. Gdy wyszli, to cała ulica była zablokowana przez policję. Na jezdni leżał trup. Jakiś Meksykanin. Ktoś strzelił mu w tył głowy. Pewnie to porachunki gangsterów. Popatrzyli wtedy na siebie i bez słów wiedzieli, że ich nic tam dłużej nie zatrzyma. Nie chcieli przypadkowo na ulicy zarobić kulki w łeb. Zrezygnowali więc z pracy, sprzedali dom i przenieśli się tutaj na stałe. Richard przekonywał mnie, że Golden Shores to świetne miejsce. Jest tu dużo taniej niż w Kalifornii. Nikt do nikogo nie strzela, nie ma stresów wielkiego miasta. Mówiąc to, wyciągnął paczkę papierosów.

- Dużo palimy - powiedziała Janet, zapalając kolejnego papierosa. - Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzać.

Dużo? Janet i Richard palili jak smoki! Nie zdążali dobrze zgasić poprzedniego papierosa, gdy sięgali po następnego. Przyznali, że zaopatrują się u Indian. Jest taniej, bo bez podatku, tylko trzeba daleko jeździć, więc gdy już jadą do rezerwatu, to za jednym zamachem kupują kilkanaście kartonów. Richard otworzył jedną z szafek w kuchni, by pokazać zgromadzone zapasy. Ma świadomość, że palenie papierosów jest nie tylko niemodne, ale przede wszystkim niezdrowe. Słyszał, że Barack Obama walczy z tym nałogiem, obiecał żonie, ale na razie jakoś nie dotrzymuje słowa. Richard na szczęście nikomu nic nie obiecywał. Wypała znacznie więcej, niż jakakolwiek średnia krajowa przewiduje, ale co mu pozostało? Machnął ręką z rezygnacją i oznajmił, że ma raka prostaty. Dlatego przestał pić.

- Chcę przeżyć swoje życie i móc pamiętać, co się wydarzyło. Jak się jest pijanym, to wszystko ulatuje z głowy - stwierdził Richard z westchnieniem. Nie było mu łatwo, bo pił już jako nastolatek i jego ojciec był alkoholikiem. To nic wstydliwego, przecież nawet George W.

Bush, czterdziesty trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, przyznał kiedyś w wywiadzie telewizyjnym: „Alkohol panował nade mną”. Bush rzucił picie w dzień po swoich czterdziestych urodzinach, ponieważ miał tak strasznego kaca, że doznał przebudzenia moralnego.

Janet żadnego przebudzenia nie doświadczyła. Pije od dwudziestego roku życia, czyli już czterdzieści lat. Zaczęła, gdy pracowała jako barmanka. Całymi dniami serwowała drinki, aż zapragnęła spróbować, czym raczą się goście. Teraz przyniosła piwo z lodówki, mówiąc, że wtedy to nie były takie sikacze. Pokazała mi puszkę Natural Light, piwo wyglądało jak gazowana woda mineralna, zawartość alkoholu 4,2 procent. Wypija takich puszek sześć, ale tylko w niedzielę. Dlaczego?

- Żeby uczcić dzień święty - roześmiała się Janet. - Poważnie pytasz? Richard chciał, żebym i ja rzuciła picie razem z nim, ale nie mogę, nie potrafię. Obiecałam jednak, że nie będę codziennie zalana.

Wcześniej miała poważne problemy. Za jazdę po alkoholu wylądowała za kratkami. Policjanci zarekwirowali jej samochód i zabrali prawo jazdy. Było to wtedy, gdy rozpoznano raka u Richarda. Bał się choroby, komplikacji, ją też paraliżował strach. Piła coraz częściej do utraty przytomności. Richard, po dziesięciu latach małżeństwa, zażądał rozwodu, miał już dość.

- Po rozstaniu nieźle się bawiłam - przyznała Janet. - Ale nie mogłam bez niego żyć. Po prostu wiedziałam, że on jest jedynym, z którym mogę się zestarzyć. Rozumiemy się, znamy jak łyse konie.

Pobrali się znowu w 1997 roku, niespełna rok po rozwodzie. Drugi ślub wzięli w Las Vegas. Od tamtej pory są znów szczęśliwi i będą ze sobą na dobre i na złe. Jest między nimi trzynaście lat różnicy. Richard kilkakrotnie dopytywał się mnie, czy naprawdę nie widać po nim tych siedemdziesięciu trzech lat, które ma na karku.

Siedzieliśmy na wielkich kanapach w salonie. Otis co chwila domagał się zabaw. Janet sączyła piwo, obydwójce z Richardem zapalali co kilka minut kolejne papierosy. W pewnym momencie Richard spytał Janet, czy może opowiedzieć, jak się poznali. Kiwnęła głową i sama zaczęła mówić, żeby wszystko było po kolei, bo on jest jej piątym mężem, a ona jego trzecią żoną.

Pierwszą żonę, Betty, Richard poślubił, gdy miał osiemnaście lat. Byli małżeństwem przez dwadzieścia siedem lat. To była piękna i dobra kobieta. Rozeszli się, kiedy dzieci (dwóch synów i córka) dorosły i poszły w świat. Kilka lat po ponownym zamążpójściu Betty popelniła

samobójstwo. Miała depresję. Richard wtedy szalał z drugą żoną - Lyndą. Pobrali się w Tijuanie. Wytatuowali sobie dowody miłości w intymnych miejscach, codziennie pili wino, palili trawę i odlatywali. Po Lyndzie nastąpiła Janet.

Pochodzi z Oregonu. Wyszła za mąż też jako osiemnastolatka. Jej pierwszy mąż miał na imię Ron. Lubił ją bić i robił to często, aż dziw, że wytrzymała z nim siedem lat. Dopóki nie zniknął. Któregoś dnia po kolejnej awanturze i bijatyce przed samochód Rona wyskoczył Neil, dwunastoletni braciszek Janet. Stanął na podjeździe i zaczął krzyczeć: „Jeśli chcesz kogoś pobić, to pobij mnie. Ją zostaw w spokoju”. Wtedy widziała Rona po raz ostatni. Znalaziono go później martwego na moście za miastem. Ktoś go skatował. Musiał jeszcze komuś zaleźć za skórę. Został jej po nim syn.

- A potem, kto tam był, do cholery? - Janet popatrzyła na Richarda.

- Winstead - odpowiedział jej spokojnie mąż.

Poznali się, gdy Winstead wrócił z wojny, z Wietnamu. Był trochę dziwny. Zdarzało się, że wracała do domu i zastawała go siedzącego na podłodze i płaczącego. W Wietnamie był sanitariuszem, opatrywał rannych, chował zabitych, pakował ciała do worków. A potem nie mógł sobie poradzić ze wspomnieniami. Mieszkali razem z siostrą Janet i jej dziećmi. Po jakimś czasie okazało się, że molestował te dzieciaki. Nie chciała wierzyć siostrze, gdy się o tym dowiedziała, wydawało jej się, że maluchy mają po prostu bujną wyobraźnię. Przesiedziała całą noc na brzegu łóżka, płacząc. Kiedy on się wreszcie obudził, to na jej pytanie, czy to prawda, odpowiedział: „A co to nagle za problem powstał, przecież robiłem to już wcześniej”. I to był koniec życia z drugim mężem.

Trzeci był Billy. Z nim ma średniego syna. Billy był dobrym człowiekiem, ale ciągle wyjeżdżał. Pracował jako kierowca ciężarówki. Dużo jeździł po kraju i okazało się, że na każdym przystanku miał panienkę. Janet nie należy do tych kobiet, które można oszukiwać, więc się pożegnali.

Z czwartym mężem - też miał na imię Ron - wytrzymała pięć miesięcy. Już po rozstaniu urodziła kolejnego syna. Ron to dopiero był alkoholik. Jak zamawiał swojego ulubionego drinka - Screwdrivera („Korkociąg”), to kazał barmanowi nalać trzy czwarte szklanki wódki, a tylko jedną czwartą soku. Po alkoholu stawał się bardzo agresywny, strasznie się awanturowali. Pewnego dnia pomyślała, że lepiej się zmyć jak najszybciej, bo jeszcze faceta zabije w kłótni i trafi do więzienia, a to nie byłoby fajne. Uciekła więc do Kalifornii i spotkała Richarda.

W tym momencie Richard przejął opowieść i powiedział, że wtedy, w 1985 roku, Janet wpadła odwiedzić swoją przyjaciółkę Myrnę, która też pracowała jako barmanka. Myrna była dziewczyną Richarda. Siedzieli we troje w knajpce, ale Myrna musiała wrócić do pracy. Na odchodnym ostrzegła Janet: „Pamiętaj, on jest mój. Trzymaj ręce przy sobie”. I od tamtego wieczoru byli z Janet już nierozłączni. Roześmiali się głośno, po czym Janet westchnęła i stwierdziła, że dobrze jest powspominać, choć większość jej życia było koszmarem.

Richard patrzył na nią z czułością. Gdy ziewnęła, wyjaśnił, że zazwyczaj chodzą spać o zachodzie słońca. Zerknęłam na zegarek, dochodziła północ. Odprowadził ją do sypialni i szybko wrócił. Zasiadł przed komputerem, mówiąc, że zerknie tylko, co się dzieje w jego ulubionym kasynie. Ale zanim hazard pochłonął jego uwagę, powiedział, że mają niewielkie emerytury: on dostaje tysiąc siedemset, ona - sześćset dolarów, ale wystarcza im na skromne życie, papierosy, piwo, internet i niedzielne bingo.

Poszłam do małego gościnnego pokoju. Nie mogłam zasnąć, bo myślałam o życiowych przypadkach i wyborach Janet. Jej doświadczeń wystarczyłoby na kilka scenariuszy filmowych. Około trzeciej nad ranem się obudziłam. Było strasznie gorąco, duszno i głośno. Z sąsiedniego pokoju dochodziły dźwięki telewizora. Godzinę później nie wytrzymałam, wstałam. Dym z papierosów wkręcał mi się w mózg. Gdy otworzyłam drzwi, tłoczyła się na mnie nie tylko chmura dymu, lecz także Otis - radosny i skory do zabawy.

W sąsiedniej sypialni Janet siedziała na łóżku. Paliła papierosa, oglądała telewizję, odbiornik był nastawiony na cały regulator. Pomachała do mnie ręką. Richard w salonie siedział wciąż przy komputerze. Na mój widok się rozpromienił. Chciał mi pokazać i wytłumaczyć, jak się powinno rozgrywać pokera, ale czułam, że muszę wyjść na dwór. Przepychałam się z Otisem w drzwiach. Gorące powietrze buchnęło mi prosto w twarz. Miałam niewielki wybór - mogłam umrzeć z gorąca albo od dymu papierosowego.

- W domu jest chłodniej - krzyknęła radośnie i rześko Janet przez drzwi. Nie widać było po niej ani zmęczenia, ani skutków wypitego wieczorem piwa. Zaproponowała, że usmaży mi jajka. Ale Richard, nie odrywając palca od komputerowej myszki, przekrzykując klimatyzator, zawołał, że zabierze nas na śniadanie, przecież wygrał w bingo.

Przed siódmą rano na tarasie lokalnej restauracji było całkiem tłoczno. Najwyraźniej wszyscy tu wcześniej zaczynają dzień ze względu na upały. Weszliśmy jednak do klimatyzowanego, białego i na wpół pustego wnętrza. Szybko zjedliśmy ogromne omlety.

Richard nie pozwolił mi zapłacić za śniadanie. Powtarzał, że jestem ich gościem. Wypytywał mnie, którędy zamierzam jechać dalej, i radził, żebym wybrała autostradę, bo gdyby coś mi się stało, to przynajmniej co milę są tam telefony alarmowe. Na „66” nie ma kompletnie nic.

W drodze powrotnej zauważyłam, że przestronny buick Janet ma z przodu zamiast tablicy rejestracyjnej napis: „Route 66”. Pod domem Richard podbiegł do mojego auta, żeby sprawdzić poziom oleju, płynu hamulcowego i płynu w chłodnicy.

- Nie możemy cię wypuścić na pustynię bez sprawdzenia najważniejszych wskaźników - powiedziała Janet, a Richard dodał, że zanim wjadę w piach, powinnam zatankować auto, bo z pustynią nie ma żartów.

Ściągnął ze ściany garażu metalową tablicę drogową „Route 66”.

- Weź, proszę!

W tym samym momencie z domu przybiegła Janet, trzymając w dłoni plakat Drogi 66, który mi wręczyła. Otarłam pot z czoła, próbując maskować wzruszenie. Ale Janet też miała łzy w oczach. Powiedziała cicho: „Dziękuję, że byłeś, że nas wysłuchałeś”. Ucałowałam ich oboje i wskoczyłam do auta. Była ósma rano. Termometr wskazywał już dziewięćdziesiąt stopni Fahrenheita (ponad trzydzieści dwa stopnie Celsjusza). „Będzie upał” - pomyślałam. Przejeżdżając między podobnymi do siebie, prostymi domkami, wciąż miałam przed oczami twarze Janet i Richarda, ludzi ostro poharatanych przez los.

8 Kalifornia



Bagdad Cafe

Tuż za mostem na rzece Kolorado błyskały światła ostrzegawcze. Była to granica stanów, a konkretnie - posterunek kontroli żywności. Do Złotego Stanu - Kalifornii - nie wolno wwozić żadnego jedzenia, owoców ani warzyw, bo właściciele wielkich plantacji boją się chorób i bakterii sprowadzonych w żywności przez przyjezdnych. Prawy pas szosy przeznaczono dla ciężarówek, dwa lewe - dla aut osobowych. Mój samochodzik był jedynym pojazdem tego ranka. Zaczęłam hamować, zdjęłam okulary słoneczne, szybko zrobiłam „rachunek sumienia”. Ale oficer uśmiechnął się tylko i machnął ręką, by jechać dalej.

Pierwsze kalifornijskie miasto, Needles, liczące pięć i pół tysiąca mieszkańców, wyglądało na bardzo senne. Nie było widać żywego ducha. Minęłam podupadły Harvey House tuż przy torach kolejowych oraz kilka moteli przy Drodze 66. Wyobraziłam sobie, jak w latach trzydziestych XX wieku podczas exodusu Oklaków - setek tysięcy rodzin z Oklahomy, Arkansas i Teksasu - na zachód, funkcjonowało tu miasteczko namiotowe. W tym upale to musiała być katorga. W Needles jest tak gorąco, że - jak mawiają miejscowi - grzechotniki się pocą. Mówią też, że podróż do piekła wydaje się przy pobycie w Needles jak wycieczka. To fakt - do rajy stąd bardzo daleko. Jechałam powoli i nie opuszczała mnie myśl o wędrujących do Kalifornii Oklakach, marzących o zieleni, wodzie, kwiatach, pomarańczach i winoroślach. Tymczasem Kalifornia okazuje tu przybyszom swoje okrutne oblicze - wita pustynią Mojave, ogromnymi piaszczysto-żwirowymi polami na niewysokich pagórkach.



Needles w Kalifornii to, podobnie jak Kotlina Śmierci, najgorętsze miejsce w Stanach. To właśnie okrutne Needles było pierwszym kalifornijskim przystankiem rodziny Joadów (bohaterów powieści *Grona gniewu* Johna Steinbecka) w ich drodze do rajy.

Dopiero trzydzieści mil za Needles pojawił się zjazd z autostrady na Drogę 66. Nie zawahałam się mimo upału, pustkowia i braku telefonów alarmowych. Dookoła widać było tylko rozgrzany piach, tak biały, że od patrzenia bolały oczy. Plamy gorącego powietrza tańczyły na szosie, aż momentami wydawało mi się, iż cała jezdnia jest zalana wodą. Gdzieś tam pojawiały się zielone kształty, ni to drzewa, ni krzaki, ni kaktusy. To *Joshua trees*, drzewa Jozuego, czyli jukki krótkolistne, rośliny z rodziny agawowatych. Nazwali je tak mormoni, którym gałęzie powykręcane w różne strony skojarzyły się z wyciągniętymi ramionami Jozuego, arcykapłana Żydów prowadzącego lud wybrany do ziemi obiecanej. *Joshua trees* wydawały się na skraju wyczerpania. Walczyły o życie w surowym klimacie, na jałowej ziemi. Ten odcinek starej szosy na zawsze już będzie mi się kojarzył z muzyką Rya Coodera, którego płytę miałam w odtwarzaczu. Śpiewne, rzewne, bluesowe dźwięki jego gitary idealnie współgrały z otoczeniem.

Przy wjeździe do Goffs straszyl pusty duży budynek dawnego sklepu, a tablica informowała, że osadę zamieszkują dwadzieścia trzy osoby. Jako dowód przy szosie stało w rzędzie kilka starych skrzynek na listy. Ani domów, ani ludzi nie zauważyłam w pobliżu. Za to kawałek za miastem leżał wrak samochodu. Pewnie unieruchomiła go przed laty jakaś usterka i właściciel, mając w perspektywie holowanie auta setki mil, wołał je porzucić.

Pięćdziesiąt mil dalej, w następnej osadzie - Amboy - Droga 66 rozszerzała się do czterech pasów. Z daleka widać było wysoką reklamę Roy's Motel i budynek stacji benzynowej. Za nim, wzdłuż szosy stały w rzędzie białe chatki motelowe. Okolica wydała mi się dziwnie znajoma i przerażająca. Za wymarłym miasteczkiem, liczącym kilka budynków, wynurzała się spora, płaska i ciemna góra.

W cieniu pod daszkiem stacji benzynowej dostrzegłam jakiegoś człowieka. Na elektrycznym wózku do golfa siedział rozparty postawny mężczyzna w nieskazitelnie białej koszulce polo i czarnych krótkich spodenkach. Nie zdejmując ciemnych okularów, takich, jakie noszą wojskowi piloci, wyjaśnił mi, że przez ponad trzydzieści lat był szeryfem na wybrzeżu (czyli gdzieś w okolicach Los Angeles), a teraz pilnuje świeżo odnowionej kafejki i słynnego motelu Roy's. Innymi słowy, pracuje dla milionera Alberta Okury, właściciela sieci trzydziestu pięciu restauracji Juan Pollo, serwujących w Kalifornii kurczaki z rusztu. Biznesmen za cel postawił sobie odbudowanie świetności tego słynnego miejsca. Był szeryf, na dowód że zawsze jest gotowy do akcji, wyciągnął pistolet, po czym zaprosił mnie do środka i poczęstował

lodowatą wodą z zamrażalnika. Odczułam ogromną ulgę, choć język przymarzał mi do podniebienia.



Neon Roy's Cafe & Motel w Amboy. To jedyna oaza w tej okolicy.

Pełnym werwy głosem, pasującym do jego wysportowanej i mocnej sylwetki, mężczyzna oznajmił, że przeszklona recepcja w zygzakowatym kształcie powstała pod koniec lat pięćdziesiątych, a ten futurystyczny styl, który wtedy rozkwitł z ekscytacji podbojem kosmosu, nazywa się Googie. Najwyraźniej były szeryf miał ochotę pogawędzić. Ciągłe dolewając mi lodowatej wody, opowiedział więc o latach świetności osady Amboy, której właścicielami było małżeństwo Roy i Velma Crowlowie. Wioska składała się z knajpki, motelu i stacji benzynowej z małym warsztatem, wszystko wybudowano w połowie lat trzydziestych XX wieku. Miejsce stało się słynne nie tylko ze względu na hamburgery smażone przez Roya. Każdy musiał się tu zatrzymać. Jadący na wschód nabierali benzyny i wody przed wjechaniem na pustynię, podążający na zachód - odpoczywali po jej przekroczeniu. Po Royu prowadzenie biznesu przejął jego zięć, Buster Burris, który pewnego dnia przyjechał do Amboy na koniu cały zakurzony i spieczony słońcem i powiedział, że szuka tymczasowej pracy. Znalazł ją i został na zawsze. Zmieniał koła w ciężarówkach i naprawiał auta osobowe, które na pustyni padały jak muchy. W latach czterdziestych stałymi bywalcami Amboy byli żołnierze generała Pattona przygotowujący się do wojny na pustyni. Przez lata ruch był tak duży, że knajpka i warsztat działały całą dobę i zatrudniały ponad dziewięćdziesiąt osób. Gdy w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych autostrada I-40 przejęła ruch samochodowy, Amboy nie było już potrzebne.

W hangarze na tyłach stacji benzynowej Roy trzymał mały samolot. Latał nim, gdy chciał sprawić frajdę wnukom, ale kiedyś uratował kobietę, która wpadła do pobliskiego krateru. Emerytowany szeryf, wskazując palcem na tę ciemną górę za Amboy, zachęcał mnie, bym wdrapała się na szczyt wulkanu. Kiedyś to była nie lada atrakcja. Ostrzegł jednak, żebym nie

zapuszczała się za daleko na pustynię, bo tam, na poligonie, chłopcy ćwiczą zrzucanie bomb. I żeby się nie zdziwiła, jeśli na piachu za hangarem (to jeden z pierwszych pasów lotniczych w Kalifornii) usiądzie wojskowy samolot. Czasem swoim samolotem przylatuje też Harrison Ford. I on, i Anthony Hopkins często tu wpadają. Na dowód eksszeryf pokazał autografy aktorów na fotografiach powieszonych na ścianie.

A na zakończenie swej opowieści oznajmił, że w 1986 roku nakręcono tu horror *Autostopowicz* z Rutgerem Hauerem. Wyjaśniło się wreszcie to moje dziwne poczucie, że znam tę okolicę. Z ociąganiem wyszłam na żarzące się słońce.

Kilka mil dalej minęłam miejsce, gdzie kiedyś było miasteczko Bagdad. Tuż obok mieściły się Siberia i Klondike. Były to stacje kolejowe na linii Santa Fe, na których zaopatrywano parowozy w opał i wodę. Wokół niektórych z nich wyrastały miejscowości. To właśnie tu podczas kalifornijskiej gorączki złota z pociągu wysiadali górnicy żądni fortuny i przygód. Teraz po osadach nie został żaden ślad, nawet ruiny budynków pochłonął piach pustyni.

Z kolejnego miasteczka - Ludlow - zostało aż kilka domów, motel, stacja benzynowa, warsztat wulkanizatora i knajpka. Tu do Drogi 66 zbliżyła się autostrada. Biegła równolegle. Pędzące po niej ciężarówki wyglądały, jakby płynęły przez piasek. Wiał silny wiatr. Jechałam wolno. Gdzieniedzie rachityczne krzaczki rozpaczliwie czepiały się podłoża.

W Newberry Springs spośród piachu nagle wyrósł wielki słup z pionowym napisem: „Motel”. Niedaleko stał mały wymalowany na brązowo budynek ze spiczastym dachem, krytym czymś w rodzaju gontu. Tabliczka informowała, że Bagdad Cafe jest otwarta codziennie od siódmej rano do dziewiętnastej. Obok stała przyczepa kempingowa - srebrny, obły kształt wskazywał, że to najprawdziwszy airstream, tyle tylko, że bez szyb w oknach i z dziurą zamiast drzwi. Parterowy budynek motelu raził oczy bielą ścian, ale wszystkie drzwi i okna były pozamykane. Gorący pustynny wiatr nanosił piach na sprzęty porozrzucane od strony zaplecza.

Otworzyłam ciężkie drewniane drzwi Bagdad Cafe i zanim cokolwiek zobaczyłam, do moich uszu dobiegły dźwięki piosenki *Calling You* („Wołam cię”). Na wprost wejścia, przy kasie stała starsza kobieta w okularach, ładna blondynka z długimi, lekko kręconymi włosami, i uśmiechała się do mnie. Obok niej za niską ladą bufetu krzątała się jakaś postać w niebieskiej czapeczce bejsbolowej. Piosenka powoli dobiegała końca, a ja stałam i chłonełam atmosferę miejsca, które tak bardzo chciałam odwiedzić. Uśmiechnęłam się do blondynki, potakując głową na znak, że oczywiście rozpoznaję utwór. Przecież ta piosenka była głównym motywem

muzycznym filmu niemieckiego reżysera, Percy'ego Adlona, *Bagdad Cafe*⁷. Rozejrzałam się po wnętrzu, zauważyłam mnóstwo zdjęć i wycinków prasowych na ścianach, plakaty i naklejki, poprzyczepiane w spontanicznym nieładzie. W sali po prawej stronie, na wprost bufetu i kuchni stało pięć stolików, dwa były zajęte. W drugiej sali, po lewej stronie nie było nikogo. W rogu za wielkimi kanapami ze skaju stało pianino.

Zerknęłam na stolik przy drzwiach. To tu w filmie zawsze siadała potężna Niemka z Bawarii, Jasmin, która po kłótni z mężem została sama na pustyni. Z walizką pełną jego ciuchów, w twardych skórzanych butach, spętana gorsetem, trafiła w to miejsce, leżące gdzieś na końcu świata. Filmowa właścicielka knajpki i motelu, zgorzkniała i nerwowa Murzynka Brenda, męczyła się z dwójką nastoletnich dzieci, wnukiem, niemowlęciem, włoskim kucharzem, artystką wykonującą tatuaże i byłym dekoratorem wnętrz z Hollywood, mieszkającym w przyczepie. Jasmin, przybyszka z innego świata, pod wpływem pustyni, klimatu i spotkanych tu ludzi, zmieniła siebie i wszystkich wokół. To ciepła, pięknie sfilmowana opowieść, bez nadmiaru słów mówiąca o przełamywaniu barier kulturowych, odkrywaniu siebie, poszukiwaniu własnego miejsca na ziemi.

- Każdy, kto tu trafia, widział film Adlona przynajmniej raz w życiu. Inaczej by się tu pewnie nie zatrzymał - powiedziała blondynka przy kasie. To właścicielka knajpki, sześćdziesięciosiedmioletnia Andree Pruett. W czerwonej koszulce, džinsach i sportowych czerwonych butach wyglądała na bardzo energiczną. Właśnie przywiozła towar z Los Angeles. Wskazała ręką na T-shirty w kartonie stojącym za kasą. Puste wieszaki leżały porzucane na podłodze w drugiej sali. Zawsze tak jest po wizycie kilku autokarów z obcokrajowcami - skomentowała krótko Andree i poprosiła wychodzącą z kuchni kobietę w żółtej czapeczce, by zajęła jej miejsce przy kasie. Żeby spokojnie porozmawiać, przysiadłyśmy na skajowej kanapie.

⁷ Tytuł oryginału to *Out of Rosenheim*. Film nakręcono w 1987 roku, wyreżyserował go Percy Adlon, a muzykę skomponował Bob Telson. Obraz zdobył Cezara w 1989 roku. Piosenka *Calling You* była nominowana do Oscara w tym samym roku. Nie mylić z serialem, w którym występowała Whoopie Goldberg.



Dzięki filmowi *Bagdad Cafe* Percy'ego Adlona cała Europa zna kalifornijską pustynię. Wielu ludzi chce tu przyjechać, szukając śladów Jasmine.

Andree przyjechała w te okolice z mężem, Haroldem, w 1995 roku. Porzucili Los Angeles, gdzie ona pisała scenariusze i wykładała w szkole teatralnej, a on pracował jako deweloper.

Nie powiodły mu się jakieś transakcje i byli spłukani. Ale mieli plan. Harold chciał założyć hodowlę strusi, a Andree marzyła o spokojnym miejscu do pisania. Newberry Springs wydawało się idealne, bo choć znajduje się na pustyni, to leży nad ogromnym podziemnym jeziorem, więc wody tu nie brakuje. Najpierw kupili ziemię pod farmę, potem posiadłość z domem. Gdy wracali do Los Angeles, by ostatecznie pozamykać wszystkie sprawy, zatrzymali się na hamburgera w przydrożnej knajpce. Nazywała się wówczas Sidewinder Cafe (nazwa pochodziła od popularnego tu grzechotnika rogatego). Właścicielka obsługująca gości, a nie było ich zbyt wielu, zaczęła im opowiadać, że to tu kręcono film *Bagdad Cafe*. I że chce sprzedać ten lokal. Haroldowi od razu zaświeciły się oczy.

- Nawet o tym nie myśl! - powiedziała mężowi Andree.

Ale wieczorem w domu, w Los Angeles, ich syn Harold P. Pruett II uznał, że to bardzo fajny pomysł, a ponieważ był aktorem i znał się na rzeczy, decyzja zapadła. Obejrzelili film i byli oczarowani, także możliwościami, jakie się przed nimi otwierały.

To Harold wymyślił, żeby zmienić nazwę na Bagdad Cafe, bo przyciągnie to więcej klientów. Solennie obiecał wtedy żonie, że nic nie będzie musiała robić w knajpce, on wynajmie ludzi. Andree przecież nie umiała gotować i nie znała się na prowadzeniu interesu. Ale miejscowi nie bardzo garnęli się do pracy na cudzy rachunek. Musiała więc w końcu zakasać rękawy i wszystkiego się nauczyć. Harold walczył z farmą strusi, która też nie okazała się strzałem w dziesiątkę. A jednak mąż Andree coraz bardziej kochał to miejsce. Wciągnął go ten pustynny

klimat, gdzie nie ma gnania na oślepi, gdzie każdy ma czas na zastanowienie się nad sobą. A wiatr, który smaga twarz, pcha kłaczki suchej trawy po piasku. Andree nie było łatwo, zwłaszcza że drzwi knajpki w ogóle się nie otwierały, bo nikt tu nie zaglądał. Po 11 września 2001 roku, po ataku na World Trade Center, ruch zamarł zupełnie. Do Stanów przestali przyjeżdżać turyści z zagranicy. A przecież obcokrajowcy stanowili większość klienteli Bagdad Cafe.

Najgorsze przyszło w 2002 roku. Dokładnie 21 lutego. Zmarł ich trzydziestotrzyletni syn. Przedawkował narkotyki. Aktorem został już jako sześciolatek. Występował w serialach telewizyjnych, potem krok po kroku piął się w górę. Grał niewielkie role w różnych filmach, ale wystąpił także u boku Sophii Loren w filmie *Mamma Lucia*. Andree, dumna z syna, pokazywała mi jego zdjęcie, które umieściła na odwrocie menu knajpki. Przystojny, z pewnym siebie wzrokiem (po ojcu), uroczy i ciepły (po matce). Tuż nad fotografią Harolda juniora znalazło się zdjęcie seniora, bo mąż Andree zmarł dwa i pół miesiąca po odejściu syna. Jego serce nie wytrzymało. Dla niej tego dnia, 6 maja 2002 roku, świat przestał istnieć. Została sama na środku pustyni. Była na krawędzi bankructwa.



Dla turystów Bagdad Cafe to ucieczka od słońca i spiekoty oraz wejście w inny, bajkowy świat. Dla mieszkańców Newberry Springs - codzienna porcja kawy i informacji ze świata.

Gdy mówiła o tym, miała łzy w oczach. Co chwila przerywała swoją opowieść, dotykała mojej ręki, szukając wsparcia.

- Któregoś dnia - wspominała - siedząc w Bagdad Cafe, pomyślałam, że widocznie zostałam tu sama nie bez powodu. Harold chciał, żebym przeżyła! Żebym nadal prowadziła tę knajpkę, w ich - męża i syna - ukochanym miejscu. Gdyby nie to, że było tu codziennie tyle do zrobienia, nie wiem, czy bym się pozbierała.

Wzięła się w garść, bo pochodzi z rodziny wojowników, choć ma w sobie tylko jedną ósmą krwi Czirokezów. Sprzedała wielką posiadłość na pustyni, by utrzymać lokal. Zamieszkała

na małym ranczu, razem z większością swoich pracowników, którzy rekrutują się spośród osób pokrzywdzonych przez los. To kilka osób, kobiety i mężczyźni, przeważnie bez wykształcenia, domu i rodziny, niektórzy odrzuceni przez społeczeństwo, trochę opóźnieni, wszyscy poszukujący swojego miejsca na świecie. Pomagają sobie nawzajem. Ona im daje dach nad głową i pracę, oni odwdzięczają się ciepłem i lojalnością.

Od dłuższego czasu Andree pisze *Prawdziwą historię Bagdad Cafe*, o starszej zwariowanej kobiecie, która straciła syna i męża, ale cały czas jest z nimi w kontakcie i zwraca się do nich z prośbami o rady czy pomoc. Mówiąc to, Andree uśmiechała się i kiwała głową.



Andree Pruet, obecna właścicielka knajpki Bagdad Cafe, po śmierci syna i męża została sama na środku pustyni. Teraz wie, że przetrwała, bo tak wiele miała do zrobienia. I wierzy, że tu właśnie odnalazła swoje miejsce na ziemi.

- Tak właśnie jest - przyznała w końcu. - We wszystkim radzę się Harolda. I znowu uroniła łzę, którą szybko starła niemal niewidocznym ruchem dłoni. Opowiadała, że czasami przyjeżdżają do niej Percy Adlon z żoną, która była współscenarzystką *Bagdad Cafe*. Obydwoje śpią jak z rękawa anegdotami o tym, jak kręcili tu film. Żadna scena nie była dogrywana w studiu. Andree żałuje, że jej wtedy tutaj nie było.

Teraz wewnątrz lokalu prawie się nie różni od tego, co widać na filmie, tylko w 1987 roku nie było tych wszystkich fotosów na ścianach. Nie wisały też kartki z całego świata przysyłane do Andree z podziękowaniami ani mapy z podpisami wdzięcznych turystów.

- Większość ludzi namawia mnie, żebym nic tu nie zmieniała - powiedziała Andree. Bardzo żałuje, że gdy kupowali z Haroldem knajpkę, motel nie był wystawiony na sprzedaż. Gdy właściciel zbankrutował, nie mogła już sobie pozwolić na kupno. Teraz budynek jest bardzo zniszczony i musiałaby zbyt dużo zainwestować. Szkoda. Turyści chętnie zobaczyliby pokój, w którym mieszkała Jasmin, tak jak zaglądają do srebrnej turystycznej przyczepy, w której Roy

Cox malował jej portret - akt. Ten fragment filmu trafił na listę pięćdziesięciu najbardziej romantycznych scen wszech czasów.



Aluminiowa przyczepa airstream, „srebrny pocisk”, kultowa jak corvette czy harleye, stała się symbolem Bagdad Cafe.

Na stoliku przy kasie leżała sterta książek i albumów. Andree dumnie pokazała mi, że już dwadzieścia dwa grube albumy zostały wypełnione podpisami przybyszów z całego świata.

- Kocham ludzi - powiedziała. - Uwielbiam, jak przyjeżdżają, jak się zachwycają, jak krzyczą z radości. Zawdzięczam to oczywiście Drodze 66. To już nie jest tylko amerykańska szosa. Jest główną ulicą świata!

Jak na zawołanie otworzyły się drzwi. Weszła grupa roześmianych francuskich turystów. Rozległy się okrzyki zachwytu, błysnęły flesze. Andree zerwała się z krzesła z serdecznym uśmiechem na ustach, by ich obsłużyć.

Piosenka *Calling You* wciąż rozbrzmiewała w mojej głowie, gdy zdałam sobie sprawę, że niezwykle efekty świetlne nad pustynią Mojave, jakie uchwycił Percy Adlon w swoim filmie, pochodziły z elektrowni słonecznej położonej w pobliskim Dagett. Wyjeżdżając z Bagdad Cafe, zobaczyłam ten fenomen - ogromne, rażące w oczy błyskawisko. Nie mogę inaczej nazwać tego skupiska czterystu tysięcy luster sferycznych, o długości ponad sześciu metrów każde, zajmujących w sumie powierzchnię ponad czterech milionów metrów kwadratowych. To największa na świecie elektrownia słoneczna, wytwarzająca około trzystu pięćdziesięciu megawatów mocy, co stanowi blisko dziewięćdziesiąt procent komercyjnego przetwarzania energii słonecznej na świecie.

Przed wojskową bazą piechoty morskiej marines skręciłam na północ do Calico, by zobaczyć jedno z najlepiej zachowanych w Kalifornii *ghost towns*, „miast widm”, a jest ich w tym stanie prawie trzysta. W górach koło Calico przez lata wydobywano srebro. Gdy kopalnie

zamknięto, okolica opustoszała. Kopalniane szyby i zabudowania miasteczka przetrwały w dobrym stanie, bo suchy klimat pustyni Mojave wszystko mumifikuje. Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku całą miejscowość kupił Walter Knott, przedsiębiorca specjalizujący się w parkach rozrywki. Do dziś można się przejechać kolejką wąskotorową i zobaczyć, jak żyli górnicy.

W cieniu, pod daszkiem, przystojniak w skórzanym kapeluszu pokazywał rodzinie z czworgiem dzieci, jak kiedyś poszukiwacze złota wypłukiwali kruszec w strumieniach. Z wprawą kręcił wielkim sitem, nie przestając opowiadać o czasach Dzikiego Zachodu. Potem zaproponował, że za kilka dolarów mogą sami odłowić kilka grudek, na co cała rodzina przystała z ochotą. Manipulując misami, wypatrywali wśród piasku ziarenek kruszcu wielkości łąbka od szpilki.

Poszłam do sklepiku-apteki, by napić się sarsaparilli - bardzo słodkiego, tradycyjnego, bezalkoholowego napoju Dzikiego Zachodu, uzyskiwanego z korzeni różnych gatunków kolcorośli.

- Słyszałam, że sarsaparilla stymuluje energię i pobudza potencję - chichotała blond piękność z dużym dekoltem. Pręży się przy niej macho poprosił o jeszcze jedną szklankę.

- Kiedyś sarsaparillą leczono syfilis - mruknęła starsza pani w słomkowym kapelusiku do swojej przyjaciółki w takim samym nakryciu głowy, a ta w nabożnym przerażeniu wzniosła oczy ku górze.

Pewnie jedni i drudzy zatrzymali się w Calico w drodze do najbardziej rozrywkowego miasta USA - Las Vegas. Do jaskini hazardu na północny wschód biegła autostrada I-15. Ja pojechałam nią na południowy zachód, w stronę San Bernardino.

ostatni prawdziwy hippis

Na szczycie przełęczy Cajon, między górami Świętego Bernarda i Świętego Gabriela, pośrodku dwóch pasów Drogi 66 w latach jej świetności znajdował się kultowy Summit Inn. Od typowej, przydrożnej jadłodajni różniło go menu, bo był w nim burger (kotlet) z bizona i omlet z mięsem strusia. Dziś Summit Inn, jeden z niewielu dinerów w dawnym stylu, wciąż działa, choć kawałkami starej, oryginalnej Drogi, biegnącej przez przełęcz, samochodem przejechać się już nie da.

Przyjechałam do Summit Inn, by spotkać człowieka, który zawsze na pytanie, gdzie mieszka, odpowiadał: „Na Drodze 66”. Nazywa się Robert (Bob) Waldmire i bez ustanku jeździ po starej szosie. Próbowалаm go łąpać w różnych miejscach, ale wciąż nie mogliśmy się spotkać. Gdy ja byłam w Illinois, on przejeżdżał przez Arizone, gdy dotarłam na południe, on był na wschodzie. A ponieważ podróżuje i żyje tak, jakby czas się zatrzymał trzydzieści lat temu, nie spieszy się, nie jest pod presją dzwiczących dzwonek, nie używa komórki ani e-maili, trudno nam było się umówić. W końcu przy pomocy pośredników uzgodniliśmy, że zobaczymy się w Kalifornii. W każdym kolejnym miasteczku pytałam więc o niego. W Barstow Boba nie widzieli. W Victorville nawet nie wiedzieli, że ma przyjechać. W końcu w Summit Inn młoda kelnerka przekazała mi wiadomość na kartce: „VW się zepsuł. Utknąłem na stacji benzynowej w Newberry Springs. Czekam na ściągnięcie do warsztatu w Hesperii. Bob”.

- O to chodziło? - dopytywała się kobieta, gdy zobaczyła moją zatroskaną minę. Pokiwałam głową, myśląc, że gdybym wolniej jechała i dłużej się zatrzymywała w kolejnych miejscach, to byśmy się spotkali kilkaset mil wcześniej i mieliśmy więcej czasu na rozmowę. Mimo że jeszcze nigdy się nie widzieliśmy, miałam wrażenie, że znamy się całe lata. Pewnie dlatego, że czytałam o nim dużo i słyszałam tak wiele od każdej spotkanej osoby.

Urodził się w 1945 roku. Wyrósł w Springfield, w stanie Illinois. Jego ojcem był wynalazca *cozy dog*, czyli parówki w cieście na patyku⁸. Bob jest pacyfistą, przyjaciele nazywają go „ostatnim prawdziwym hippisem na Drodze 66”. Ale przede wszystkim jest „Artystą Drogi 66”. Specjalizuje się w rysowaniu map starej szosy, a także plakatów i pocztówek przedstawiających najważniejsze jej miejsca. Jest mistrzem miniaturyzacji. Na jednej pocztówce

⁸ Więcej o Edzie Waldmirze w rozdziale Illinois, Cozy dog.

potrafi umieścić nie tylko obrazki, lecz także informacje z połowy encyklopedii. Umie wyczarować z drobnych kreseczek stawianych ołówkiem portret Lincolna, kwiat, zwierzęta, ptaka czy samochód. Po drodze widziałam mnóstwo zrobionych przez niego wizytówek i widokówek, reklamujących dowcipnymi hasłami knajpki, sklepiki, motele. Maluje też murale w miasteczkach oraz szyldy sklepów i restauracji. Za swoje prace otrzymał w 2004 roku najwyższe wyróżnienie przyznawane przez Narodową Federację Historii Drogi 66 - Nagrodę Johna Steinbecka. Nie ma na starej szosie miejsca, którego Bob by nie narysował. Zna na Drodze wszystkich i był wszędzie.

Dotarłam do warsztatu w Hesperii akurat w momencie, gdy Bob razem z właścicielem i jeszcze jednym pracownikiem wpychali ciemnożółtą furgonetkę pod dach, by umieścić ją na podnośniku. Bob okazał się niewysokim, szczupłym mężczyzną z gęstą, siwą brodą. Na głowie miał zawiązaną jasną chusteczkę, na stopach - sandały o cienkich paskach. Był ubrany w beżową koszulę z krótkimi rękawkami i granatowe krótkie spodenki.

Przywitał się ze mną serdecznie, nie tylko podając dłoń, lecz także całując w policzek. Przepraszył, że nie będzie się mógł skupić na rozmowie ze mną, dopóki się nie dowie, co się stało z jego ukochanym wozem. To volkswagen, rocznik 1972. Kupiony w 1985 roku we Flagstaff i przerobiony przez Boba na dom. Gdyby on sam nie miał czasu opowiadać o samochodzie owianym już legendą, to każdy może sobie przeczytać jego historię na artystycznie ozdobionych kartkach poprzyklejanych do karoserii. Widniały tam wszystkie szczegóły dotyczące kupna, przeróbki, kolejnych napraw i nowych części auta, nazwanego „Happy Camper”.

Stukając palcem w kartkę z informacją z 2002 roku, że samochód nigdy nie wymagał holowania, powiedziałam Bobowi, że będzie musiał ją zmienić.

- No tak, będę musiał - potwierdził krótko i dodał, że holowanie z Newberry Springs było dla niego wielkim przeżyciem. I chodził wokół auta, od czasu do czasu pieszczotliwie go dotykając. Na desce rozdzielczej znajdowało się mnóstwo maskotek, samochodzików, węży, misiów, a także ptasich piór i szyszek. Obchodząc volkswagena, zobaczyłam kilka naklejek. Na jednej widniało: „Myśl globalnie, działaj lokalnie”, na innej: „Żyj prosto, by inni mogli po prostu żyć”. Pod zdjęciem groźnego Geronima, wodza Apaczów, przeczytałam napis: „Witamy w Arizonie. Teraz jedź do domu”. Bob postukał palcem w metalową tabliczkę, mówiąc, że to jego ulubiona. Głosiła: „Wolałbym pchać mojego volkswagena, niż zostać przyłapanym w innym samochodzie”.

Bob krążył wokół auta w oczekiwaniu na werdykt właściciela warsztatu, który - sądząc po obecności kilku starych volkswagenów - musiał być ich miłośnikiem i kolekcjonerem. W końcu umorusany mężczyzna, wycierając ręce w szmatę, stwierdził, że coś tam w gaźniku się spaliło, trzeba wymienić, ale nie ma tej części, więc musi ją sprowadzić. Naprawa razem z czekaniem na przesyłkę potrwa ze dwa dni, a może i dłużej. Bob przestał nerwowo dreptać i przyznał, że trochę żałuje, że będzie musiał wydać pieniądze na sprowadzenie kurierem tej części. Ale skoro nie ma innego wyjścia, to trudno. Stwierdził, że dwa dni w tej okolicy będą na pewno bardzo przyjemne. Najważniejsze, żeby jego VW mógł ruszyć w dalszą trasę. Czekają na niego bowiem organizatorzy imprezy „Route 66 Rendezvous” w San Bernardino, będącej połączeniem rajdu starych samochodów z piknikiem. A Bob miał być tam jedną z głównych atrakcji, ścisnąć ręce turystom i sprzedawać swoje ręcznie rysowane pocztówki.

Wiedziałam, że handel widokówkami to główne źródło dochodu Boba. Sprzedawał je po śmiesznej cenie dwudziestu pięciu centów za sztukę.

- Pokażę ci swoje prace - powiedział Bob, odgadując moje myśli, i odsunął tylne drzwi. Zajrzałam do wnętrza furgonetki. Na ścianach wisiały, poprzyczepiane do starych makatek, setki znaczków i naszywek z nazwami miejscowości i symbolami Drogi 66. Tylne drzwi zostały zabudowane drewnianą skrzynią, a na niej stały kartony. Z niektórych wystawały książki, z innych rulony plakatów, czyste kartki, ołówki. Nawet szpilki by się tam nie dało wcisnąć. Bob wyjaśnił, że to jego pracownia. Środek podłogi zastawiały wielkie plastikowe pojemniki. Mężczyzna miał tyle materiałów, plakatów i pocztówek do dostarczenia w kolejne miejsca i do rozdania, że już się nie mieścił ze wszystkim. Zazwyczaj te plastikowe pudła są umieszczane na dachu, obok roweru, i przyczepiane linami, żeby nie spadły. Zdjął je na czas holowania. Normalnie w tym miejscu jest jego sypialnia. Jak się zwinie w kłębek, to się mieści. Nie potrzebuje wygod, materaca ani nawet poduszki.

- Do snu utulają mnie szum wiatru i blask księżyca. Przygrywają mi świerszcze. A budzi mnie wschód słońca. Mam naturalną klimatyzację, a prysznic robię sobie z wiadra, które ustawiam na dachu samochodu - wyjaśnił Bob. Jego zdaniem płacenie więcej niż pięćdziesiąt dolarów za łóżko w motelu, to granda. Nigdy nie widział potrzeby zasilania kasy wielkim korporacjom, które przecież są właścicielami większości przedsiębiorstw w Ameryce.

Wyjmował z kolejnych pudeł próbki swoich prac: pocztówki, plakaty, ryciny. Pokazywał, tłumaczył, że oryginały zachowuje dla siebie, sprzedaje kopie. Nigdzie się nie spieszyliśmy, więc

możliśmy odbyć podróż po Drodze 66 palcem po mapach Boba i jego rysunkach. W końcu zebrał cały pakiet i mi wręczył. Na propozycję zapłaty oburzony powiedział, że od przyjaciół nie bierze pieniędzy.

Objuczona prezentami zaproponowałam, żebyśmy zjedli obiad w Summit Inn. Podczas niespełna półgodzinnej jazdy moim autkiem (nie był to VW, ale Bobowi to nie przeszkadzało) zaciekał się automatyczną klimatyzacją („Ja jeżdżę z otwartymi oknami” - mówił) i odtwarzaczem płyt kompaktowych („Radio mi wystarcza”). W końcu opowiedział, że w Drodze 66 zakochał się, gdy po raz pierwszy spojrzał na nią zza kierownicy własnego samochodu. Wyrósł przy niej, wcześniej wydawała mu się zwykłą szosą. Ale gdy zaczął po niej krążyć, spotykać ludzi, to go wciągnęło na dobre. Bob aż zaciskał dłonie, by pokazać, jak bardzo kocha tę starą szosę. Najpierw w 1967 roku kupił mustanga. Piękne sportowe auto z 1965 roku. Przez pięć wspaniałych lat przejechał tym mustangiem sto tysięcy mil. Auto było super, ale nie nadawało się do życia na Drodze. Kupił więc w 1972 roku volkswagena kombi, by móc nim nie tylko jeździć, lecz także w nim nocować i pracować. Następny był żółty volkswagen van, w którym spędza najwięcej czasu.



W swoim ukochanym volkswagenie z 1972 roku Bob Waldmire robił wszystko - spał, pracował, odpoczywał. I przemierzał tysiące kilometrów w poszukiwaniu natchnienia, spokoju, radości.

- Wiesz - powiedział - w Stanach Zjednoczonych samochód pokazuje status człowieka, jest jak wizytówka. Jeśli nie dbasz o to, co ludzie myślą o tobie, to jeździsz VW.

Ostatnim jego zakupem był wielki szkolny autobus, chevrolet z 1966 roku, który zamienił w prawie normalny dom, własnoręcznie dobudowując drewniane pięterko i wyposażając pojazd w baterie słoneczne. Na razie autobus stoi w Illinois, przed domem szwagierki, ale Bob planuje ściągnąć go na posiadłość w Arizonie kupioną kilka lat temu.

Czyżby miał zamiar przejść na emeryturę i przestać jeździć po Drodze 66?

- Kiedyś trzeba się wycofać - wyznał z uśmiechem. Dawno temu próbował osiąść w Hackberry w Arizonie, ale po kilku latach ruszył w trasę, zostawiając następnym właścicielom przydrożnego sklepiku cały swój zbiór pamiątek z Drogi 66. Przyznał jednak, że z wiekiem podróżowanie i praca podczas trasy stają się męczące. A pracować zaczął, gdy był na studiach. Zobaczył gdzieś plakat reklamujący atrakcje miasteczka, przez które przejeżdżał, i postanowił narysować taki sam w swoim rodzinnym Springfield.

- Wyobraź sobie, że właściciele nawet mi płacili za to, żeby nazwy lub wizerunki ich lokali i sklepów zostały umieszczone na tym plakacie - opowiadał Bob. Wtedy zdał sobie sprawę, że być może uda mu się spędzić tak całe życie. Że nie będzie musiał pracować, tylko będzie mógł robić to, co kocha, czyli rysować. Rzucił więc studia.

- Nigdy nie było wiele pieniędzy z tego rysowania. Musiałem starać się żyć oszczędnie, ale przynajmniej robiłem to, co chciałem - powiedział. Przygotował wtedy plakaty dla trzydziestu czterech miast. Genialnie wymyślił to przedsięwzięcie. Najpierw sprzedawał właścicielom biznesów miejsce na plakacie, a potem sprzedawał te plakaty w reklamowanych sklepach, restauracjach, barach.

Gdy zbierał zamówienia, wpadł na kolejny świetny pomysł, że może rysować, podróżując, i w ten sposób uniknie mroźnych zim, które w Illinois potrafią być dokuczliwe. W 1972 roku wprowadził ten plan w życie. Jesienią kierował się na południowy zachód, by uciec przed deszczami i śniegiem. A wiosną zaczynał jazdę na północny wschód, żeby schronić się przed upałem.

Któregoś dnia siedział w knajpce, chyba w Ludlow, i zobaczył jedną z ulotek Stowarzyszenia Drogi 66, drukowanych przez Angela Delgadillę z Seligman⁹. Zdał sobie sprawę, że większość z biznesów i miast, które rysuje, jest położonych właśnie przy Drodze 66. Postanowił więc narysować mapę całej Drogi. Dziś mapy jego autorstwa zdobią wszystkie muzea od Chicago do Los Angeles.

Jako zapalony ekolog umieszcza na pocztówkach i plakatach także zwierzęta: węże, ssaki i ptaki, głównie zagrożone gatunki. Czasami przemyca w swojej sztuce poważne wezwania antynuklearne lub daje wyraz swojej dezaprobachie dla używania broni, polowań i myślistwa. Ponieważ napisy, które umieszcza na plakatach i pocztówkach, są miniaturowe, większość jego

⁹ Więcej o Angelu Delgadillo w rozdziale Arizona: Anioł Drogi 66.

„protestów” czy deklaracji politycznych pozostaje niezauważona przez niewtajemniczonych. Ale jeśli ktoś, na przykład duży sprzedawca sprzętu dla myśliwych, przyjrzy się obrazkom przez szkło powiększające, wtedy zobaczy, że skrzydła orła lub rogi jelenia zawierają krytykę jego działalności. Raz Bob stracił z tego powodu poważnego klienta i grożono mu sądem. Ale, jak mi wyjaśnił, najważniejsze to być wiernym swoim przekonaniom. Najlepszym przykładem konsekwencji stosowania tej zasady jest przygoda z kreskówką *Auta*. Bob wraz ze swoim vanem posłużył za pierwowzór postaci hippisowskiego volkswagena produkującego biopaliwa. Mimo dużych honorariów obiecanych przez wytwórnię Pixar w ostatniej chwili wycofał się z przedsięwzięcia. Uznał bowiem, że małe samochody nazywane Waldmire nie mogą firmować dań z McDonald'sa, który okazał się jednym z głównych sponsorów filmu. Raz, że to ogromna korporacja, a Bob zwalcza, ignoruje lub przynajmniej krytykuje giganty. A dwa: jest przecież weganinem, a McDonald's kocha mięso. Ostatecznie bohater filmu nazywa się Fillmore, ale wszyscy na Drodze 66 wiedzą, że chodzi o Boba.



Bob Waldmire i jego zepsuty VW. Ostatni hippis Drogi 66 mówił, że praca jest jego żoną, a samochody - jego dziećmi.

Gdy dojechaliśmy do Summit Inn i usiedliśmy przy stoliku, Bob, zamawiając kanapkę z warzywami, wyjaśnił, że mięsa nie je od 1970 roku. Szwendał się wtedy z grupą hippisowskich muzyków po Austin w Teksasie. Jeden z nich był wegetarianinem i wytłumaczył Bobowi, że dzięki temu lepiej się czuje, nie śmierdzi i ma więcej energii. Bob poszedł więc w jego ślady i nigdy nie żałował. Kilka lat temu uznał, że zabijanie ryb jest też morderstwem, a dojenie krów - wyzyskiem, więc został weganinem.

Hippisem stał się podczas studiów, w czasie wojny w Wietnamie. Protestował wtedy jak wszyscy. Spotykał różnych ciekawych ludzi i z nimi nie tylko dyskutował, lecz także poznawał smak marihuany. Eksperymentował z różnymi narkotykami, środkami halucynogennymi, ale

ostatecznie został przy marihuanie, która jest „najświętszym sakramentem”, niesie pokój i harmonię, podczas gdy inne narkotyki i używki, jak alkohol czy papierosy, tylko pobudzają agresję.

Kelnerka o imieniu Sheyna podawała nam jedzenie (kanapkom towarzyszyły wielkie frytki domowej roboty), z głośników płynęła swingująca muzyczka, a Bob spokojnie, z uśmiechem dalej tłumaczył mi, że bycie hippisem stanowiło dla niego coś naturalnego. Dobrze się czuł, myśląc, że nie będzie się golił i nosił krawata. Urzekła go też idea wolnej miłości. Poza tym kochał rock and rolla. Przemawiały do niego pacyfizm, a także koncepcja obywatelskiego nieposłuszeństwa.

- Miałem nawet dziewczynę, moja mama była taka szczęśliwa - opowiadał dalej Bob. - Stałem przed wyborem: albo się ustatkować, zdobyć prawdziwą pracę, założyć rodzinę, albo kontynuować moją przygodę, podróżować, mieszkać w samochodzie i jeździć od miasta do miasta. Wybrałem Drogę i tamtego lata szalałem w Teksasie z LSD - powiedział. Ale od razu zastrzegł, że narkotyków już nie używa. Era wolnej miłości umarła wraz z pojawieniem się chorób przenoszonych drogą płciową. Teraz zostały mu tylko pacyfizm i dieta.

Bob jadł powoli, choć zgarniał z talerza każdy najmniejszy kąsek, bo nic nie może się zmarnować. Uśmiechając się łagodnie, mówił, że praca jest jego żoną, a dziećmi są samochody. Swoje dzieła też traktuje jak własne pociechy. Gdy był kiedyś w dramatycznej sytuacji finansowej i musiał sprzedać kilka oryginalnych prac, czuł się tak, jak musieli czuć się niewolnicy widzący swoje dzieci wystawione na aukcji.

Z myślą o zagranicznych turystach zaczął przygotowywać serię pocztówek z krajów europejskich. Rysuje według starego atlasu, bo nie ma komputera i nie potrafi go używać.

Kiedyś chciałby pojechać do Europy, załadować swojego VW na statek. Ale nie zrealizuje tego marzenia, dopóki nie skończy pisać książki o swoim ojcu. Będzie nosić tytuł *Historia Eda Waldmire'a. Parówka na patyku i światowy pokój*.

Zgodnie z przykazaniami ojca Bob nigdy nie żył na kredyt. Do tej pory nie ma nawet karty kredytowej. Wydaje tylko to, co zarobi. Nigdy nie przyjmuje zleceń, jeśli nie może wykonać ich w terminie. Pieniądzy wystarcza mu na dojechanie do następnego miasta.

- Współczuję ludziom, którzy walczą o przetrwanie, męczą się, próbując dojść do czegoś. Być może wielu z nich wolałoby robić coś innego, być gdzieś indziej, ale nie mają odwagi tego zrobić - mówił z pasją Bob. - Ja nie zdobyłem fortuny, ale wzbogaciłem się o wszystkie

doświadczenia i historie ludzi, których spotkałem na Drodze 66. Miałem to szczęście, że mogłem żyć wolny jak ptak, niczym się nie przejmować, do niczego nie zmuszać.

Po tym wyznaniu milczał dłuższą chwilę. Po czym powiedział, że jego marzeniem jest zamieszkać na stałe w siedlisku w Portal, w Arizonie, tuż przy granicy z Nowym Meksykiem. Swą posiadłość nazwał „Sanktuarium Natury”. Tam, w arizońskim raju, gotuje, korzystając z energii słonecznej, zbiera deszczówkę i śpi pod gołym niebem. Gdy opowiadał o Portal, oczy mu rozbłysły, a zmarszczki na czole się wygładziły. Pomyślałam, że to musi być niezwykle miejsce. Później, kiedy odwiedziłam go tam, w Arizonie, na tych szesnastu hektarach skalistej ziemi w górach Chiricahua, o których Apacze mówili „Kraina Stojących Skał”, przekonałam się, że tak rzeczywiście jest. Siedlisko Boba znajdowało się w ogromnej kotlinie górskiej otoczonej wysokimi skałami, wokół nich rozpościerała się pustynia. Drewniany dom na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie graciarni, ale był po prostu wypełniony po dach książkami, mapami, rysunkami. Dominowały pozycje z dziedziny psychologii, filozofii i astrofizyki. Rozentuzjasmowany Bob pokazywał mi wtedy swój nowy kompostownik i tłumaczył, jak działają akumulatory zbierające energię słoneczną. Okazał się też świetnym kucharzem, bo jego wegetariańskie chili nie ma sobie równych. Patrzyliśmy, jak jaszczurki i zające podchodziły pod sam dom. Maszerowaliśmy po górach o niezwykłych kształtach i kolorach. Podziwialiśmy słońce zachodzące za szczytami i jego czerwone odbłaski w chmurach.

Do Summit Inn przyjechali jeszcze przyjaciele Boba, Bill i Diane Cadenheadowie, starsi państwo, obydwójce o pokaźnej tuszy, którzy mieszkają w sąsiednim miasteczku. To właśnie Bill pomógł Bobowi znaleźć ten warsztat w Hesperii specjalizujący się w naprawie starych aut. Bo Bill też oczywiście ma volkswagena. Są jak jedna wielka rodzina.

Gdy odwoziłam Boba do warsztatu, była już ciemna noc. Wyjął ze swojego ukochanego samochodu flet i zagrał mi na pożegnanie piękną melodię. Kiedy skończył, uśmiechnął się, wskazując wzrokiem gwiazdy, jakby chciał powiedzieć: „Zobacz, jak pięknie!”.

kraina kwiatów pomarańczy

Z Summit Inn w stronę Pacyfiku wiedzie tylko jedna droga. Autostrada I-15, która dawno temu pochłonęła starą szosę, wije się wśród soczyste zielonych wzgórz kilkupasmową jezdnią. Po wielu milach spieczonej słońcem, wysuszonej krainy oczy wreszcie odpoczywają. Autostrada gna w dół, łatwo jest nabrać zawrotnej prędkości. Ciężarówki pędzące przełączą co kilka mil mają specjalny pas do ucieczki, gdyby nie mogły wyhamować. A w przeciwną stronę, pod górę, mozolnie wspinają się wielkie tiry, błyskające światłami awaryjnymi. Zwolniłam, by nacieszyć się widokiem, choć z minuty na minutę ruch stawał się coraz większy. W końcu wjechałam do największego terytorialnie hrabstwa Stanów Zjednoczonych - San Bernardino.

Z myślą o licznych turystach wszystkie nowoczesne hotele i restauracje zlokalizowano na jednej ulicy - szerokiej alei wysadzonej palmami, zwanej Hospitality Road („Droga Gościnności”), na jej krańcach przysiadły, dla wygody podróżnych, wielkie centra handlowe. Dla mnie znacznie ciekawsza była jednak ta część miasta, przez którą biegła Droga 66. A przy niej stare moteliki, sklepiki i pierwszy historyczny McDonald’s.

Bracia Maurice i Richard McDonalldowie w latach czterdziestych otworzyli restaurację, w której sprzedawali hamburgery za piętnaście centów i frytki za dziesięć. Skromne menu rekompensowali szybką obsługą - dwadzieścia sekund na klienta. Było to niezwykle, oryginalne, ciekawe, nic więc dziwnego, że do San Bernardino zaczęły zjeżdżać tłumy. Biznesem pomysłowych braci zainteresował się Ray Kroc, który sprzedawał maszyny do koktajli mlecznych. Zaintrygowany tym, że jedna knajpka zamawia kilka maszyn naraz, przyjechał, zachwyił się i w 1961 roku odkupił cały biznes, za rekordową kwotę - każdy z braci dostał po milionie dolarów. Kroc z pomysłu McDonalldów zrobił megainteres.

Z San Bernardino Droga 66 biegnie aż do Los Angeles i wybrzeża Pacyfiku w Santa Monica jako główna arteria handlowa Kalifornii. W kolejnych miasteczkach małe, stare sklepy zostały wchłonięte przez ogromne centra handlowe. Oryginalne miejsca, jak Wigwam Motel w San Bernardino czy Aztec Hotel w Monrovii ozdobiony indiańskimi motywami, stoją wciśnięte między nowoczesne gmachy hoteli, należące do wielkich korporacyjnych sieci. Tereny gajów pomarańczowych zajęły rozliczne biznesy, przystanki pod palmami okupują coraz to nowe fast foody, a samochody wloką się jeden za drugim w gigantycznym korku. Kultowy przed laty kiosk w Fontanie, w kształcie pomarańczy, serwujący świeżo wyciskany sok, był zamknięty.

Skrzyżowania ze światłami i wyjazdy z parkingów zatrzymywały mnie co kilkaset metrów. Jechałam powoli wzdłuż niekończącego się ciągu sklepów, punktów usługowych, biur i moteli. Był to zdecydowanie najbardziej męczący odcinek Drogi, podobnie jak ten kawałek przy wyjeździe z Chicago. Zasmuciła mnie ta zapowiedź wielkiej aglomeracji. Zatemknęłam za spokojnymi, uroczymi miasteczkami.

- To nie jest Kalifornia mojego dzieciństwa - powiedziała mi rozgoryczona DJ Hall, malarka urodzona w Los Angeles w 1951 roku. - Wtedy nie było takiego ruchu, korków, tłoku, hałasu. Można było poczuć zapach kwitnących drzew pomarańczowych. Teraz nie ma przestrzeni między miastami, jedno się kończy, drugie zaczyna - narzekała.

DJ to skrót od Debra Jane. Rozmawiałam z nią w Venice Beach, słynnym nadmorskim miasteczku. Ale najpierw, by zobaczyć retrospektywną wystawę jej prac, pojechałam do Palm Springs. To nieco ponad godzinę jazdy na południowy wschód od San Bernardino. Traktowałam ten wypad także jako ucieczkę od tłoku i zgiełku. Bo Palm Springs jest synonimem rajy i luksusu, reprezentuje wszystko, co przez lata ukształtowało wizerunek Kalifornii.



Obrazy DJ Hall, przepelnione słońcem i kolorami, są realistyczne jak fotografie. Wymagają ciężkiej pracy i właśnie przez nią malarka realizuje swój amerykański sen. Nie uznaje siebie za feministkę, ale oburza ją, że gdy kobieta zaczyna realizować swoje marzenia, sięgając na przykład po władzę, od razu wszyscy zastanawiają się, jak ona śmie być równa mężczyznom.

Obrazy DJ Hall zaintrygowały mnie, bo były przepelnione słońcem i kolorami, bardzo realistyczne, ukazywały niebieską wodę lśniąca w basenach, śliczne kobiety, najczęściej długowłose blondynki, zanurzone w rozkosznej toni, pokazujące w uśmiechu nienagannie białe zęby. Ubrane w piękne kolorowe stroje, z twarzami osłoniętymi kapeluszami, sączące kolorowe drinki. Właśnie tak wyobrażałam sobie Palm Springs. I wcale się nie myliłam.

Wjeżdżałam do oazy pośrodku pustyni, miejsca pełnego soczystej zieleni. Czyściutka, szeroka ulica, wzdłuż której stały zaparkowane eleganckie, wypucowane auta doprowadziła mnie do samego centrum. Przy wejściach do restauracji i sklepików unosiła się rozkosznie chłodna mgielka nawilżająca zbyt suche powietrze. Sączyła się ona z cienkich rurczek oplatających cały główny ciąg handlowy w mieście. Wszystkie luksusy dla gwiazd są i dziś, tak jak przed laty. Najbardziej znani i kochani, między innymi: Greta Garbo, Clark Gable, Katherine Hepburn, Kirk Douglas, Grace Kelly, bywali tu już w latach dwudziestych XX wieku. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zdjęcia seksownych, muskularnych, pięknie wyrzeźbionych ciał młodych mężczyzn, wyglądających jak greccy bogowie, i opalonych, zgrabnych, pięknych kobiet, publikowane w kolorowych magazynach, budziły podziw i zazdrość ludzi mieszkających na środkowym zachodzie i wschodzie Stanów Zjednoczonych. Gwiazdy przyjeżdżały tu, by odpocząć, ale także, by nawiązać znajomości i podpisać kontrakty. Obowiązkowym przystankiem dla wszystkich był Racquet Club, którego właściciel Charlie Farrell, gwiazda kina niemego, organizował przyjęcia i pomagał kojarzyć aktorów z reżyserami. Przybywały tu nie tylko gwiazdy, lecz także dziennikarze, którzy czekali na ulubieńców publiczności na lotnisku (dziś międzynarodowy port lotniczy działa pełną parą), a potem polowali na roznegliżowane ciała przy basenach.

To podobno właśnie w Palm Springs z Marilyn Monroe spotykał się (i romansował) prezydent John Fitzgerald Kennedy. Na pewno jednak jej odważne zdjęcie w dwuczęściowym kostiumie, zrobione w 1947 roku właśnie nad basenem w Raquet Club, rozpoczęło karierę młodej, dwudziestojednoletniej wówczas blondynki, którą kilka lat później (po nagiej sesji do „Playboya”) okrzyknięto symbolem seksu Hollywood.

Na pewno w Palm Springs miodowy miesiąc spędzili Elvis Presley z Priscillą. Gdy „Król”, jak nazywano Presleya, chciał odświeżyć swoją nieskazitelną opaleniznę, kładł się na leżaku i przez kilka godzin smażył na słońcu, kierując na siebie podmuch wiatraka elektrycznego, by się schłodzić.

Palm Springs podobnie żyje i dzisiaj. Reporterzy wciąż czyhają na gwiazdy, choć zwykłym śmiertelnikom trudniej je zobaczyć. Płoty i mury wokół posiadłości VIP-ów stały się wyższe, a szyby w ich limuzynach - bardziej przyciemnione. Mimo to duch artystycznego luzu, posmak wielkiego świata i luksusu pozostały.

Pozostały też spokój i poczucie relaksu. Z góry San Jacinto, na którą wjechałam kolejką linową, doskonale widać było całe Palm Springs - oazę otoczoną piaskami i niekończącymi się polami wiatraków, produkujących energię na potrzeby miasteczka. Zachodzące słońce rozkosznie rozlewało blask nad całą okolicą.

Dom DJ Hall w Venice Beach, położony nad jednym z urokliwych kanałów, niedaleko plaży, zaprojektował jej mąż - Toby Watson, architekt. Ujrzałam proste i funkcjonalne wnętrze. Toby szybko zniknął w głębi domu, a my z DJ przeszliśmy do jej pracowni. Wielkie okna wpuszczały dużo światła. Pobliskie uliczki są ciche, nie ma tu żadnych sklepików ani knajpek. Podczas mojej wizyty nie dochodził gwar z nadmorskiego deptaka. DJ wyglądała tak, jak na autoportretach wiszących na ścianie - szczupła, długowłosa blondynka z miłym uśmiechem. Miała na sobie czarną koszulkę bez rękawków, czarne lniane spodnie, a na głowie - czarną przepaskę. Była boso. Delikatna, ciepła i przyjazna. Wyciszona. Ucieszyła się, gdy jeden z dwóch czarnych kotów przyszedł się przywitać. Drugi nie pokazał się ani razu.

Tłumaczyła mi, że próbuje w swoich obrazach zatrzymać wspomnienia z dzieciństwa. Dla niej bowiem przydomowy basen nie jest luksusem, tylko normalnością, czymś niezbędnym do przeżycia w gorącym klimacie. To miejsce spotkań i rozmów towarzyskich. Ale za uśmiechami pięknych kobiet przy basenach kryją się mniej radosne doświadczenia. A głębokie cienie pod oczami, wywołane zbyt silnym światłem, zmarszczki i fałdy pokazują prawdziwe oblicze mieszkańców Kalifornii.

Gdy Debra Jane miała trzy lata, jej rodzice się rozeszli. Mama cierpiała na chorobę psychiczną. Jedynymi szczęśliwymi momentami w czasach dzieciństwa były urodziny DJ, wtedy cała rodzina spotykała się w domu babci w Palm Springs, właśnie przy basenie. To był jedyny dzień w roku, gdy w rodzinnym gronie pojawiał się jej ojciec, kiedy mama zachowywała pozory zdrowia, nikt nie narzekał, nie cierpiał, nie krzyczał, nie uciekał. Wszyscy się uśmiechali i pozowali do zdjęć. Przechowując obraz idealnego szczęścia, DJ czekała na kolejny taki dzień przez cały rok. Gdy dorosła, za pomocą sztuki zaczęła wyrażać swoje emocje.

Realistyczne portrety i sceny z życia Kalifornijczyków malowała już na początku lat siedemdziesiątych. W 1973 roku, tuż po ukończeniu studiów wyszła za mąż. To Toby namówił ją, by znalazła swoją niszę, temat i technikę, która pozwoli wyróżnić jej prace spośród innych. Pewnego pochmurnego, zimowego dnia w Venice Beach postanowiła, że chce malować słoneczne, kolorowe obrazy. Pojechali więc do Palm Springs, gdzie lato trwa cały rok, i zaczęła

fotografować ludzi pluskających się w basenach i rozkoszujących się słońcem na leżakach. A potem na podstawie tych zdjęć malowała.

Dziś też najpierw fotografuje sceny przy basenach, ale na jej obrazach nie występują już przypadkowe kobiety, tylko specjalnie dobierane modelki. To prawniczki, menadżerki z banków i agencji reklamowych, biznesmenki. DJ, zapraszając je do udziału w sesji, tłumaczy im, jaką mają odegrać rolę, i je przebiera. To ciężko pracujące kobiety, które rzadko mają czas na babskie pogaduszki przy basenie. Choć trzeba przyznać, że na obrazach wyglądają tak, jakby nic innego nie robiły przez całe życie. Niektóre modelki DJ fotografuje wielokrotnie, miesiąc po miesiącu, a niektóre obrazy są kolażem kilku różnych zdjęć.

DJ odważnie rozmawiała ze mną o ciężkiej depresji, jaką przeszła w połowie lat dziewięćdziesiątych. I o tym, że udało jej się wyjść z choroby. Odniosła sukces, a swoje amerykańskie marzenie realizuje dzięki ciężkiej pracy.

- Bardzo wcześnie nauczyłam się, że sama muszę wszystko osiągnąć. Nikt mi nic nie da i jedyny sposób, by to zrobić, to wytrwale pracować - powiedziała, a ja wyobraziłam sobie ją jako kilkuletnią dziewczynkę opiekującą się chorą psychicznie mamą. - Przez wiele lat harowałam - kontynuowała DJ. - Z mężem nie podróżowaliśmy, nie bawiliśmy się, nie bywaliśmy. Ale dzięki temu finansowo odniosłam sukces. Wszystkie pieniądze włożyliśmy w ten dom - powiedziała z dumą.

W Venice mieszkają od ślubu. Klimat miasteczka przesyconego artystyczno-happeningową atmosferą bardzo im odpowiada. Jest tu co prawda też tłok, ale w końcu dzięki imigrantom z całego świata DJ i Toby mogą się cieszyć największą chyba różnorodnością światowych kuchni. Czasem w weekendy jeżdżą do domu, który kupili w Palm Desert, kilka mil za Palm Springs. Dom jest, oczywiście, z basenem. Bardzo przypomina posiadłość babci DJ, w której artystka spędziła w dzieciństwie najszcześniejsze chwile.

Plaża Aniołów

Los Angeles, największe miasto Zachodniego Wybrzeża, i drugie co do wielkości, po Nowym Jorku, miasto w USA, płonęło rozświetlone ulicznymi lampami i światłami samochodów. Był późny wieczór. Stałam na szczycie wzgórza Hollywood, przy obserwatorium astronomicznym Griffith. Patrzyłam z góry na rozległe, tętniące nocnym życiem miasto, rozlewające się aż do Pacyfiku. To właśnie tu, na górze, kompozytor Jan A.P. Kaczmarek opowiadał mi kiedyś o swoim pomysle na muzykę do *Quo vadis*. I miał rację. Nocne Los Angeles wygląda jak płonący Rzym. Nie sposób w stolicy światowego kina nie mieć filmowych skojarzeń. To tu Agnieszka Holland wprowadzała mnie na ceremonię rozdania Oscarów, Janusz Kamiński w cieniu palm w Beverly Hills opowiadał o pracy ze Stevenem Spielbergiem, a Andrzej Wajda przy plaży w Santa Monica podsumowywał swoje dokonania.

Miasto Aniołów, założone w 1781 roku przez osadników hiszpańskich, pod amerykańskie rządy trafiło w 1848 roku. Pięćdziesiąt lat później zawitali tu filmowcy, zachęteni słonecznym klimatem, ale także uciekający przed pazernością Thomasa Alvy Edisona, który opatentował wynalazki pozwalające na kręcenie oraz projekcję filmów i kontrolował wszystkie kina na Wschodnim Wybrzeżu. Niedostępna Kalifornia, będąca wówczas na końcu świata, dawała możliwość rozwoju nielegalnej produkcji filmowej. W latach dwudziestych XX wieku działały tu już wszystkie największe i najbardziej znane studia.

Wtedy też powstał najślynniejszy na świecie napis. Wielkie, piętnastometrowe litery „Hollywoodland”, widoczne na zboczu góry nad miastem, miały początkowo zachęcić do kupowania domów w Los Angeles. W latach czterdziestych teren na wzgórzu, wraz z literami, kupiło miasto i skróciło napis, wyrzucając „land”. Zostało samo „Hollywood”. Dziś turyści za wszelką cenę próbują dotrzeć do napisu, co nie jest możliwe. Litery odgrodzono od cywilizacji wysokim płotem. A na wąskich i krętych uliczkach porozstawiano znaki informujące, że nie prowadzą one do słynnego napisu.

Ze wzgórza, leżącego na północ od Los Angeles, łatwo trafić z powrotem na Drogę 66, bo wjeżdża ona do miasta od strony Pasadeny najpierw autostradą 110. Potem prowadzi alejami Figueroa i Chavez. Następnie wskakuje na słynny Sunset Boulevard (Bulwar Zachodzącego Słońca) - najczęściej filmowaną i najbardziej znaną ulicę w Mieście Aniołów.

Centrum, czyli *downtown*, może trochę rozczarowywać, bo biurowce sąsiadują tu z ulicami opanowanymi przez bezdomnych, zapelnionymi sklepami „wszystko za dolara”, prowadzonymi przez Meksykanów. Wszystko jednak wynagradza nowoczesna Hala Koncertowa imienia Walta Disneya, autorstwa Franka Gehry’ego (jego rodzina ma korzenie w Łodzi). Promienie słońca grające na stalowej konstrukcji ścian tego gmachu, przypominającego wielki żaglowiec, dawały niesamowity efekt.

Bulwar Zachodzącego Słońca prowadzi do Hollywood, a tu obowiązkowymi przystankami turystycznymi są: Aleja Gwiazd, Teatr Chiński i Kodak Theatre, gdzie odbywają się ceremonie rozdania Oscarów. W sklepach pełno tu filmowych upominków, a wycieczki ciągną do miejsc, w których choćby przez sekundę widziano którąś z najmodniejszych serialowych lub kinowych gwiazd.

Później Droga 66 wiedzie Bulwarem Santa Monica przez Beverly Hills - najbardziej ekskluzywnie miasto w USA - mija pięciogwiazdkowy hotel Beverly Hills (podobno to o nim śpiewają The Eagles w najbardziej znanej piosence *Hotel California*), najdroższą ulicę świata - Rodeo Drive, i rezydencje gwiazd show-biznesu, skryte za rzędami wypielęgowanych palm i wysokich murów.

Bulwar biegnie aż do plaży w Santa Monica. Tu kończy się przy molo tablicą przypominającą, że stara szosa nosi imię Willa Rogersa, słynnego syna Oklahomy, który był kiedyś burmistrzem Beverly Hills¹⁰. „Komik. Światowy Podróżnik. Dobry Sąsiad” - tak głosi napis na kamiennej płycie.

Tu, w Santa Monica, po przejechaniu prawie czterech tysięcy kilometrów prosto z Chicago, zmęczony przybysz zostaje sownie nagrodzony. Słońce, woda, plaża, zieleń palm i trawy po prostu zachwycają.

Większość Oklaków, poszukujących w latach trzydziestych XX wieku lepszego życia, nawet nie dotarła do Los Angeles. Ludzie marzący o pracy przynoszącej godziwy zarobek i o spokojnym miejscu do życia, rozpierzchli się po całej Kalifornii, trafili na tereny rolnicze. Los Angeles było wówczas centrum przemysłowym i głównym miejscem wydobycia ropy naftowej.

¹⁰ Więcej o Willu Rogersie w rozdziale Oklahoma: Kowbojski stan.



Plaża w Los Angeles. Raj Zachodniego Wybrzeża.

Dziś po tej industrialnej świetności pozostał mieszkańcom Miasta Aniołów smog, wywoływany jednak głównie nadmiarem samochodów pędzących po kłębowisku estakad i przecinających się autostrad. Góry otaczające miasto uniemożliwiają swobodny przepływ powietrza, dlatego Los Angeles należy do najbardziej zanieczyszczonych amerykańskich metropolii. Jest też nękane przez plagę przestępczości. Wyprzedza w bandyckich statystykach Nowy Jork oraz Chicago i uznaje się je za jedno z najniebezpieczniejszych miast, słynie też z długich pościgów policyjnych, niejednokrotnie transmitowanych na żywo przez stacje telewizyjne. Do tego jeszcze leży na terenach sejsmicznych, więc czasem zdarzają się trzęsienia ziemi.

O negatywnych aspektach życia w Los Angeles przekonywał mnie pewien łyśawy jegomość, który stanął obok mnie, tuż koło poręczy oddzielającej ulicę od trawnika przy plaży. Kręcąc w zębach zapalną, wymawiał co chwila słowo „przereklamowane”. Po czym dodał, że na tej wycieczce z żoną nie widzieli nawet żadnej gwiazdy, chociaż nogi sobie schodzili. A żona została tego dnia w hotelu, bo poprzedniego za długo była na plaży i za mocno spaliła się na słońcu. I jutro będą wracać do domu, do Idaho.

Roześmiana grupa turystów robiła sobie zdjęcia pod palmą. Potem oglądali fotosy wykonane wcześniej przy drzewie pomarańczowym, rosnącym przed pięknym domem. I zastanawiali się, która gwiazda ma tam mieszkanie. Następnie popędzili na deptak i na plażę, gdzie szaleni muzycy popisywali się gitarowymi solówkami. Domorośli artyści malowali przechodniom portrety, natomiast niedoszli aktorzy podawali w restauracjach cudownie pachnące dania. Dziewczyny w skąpych bikini próbowały przemknąć przez tłum, jadąc na rolkach, a chłopcy z pięknie wyrzeźbionymi bicepsami prężyli się, spacerując.

- Przereklamowane - wycedził stojący obok mnie jegomość, ale trochę wciągnął brzuch i się wyprostował, najwyraźniej zawstydzony własnym ciałem.

Do rozmowy włączył się brodaty, prawdopodobnie bezdomny mężczyzna leżący pod palmą i krzyknął, że tamten chyba z zazdrości tak mówi, bo przecież nie ma drugiego takiego cudownego miasta na świecie. Doskonały klimat, anielska plaża, przepyszne owoce - pomarańcze, truskawki przez cały rok, imprezy co noc do świtu, bogaci i sławni ludzie, którzy mają gest i nie skąpią napiwków, nawet bezdomnym biedakom. No i mnóstwo wydarzeń kulturalnych, wystaw, wernisaży, na których można się najeść i napić do syta. Na zakończenie przemowy brodacz spytał faceta z Idaho, czy chodzi na pokazy filmowe o północy i czy był w kinie na cmentarzu. Tamten nie chciał już słuchać i odszedł. Ale ja się tym zainteresowałam.

Hollywood Forever Cemetery leży w samym sercu Hollywood, przy Drodze 66. To zielona oaza pośród betonowych budynków tej części Bulwaru Santa Monica. Spoczywają tu gwiazdy filmu. Wśród nich Rudolph Valentino, największy amant kina niemego, który zmarł w 1926 roku.

W letnie soboty, na długo przed zmierzchem ustawiają się kolejki pod cmentarzem. Ludzie siedzą na przyniesionych krzeselkach turystycznych albo kocach i czekają na otwarcie bram. O 19.30 są otwierane podwoje nekropolii i kolorowy, wesoły tłum wlewa się szerokim strumieniem na ścieżki i alejki. Widzowie rozkładają koce i organizują pikniki na dużym trawniku pośrodku cmentarza. Zajadają przyniesione specjały, piją napoje, także alkoholowe. Rozmawiają, śmieją się i czekają na projekcję filmu. Co tydzień zbiera się około trzech tysięcy osób. Strażnicy pilnują tylko, by rozochoceni amatorzy kina nie zbaczali ze ścieżek i nie deptali grobów.

Pokazy filmów na cmentarzu organizuje od 2002 roku fundacja Cinespia. Jej szef, John Wyatt, uważa, że ludzie przychodzący tu oddają w ten sposób cześć zmarłym. Szczupła, czarnowłosa, młoda dziewczyna, która przedstawiła się jako Annettes Mesa, powiedziała, że umarli są bardzo samotni i potrzebują towarzystwa. A na filmy przychodzą prawdziwi fani kina. Prezentuje się klasykę i zawsze obowiązuje reguła, że bohaterem filmu jest aktor lub aktorka spoczywający właśnie tu. Często są grane filmy nieme z Rudolphem Valentino.

Zupełnie inna atmosfera towarzyszy filmowym pokazom o północy w The Nuart Theatre, mieszczącym się też przy Bulwarze Santa Monica, tylko dalej na zachód w stronę wybrzeża. Tu jest bowiem wyświetlany od ponad trzydziestu lat kultowy film *Rocky Horror Picture Show*. To

musical, horror i absurdalna komedia w jednym, stanowiące oryginalną i perwersyjną mieszankę. Film opowiada o tym, jak Brad i Janet (Barry Bostwick i Susan Sarandon) trafiają przypadkiem do starego zamczyska. Jego gospodarzem jest doktor Frank N. Furter (rewelacyjny Tim Curry), przedstawiający się przybyszom jako „słodki transwestyta z transseksualnej Transylwanii”. Szalony naukowiec stworzył człowieka, idealnego kochanka imieniem Rocky Horror, i z tej okazji wydaje bal, który przekształca się w orgię.

To, co się dzieje w The Nuart Theatre, jest taką samą orgią. Zapowiedź tego miałam już na ulicy, przed kinem. Spośród tłumu czekającego na wejście tylko moje polsko-amerykańskie towarzystwo, złożone ze scenarzystów i osób obracających się w świecie szeroko pojętego show-biznesu, nie było przebrane. Patrząc na rozneglizowanych chłopców w butach na obcasach, czuliśmy się dziwnie, sami ubrani w ciepłe bluzy zapinane pod szyją. Ale nikomu innemu to nie przeszkadzało.

Potem, już podczas projekcji przekonałam się, że większość publiczności była ubrana dokładnie tak, jak bohaterowie filmu. Co więcej, nikt tam, oprócz nas, nie siedział spokojnie na miejscu. Widzowie brali udział w przedstawieniu, deklamowali i śpiewali na scenie, razem z aktorami z ekranu. Wszyscy znali na pamięć dialogi i piosenki. Patrzyłam z rozdziawioną buzią na ten prawdziwy fenomen popkultury, społeczeństwa znużonego zwykłą hollywoodzką produkcją.

Po cmentarzu i filmowej orgii nadszedł czas na niedzielne duchowe uspokojenie. Kwadrans jazdy samochodem na południe od Drogi 66, w Los Angeles znajduje się dzielnica (właściwie osobne miasto) Culver City. Tu mieszczą się rozmaite studia filmowe. Wśród nich, przy Buckingham Parkway, jest siedziba Międzynarodowej Wspólnoty Religijnej Agape, która stanowi mieszankę wszelkich znanych przekazów religijnych. Jej założyciel to Michael Bernard Beckwith. Do wspólnoty przychodzą protestanci, katolicy, muzułmanie, żydzi, ludzie różnych wyznań. Dla przedstawicieli świata show-biznesu i mody obecność niemalże obowiązkowa. Poszukują tu szczęścia, natchnienia i wsparcia.

Młody człowiek w koszulce z napisem: „Agape” pokazał, że parking już się zapełnił. Zostawiłam samochód daleko i maszerowałam wraz z tłumem. Wewnątrz płaskiego budynku, wyglądającego jak magazyn albo hala fabryczna, były już tysiące ludzi. Starsza Murzynka wyjaśniła mi półgłosem, że co prawda msza zacznie się o 11.30, ale od jedenastej trwa

medytacja. Rozbrzmiewała wesoła muzyka. Śpiewał dwuosobowy chór, prowadzony przez Rickie Beckwith, żonę pastora.

Rozejrzałam się. Budynek został urządzony jak studio telewizyjne. Reflektory skierowane na scenę zapowiadały wielkie przedstawienie. Nigdzie nie było żadnego krzyża. Na ogromnych ekranach pojawiały się zbliżenia muzyków i śpiewaków, a także słowa pieśni, skomponowanych i napisanych przez małżeństwo Beckwithów. Publiczność, w większości młodzi ludzie, sądząc po modnych ciuchach - dobrze sytuowani, była gotowa do spektaklu. Na mównicę-ambonę co chwilę wychodził kolejny członek dużego zespołu przywódców duchowych i podrzucał kolejne myśli do medytacji. Wtedy rozlegała się piękna muzyka. Na skraju sceny postawna kobieta tłumaczyła wszystko na język migowy.

Nowo przybyli zostali poproszeni o powstanie z miejsc. Rozległy się brawa dla tych kilkudziesięciu osób i wszyscy odśpiewali modlitwę. Podczas zbiórki datków nikt nie wrzucał drobnych do koszyków. Wszyscy wkładali wypełnione już wcześniej blankiety przelewów bankowych. Chór śpiewał coraz bardziej zapamiętałe, publiczność też. Na dużym ekranie zobaczyłam napis: „Daj znać, że oglądasz - zadzwoń”. Msza była bowiem transmitowana w internecie.

Gdy na scenę wszedł Michael Beckwith, wszyscy wstali, muzyka ucichła. Pastor - czarnoskóry, przystojny, z dreadami na głowie, w eleganckim szarym garniturze - rozpoczął kazanie. Uśmiechnięty, dowcipny, mówił najpierw wolniej, potem szybciej, czasem ściszał głos. Dochodziły do mnie pojedyncze słowa i zdania, o tym, że Bóg jest w każdym z nas, o bezwarunkowej miłości, wsparciu, sile, jaka w nas drzemie, o życiu z otwartym sercem, wykorzystywaniu własnych zdolności i rozwijaniu talentów. Rozglądałam się wokół. Ludzie byli jak w transie. Tuż obok mnie młoda kobieta zaczęła drżeć i płakać. Natychmiast przyskoczył wolontariusz z pudełkiem chusteczek higienicznych. Niektórzy potakiwali głowami, inni mruczeli, dając znak pastrowi, że się zgadzają. Trwało to dość długo, a potem wybuchły entuzjastyczne oklaski.

Całość zakończył kolejny koncert, przeplatany ogłoszeniami i podziękowaniami, czytany przez różne osoby i wyświetlanymi na ekranach.

Ludzie wychodzili ze studia uśmiechnięci, wyraźnie podbudowani. Młody skośnooki mężczyzna powiedział, że czuje się otoczony miłością i dobrymi intencjami. Jedna z kobiet, która była tu pierwszy raz, wyraźnie wzruszona szeptała, że za tydzień też przyjdzie, bo nigdy

wcześniej nie czuła tak bardzo miłości Boga i bliźnich. I że to cudowne nie cierpieć za grzechy, tylko cieszyć się swoją wspaniałością.

Wieczorem wróciłam do Santa Monica. Słońce już chowało się w Pacyfiku. Na trawie, na skwerze przed zejściem na plażę bezdomni wyciągali swoje kartony i rozkładali pod palmami. Widać było rozbłyskające światła nad pobliskim Malibu. Miasto Aniołów - świątynia snu o sławie, szczęściu i bogactwie - szykowało się do snu.

Dotarłam do celu podróży. W Los Angeles, jak zwykle, cudownie spędzałam czas: świetna pogoda, zachwycające widoki, niezwykle atrakcje, fantastyczni ludzie. Ale coś nie pozwalało mi się tym cieszyć. Słuchałam szumu fal i zastanawiałam się dlaczego. Wreszcie zrozumiałam, że tęsknię za widokiem szosy, za wiatrem, że chcę odkrywać coraz to nowe miejsca. Że to Droga jest moim celem.

Wskoczyłam do auta i ruszyłam z powrotem na wschód. Drogą 66.

postscriptum

W czasie prac nad książką zmarł Bob Waldmire. Miał rozległego raka z przerzutami w jamie brzusznej. Na miesiąc przed odejściem zorganizował pożegnalną wystawę i aukcję swoich prac w restauracji Cozy Dog, w Springfield. Tuż przed śmiercią zażyczył sobie szynki. Część jego prochów została pochowana w grobie rodziców, w Illinois, reszta - rozsypana na jego ukochanym siedlisku w Portal, w kilku miejscach wzdłuż Drogi 66 i na plaży w Santa Monica.

Codziennie patrzę na prace, które mi podarował. Wiem, że jest z nami i cieszy się, gdy ktoś rusza w Drogę.

podziękowania

Dziękuję moim Bliskim za pomoc, wsparcie i wyrozumiałość, bez nich nie powstałaby ta książka. Amerykańskim i polsko-amerykańskim przyjaciołom (zwłaszcza Ewie i Tolkowi, Basi i Adamowi, Magdzie i Julii) dziękuję za ich zawsze otwarte dla mnie serca i domy. Rodzinie Drogi 66 - za ciepłe przyjęcie, szczerłość i dzielenie się ze mną swoimi opowieściami. Społeczności Couch Surferów dziękuję za otwarcie mi oczu. Dużym wsparciem był dla mnie zespół z Foreign Press Center w Waszyngtonie (zwłaszcza Mike Kiel). Wydawnictwu W.A.B. dziękuję za cierpliwość.

fotografie

Kolekcja dystrybutorów paliwa, znaków drogowych, reklam i wszelkich akcesoriów związanych z podróżowaniem, jaką stworzył Bill She'a w Springfield, budzi podziw. Kiedyś był tu warsztat i stacja benzynowa. Teraz - prywatne muzeum, prowadzone w ramach rodzinnego hobby.



Stylizowany na plakaty wojenne obraz pielęgniarce karmiącej musztardą parówkę to symbol knajpki Cozy Drive In w Springfield. Parówka też może walczyć o wolność!



Wzorowany na legendarnym drwalu Bunyanie Gemini Giant to najbardziej obfotografowany „mieszkaniec” Wilmington. Ogromna postać w kombinezonie astronauty trzymająca raketę jest wspomnieniem zachwyty Ameryki podbojem kosmosu. Teraz zachęca do wstąpienia do pobliskiej restauracji.



Nawet najmniejsze miasteczka i osady kultywują mit Drogi 66. Hamel liczy zaledwie ośmiuset mieszkańców. Motel, knajpka, kościół i historyczny dom z bali do zwiedzania - wszystkie atrakcje widać z szosy.



Wschód słońca nad Missisipi, najdłuższą rzeką Ameryki Północnej. Most Chain of the Rocks (Łącuch skał), niegdyś główna arteria łącząca Illinois z Missouri, mimo że został wycofany z ruchu kołowego, jest wciąż jednym z najdłuższych stalowych mostów kratownicowych w USA.



Fani drużyny Cardinals w St. Louis łatwo się nie poddają. Ich ukochana drużyna aż jedenaście razy wygrała w World Series. Ostatni raz w 2011 roku. To tu grał najślynniejszy bejsbolista polskiego pochodzenia Stan Musial.



Stacja benzynowa Sinclair w Gay Parita w stanie Missouri. Jej właściciel - Gary Turner - może godzinami opowiadać o latach spędzonych za kierownicą osiemnastokołowej ciężarówki. Osiadł tu, gdy przeszedł na emeryturę, i odbudował zupełnie zniszczoną stację na podstawie zdjęć.



Na czym polega fenomen aut corvette? Nie chodzi o moc i osiągi, ale o niepokromiony charakter - mówią ich miłośnicy. Sama świadomość trzystu pięćdziesięciu koni pod maską i możliwość przyspieszenia do setki w pięć sekund pozwala człowiekowi poczuć emocje, nawet jeśli na bocznych drogach auta te suną wolniutko.



Stara ciężarówka holownicza znaleziona na polu w południowo-wschodnim kąciku stanu Kansas zrobiła międzynarodową karierę. Stała się bowiem pierwowzorem Złomka, najlepszego przyjaciela Zygzaka McQuinna w filmie *Auta* i *Auta 2*. A wszystko dzięki temu, że cztery kobiety, chcące udowodnić swoją niezależność, potrzebowały maskotki do nowej knajpki. I to właśnie w niej zatrzymała się na lunch ekipa producentów z wytwórni filmowej Pixar.



Rodeo to sport, ale też styl życia. Wśród startujących, oprócz wyczynowych sportowców, wciąż są prawdziwi kowboje, pracujący na ranchach.



Pomost w kształcie błękitnego wieloryba jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych atrakcji Drogi 66 w Oklahomie. Jedno oko ma szeroko otwarte, uśmiechnięte - to profil wystawiony na wschód. Drugie oko, to od zachodniej strony, jest przymknięte. Ciało się wygina. Wygląda, jakby wskoczył do stawu prosto z jakiejś kreskówki.



Niewydarzeni artyści w światowej stolicy rednecków - Harley i Annabelle Russellowie - to jedno z najnowszych odkryć Drogi 66. „Masz okazję podziwiać prawdziwych rednecków, pracujących i bawiących się w swoim naturalnym środowisku. Oto głupota i szaleństwo w czystej postaci!” - wrzeszczy Harley. A Annabelle płąsa w radosnych podskokach. Absolutnie niepowtarzalne!



Mekka podróżnych - ranczo cadillaków. To instalacja artystycznej grupy Ferma Mrówek. Niezwykłe dzieło sztuki sfinansował lokalny miliarder, potomek jednego z pierwszych potentatów naftowych w Teksasie - Stanley Marsh 3.



Prawdziwy artysta jest przygotowany do performansu nawet na łonie natury. Młodzieniec, którego zwą LBK (skrót od Long Board Kid, czyli dzieciak długa deska - echa kariery deskorolkarza) maluje wysuszone rośliny, by wyglądały soczyście.



„Droga się nie kończy” - głosi znak namalowany na zamówienie Stanleya Marsha 3. Ten znak jest jednym z wielu, jakie stworzyli młodzi artyści skupieni w grupie Muzeum Dynamitu. Każdy mieszkaniec Amarillo może zamówić humorystyczne abstrakcje, nie ma jednak wpływu na ich treść. I nie wie też, kiedy znak może wyrosnąć przed domem.



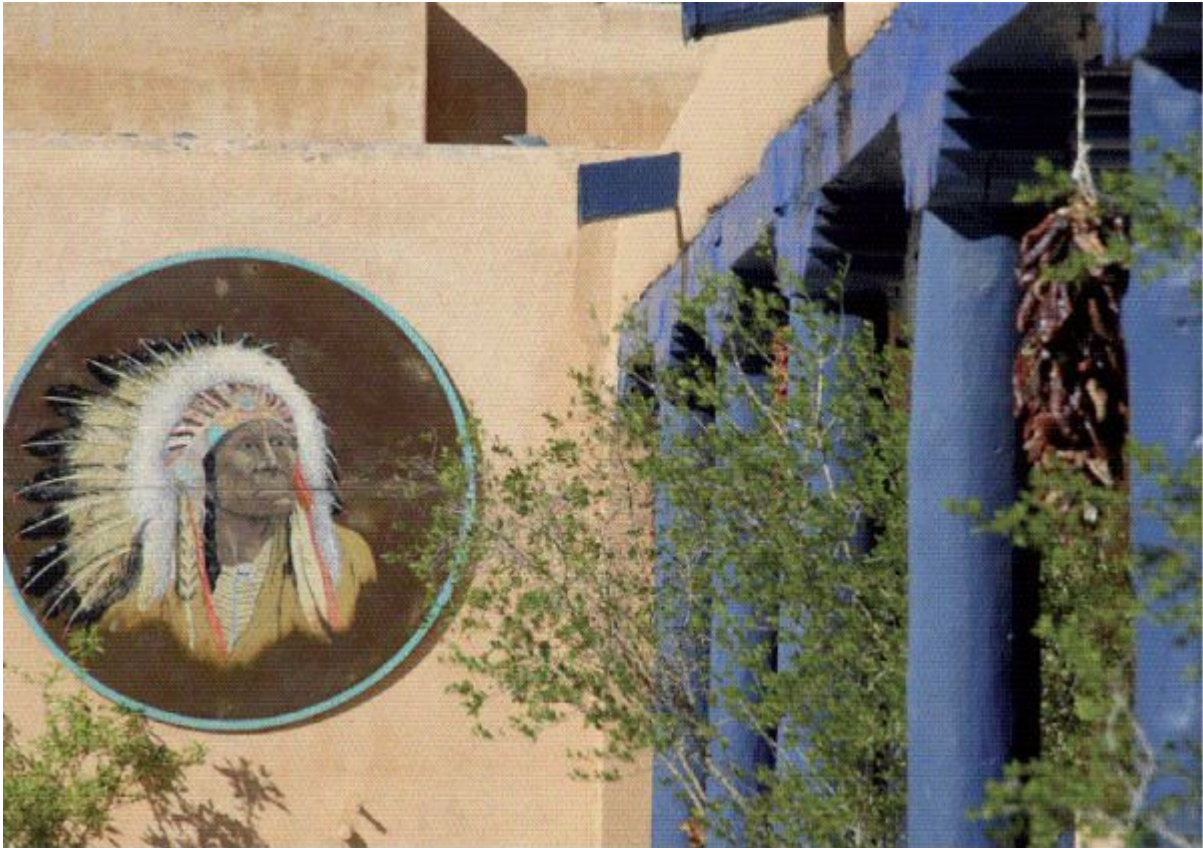
Motel Niebieskiej Jaskółki w Tucumcari w Nowym Meksyku zdobył nagrodę za renowację zabytkowego neonu.



Przejechać Drogę 66 na harleyu - to marzenie większości męskiej (ale nie tylko) populacji Stanów Zjednoczonych. A gdyby to mógł być chopper, szczęście byłoby jeszcze większe.



Rdzawopomarańczowe ściany domów zbudowanych z gliny zmieszanej ze słomą oraz pomalowane na niebiesko drewniane elementy - to element rozpoznawczy Nowego Meksyku.



Zozobra - ponadpiętnastometrowa papierowa kukła wypchana słomą symbolizuje to, co złe przydarzyło się w minionym roku. Zgodnie z dawnym indiańskim zwyczajem, całe zło jest niszczone podczas ceremonii palenia Zozobry.



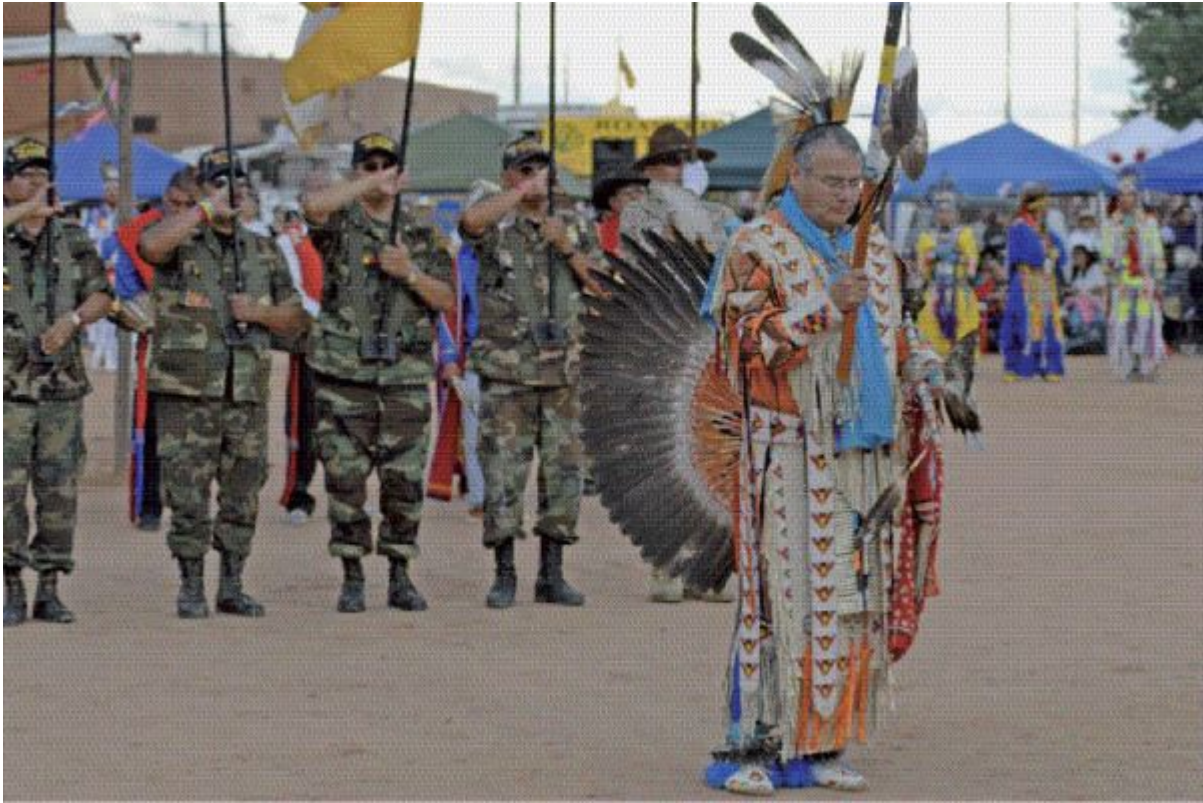
Papryczki chili są w Nowym Meksyku wszędzie. Stanowe pytanie brzmi: „czerwone czy zielone”? Chodzi właśnie o papryczki, z których jest przygotowany sos do potraw kuchni nowomeksykańskiej. Zielone są łagodniejsze.



Kobiety z plemienia Zuni niosą na głowach dzbany - drogocenne, ręcznie wypalane i zdobione - podczas parady w pierwszym dniu międzyplemiennego zjazdu Indian w Gallup. Miasteczko od 1922 roku nosi miano Światowej Stolicy Indian.



Plemienni przywódcy w tradycyjnych strojach, weterani w mundurach swoich jednostek, poczet sztandarowy. Tak zaczyna się taniec wojowników: wszyscy, którzy walczyli i przeżyli, oddają hołd tym, którzy zginęli i tym, którzy wciąż służą w wojsku.



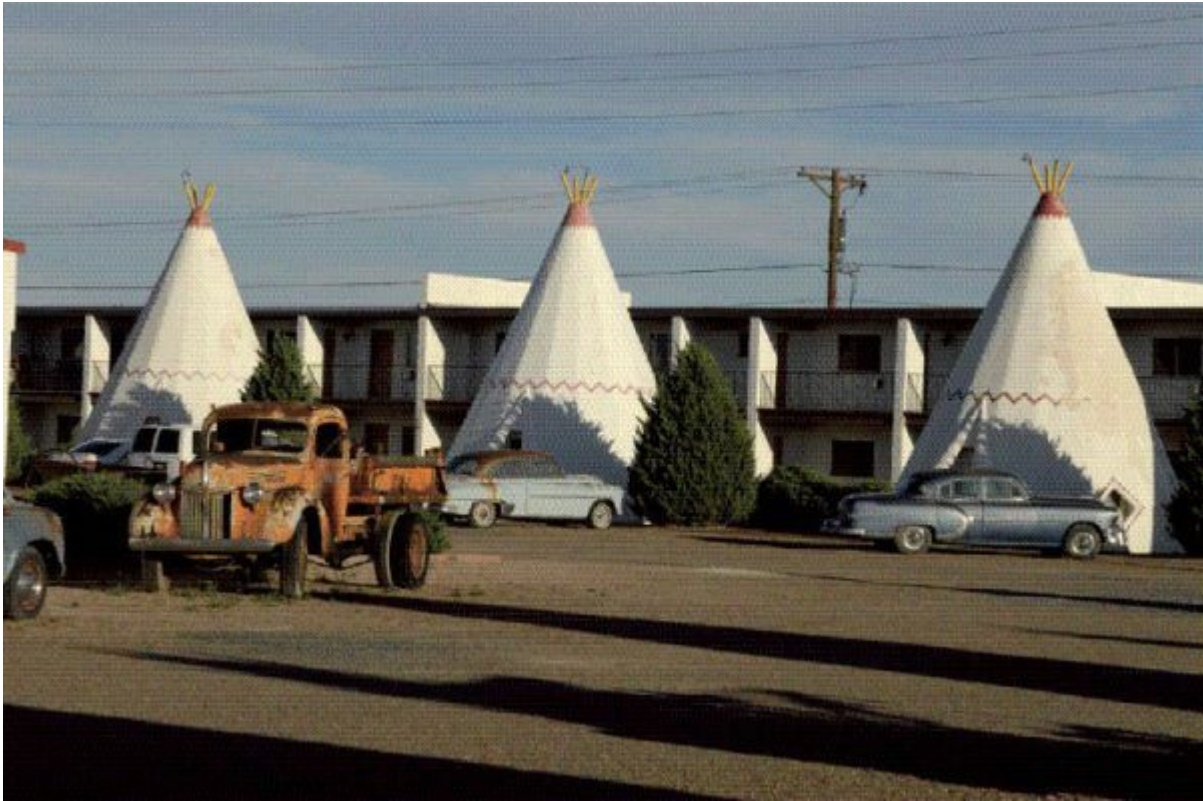
Bębniarze śpiewają wysokimi, zawodzącymi głosami pieśni wzywające do tańca.



Tancerze wirujący w blasku ognisk. Są wiatrem, drzewami, ptakami. Aż dziw, że nie ulatują, gdy milkną bębny.



W motelu o nazwie Wigwam Village w Halbroom w Arizonie można wynająć na noc indiańskie tipi - namioty, ale nie skórzane, tylko betonowe. Takie domki kempingowe wzbudzały furorę w latach pięćdziesiątych XX wieku. Czas się tu zatrzymał.



Indianie Nawaho są mistrzami w ręcznej produkcji biżuterii. Turkusy leczą - poprawiają wzrok i zmniejszają gorączkę - i dodają energii, chronią przed złym losem i zapewniają jasny umysł.



Wielki Kanion Rzeki Kolorado - największy przełom rzeki na świecie - odwiedza co roku ponad pięć milionów turystów. Bardzo pomylił się jeden amerykański porucznik, który w roku 1840 w raporcie z wyprawy do Kanionu napisał: „Całkowicie nieprzydatny. Byliśmy niewątpliwie pierwszymi i ostatnimi białymi, którzy odwiedzili ten bezużyteczny zakątek”.



Między Williams a Wielkim Kanionem kursuje pociąg. Pasażerowie regularnie są napadani i ograbiani przez bandytów. Nad całością występu czuwa emerytowany policjant, obecny burmistrz miasteczka. W rolę bandytów wcielają się byli funkcjonariusze, strażacy i miłośnicy prawdziwych westernów.



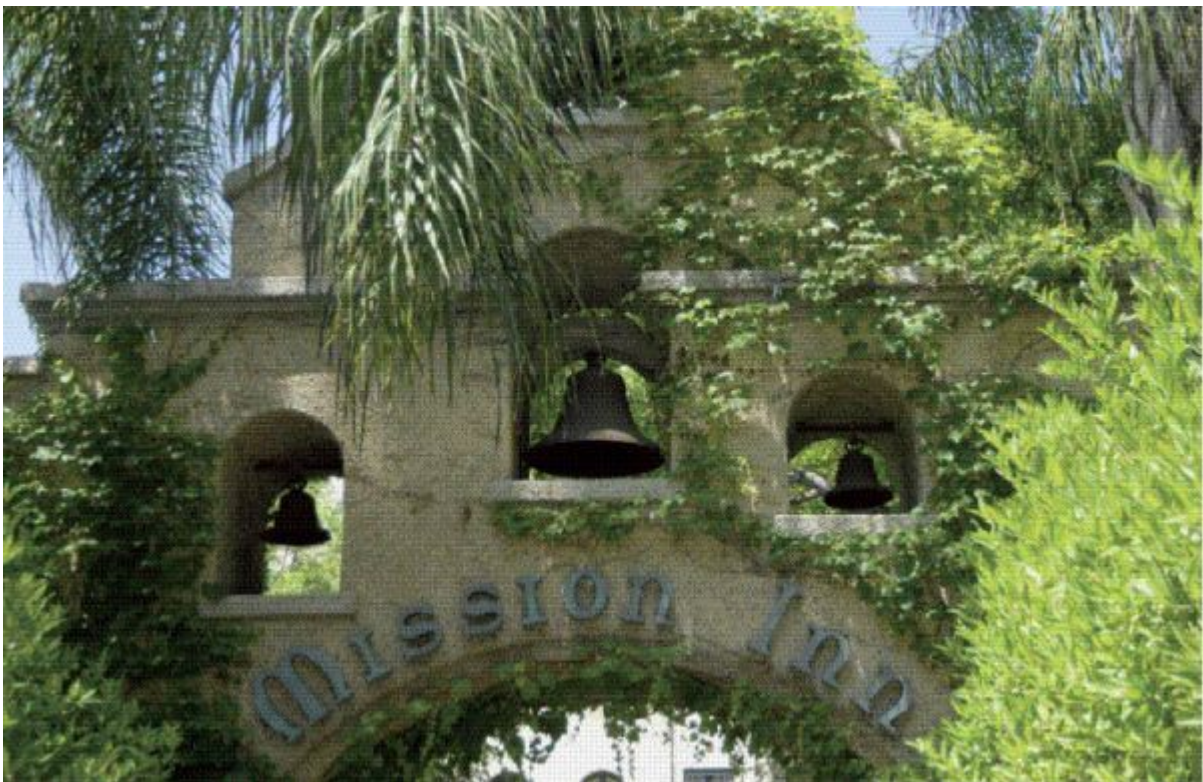
Nawet tu można uwić przytulne gniazdko. W więzieniu namiotowym karę odbywają skazani na maksimum rok mężczyźni i kobiety. Siedzą za prostytutkę, posiadanie narkotyków, drobne kradzieże. Kilkumiesięczne „wczasy” mają tu też ludzie odsiadujący wyrok za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym. W palącym słońcu przeklinają dzień, w którym popełnili wykroczenie, i szeryfa Joe Arpaio, który wymyślił więzienie w namiotach.



Droga 66 wije się przez pustynię Arizony. Odcinek szosy niedaleko Cool Springs to jeden z ulubionych przez kierowców (ze względu na zakręty) widoków pustyni, na której między wielkimi kaktusami można dostrzec porzucone stare samochody



Zabytkowy Hotel Mission Inn w Riverside - uderzająco odświeżająca zieleń po przejechaniu pustyni.



Sala koncertowa imienia Walta Disneya w centrum Los Angeles jest siedzibą filharmonii. Gmach autorstwa światowej sławy architekta Franka Gehry'ego został ufundowany przez wdowę po Disneyu, który uwielbiał muzykę. Budowę ukończono w 2003 roku, kosztowała prawie trzysta milionów dolarów. To jedno z najpiękniejszych i jednocześnie najnowocześniejszych miejsc w Los Angeles.





Dorota Warakomska

dziennikarka związana z TVP (1991-2006). Przez cztery lata była korespondentem w USA, przeprowadziła wywiady m.in. z Hillary Clinton, Madeleine Albright, George'em Bushem

i Johnem McCainem. Pisała reportaże do miesięcznika „Podróże”. Współautorka książek Ostatnia wyspa komunizmu. Jan Paweł II na Kubie (1998), Grzeczność nasza i obca (2003) oraz Grzeczność na krańcach świata (2007). Działa społecznie w stowarzyszeniu Kongres Kobiet.